



Autorka nagrodzonego Bookerem
bestsellera *Wszystko, co lśni*



PRÓBA

ELEANOR CATTON



"Zadziwiające
oryginalne powieści...
hipnotyzująca, ~~nie~~
misterne skonstruowana..."

JOSHUA FERRIS

Eleanor Catton

PRÓBA

przełożył
Maciej Świerkocki

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Podziękowania

Przypisy

Dla Johnny'ego

Rozdział PIERWSZY Czwartek

– Nie mogę – oświadcza nauczycielka gry na saksofonie. – Po prostu nie mogę przyjmować na zajęcia uczennic, które nie mają żadnego przygotowania muzycznego. Moje niestandardowe metody pedagogiczne chyba nieco odbiegają od pani wyobrażeń, pani Henderson.

Zaczyna się jazzowa pulsacja, tylko perkusja i kontrabas. Nauczycielka obraca w palcach łyżeczkę i stuka nią o blat, raz.

– Wobec saksofonu klarnet jest jak kijanka, czy pani to rozumie? Klarnet jest niczym czarno-srebrzyste nasienie i jeżeli ktoś je bardzo kocha, to pewnego dnia wyrośnie z niego saksofon.

Nauczycielka pochyła się nad biurkiem.

– Pani Henderson, na razie pani córka jest po prostu za młoda. Powiem to tak: cieniutka warstewka matczyngo mleka nadal oblepia ją jak całun.

Pani Henderson patrzy w podłogę i dlatego nauczycielka gry na saksofonie przybiera ostrzejszy ton:

– Ma pani usta jak cienka, szkarłatna nitka, płaskie piersi i musztardową bluzkę cuchnącą stęchlizną. Słyszysz pani, co mówię?

Pani Henderson niemal niedostrzegalnie kiwa głową i przestaje tarmosić rękawy swojej bluzki.

– Wszystkie moje uczennice – ciągnie nauczycielka – muszą być w okresie dojrzewania, porośnięte szczenięcym puszkim, pryszczate, nadąsane i nieufne. Co więcej, wymagam od nich, żeby gotowały się w nich złość, żar, niepewność i przygnębienie. Chcę, żeby przed każdą lekcją co najmniej przez dziesięć minut czekały w korytarzu, czule pielęgnując doznane krzywdy i żałośnie pieszcząc swój brak godności, tak jak przesuwa się palcem po strupie albo gładzi bliznę. Jeżeli mam uczyć pani córkę, moja droga, beznadziejna i nieudolna pani matko, to ta dziewczyna powinna być humorzasta, zagubiona, nieporadna, niezadowolona i musi się mylić. Proszę przyjść do mnie znowu, kiedy zda sobie sprawę, że jej ciało jest mroczną i stojącą otworem tajemnicą, której zaczyna się coraz bardziej wstydzić. W tej kwestii musi mnie pani zrozumieć. Nie mogę uczyć dzieci.

Cmok! Cmok! Cmok! – w ciszy rozbrzmiewa werbel.

– Ale ona chce się nauczyć grać na saksofonie – odzywa się w końcu pani Henderson, zawstydzona i nadąsana zarazem. – Nie na klarnecie.

– Proponuję, żeby zgłosiła się pani do nauczycieli muzyki w jej szkole – odpowiada nauczycielka gry na saksofonie.

Pani Henderson przez dłuższą chwilę patrzy na nią spode łba. Potem zmienia pozycję, dla odmiany zakłada prawą nogę na lewą i przypomina sobie, że miała o coś zapytać.

– Pamięta pani wszystkie nazwiska i twarze swoich uczennic?

To pytanie chyba sprawia nauczycielce przyjemność.

– Pamiętam jedną wielką twarz – mówi. – Nie jakąś pojedynczą uczennicę, tylko wrażenie, które wszystkie po sobie pozostawiły, wrażenie odwrócone jak negatyw fotograficzny

i odciśnięte w mojej pamięci niczym rana po kwasie. Jeżeli chodzi o klarnet, polecam Henry'ego Soothilla – dodaje, sięgając po wizytówkę. – Jest znakomity. Gra w orkiestrze symfonicznej.

– W porządku – odpowiada ponuro pani Henderson i bierze wizytówkę.

Czwartek

To było o czwartej. O piątej znów rozlega się pukanie. Nauczycielka gry na saksofonie otwiera drzwi.

– Pani Winter – mówi. – Przyszła pani w sprawie swojej córki. Niech pani wejdzie, to porozmawiamy, jak ją pokroić na półgodzinne plasterki, którymi mogłabym się karmić z tygodnia na tydzień.

Otwiera szeroko drzwi, by pani Winter mogła się wślizgnąć do środka. Jest to ta sama kobieta, co przedtem, ale w innym kostiumie – i teraz nazywa się Winter, nie Henderson. Widać także kilka innych różnic, bo jest profesjonalistką i od dawna myślała o tej roli. Pani Winter na przykład pozwala sobie tylko na półuśmiech, ma zwyczaj kiwać potakująco głową o kilka chwil za długo, a kiedy się nad czymś zastanawia, zasysa cicho powietrze do płuc przez zęby.

Obie uprzejmie udają, że nie zdają sobie sprawy, że pani Winter i pani Henderson to ta sama osoba.

– Trzeba zacząć od tego – mówi nauczycielka, podając gościowi kubek czarnej herbaty liściastej – że nie pozwalam na obecność rodziców na prywatnych lekcjach. Wiem, że to może nieco staroświecka metoda, ale częściowo wynika ona z tego, że moje uczennice nie czują się najlepiej w towarzystwie swoich matek i ojców. Dostają rumieńców, robi im się gorąco, zbyt łatwo wybuchają śmiechem, nie mogą usiedzieć spokojnie i zamykają się jak płatki kwiatu. Z drugiej strony wydaje mi się, że lubię zachowywać całkowitą dyskrecję także dlatego, że dzięki tym półgodzinnym plasteryczkom mam okazję być widzem i nie chcę się tym z nikim dzielić.

– Ale ja nie jestem tego rodzaju matką – odpowiada pani Winter i rozgląda się wokół. Pracownia mieści się na poddaszu, widać tylko wróble i dachówki. Ceglana ściana za fortepianem jest kredowa, a cegły łuszczą się białymi płatami, jak gdyby były chore.

– Powiem pani coś o saksofonie – mówi nauczycielka. Przy fortepianie na stojaku stoi saksofon altowy. – Nauczycielka podnosi go jak pochodnię. – Saksofon to instrument dęty, co oznacza, że ożywia go ludzkie tchnienie. Ciekawe, że angielskie słowa „duch” i „dusza” pochodzą od łacińskiego rzeczownika, który oznacza oddech albo właśnie tchnienie, dawniej sądzono bowiem, że tchnienie i dusza to jedno, że żyć znaczy po prostu oddychać, mieć pełno powietrza w płucach. Więc kiedy dmie pani w ten instrument, moja droga, to daje mu pani nie tylko życie w ogóle, ale swoje życie.

Pani Winter energicznie kiwa głową. Robi to o kilka chwil za długo.

– Dlatego zawsze pytam uczennice: czy wasze życie jest warte tego, aby nim kogoś uraczyć? – mówi nauczycielka gry na saksofonie. – To wasze normalne, codzienne życie o smaku waniliowym, wasz chiński makaron błyskawiczny po szkole, telewizja do dziesiątej wieczorem, świece na komódce i stojący na umywalce zmywacz do twarzy? – Uśmiecha się i kręci głową. – Oczywiście, że nie, a to dlatego, że te dzieciaki po prostu jeszcze za mało wycierpiały, by warto było ich słuchać.

Uśmiecha się uprzejmie do pani Winter, która łączy swoje żółte kolana, ściskając w dłoniach kubek z herbatą.

– Będzie mi bardzo miło uczyć pani córkę – dodaje nauczycielka. – Wydawała mi się taka cudownie uległa.

– Nam też się taka wydaje – odpowiada szybko pani Winter.

Nauczycielka przygląda się jej przez chwilę, a potem mówi:

– Wróćmy do tego momentu, kiedy znowu trzeba nabrać powietrza, gdy saksofon jest pełen pani tchnienia, a w pani płucach nie ma go już ani trochę; czyli do momentu, kiedy w saksie jest więcej życia niż w pani. Zarówno pani, jak i ja, wiemy, jak to jest mieć czyjeś życie w swoich rękach. Nie chodzi mi o zwykłą odpowiedzialność, kiedy opiekujemy się dziećmi, pilnujemy kuchenki albo czekamy na zielone światło, przechodząc przez ulicę... Chodzi mi o cudze życie, które w naszych rękach jest jak chińska waza... – nauczycielka podnosi wysoko saksofon, podtrzymując go otwartą dłonią pod kielichem – ...a jeżeli chcemy, możemy ją... upuścić.

Czwartek

Na ścianie korytarza wisi czarno-biała fotografia w ramkach, przedstawiająca przygarbionego mężczyznę w palcie, który wbiega na schody: spuszczone głowa, postawiony kołnierz, płaczące się sznurowadła. Nie widzimy jego twarzy ani rąk, tylko plecy, pół podeszwy jednego buta, pasek szarej skarpetki i czubek głowy. Mężczyzna rzuca cień, pomarszczony niczym akordeon, na ścianę przy schodach. Jeśli przyjrzymy się temu cieniowi bliżej, zauważymy, że wchodzący na schody mężczyzna gra na saksofonie, ale ponieważ pochyla się nad instrumentem, a łokcie trzyma blisko ciała, to z tyłu saksofonu w ogóle nie widać. Cień nieco przechylił się na bok niczym przeciwnik muzyka, rozwidlając obraz i odsłaniając ukryty pod płaszczem instrument, którego ciemne odbicie trochę przypomina fajkę wodną, a na ceglanej ścianie wydaje się wiotkie, nieco zamazane, sięga podbródka mężczyzny oraz wiotkich cieni jego rąk, wijąc się jak dym.

Właśnie temu zdjęciu przyglądają się dziewczęta, czekając na korytarzu na lekcje muzyki.

Piątek

Isolde poddaje się po pierwszych sześciu taktach.

– Nie ćwoczyłam – mówi od razu. – Ale mam usprawiedliwienie. Chce je pani usłyszeć?

Nauczycielka gry na saksofonie patrzy na dziewczynę i popija czarną herbatę. Usprawiedliwienia lubi prawie najbardziej.

Isolde odczekuje chwilę, żeby wygładzić spódniczkę i się przygotować. Nabiera tchu.

– Wczorajem oglądałam telewizję – mówi – aż tu nagle wchodzi mój tata z bardzo poważną miną, szarpie swój krawat, jakby się w nim dusił, a w końcu po prostu go ściąga i odkłada na bok...

Dziewczyna odpina saksofon i kładzie go na krześle, a potem udaje, że rozluźnia pasek od futerału, który rzekomo niezwykle mocno zaciska się na jej szyi.

– ...i mówi: „Usiądź”, chociaż przecież siedzę, a potem naprawdę bardzo mocno zaczyna zacierać ręce.

W tym miejscu Isolde naprawdę bardzo mocno zaciera ręce.

– I mówi: „Mama uważa, że na razie nie powinienem ci o tym wspominać, ale twoja siostra została wykorzystana przez jednego nauczyciela ze szkoły”. – Isolde rzuca szybkie spojrzenie

nauczycielce gry na saksofonie, po czym odwraca wzrok. – A po chwili dodaje: „Wykorzystana seksualnie”, tak dla wyjaśnienia, na wypadek, gdyby przyszło mi do głowy, że może kazał jej po prostu pójść po kredę albo coś w tym rodzaju.

Górne światła przygasły i dziewczynę oświetla tylko blady, pomrużujący błękit, mroźny blask, przypominający ekran włączanego albo wyłączanego telewizora. Nauczycielka zostaje wciśnięta w cień, toteż jedna połowa jej twarzy jest szara jak żelazo, a druga blada i połyskliwa.

– No i zaczyna opowiadać takim dziwnym, gardłowym głosem o jakimś panu Saladinie czy jakoś tak, że uczy w starszych klasach i prowadzi zajęcia dla big-bandu, orkiestry i zespołu jazzowego, wszystkie w środę rano, jedne po drugich. Mnie będzie uczył dopiero w szóstej, i to pod warunkiem, że będę chciała chodzić na big-band, ponieważ te lekcje są w tym samym czasie co zajęcia z netballu, dlatego będę musiała wybierać. Patrzy na mnie z taką jakąś przestraszoną miną, bo pewnie myśli, że zaraz się zachowam jak wariatka albo że mnie poniesie, a on nie będzie wtedy umiał sobie ze mną poradzić. No to się pytam: „Skąd wiesz?”. A on mi na to...

Dziewczyna kuca koło krzesła i mówi z przejęciem, szeroko rozkładając ramiona:

– „Kochanie, z tego, co słyszałem, to zaczął bardzo powoli... czasami tylko leciuteńko kładł jej rękę na ramieniu, o tak”.

Isolde wyciąga rękę i czubkami palców dotyka górnej części saksofonu leżącego na boku na krześle. Kiedy jej palce stykają się z instrumentem, zaczyna rozbrzmiewać miarowe pulsowanie, jakby bicie serca. Nauczycielka siedzi w kompletnym bezruchu.

– „A potem czasami, kiedy nikt nie patrzył, pochylał się nad nią bliźutko i dmuchał jej we włosy...”

Dziewczyna wtula się policzkiem w instrument, owiewając go swoim oddechem...

– „...o tak, naprawdę z wahaniem i nieśmiało, bo przecież jeszcze nie wie, czy ona tego chce, a poza tym nie zamierza tego za szybko skończyć. Ale twoja siostra jest dla niego miła, bo pan Saladin nawet się jej podoba, a ona się w nim podkochuje, więc wkrótce jego ręka wędruje niżej, coraz niżej...”

Ręka Isolde wije się po saksofonie niczym wąż i krąży wokół krawędzi jego kielicha...

– „...i niżej, a twoja siostra zaczyna jakby reagować, uśmiecha się do niego czasami na lekcjach, i wtedy serce zaczyna bić mu szybciej, i kiedy są sam na sam, w magazynku na instrumenty albo gdzieś po szkole, albo kiedy on podwozi ją swoim samochodem, co się czasami zdarza, to wtedy mówi do niej: «moja Cyganeczko». Powtarza to w kółko, to «moja Cyganeczko», tak mówi... A ona żałuje, że nie wie, jak na to odpowiedzieć, że nie ma niczego takiego, co mogłaby mu wyszeptać we włosy, niczego takiego naprawdę specjalnego, czegoś, czego jeszcze nigdy nikt nikomu nie powiedział”.

Akompaniament milknie. Isolde patrzy na nauczycielkę i mówi:

– „Nic nie przychodzi jej do głowy”.

Znów zapalają się światła, jak zwykle. Isolde marszczy brwi i osuwa się na fotel.

– „Ale tak czy owak”, odzywa się gniewnie tata, „jest już za późno, bo jej koleżdy i koleżanki zauważają chwilami, co się z nią dzieje, widzą, jak spuszcza głowę i przechyła ją zalotnie na bok, a wtedy wszystko staje się jasne i tajemnica rozsypuje się jak domek z kart”.

– No to rozumiem, dlaczego nie miałaś czasu, żeby ćwiczyć – podsumowuje nauczycielka

gry na saksofonie.

– I jeszcze dzisiaj rano – mówi Isolde – poszłam sobie przed szkołą pograć gamy czy coś, ale jak tylko zaczęłam, to moja siostra zaraz powiedziała: „Mogłabyś być przynajmniej delikatna...” i wybiegła z pokoju, płacząc, ale ja wiedziałam, że udaje, bo gdyby naprawdę płakała, toby nie uciekła, bo chciałyby, żebyśmy widziały, jak płacze. – Isolde wciska zapinkę do swojego kiltu w kolano. – Traktują ją, kurwa, jak przedmiot, jak rekwizyt.

– Czy to takie niezwykle? – pyta nauczycielka.

Isolde rzuca jej jadowite spojrzenie.

– To jest chore – mówi. – Chore, tak samo jak to, co robią te dzieciaki, które stroją swoje psy czy koty jak ludzi, dają im ubranka, peruki i w ogóle, a potem każą zwierzakom chodzić na tylnych łapach i robią im zdjęcia. To właśnie jest coś takiego, tylko że jeszcze gorsze, bo widać, że mojej siostrze strasznie się to podoba.

– Na pewno wcale jej się to nie podoba.

– Tata twierdzi, że zapewne miną długie lata, zanim pan Saladin zostanie skazany, co mu się należy, i pójdzie do więzienia – mówi Isolde. – Wszystkie gazety napiszą o molestowaniu dziecka, ale żadnego dziecka wtedy już nie będzie, bo moja siostra stanie się już dorosła, jak on. Więc będzie tak, jak gdyby ktoś celowo zorał miejsce zbrodni, a na tym miejscu zbudował coś czystego i lśniącego.

– Isolde – odpowiada nauczycielka, tym razem stanowczym głosem – jestem pewna, że twoi rodzice boją się tylko dlatego, że ten grzech ciągle trwa. Wiedzą, że wślizgnął się w twoją siostrę i wcisnął, że zaklinował się w niej w takim miejscu, o którym nikt nie wie i którego nigdy nikt nie znajdzie. Wiedzą, że grzech pana Saladina to był tylko pewien gest, śmiertelnie głupia niezdarność w jasnym, pełnym pyłków kurzu świetle przerwy na lunch, ale że jej grzech... Jej grzech to stan, choroba, która zagnieździła się w niej gdzieś głęboko, na teraz i na zawsze.

– Mój tata nie wierzy w grzech. Jesteśmy ateistami.

– Zawsze warto mieć otwarty umysł – odpowiada nauczycielka.

– Powiem pani, dlaczego oni się tak boją. Boją się, bo teraz moja siostra wie tyle, ile oni. Boją się, bo teraz nie zostały im już żadne tajemnice.

Nauczycielka gry na saksofonie wstaje nagle i podchodzi do okna. Zapada dłuższa cisza, zanim Isolde odzywa się ponownie.

– Tata mówi po prostu: „Nie wiem, jak do tego doszło, kochanie. Ważne jest to, że ponieważ teraz już o tym wiemy, to się więcej nie powtórzy”.

Środa

– No i odwołali zajęcia dla big-bandu – mówi Bridget. – Podobno pana Saladina nie będzie dziś po południu. Pomaga w śledztwie.

Bridget głośno ssie stroik.

– Kiedy z jednej strony podają za mało, a z drugiej za dużo informacji, to wiadomo, że dzieje się coś naprawdę poważnego. Tak normalnie to wiecie, powiedzieliby po prostu: „Słuchajcie, zajęcia z big-bandem zostały odwołane, macie trzy minuty, żeby zgarnąć swoje zasrane rzeczy, wyjść i chociaż raz nacieszyć się słońcem. Co ja powiedziałem? Jazda, ruszać się!”.

Dziewczyna umiejętnie naśladuje cudze głosy. Właściwie chciała być Isolde, bo Isolde to

lepsza rola, ale ona jest blada, żylasta, wymięta i zawsze wygląda na lekko zdenerwowaną, a te cechy nie za bardzo pasują do Isolde, i dlatego ta dziewczyna gra Bridget. Prawdę mówiąc, to właśnie jej chęć bycia Isolde najlepiej charakteryzuje ją jako Bridget: bo Bridget zawsze chce być kimś innym.

– Albo – mówi – kombinowaliby inaczej i powiedzieli nam więcej, niż powinniśmy wiedzieć, oczywiście celowo, żebyśmy uznały to za przywilej. Poszliby w świętą powagę, żebyśmy szeroko otworzyły oczy, niby że nas proszą o uwagę, to naprawdę ważna sprawa, pan Saladin musiał nieoczekiwanie wyjechać, nagła choroba w rodzinie. Rozumiecie, to może być coś naprawdę poważnego, więc powinniście dać mu trochę luzu i okazać współczucie, kiedy wróci do szkoły. Rzecz jasna o ile wróci.

Bridget rozważała taką hipotezę już od jakiegoś czasu i promienieje z radości na samą myśl o niej. Zakręca stroik i dmie w instrument na próbę.

– Pomaga w śledztwie – stwierdza z pogardą, poprawiając ustnik. – I przyszli wszyscy razem, żeby nam to powiedzieć, całą bandą, że się tak wyrażę, i dyszeli razem, szybkie wdechy i wydechy, co chwila strzelali oczami na boki, a dyrektor stał z przodu, żeby pierwsze uderzenie wiatru przyjąć na siebie, jak gęś na czele kłucza.

– Wydaje mi się, że gęsi zmieniają się na tej pozycji – mówi z roztargnieniem nauczycielka gry na saksofonie. – Sądzę, że lot pod wiatr to naprawdę wyczerpująca praca.

Nauczycielka szuka czegoś w stosie nut. Półki za jej plecami są pełne starych manuskryptów, które krwawią na podłogę liśćmi kartek.

Gdyby chodziło o Isolde, nigdy nie przerwałaby jej tak lekceważąco – między innymi dlatego Bridget tak chciała dostać tę rolę. Bridget znowu sobie przypomina, że jest blada, żylasta, wymięta i absolutnie drugoplanowa, po czym rumieni się, naraz zdecydowana, by odzyskać swoje miejsce na scenie.

– No więc przyczłapali – mówi uczennica – w szyku przypominającym klucz gęsi czy coś w tym rodzaju, wyglądali niczym szara, poliestrowa armia, która naprawdę dokłada wszelkich starań, żeby nie patrzeć na nikogo konkretnie, a zwłaszcza na rażąco puste miejsce koło pierwszej altówki, gdzie zwykle siedzi Victoria.

Bridget wymawia imię „Victoria” z naciskiem i wyraźną satysfakcją. Spogląda na nauczycielkę, by sprawdzić, jaki efekt wywarły na niej jej słowa, ale nauczycielka jest zajęta przekładaniem papierów swoimi dużymi rękami i nie daje nic po sobie poznać.

– Drzwi do sal, gdzie ćwiczymy, mają takie małe okienka ze zbrojonego szkła, żeby można było zajrzeć do środka – opowiada Bridget, teraz próbując zagrać jeszcze lepiej. Im bardziej się stara, tym głośniejsze mówi. – Ale pan Saladin zakleił szybką planem lekcji, widać więc tylko rozkład naszych zajęć i okruchy białej jasności na brzegach, jeżeli światło na sali jest zapalone. Tylko że kiedy Victoria przychodziła na zajęcia fakultatywne z instrumentów drewnianych, to światło gasło.

– Mam! – mówi nauczycielka, podnosząc garść kartek z nutami. – *Stary zamek z Obrazków z wystawy*. Wydaje mi się, że uznasz to za interesujące, Bridget. Możemy porozmawiać o tym, dlaczego saksofon właściwie nigdy się nie przyjął jako instrument orkiestrowy.

Nauczycielka gry na saksofonie czasami brzydzi się sobą za to, że tak podpuszcza Bridget. „Bo ona po prostu tak bardzo się stara – powiedziała kiedyś matce dziewczyny. – Właśnie dlatego podpuszczanie jej przychodzi mi z taką łatwością. Gdyby to, że Bridget tak się stara,

nie było oczywiste, może dałabym się skusić, żeby okazywać jej trochę więcej szacunku”.

Matka Bridget długo kiwała potakująco głową i powiedziała w końcu: „Tak, my też widzimy, że często przesadza z tą swoją gorliwością”.

Nauczycielka tylko patrzy na żylastą i wymiętą Bridget, która stara się tak rozpaczliwie, i unosi brwi.

Bridget czerwieni się ze złości i celowo pomija wszystkie możliwe kwestie o Musorgskim, *Obrazkach z wystawy*, Ravelu i o tym, dlaczego saksofon właściwie nigdy się nie przyjął jako instrument orkiestrowy. Pomija to wszystko i z miejsca przechodzi do kwestii, która się jej podoba.

– Bo nauczyciele jakby nam dozują tę wiadomość – mówi jeszcze głośniejsze. – Jak wtedy kiedy przyjmiesz szczepionkę i dostajesz drobinę jakiejś choroby, żeby organizm mógł przygotować swoje reakcje obronne na wypadek, gdyby człowiek później naprawdę zachorował. A boją się, bo to jest taka choroba, której wcześniej na nas nie testowali, usiłują nas zatem zaszczepić, nie mówiąc jednak, co to za przypadłość. Chcą nam zrobić z niej zastrzyk w wielkiej tajemnicy, żebyśmy nic nie zauważyły. Ale to im się nie uda.

Teraz obie naprawdę przyglądają się sobie uważnie. Nauczycielka gry na saksofonie przez chwilę wyrównuje stertę papierów rąbkiem dywanika, a potem pyta:

– Dlaczego im się to nie uda, Bridget?

– Bo zauważyliśmy, co robią – odpowiada Bridget, ciężko oddychając przez nos. – Bo ich obserwowałyśmy.

Poniedziałek

Julia jak zwykle powłóczy nogami. Ma strupek wokół ust.

– Zwołali dzisiaj całą klasę na apel – mówi – i przyszedł nasz psycholog, cały nabzdyczony, bo chyba jeszcze nigdy nie czuł się taki ważny.

Rzuca to przez ramię, otwierając futerał. Nauczycielka gry na saksofonie siedzi w smudze zimnego słońca przy oknie, przyglądając się krążącym w górze i srającym mewom. Chmury wiszą nisko.

– Zaczęli gadać takimi dziwnymi, cichymi, słodkimi głosami, jakby się bali, że się rozkleimy, jeżeli będą mówić za głośno. „Wszystkie znacie plotki, które krążą w szkole od tygodnia”, powiedzieli. „Powinniśmy zatem omówić kilka spraw, żebyśmy dobrze wiedzieli, na czym stoimy”.

Julia odwraca się na pięcie, mocuje saksofon na pasku i na chwilę bierze się pod boki. Saksofon zwisa w poprzek jej ciała jak karabin.

– Nasz psycholog to debil – oświadcza kategorycznie Julia. – Ja i Katrina poszłyśmy kiedyś do niego w trzeciej klasie, bo Alice Franklin uprawiała seks w kinie i przestraszyłyśmy się, że zostanie dziwką i zniszczy sobie życie, jeśli przypadkiem zajdzie w ciążę i będzie miała dzieci. Opowiedziałyśmy mu wszystko i przyznałyśmy, że bardzo się boimy, a Katrina nawet zaczęła płakać. A on tylko siedział, mrugał nerwowo oczami i ciągle kiwał głową, tylko że tak powoli, jakby go zaprogramowali na jedną czwartą normalnej szybkości działania. Potem, kiedy już nie miałyśmy nic więcej do powiedzenia, a Katrina przestała płakać, otworzył szufladę, wyciągnął kartkę, narysował trzy kółka jedno w drugim, napisał najpierw „Ty”, potem „Twoja rodzina”, następnie „Twoi przyjaciele” i powiedział: „Tak to właśnie jest, nie?”. A później dodał, że jeżeli chcemy, to możemy sobie tę kartkę zatrzymać.

Julia parska bez krztyny wesołości i otwiera plastikowy folder na nuty.

– No i co było dalej z Alice Franklin? – pyta nauczycielka.

– Ach, dowiedziałyśmy się później, że kłamała – mówi Julia.

– Czyli że nie kochała się z nikim w kinie?

– Nie.

Dziewczyna przez chwilę rozstawia pajęcze nogi stojaka na nuty.

– Po co miałyby was okłamywać? – pyta uprzejmie nauczycielka.

Julia robi szeroki gest ręką.

– Pewnie po prostu się nudziła – mówi. Słowo „nudziła” brzmi w jej ustach szlachetnie i wspaniale.

– Rozumiem – odpowiada nauczycielka.

– No więc tak czy owak, mówią nam, żebyśmy może zaczęły od tego, czy któraś z nas ma jakiś ciężar, który chciałaby zrzucić z piersi. I jedna z dziewczyn od razu zaczyna płakać, chociaż tak naprawdę jeszcze nic się nie stało, a nasz psycholog o mało nie posikał się ze szczęścia i gada: „Nic, co którakolwiek z was powie tego ranka, nie wyjdzie poza tę salę”, takie tam pierdoły. No to jedna dziewczyna plecie jakieś dyrdymały, a jej koleżanka bierze ją za rękę czy robi coś równie kretyńskiego i zaraz wszystkie zaczynają się zwierzać, i gadać różne rzeczy o zaufaniu, zdradzie, pewności siebie, o tym, że są normalnie zagubione i że się boją... No i ja pierdołę, wyglądało na to, że to będzie naprawdę długi ranek.

Julia rzuca spojrzenie nauczycielce gry na saksofonie, żeby zobaczyć, czy jej słowa w ogóle robią jakieś wrażenie, ale kobieta odpowiada tylko zimnym uśmiechem i czeka. Bridget wycofałaby się, zadrżała, zrobiłaby się czerwona, a potem długo by o tym wszystkim myślała, ale Julia się tak nie zachowuje. Uśmiecha się tylko głupkowato i z niepotrzebną starannością przypina śliskie kartki do stojaka na nuty.

– No i po chwili – ciągnie Julia – psycholog pyta: „Co to jest molestowanie, dziewczęta?”, po czym patrzy na nas zachęcająco jak wewnętrznie rozdarty nauczyciel, który naprawdę chce, żeby uczeń odpowiedział poprawnie, ale jednocześnie żeby się pomylił, bo woli mieć z tego przyjemność i samemu podać prawidłową odpowiedź. A po chwili odzywa się cicho i uroczyście, jak gdyby objawiał coś, czego nikt poza nim nie wie: „Molestowanie nie znaczy, że ktoś was musi dotykać, moje drogie. Molestować można też spojrzeniem. Molestowanie polega też na tym, że ktoś patrzy na was w taki sposób, który wam się nie podoba”. No to ja podnoszę rękę i pytam: „Czy to jest molestowanie ze względu na to, na co ten ktoś się patrzy? Czy raczej ze względu na to, co sobie w tym momencie wyobraża?”. Wszyscy na mnie spojrzeli, no i cała się zaczerwieniłam, a nasz psycholog zetknął swoje dłonie czubkami palców i obrzucił mnie przeciągłym spojrzeniem, które miało znaczyć: „Wiem, co robisz; starasz się podważyć zaufanie, które tu budujemy. Odpowiem ci, bo muszę, ale nie podam takiej odpowiedzi, jakiej byś chciała”.

Nauczycielka w końcu wstaje i bierze swój saksofon, jakby chciała powiedzieć: „Dość”. Ale Julia już zabiera głos, popchnięta do działania przez jakiś dziwny, każący się jej zarumienić impuls.

– Bo ja wyobrażam sobie różne rzeczy, kiedy się komuś przyglądam – mówi Julia.

Piątek

Isolde czeka na korytarzu. Słyszy cichy szmer głosu nauczycielki gry na saksofonie za

ścianą, kiedy lekcja, która zaczęła się o piętnastej trzydzieści, dobiega końca. Przez chwilę cieszy się zakulisową ciszą w pustym korytarzu, zanim dostanie sygnał, żeby zapukać i wejść. Oddycha głęboko, a w ustach czuje smak spokoju i beztrudnej samotności osoby, której nikt nie obserwuje.

Normalnie byłaby przerażona przed zajęciami, przeglądałaby nuty, ćwiczyłaby na migi, bez instrumentu, śledziłaby wzrokiem zapis nutowy, leżący na jej kolanach, a jej dłonie śmigałyby po wyobrażonych klawiszach saksofonu. Dziś jednak nie myśli o lekcji. Siedzi nieruchomo i ze wszystkich sił próbuje zrozumieć i zachować sekretne, nabrzmiałe uczucie, które zapadło w jej pierś głęboko jak w studnię.

Ma wrażenie, jak gdyby do ust wpadł jej pęcherzyk powietrza, przyprawiający ją o dreszczyk na plecach i szarpiący jej miednicą, która naprawdę wygląda niczym przepołowiona miska. Odczuwa przeciągły ucisk, który przemieszcza się po jej brzuchu, i targnięcie pustki w klatce piersiowej, i nagle robi jej się zdecydowanie za gorąco. Czasami czuje to samo, kiedy się kąpie albo widzi, jak ktoś się całuje w telewizji. Albo gdy leży w łóżku, przesuwając czubkami palców po łagodnej wypukłości swojego brzucha i wyobraża sobie, że to nie jest jej ręka. To uczucie nachodzi ją jednak najczęściej z nienacką – na przykład na przystanku autobusowym, w kolejce po lunch albo kiedy czeka, aż odezwie się dzwonek na koniec lekcji.

Myśli: Czy właśnie tak się czułam, kiedy po raz pierwszy spojrzałam na swoją siostrę jak na obiekt seksualny? Kiedy tata pogłaskał mnie po głowie i powiedział: „Przez kilka najbliższych tygodni będzie nam ciężko”, a potem dał mi spokój, żebym mogła oglądać telewizję, i zaraz przyszła Victoria, usiadła i przyjrzała mi się, po czym powiedziała: „Cudownie, teraz już wszyscy wiedzą”. Siedziałyśmy i oglądałyśmy końcówkę jakiegoś trzeciorzędnego thrillera w czwartkowym seansie specjalnym, ale nie mogłam się skupić i myślałam tylko o jednym: Jak? Jak mogłaś się odwrócić, spojrzeć mu prosto w oczy, wyciągnąć szyję i pocałować go w usta? Jak mogłaś nie być sparaliżowana ze strachu i niezdecydowania? Skąd mogłaś wiedzieć, że on cię przyjmie, podniesie, przywrze mocno do ciebie, a nawet wyda zduszony jęk, przypominający szloch, taki gardłowy szloch?

Teraz, w korytarzu, Isolde myśli dalej: Czy wtedy, tamtego wieczoru, też się tak czułam? Czy czułam ten paskudny ucisk strachu i tęsknoty jak w zjeżdżającej windzie szybkobieżnej? Jak dziwne, długie preludium do kichnięcia?

Może po jakimś czasie Isolde zidentyfikuje to uczucie jako pewną abstrakcyjną formę podniecenia, koszty rozwiązłości, które od czasu do czasu płaci jej rozdygotane ciało niczym nietknięta struna, wibrująca samoczynnie w harmonijnej wspólności z pobliskim fortepianem. Po jakimś czasie dojdzie może do wniosku, że to uczucie jest jak ukłucie głodu – nie dręczące, wiecznie obecne pożądanie prawdziwego głodu, tylko dźgnięcie, uderzające niczym ostrzeżenie, dźgnięcie, które dopada człowieka i znika. Ale od tego momentu dzieli ją jeszcze wiele lat, zanim pozna przyływy i odpływy swojego ciała i będzie mogła powiedzieć: „To jest rozgoryczenie”, „To jest pożądanie” i „To jest tęsknota, nostalgiczna tęsknota seksualna, która przenosi mnie w przeszłość”. Wtedy wszystko zostanie już sklasyfikowane, otrzyma swoją nazwę i formę, a skromną busolę jej pragnień otoczą granice tego, o czym Isolde wie, czego doświadczyła i co odczuwała. Na razie jednak nie doświadczyła niczego, dlatego to uczucie nie znaczy: „Muszę dzisiaj pójść z kimś do łóżka” ani: „Wciąż jest mi dobrze po

wczorajszym, nadal jestem pełna”. Nie znaczy też: „W kim ja się kocham, skoro odczuwam takie pożądanie?” ani: „Znowu chcę czegoś, czego nie mogę mieć”. Nie jest to jeszcze emocja, która wskazywałaby jej kierunek działania. To poczucie próżni, pustki, czekającej, aż coś ją wypełni.

Z twarzy Isolde nie da się odczytać tego wszystkiego: dziewczyna siedzi po prostu w szarym półmroku, trzyma ręce na kolanach i wpatruje się w ścianę.

Poniedziałek

– Nigdy nie jestem całkowicie pewna – mówi nauczycielka gry na saksofonie – co matki mają na myśli, kiedy mówią: „Chcę, żeby moja córka przeżyła coś, czego mnie los odmówił”. Z moich doświadczeń wynika, że najbardziej dominujące i agresywne matki są najmniej utalentowane i absolutnie niemuzykalne. Nie mają żadnych sukcesów i noszą obraz swoich córek na piersi niczym medal, jak jasne odbicie swoich matowych postaci. Kiedy takie matki mówią: „Chcę, żeby moja córka przeżyła to wszystko, czego ja nie dostałam od losu”, to mówią w istocie: „Chcę, żeby moja córka w pełni doceniła to, czego mnie los poskąpił”. Mówią w gruncie rzeczy: „Jeśli moja córka będzie miała wszystko, to dzięki temu ubóstwo mojego życia zostanie uwydatnione. Moje życie bez niej jest zwyczajne i bezwartościowe, jest niczym. Ale jeśli dużo przeżyje i dostanie wiele życiowych szans, to ludzie zaczną mi współczuć, a nieistotność mojego życia i miałość moich wyborów nie będą już postrzegane jako indolencja, tylko poświęcenie. Ludzie będą bardziej się nade mną litować i zaczną mnie szanować, jeśli wychowam córkę, która będzie miała wszystkie te cechy, jakich nie mam ja”.

Nauczycielka przesuwając językiem po zębach. Mówi:

– Natomiast matki odnoszące sukcesy w muzyce, sporcie, literaturze, czyli kobiety zadowolone z siebie i spełnione, którym los niczego nie odmawiał, kobiety, których rodzice płacili za prywatne lekcje, gdy były dziewczynkami, zawsze są najmniej dominujące. One nie muszą nadzorować córek, sprawować nad nimi władzy albo szukać zwady w ich imieniu. Są samowystarczalne. A jako osoby niezależne domagają się, by wszyscy wokół nich też tacy byli. Potrafią odsunąć się na bok i patrzeć na swoje córki jak na coś osobnego, spełnionego, a zatem nietykalnego.

Nauczycielka gry na saksofonie podchodzi do okna, żeby opuścić żaluzje. Jest prawie zmierzch.

Wtorek

Pani Tyke czeka dziesięć minut w korytarzu, zanim nauczycielka gry na saksofonie otwiera drzwi.

– Właściwie chciałam tylko z kimś pogadać – mówi już po wejściu do pokoju – w związku z tym okropnym skandalem w szkole. Chodzi mi o dziewczęta.

– Rozumiem – odpowiada nauczycielka gry na saksofonie, nalewając herbatę do dwóch kubków. Na pierwszym widać saksofonistę na bezludnej wyspie i podpis: „Saks na plaży”. Drugi kubek jest biały z napisem: „Porozmawiajmy o saksie”. Nauczycielka odstawia dzbanek na podstawkę i starannie wybiera łyżeczkę.

– Pani Tyke – mówi – wydaje mi się, że pani bardzo chciałaby przyszyć sobie swoje dzieci za rączki do fartuszka, żeby je zawsze mieć przy sobie, żeby nóżki dyndały im w powietrzu, kiedy się pani gdzieś spieszy, albo żeby się wlokły po chodniku, gdy idzie pani powoli. A gdyby bardzo szybko odwróciła się pani na pięcie, to dzieci zaczęłyby wirować wokół pani

niczym rozbłysk plisowanej spódnicy. Byłaby pani boginią w gorsecie i turniurze, a dzieci promieniowałyby z pani uroczo niczym szprychy niewielkiego koła.

– Martwię się po prostu o dziewczęta... – mówi pani Tyke, wyciągając ręce po kubek z czarną herbatą. Nauczycielka pozwala milczeniu pełzać, aż wreszcie pani Tyke wypala: – Po prostu martwią mnie niektóre przemyślenia, które moja córka przynosi do domu. Wcześniej takich nie miała. Przyklejają się jej od wewnątrz do policzka niczym orzech włoski i kiedy coś do mnie mówi, dostrzegam ich przebłyski. Na mgnienie oka, co chwila, gdy szeroko otwiera buzię. Ale to wystarczy, żeby mnie bardzo zdenerwować. Wygląda na to, że ona je smakuje albo że przesuwają je sobie językiem w ustach. I są to przemyślenia, których kiedyś nie miała.

Pani Tyke mruga nerwowo, patrząc ze zboląłą miną na nauczycielkę, a potem bezradnie wzrusza ramionami i pochyla głowę, żeby wziąć łyk herbaty.

– Czy mogę pani powiedzieć, na czym moim zdaniem polega problem? – pyta nauczycielka wyjątkowo cichym, słodkim głosem. – Wydaje mi się, że czuje się pani trochę tak, jak gdyby ten straszny mężczyzna ze szkoły, ten paskudny, obrzydliwy nauczyciel, pozostawił wielkie, tłuste odciski na pani okularach i teraz, bez względu na to, na co pani patrzy, widzi pani wyłącznie jego palce.

Wstaje i zaczyna krążyć po pokoju.

– Wiem, że chciała pani, żeby pani córka dowiedziała się o sprawie tak samo jak wszyscy. Żeby usłyszała o niej za szopami na rowery, pod ławkami trybun na boisku do rugby albo na lekcji, na której ktoś wypisałby wszystkie istotne informacje o tym zdarzeniu czarnym mazakiem na białej tablicy. Chciała pani, żeby córka zaglądała do zakazanych czasopism i oglądała zakazane filmy. Żeby zaczęła od jakichś obmacywanek po ciemku, w pokoju jakiejś swojej kumpeli w sobotni wieczór, kiedy wszyscy ich koledzy i koleżanki wymiotowaliby przed domem do doniczek z kwiatami. Coś takiego mogłoby się zdarzyć więcej niż raz i przejść w coś w rodzaju początkowej fazy albo stadium choroby. Ale pani byłaby na to przygotowana.

Kiedy pani Tyke przygląda się nauczycielce, jej twarz wykrzywia ukradkowy grymas. Nie oznacza on prostackiego i zuchwałego zrozumienia albo olśnienia, jest tylko delikatnym rozluźnieniem mięśni, maleńką ulgą. Wychodzi jej to tak dobrze, że nauczycielka o mało nie zapomina, że ta kobieta gra.

– Chciała pani, żeby córka w szóstej klasie wreszcie znalazła sobie chłopaka, jakiegoś pyszałkowatego głupka, który wcale by się pani nie podobał, i chciała ją pani w końcu z nim przyłapać, kiedy wróciłaby pani wcześniej do domu, bo coś by panią naszło, i zobaczyłaby ich pani na kanapie, na podłodze albo w jej sypialni pośród pluszowych misiów i różowych poduszek z falbankami, które właściwie już jej się znudziły, ale których nigdy nie wyrzuci. Szanuję to, czego pragnęła pani dla swojej córki – mówi dalej nauczycielka gry na saksofonie. – Myślę, że chyba każda dobra matka pragnie czegoś takiego. To straszne, że ten jadowity człowieczek tak chytrze skradł niewinność pani córki, nie dotykając jej palcem, tylko wciskając jej w usta swoje brudne tajemnice niczym łakocie z brązowej papierowej torebki. Musi pani jednak zrozumieć, moja droga – szepcze – że pani córka posmakowała już tego, co może się stać. Połknęła przynętę. I teraz nosi ją w sobie.

Rozdział DRUGI

Luty

– Pierwszy semestr – mówili – to przede wszystkim rozbiór fizyczny i emocjonalny. Oduczycie się wszystkiego, czego wcześniej się nauczyliście, ściągniecie tę wiedzę z siebie warstwa po warstwie, będziecie się obnażać, aż wreszcie ujawnicie swoje motywacje.

– W tym Instytucie – mówili dalej – nie nauczymy was, jak być aktorem czy aktorką. Nie możemy dać nikomu mapy, recepty ani alfabetu, dzięki któremu moglibyście się dowiedzieć, jak grać albo jak odczuwać świat. Nauka w Instytucie nie polega na akumulacji wiedzy ani kolekcjonowaniu umiejętności, tak jak kolekcjonuje się kulki do gry, pamiątki albo amulety. Nauka tutaj sprowadza się do eliminacji. Pomagamy wam się nauczyć, jak wyeliminować samego siebie.

– Możecie łamać innych albo dać się złamać – mówili. – To się zdarza.

Siedzący na końcu grubas pochylił się do przodu i powiedział z naciskiem:

– Dobry aktor składa siebie w darze.

– Aktor jest kimś, kto publicznie wystawia na pokaz swoje ciało – odpowiedzieli. – Może się to odbywać na dwa sposoby. Aktor może się eksploatować, traktować swoje ciało jako chętne i posłuszne narzędzie albo jako towar na sprzedaż, my nie pochwalamy jednak takiego podejścia. Nie wychowujemy cukierników ani kłaunów. Nie jesteście tu po to, żeby sprzedawać swoje ciało, tylko po to, żeby je złożyć w ofierze.

A potem dodali:

– Nie jesteście już w liceum.

Luty

– Ukończyłem ten Instytut w grudniu – oświadczył prymus, którego spojrzenie przesunęło się z jednej twarzy na drugą spokojnie i bez żadnego zainteresowania. – Poproszono mnie, żebym przyszedł i pogadał dzisiaj z wami o tym, co myślę o zajęciach tutaj i jakie mam teraz plany. Nie wahajcie się pytać, jeżeli przyjdą wam do głowy jakieś pytania.

Usiadł na podłodze sali gimnastycznej niczym prorok.

– Boże, zazdroszczę wam – powiedział, a potem długo się uśmiechał. – Nie jesteście ani za bardzo cnotliwi, ani za bardzo zepsuci. Siedzicie sobie rozpromienieni i pełni różnych pomysłów, ale najlepsze dopiero przed wami.

Spojrzał na nich, na zwarty, jasny krąg zdenerwowanych twarzy i czarnych podkoszulków, tak nowych, że jeszcze marszczących się na brzuchach.

– Te trzy lata, które spędziłem w Instytucie, ukształtowały mnie nie tylko jako artystę. Ukształtowały mnie jako człowieka – powiedział. – To miejsce mnie obudziło.

Oblał się delikatnym rumieńcem, jakby opisywał kochankę, która go porzuciła.

– Wszystko, co kiedykolwiek zamknęliście w sobie z trzaskiem, otworzy się tutaj na nowo – stwierdził. – Gdybyście nie przyszli na egzamin wstępny i gdyby was nie przyjęto, zostalibyście zabetonowani, zagipsowani i ukształtowani już na zawsze, także w dorosłym życiu. Jak wszyscy ludzie za tymi murami. Ale tutaj człowiek nigdy nie zastyga, nie tężeje i nie obrasta skorupą. Tu wszystkie możliwości zawsze są otwarte; muszą być otwarte. A wy uczycie się je trzymać w garści i nigdy nie wypuszczać żadnej z nich.

Zapadła cisza. Prymus wygładził nogawki swoich sztruksowych spodni na kolanach i odezwał się, jakby ta myśl właśnie mu przyszła do głowy:

– Pamiętajcie, że każdy, kto jest dość inteligentny, żeby was uwolnić, jest też dość inteligentny, żeby was zniewolić.

Październik

Jak dotąd Stanley był rozczarowany swoim życiem. Teraz, w przeddzień swoich osiemnastych urodzin, stał w gęstej, zakurzonej ciszy zamkniętego foyer sparaliżowany z rozgoryczenia i niezadowolenia. Zastanawiał się nad wszystkim, czego dotąd nie zrobił.

Myślał, że jako nastolatek będzie szalony, buntowniczy i nieugięty – i nawet tego pragnął – ale kiedy kolejne lata jego nauki w liceum mijały tak samo grzecznie, ogarniało go coraz większe niezadowolenie. Myślał, że będzie pić nad rzeką whisky z butelki ukrytej w papierowej torebce, wsuwać zimne ręce pod spódnice dziewczynom w krzakach za kortami tenisowymi i strzelać ziemniakami do przejeżdżających samochodów z dachu garażu sąsiada. Myślał, że będzie się upijał do nieprzytomności i demolował wiaty autobusowe na przedmieściach, że będzie prowadził samochód bez prawa jazdy, uciekał z domu, że robi się zgryźliwy i może przestraszy mamę, odmawiając przyjmowania pokarmów albo nie wychodząc ze swojego pokoju. Upoważniał go do tego wiek, miał po temu słuszne prawo, ale swoje szkolne lata spędził, uprawiając sporty dla dżentelmenów, oglądając rodzinne programy telewizyjne, przypatrując się z daleka chłopcom na tyle odważnym, by wdawać się w bójki, i pragnąc, żeby każda dziewczyna, którą mijał, podnosiła głowę i patrzyła mu w oczy.

W myślach słyszał głosy wykładowców Instytutu: „Prawdziwy dreszcz sceniczny to dreszcz wywołany świadomością, że w każdej chwili coś może pójść nie tak. W każdej chwili na scenie coś może się zepsuć albo przewrócić, ktoś może zapomnieć, kiedy wchodzi albo z jakim akcentem powinien mówić, może pomylić swoją kwestię albo źle was oświetlić. Kiedy oglądamy film, nigdy się nie boimy, bo film jest skończony, zawsze taki sam i zawsze doskonały, lecz oglądając sztukę, często się obawiamy, że coś pójdzie nie tak, jak należy, a wtedy w skrytości ducha musimy się wstydzić, patrząc, jak aktorzy się płaczą i starają jakoś wybrnąć z sytuacji. Z drugiej strony w jedwabistej ciemności widowni aż człowieka skręca, bo jednocześnie chciałby, żeby coś się komuś nie udało. Każdy z nas pragnie tego całym sobą. Albowiem współczujemy aktorowi, któremu spadnie kapelusz albo urwie się guzik. Brak nam tchu i klaszczemy, kiedy aktor się potknie i odzyska równowagę. A jeśli zauważymy jakąś pomyłkę, której nie dostrzegli inni widzowie, to czujemy się uprzywilejowani, jak gdybyśmy widzieli szew sekretnej bielizny, coś nieskończenie intymnego niczym szkarłatny ślad po ugryzieniu na kobiecym udzie.

Stanley rozglądał się po foyer Instytutu. Oto jeszcze jedno życie, które mógł prowadzić, życie, którego chciał, tak jak będąc nieśmiałym i bezużytecznym nastolatkiem chciał być nieczuły, arogancki, luzacki i okropny. Teraz, podobnie jak kiedyś, ponownie odczuł ciężar straszliwej inercji, wgniatający go w podłogę foyer. Znow dopadł go ból rozczarowującej, chociaż godnej odnotowania prawdy, że świat nie będzie na niego czekał, nawet się nie zatrzyma. Jeżeli on nie ruszy mu naprzeciw, świat po prostu przejdzie obok niego. Pomyślał o tym, poczuł, jak uchodzi z niego powietrze i wydało mu się, że życie traktuje go strasznie niesprawiedliwie.

W szóstej klasie obsadzono go w szkolnym przedstawieniu w roli Horacja, z której był

zadowolony – Horacjo to przynajmniej pamiętne imię, jedyne, jakie znał, zanim się zetknął ze sztuką, w której występuje ta postać. Horacja pamiętał każdy. Horacjo trwa w pamięci kulturowej, krytyczny i przenikliwy, podczas gdy mniej dźwięczne, mniej wyraziste postaci odklejają się od niej i odpadają. Niestety, partia Stanleya została skrócona niemal do zera przez nauczycielkę ze spiczastym nosem, która powiedziała: „Ludzie nie będą chcieli siedzieć na widowni przez trzy i pół godziny”, na próbach zaś mawiała: „Ty w gruncie rzeczy naprawdę jesteś po trosze Horacjem, prawda, Stanley? Jesteś nim na wskroś”. Stanley kiwał głową, uśmiechał się, odpowiadał: „Dziękuję”, i odczuwał intymny dreszczyk radości, ale zrozumiał, o co jej chodziło, właściwie dopiero kilka miesięcy później, gdy uświadomił sobie, że jej uwagi wcale nie były przyjemne. Nawet na scenie, kiedy dreptał w zamyślonym cieniu Hamleta, pyszniąc się swoją kamizelką i rozciągając pończochy, nie w pełni zdawał sobie sprawę, że jego rola istnieje tylko po to, by podbić wagę innych, bardziej interesujących bohaterów, i wydobyć ich z tła. Mama mówiła, że był „cudowny”, a kiedy przyszła chwila uniesienia i wszyscy się kłaniali po spektaklu, Stanley ustawił się jak najbliżej środka: obok Hamleta, którego trzymał za spoconą rękę.

Pod koniec siódmej klasy zobaczył na korkowej tablicy przed pokojem doradcy zawodowego rozdarte ogłoszenie o naborze studentów do Instytutu, po czym bez namysłu wyciągnął długopis i wpisał się na listę. Wydawało mu się, że od dziecka chce być aktorem. Aktorstwo należało do podstawowych zawodów, które dzieci chcą uprawiać w dorosłym życiu: nauczyciel, lekarz, aktor, adwokat, strażak, weterynarz. Wybór aktorstwa nie wymagał oryginalności ani namysłu. Nie przypominał decyzji o zostaniu dżokejem, sprzedawcą w warzywniaku albo menedżerem do spraw organizacji imprez masowych i prezentacji produktów, pracującym dla lokalnego konsorcjum, albowiem żeby dokonać takiego wyboru, trzeba było go poszukiwać i samemu stworzyć. Decyzja o podjęciu takiej pracy nie zależała od wykorzystania jakiejś sposobności ani od zdolności do introspekcji. Natomiast postanowienie, żeby zostać aktorem, było po prostu kwestią zdecydowanego sięgnięcia po jedną z tych dwóch osobnych i zaszklanych ewentualności. Nie zastanawiał się nad tym, kiedy zapisywał się na wstępne przesłuchanie. Ciężka kartka z listą nazwisk kandydatów miała znak wodny, a logo Instytutu zostało na niej wytłoczone w brązie.

Później, pragnąc jakoś wzmocnić swoje wspomnienie o tej podjętej w mało efektywny sposób decyzji, wyobrażał sobie, że właśnie w tym momencie – gdy uniósł długopis i chcąc rozkruszyć zaschnięty tusz w kulce na czubku, wcisnął go w kartkę tak mocno, że przez chwilę jego palce zrobiły się białe, bezkrwiste i sztywne – skorzystał z okazji, aby zmienić się z Horacja w kogoś zupełnie nowego.

Październik

– Witajcie na pierwszym etapie procesu naboru – powiedział dziekan wydziału aktorskiego i posłał im krótki uśmiech. – My tutaj uważamy, że aktor bez wykształcenia jest w najlepszym wypadku kłamcą. – Mężczyzna stał za biurkiem, opierając dłonie na zielonej skórze blatu. – Zatem i wy na razie jeszcze jesteście wszyscy kłamcami, i to nie spokojnymi, przekonującymi, ale zdenerwowanymi, czerwieniącymi się, pełnymi wątpliwości. Niektórzy z was nie dostaną się do Instytutu, i ci pozostaną kłamcami na zawsze.

Tu i ówdzie rozległy się śmiechy, głównie niezrozumienia, śmiali się bowiem ci kandydaci, którym nie było pisane przejść pomyślnie proces rekrutacji. Dziekan wydziału aktorskiego

znovu się uśmiechnął, a uśmiech przemknął przez jego oblicze jak cień.

Stanley siedział z tyłu, sztywno wyprostowany. Znał tu kilku chłopaków, z którymi chodził do liceum, ale znalazł sobie miejsce z dala od nich, bo bał się, że mogą ujawnić lub sprowokować go, aby sam zdradził jakąś cechę swojego charakteru, o której wolał nie myśleć. W sali panowało napięcie pełne nadziei i pragnień.

– No więc tak – ciągnął dziekan. – Co robimy w Instytucie? W jaki sposób wyznaczamy dziwny, konwulsyjny, epileptyczny rytm naszych dni? Jaką przemoc tutaj stosujemy i co możecie zrobić, żeby doznać jak najmniejszych obrażeń?

Pozwolił temu pytaniu opaść na ziemię jak kurz.

– W najbliższy weekend odbędzie się wirtualna symulacja warunków, w jakich nasi studenci codziennie pobierają nauki w Instytucie – powiedział. – Dzisiaj mamy zajęcia z improwizacji, pantomimy, śpiewu, ruchu scenicznego i historii teatru, a na jutro zaplanowaliśmy dla was długie zajęcia warsztatowe, na których wraz z niewielką grupą studentów będziecie mieli próbę tekstową. Oczekujemy od wszystkich, że będą uczestniczyć w tych warsztatach z pełnym zaangażowaniem i z całych sił starać się nam pokazać, do jakiego poświęcenia byliby zdolni, gdyby zostali przyjęci do nas na studia. Będziemy się wam przyglądać przez cały weekend, wizytować sale lekcyjne i robić notatki. Tych, którzy przebrną przez pierwszy etap selekcji, zaprosimy na rozmowę kwalifikacyjną i przesłuchanie nieco bardziej formalne. Czy ktoś ma jakieś pytania co do przebiegu zajęć weekendowych?

Wszyscy nosili przypięte na piersi papierowe numerki, jak maratończycy. Rękę podniósł numer czterdzieści pięć.

– Dlaczego nie organizujecie takich egzaminów, jak inne szkoły aktorskie? – spytał. – Tam zwykle przygotowuje się dwa monologi, jeden współczesny, a drugi klasyczny.

– Bo nie chcemy przyciągać tego rodzaju studentów – odparł dziekan. – Studentów, którzy są dobrzy w autoreklamie i wybiorą dwa kontrastujące ze sobą monologi, doskonale obrazujące granice ich talentu i głębię przebiegłości. Nie obchodzi nas różnica pomiędzy współczesnością i klasyką. Nie chcemy studentów, którzy oznaczają swoje notatki kolorowymi zakładkami według tematu, a obowiązkowe prace pisemne zaczynają pisać kilka tygodni przed terminem.

Numer czterdzieści pięć zarumienił się, czując, że został właśnie wskazany jako student, który oznacza notatki kolorowymi zakładkami według tematu i zaczyna pisać obowiązkowe prace pisemne kilka tygodni przed terminem. Pozostali pełni nadziei kandydaci patrzyli na niego z litością i w duchu postanowili, że nie będą się odzywać.

– Aktorstwo jest zawodem wymagającym czegoś w rodzaju pełni – powiedział dziekan. – Moja dzisiejsza rada dla was brzmi: pamiętajcie, że wasze poglądy na temat tego, czym jest talent, w ogóle się tutaj nie liczą. W chwili kiedy postanowimy przesunąć was na listę przyjętych, czyli kiedy uznamy, że zasługujecie na miejsce w tym Instytucie, być może wcale nie będziecie grali. Być może będziecie wtedy komuś pomagać. Być może będziecie widzami. Być może będziecie się przygotowywać do ćwiczeń. A może tylko będziecie stali samotnie z rękami w kieszeniach i gapili się w podłogę.

Ci z kandydatów, których można by określić mianem strategów, kiwali z powagą głowami, z góry planując, że będą się pozwalać przyłapywać wykładowcom z zaskoczenia tak często, jak tylko będzie to możliwe. Dlatego dobrze starali się zapamiętać, żeby przy jakiejś okazji

postać gdzieś przez chwilę nieruchomo z rękami w kieszeniach i zagapić się w podłogę.

Stanley popatrzył uważnie na swoich rywali, bez wyjątku rozochoconych i rozgorączkowanych niczym kandydaci na męczenników, nad którymi górował dziekan wydziału aktorskiego, puchnący z dumy, że przypadł mu prawdziwy zaszczyt wybrania pierwszych z nich, którzy pójdą na śmierć.

– A teraz oddaję głos pani dziekan wydziału improwizacji – powiedział dziekan wydziału aktorskiego. – Powodzenia.

Październik

Najdłuższy korytarz w Instytucie ciągnął się wzdłuż sali gimnastycznej. Z jednego boku, kryjącego długie, zasłonięte okna i szereg drzwi we wnękach, był prawie cały oszklony, z drugiego natomiast zamykała go lita ściana, jeśli nie liczyć ciężkich, podwójnych drzwi, sięgających po otwarcie połowy korytarza i prowadzących do sali gimnastycznej. Na tej długiej ceglanej ścianie wisiało wiele starych kostiumów teatralnych, przylegających do niej płasko z rozrzuconymi szeroko ramionami, przez co przypominały duchy, które przyszpilił do muru nieoczekiwany i unieruchamiający je promień światła.

Stanley przystanął, żeby obejrzeć kostiumy. Przypuszczał, że wiszą tu na pamiątkę jakichś wiekopomnych przedstawień, i podszedł bliżej, żeby przeczytać napis na pierwszej mosiężnej plakietce, umocowanej pod parą obwisłych, kraciastych spodni, które stanowiły zestaw z lekką, wymiętą koszulą. Tytułu sztuki ani nazwiska aktora nie było, tylko nazwisko postaci i wygrawerowana jak na nagrobku data. Belville, 1957. Tabliczki wisiały równiutko na całej ścianie. Stanley szedł dalej, jak gdyby oddawał cześć zmarłym, podnosząc wzrok na sztywne, rozkrzyżowane ramiona, zwisające bezwładnie nogawki spodni i łachmany koronek, bo starsze kostiumy były zniszczone i pokryte pleśnią. Vindici, Ferdynand, pani Alving, Posłaniec. Zatrzymał się przed ciężkim brokatowym kostiumem królewskim, wyszywanym srebrną nicią i obrębionym atłasem. Jeden z królewskich rękawów odpadł od ściany i wisiał bezwładnie z boku, zdawał się więc wskazywać foyer, a tkanina, z której wykonane było opadłe ramię, boleśnie ściągała w dół kostiumowy bark. Minister Wojny. Hal. Uroczysta procesja kostiumów przypominała niesamowity strumyczek duchów, wypływający z jakiejś nieszczęśliwości na granicy światów. Przeszył go dreszcz. Perdita. Volpone. Ropuch.

Listopad

– Będą ci tam robić straszne rzeczy – powiedział tata Stanleya. – Nawiażesz kontakt ze swoimi emocjami, swoim wewnętrznym okiem, a nawet jeszcze gorzej. Za rok już cię nie poznam. Wtedy będziesz już tylko jednym wielkim, różowym kłębkim uczuć.

– Spójrz lepiej na te wszystkie sławy, którym się udało – powiedział Stanley, biorąc z rąk ojca broszurę reklamową Instytutu i wskazując listę nazwisk na ostatniej stronie, gdzie telewizyjne i filmowe znakomitości zaznaczono czerwoną gwiazdką. Broszura była nieświeża, bo jej stronice przewracały już dziesiątki i setki palców.

– Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę w telewizji – powiedział tata Stanleya. – „To mój syn”, odezwę się na głos do nikogo. „Tam, na ekranie, z aerograficznym makijażem i w tupecyku. To jest mój syn”.

– Widziałeś zdjęcia Instytutu? – spytał Stanley, przerzucając stronice, aż znalazł fotografie. – Mieści się w starym muzeum. Wszystko jest z kamienia, mają mozaikowe posadzki i tak dalej. I wielkie wysokie okna.

- Widzę.
- Na przesłuchanie zgłosiło się trzysta osób.
- To świetnie, Stanley.
- A miejsc jest tylko dwadzieścia.
- To świetnie.
- Wiem, że to dopiero początek – powiedział Stanley.

Podszedł kelner i tata zamówił wino. Stanley rozparł się na krześle i rozejrzał. Restauracja była dla sztywniaków, dyskretnie oświetlona, pełna szeptów, cichych śmiechów i zapachu wody kolońskiej. Pod sufitem wisiały czerwone lampki, które co chwila zapalały się i gasły.

Kelner uklonił się i odszedł. Tata potrząsnął rękami, żeby rozprostować mankiety koszuli, i uśmiechnął się typowym dla niego terapeutycznym uśmiechem. Przesunął lakierowaną broszurę z powrotem po obrusie.

– Jestem z ciebie dumny – oświadczył. – Będzie świetnie. Ale wiesz, że teraz gramy w przeciwnych drużynach?

– Co masz na myśli? – spytał Stanley.

– Teatr zajmuje się tym, co nieznane, prawda? Jego korzenie tkwią w magii, rytuale i składaniu ofiar, a magia, rytuały i składanie ofiar opierają się na tajemnicy, natomiast psychologia stara się jej pozbyć i zmienia nasze przesady i lęki w coś, co jesteśmy w stanie zrozumieć. – Mrugnął do syna i nadział oliwkę na wykałaczkę. – Dlatego praktycznie rzecz biorąc, jesteśmy w stanie wojny.

Stanley zapomniał języka w gębie, co mu się często zdarzało, kiedy tata mówił coś mądrego. Każdego roku po takim posiłku w restauracji Stanley leżał w łóżku i godzinami rozmyślał o tym, co mądrzejszego mógłby odpowiedzieć na to czy na tamto, a teraz przesuwał palcem po talerzu, ścigając oleiste oczka octu w swoim daniu.

– Nie zgadzasz się ze mną? – zapytał tata z pełnymi ustami i zmierzył syna przenikliwym spojrzeniem.

– Chyba nie. Bo wydawało mi się, że... Dla mnie aktorstwo to jest jak gdyby sposób, żeby się czegoś dowiedzieć o człowieku albo, inaczej mówiąc, wejść w jego skórę. Rozumiesz, bo żeby zagrać smutek, trzeba wiedzieć, co to takiego jest. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się to dość podobne do tego, czym ty się zajmujesz.

– Ach tak! – odrzekł tata z nieprzyjemną skwapliwością człowieka, który lubi być górą w każdej dyskusji. – Czyli wydaje ci się, że aktorzy wiedzą więcej o zwykłych ludziach niż ci ludzie o sobie?

– Nie – odparł Stanley – ale wcale nie jestem pewien, czy psychologowie wiedzą więcej o sobie niż o zwykłych ludziach.

Tata wybuchnął śmiechem i uderzył otwartą dłonią w stół.

– Czy ty nie powinienesz przypadkiem dawać mi rad życiowych, przekazać mi pałeczki jak w sztafecie czy coś? – zapytał Stanley, żeby zmienić temat.

– Kurde – powiedział tata. – Gdybym wiedział, że tego oczekujesz, to bym się przygotował. A może po prostu mi powiesz, jakich używa się dzisiaj wulgaryzmów i poopowiadamy sobie świńskie kawały. Nigdy nie chodziłem do szkoły aktorskiej. Nie pytaj mnie, co czuję.

– Nie znam żadnych nowych wulgaryzmów – odpowiedział Stanley. – Stare chyba ciągle są w obiegu.

Zapadła krótka cisza.

– Mam dla ciebie kawał – powiedział ojciec Stanleya. – Jak zrobić wazektomię księdzu?

– Nie wiem – odparł Stanley.

– Trzeba kopnąć ministranta w tył głowy.

Stanley zaśmiał się i ogarnęło go obrzydzenie, ponieważ uznał, że jego rodzony ojciec okazał się większym skandalistą niż on. Znow zaczął przerzucać broszurę Instytutu, na wszelki wypadek, żeby sprawdzić, czy czegoś nie przeoczył.

Przyniesiono wino. Kosztując je, ojciec Stanleya odegrał wielkie przedstawienie, czyli zakręcił kieliszkiem, aby rozprowadzić alkohol na dnie, i dokładnie przestudiował etykietę na flaszce.

– Może być – powiedział w końcu do kelnera, a potem znowu uruchomił uśmiech i zwrócił się do Stanleya. – Więc chcesz porady życiowej – powiedział.

– Niezupełnie – odrzekł Stanley. – Po prostu myślałem, że zamierzasz odstawić cały ten cyrk pod tytułem „Jesteś już teraz dorosły”.

– Chcesz psychopaplaniny?

– Nie.

– W twoich żyłach płynie dobra krew, a na nogach masz porządne buty.

– Mniejsza o to.

– Opowiadałem ci o jednej mojej pacjentce, która się podpaliła?

– Słyszałem, jak opowiadałeś o tym Rogerowi.

– Porada życiowa – powiedział tata Stanleya, podnosząc kieliszek, żeby wznieść toast. – No tak. Mam dla ciebie coś miłego i ohydneho zarazem. Otóż żeby jakoś uczcić twoje wejście w dorosłość, zdradzę ci pewną tajemnicę.

Stuknęli się kieliszkami i wypili po łyku.

– Dobrze – odpowiedział niechętnie Stanley.

Tata pogładził klapę swojej marynarki, nonszalancko, acz prosto trzymając kieliszek w drugiej ręce. Wyglądał na bogatego, zblazowanego i śmiercionośnego. – Powiem ci, jak zarobić milion dolarów.

Stanleya znow ogarnęło poczucie palącego rozgoryczenia, ale odpowiedział tylko: „Dobrze”. Nawet się uśmiechnął.

– Okej. Chcę, żebyś się zastanowił nad latami spędzonymi w liceum. Pięć ich było, tak? W tym czasie zmarł jeden z uczniów, co się zawsze zdarza w każdej szkole. Tak?

– Chyba tak.

– Może jechał za szybko, może za dużo wypił, może się bawił bronią, wszystko jedno... W każdej szkole zawsze jest jakiś uczeń, który umiera młodo. A czy ty wiesz, Stanley, że można dostać wypłatę z tytułu ubezpieczenia na życie, wykupionego bez wiedzy osoby ubezpieczonej?

Stanley tylko rzucił ojcu spojrzenie.

– A składki na dzieci chodzące jeszcze do szkoły – ciągnął tata – są naprawdę, ale to naprawdę niskie. Oczywiście pod warunkiem, że ubezpieczyciel nie ma żadnego powodu, by sądzić, że ubezpieczany dzieciak umrze. Można więc podjąć ubezpieczenie na milion dolarów za ucznia, płacąc składki w wysokości mniej więcej dwustu dolarów miesięcznie.

– Tato – powiedział z niedowierzaniem Stanley.

– Wystarczy się po nie schylić. Wystarczy, że się tym zainteresujesz, zrobisz rozeznanie i zdobędziesz informacje, które dadzą ci przewagę nad firmą ubezpieczeniową.

– Tato – powtórzył Stanley.

Jego ojciec wznosił ręce do góry jak niewinnie oskarżony człowiek i roześmiał się.

– Hej, podsuwam ci pod nos żyłą złota – powiedział. – Pomyśl o tym dzieciaku. O tym z twojej szkoły, który umarł. Umiałbyś go wytypować wcześniej? Jeśli tak, to mógłbyś mieć z tego jakieś korzyści. Oto moja porada życiowa dla ciebie, Stanley: właśnie w ten sposób ludzie się bogacą. To jedyna tajemnica. Umieją przewidzieć, co się zdarzy, i korzystają z okazji.

Ojciec Stanleya znowu uśmiechnął się terapeutycznym uśmiechem.

– Nie mógłbym go wytypować – odpowiedział w końcu Stanley. – Tego chłopca z mojej szkoły. Potrafił go samochód, jak wracał na skateboardzie ze sklepu do domu. Nigdy bym go nie wskazał z wszystkich innych uczniów jako potencjalną ofiarę wypadku.

– Szkoda – powiedział tata, ale nie dodał nic więcej. Bawił się widelcem, sięgnął po wino i przypatrywał się synowi znad kruchej krawędzi kieliszka.

Stanley z nieszczęśliwą miną przeglądał broszurę reklamową szkoły aktorskiej. W garniturze było mu za gorąco i poczuł się jak kurczak, któremu wiąże się nogi przed włożeniem do piekarnika.

– A ja? – zapytał. – Potrafisz przewidzieć, co się przytrafi mnie?

Tata Stanleya pochylił się do przodu i szturchnął nakryty obrusem stół kościstym, białym palcem.

– Przewiduję – powiedział – że czeka cię świetny rok. Będziesz wielki.

Październik

– Aktorstwo nie jest formą naśladowania – oświadczyła rażno pani dziekan wydziału improwizacji, kiedy pełni nadziei kandydaci usiedli po turecku nierówną elipsą na podłodze sali prób.

Dziewięć wydziału aktorskiego krążył przy drzwiach z notesem, przyglądając się młodzieży z wystudiowaną obojętnością, skubiąc palcami trzymany w ręku długopis i poddając ocenie wartość jednego kandydata na tle drugiego.

– W aktorstwie nie chodzi o to, by stworzyć kopię czegoś, co już istnieje – ciągnęła pani dziekan. – Proscenium to nie okno, a scena nie jest pokoikiem o trzech ścianach, w którym życie biegnie normalnym trybem. Teatr to jakby koncentrat normalnego życia. To oczyszczona wersja autentycznej egzystencji, jej ekstrakt, esencja ludzkich zachowań, dziwniejsza, bardziej tragiczna i doskonalsza niż wszystko, co jest pospolite we mnie albo w was.

Z płóciennej torby, którą nosiła u boku, wyciągnęła piłeczkę tenisową i rzuciła ją jednemu z kandydatów. Chłopak złapał piłkę obiema rękami.

– Nie patrzcie na dziekana wydziału aktorskiego – powiedziała pani dziekan. – Zachowujcie się tak, jakby go tu nie było. Patrzcie na mnie.

Rozchyliła dłonie, a chłopak nieśmiało odrzucił piłkę. Dziewięć wydziału aktorskiego zrobił jakiś okrutny wpis w notesie.

– Zastanówmy się przez chwilę nad światem starożytnym – powiedziała pani dziekan, zmieniając pozycję i siadając na ugiętych nogach, wsunawszy stopy pod uda. – W starożytności nie stawiano posągów Apollinowi albo Afrodycie po to, żeby mamieć ludzi,

czyli żeby myśleli, że taki posąg to naprawdę bóstwo, ani nawet że to naprawdę podobizna boga. Posągi pełniły po prostu funkcję miejsc, dających człowiekowi dostęp do boskości. Stawiano je po to, żeby ludzie mogli zbliżyć się do boga albo doświadczyć go właśnie w tym, a nie w innym miejscu. Tak? Wszyscy nadążają za tym, co mówię?

Rzuciła piłkę innemu kandydatowi, który wzdrygnął się, ale zdołał ją chwycić i ostrożnie odrzucić lobem. Pani dziekan złapała ją i trzymała przez chwilę w obu rękach, naciskając palcami wytarty już miejscami meszek, wgniatając twardą gumę i pozwalając jej elastycznie odskoczyć na miejsce.

– A zatem posąg z całą pewnością nie jest oryginałem – ciągnęła. – Posąg to nie Apollo, każdy się z tym zgodzi, prawda? I nie jest to też kopia oryginału. To nie jest żadna podobizna Apolla, podpowiedz co do tego, jak mógłby naprawdę wyglądać albo jakie mógłby nosić ubranie. To ani oryginał, ani kopia, lecz po prostu przedmiot, który umożliwia oddawanie czci bogu. Miejsce, dzięki któremu nie trzeba już szukać związku między człowiekiem i bogiem. To wszystko. Dlaczego to, co mówię, jest istotne?

Rzuciła piłkę jednej z dziewcząt z grupy.

– Dlatego, że właśnie taki jest teatr? – odpowiedziała szybko dziewczyna, zgrabnie chwytając piłkę czubkami palców i urywając na chwilę, by odpowiedzieć, nim odrzuciła ją z powrotem wysokim łukiem. – Bo teatr właśnie nie jest prawdziwym życiem ani jego wierną kopią. To tylko miejsce zapewniające nam do niego dostęp.

– Dokładnie tak – stwierdziła pani dziekan, łapiąc piłkę i jedną ręką wciskając ją stanowczym gestem w drugą.

Dziewczyna uśmiechnęła się szybko i rzuciła spojrzenie dziekanowi wydziału aktorskiego, żeby zobaczyć, czy zauważył jej triumf. Nie patrzył na nią.

– Scena to nie jest prawdziwe życie ani jego kopia – powiedziała pani dziekan. – Podobnie jak posąg Apolla, scena jest tylko przedmiotem i miejscem, gdzie coś zostaje uobecnione. Coś, co nie zaszłoby w normalnym świecie, dzieje się za naszą sprawą na scenie. Ludzie mogą uzyskać tu dostęp do pewnych rzeczy, które inaczej nie byłyby im dostępne. To miejsce, gdzie możemy coś oglądać i dzięki temu sami nie potrzebujemy już tego czegoś odczuwać ani robić. O czym mówię w tej chwili?

Pytanie było zbyt konkretne, kandydaci zmarszczyli więc brwi w milczeniu i wydęli wargi, chcąc w ten sposób pokazać, że nie wiedzą. Pani dziekan wydziału improwizacji o mało nie zadrżała. Przyjrzała się ich twarzom szybko, ale bez rozczarowania, z półuśmiechem, jak gdyby odpowiedź miała się z niej za chwilę wylać i wykipieć w jakimś bulgocie radości.

– Katharsis – zakrakała w końcu. – Mówię o katharsis. To słowo, które wszyscy powinniście znać. Katharsis to coś, dzięki czemu wasza praca warta jest zachodu.

Październik

Z pełnego wody porcelanowego zbiornika w foyer wystawały dwie porcelanowe maski, przypominające dwóch szklanych spiskowców. Maska komediowa była odwrócona i wpatrywała się wesołym, martwym wzrokiem w głąb korytarza, za gabinet sekretarki, szafkę z nagrodami i dyplomami oraz toalety, a maska tragiczna jakby wyciągała szyję w górę. Opierała się na dwóch mosiężnych rurkach, wysuwających się z wody pod jej szczęką i kością policzkową, wciśniętych od tyłu w porcelanowe obwódki szeroko otwartych, pełnych dramatyzmu oczu. Kiedy fontanna była włączona, rurki zasysały wodę ze zbiornika i zmuszały

maskę tragiczną do płaczu.

Mniej więcej na linii wody widniała tłusta smuga koloru mosiądzu, a na dnie zbiornika leżało kilka wrzuconych tu z nadzieją srebrnych monet. Pod spodem, na postumencie, wisiała tabliczka z następującym napisem:

„UMYSŁ WIERZY W TO, CO WIDZI,
I ROBI TO, W CO WIERZY:
OTO TAJEMNICA FASCYNACJI”.

Październik

Na widok tych masek Stanley w pierwszej chwili pomyślał, że niektórzy ludzie wykrzywiają kąciki ust w dół, kiedy się uśmiechają, a inni się uśmiechają, kiedy są bardzo smutni. Nie patrzył już jednak na maski. Stał przy fontannie z rękami w kieszeniach i spod zmarszczonych brwi wpatrywał się w zbiornik, próbując uspokoić niespokojne bicie serca. Fontanna nie została jeszcze włączona, powierzchnia wody wydawała się więc nieporuszona i gładka jak skóra bębna, a maski z niebiesko żyłkowanej porcelany były suche i blade w nieruchomym powietrzu poranka.

Stanley przyszedł prawie o godzinę za wcześnie, bo nie mógł dłużej znieść krążenia po maleńkiej orbicie w swojej sypialni – co chwila przyglądał włosy, sprawdzał formularz zgłoszeniowy i po omacku szukał w torbie twardej, laminowanej krawędzi tekturki z numerem, którą przed przesłuchaniem miał sobie przypiąć na piersi dwiema małutkimi, złotymi agrafkami. W foyer nikogo nie było. Gabinet sekretarki i jego żaluzje były zamknięte, a we wszystkich głównych korytarzach zalegała ciemność. Stanley stał zupełnie nieruchomo, starając się przezwyciężyć zdenerwowanie, jakby to była choroba morska albo hipochondria, albo jakby odczuwał bóle fantomowe.

Usłyszał ciche plaśnięcie drzwi do audytorium, a kiedy się odwrócił, zobaczył rozczochranego, czerwonego na twarzy chłopaka, który niósł stary patefon; wygięta mosiężna tuba sięgała za jego bark. Patefon był chyba ciężki. Chłopak trzymał go obiema rękami pod obitą filcem podstawą i przyciskał do siebie, zerkając spoza niego na boki, żeby wiedzieć, czy na nic nie wpadnie po drodze, i stąpał ostrożnie ciemnym korytarzem.

– Hej! – zawołał. – Jesteś z administracji? Nie masz przypadkiem klucza do głównego gabinetu, co?

– Niestety nie – odparł Stanley. – Przyszedłem na przesłuchanie.

Chłopak zmierzył go wzrokiem.

– Ach, zdajesz do nas na studia – powiedział beznamiętnie. – Zapomniałem, że mamy już weekend. Denerwujesz się?

Stanley wzruszył ramionami.

– No. – Zamachał ramionami, starając się znaleźć jakąś lepszą, bardziej ogólnikową odpowiedź, ale nic nie przychodziło mu do głowy. – Jesteś aktorem? – zapytał w końcu.

– Nie, pracownikiem technicznym – odrzekł chłopak. – Właśnie robieramy *Piękną Maszynę*. Wczoraj było ostatnie przedstawienie, a teatr musi być na jutro wolny.

– Co to jest *Piękna Maszyna*? – spytał Stanley. Chłopak zatrzymał się przy wejściu do foyer, właściwie więc krzyczeli do siebie przez całe to wielkie, marmurowe pomieszczenie, i czuli się z tym nieco dziwnie.

– Improwizowane przedstawienie studentów pierwszego roku – odpowiedział chłopak. – Chodzi o to, żeby pokazali, że nadają się do Instytutu i już na pierwszym roku zrobili coś zupełnie samodzielnie. Odjechałbyś, gdybyś wiedział, co wymyślili. Wystawili to na koniec drugiego semestru zupełnie profesjonalnie, mieli światła i w ogóle.

– Ach tak – rzucił Stanley.

– Szkoda, że cię nie było. Ostatnie przedstawienie dali wczoraj. Ostra jazda. – Wskazał głową patefon. – Na tym roku mamy kupę muzyków, więc zrobiliśmy jakby przedstawienie muzyczne, naprawdę oryginalne i abstrakcyjne. Jakbyś je zobaczył, tobyś padł.

Stanley patrzył, jak chłopak się nadyma, i zauważył, że najpierw mówił „oni”, a potem już „my”. Wyczuł, że kluczowe słowa w jego wypowiedzi to „oryginalne” i „abstrakcyjne”, słowa liczmany, mające moc wyróżniania mówiącego i naznaczania go jako wybrańca. Niefrasobliwość chłopaka była wystudiowana: potrząsał głową jak cyrkowy kucyk i wysuwał biodro w bok, wyglądał więc niczym model w ilustrowanym magazynie dla mężczyzn.

– Zdajesz pierwszy raz? – spytał chłopak i ruszył się z miejsca. Podeszedł do drzwi gabinetu sekretarki i zgiął nogę w kolanie, ostrożnie stawiając patefon na podłodze pod ściennym regałem, złożonym z olejowanych, złocistych skrytek, w których można było zostawiać wiadomości dla pracowników Instytutu. Stanley usłyszał w myślach głos swojej nauczycielki dramatu z liceum: „Ruszaj się, kiedy wypowiadasz swoją kwestię, a nie dopiero wtedy, kiedy ją skończysz”.

– No – odpowiedział. – Jest się czego bać?

– E tam – odparł spokojnie chłopak. – Po prostu się odpręż, baw się dobrze i nie wysilaj za bardzo. To wcale nie jest takie wielkie halo, jak się wszystkim wydaje.

– A ty miałeś egzamin na pracownika technicznego?

– Nie.

Stanley czekał, ale chłopak nie powiedział już nic więcej. Wyprostował się i bez przekonania spróbował otworzyć drzwi do gabinetu sekretarki, były jednak zamknięte. Spojrzał znów na Stanleya.

– Dziwne w tym miejscu jest to – powiedział – że nikt o nim źle nie mówi. Nawet ci, którzy się do nas nie dostają. Gadałeś z takimi, którzy się nie dostali?

– Nie.

– Zawsze mówią tak: „Teraz wiem, że muszę zdać na te studia. Miałem okazję zobaczyć chociaż przez chwilę, co się tu robi, i mimo że się nie dostałem, to mam zapał, i na Boga, będę ciężko pracował, spróbuję jeszcze raz w przyszłym roku i będę się zgłaszał na te przesłuchania, aż w końcu mnie przyjmą”. Albo mówią tak: „Jaki to zaszczyt i przywilej móc stanąć na przesłuchaniu przed tymi niesamowitymi ludźmi, spędzić weekend w Instytucie i zobaczyć miejsce, z którego wychodzą potem prawdziwe talenty”. Mówią też tak: „To miejsce prawdziwego przebudzenia, iluminacji”. Nie wydaje ci się to dziwaczne?

Stanley niepewnie wzruszył ramionami. Cofnął się o pół kroku, kiedy chłopak mówił, i poczuł na krzyżu promieniujący chłód porcelanowego zbiornika fontanny.

– Nikt nie pokazuje naszym wykładowcom fakulca, kiedy stąd wychodzi. Nikt nie mówi: „Wielkie dzięki, kurwa wasza mać”, „I tak za chuja nie chciałem chodzić do tej waszej zasranej, popieprzonej szkoły” albo „Gówna prawda, że nie jestem taki dobry jak ten czy tamten chłopak, powiedzcie mi konkretnie, dlaczego się nie dostałem”. Nikt w ogóle nie mówi

niczego złego o Instytucie. Naprawdę nie uważasz tego za niezwykle?

– To prestiżowa szkoła. Pewnie ludzie zdają sobie z tego sprawę – powiedział Stanley.

– No – odparł chłopak z nieoczekiwaną pogardą, wyraźnie lekceważąc Stanleya jako kogoś, kto nie ma mu nic do zaoferowania ani do powiedzenia. – Mniejsza z tym, życzę szczęścia. Może się spotkamy w przyszłym roku.

– No – odrzekł Stanley. Wstydził się, że jest taki nieciekawym, ale był zbyt przejęty swoim przedegzaminacyjnym zdenerwowaniem, żeby się tym martwić. Odwrócił się znów przodem do fontanny i wściekle wcisnął ręce do kieszeni, nasłuchując, dopóki kroki chłopaka nie ucichły w korytarzu i nie rozległo się ciężkie, aksamitne plaśnięcie drzwi do audytorium.

Rozdział

TRZECI

Czwartek

Nagłówek w porannej gazecie: „Nauczyciel zaprzecza oskarżeniom o seks z uczennicą”.

– Biedny pan Saladin – mówi nauczycielka gry na saksofonie. – Biedny pan Saladin z tymi swoimi szczupłymi dłońmi, rozdygotanym samotnym sercem i twarzą jak...

– Jego twarzy nie widać – wtrąca Patsy, którą nachodzi głupawka. – Zakrywa głowę kurtką. Dzwoni telefon.

– Ale spragnione matki o smutnych czarnych oczach wyobrażają sobie, jak wygląda – mówi nauczycielka. – Wyobrażają sobie jego ostre ząbki i jak głośno przełyka ślinę. Wyobrażają sobie małe sinawe woreczki pod jego oczami.

Patsy przygląda się artykułowi, przechylając głowę na bok, i z roztargnieniem gmera palcem wśród okruchów na swoim talerzu.

– Doskonale rozumiem, pani Miskus – mówi do słuchawki nauczycielka gry na saksofonie. – Och, Boże, nie, ja go nie znałam, ale mimo to coś pani o nim powiem. – W tym momencie Patsy wstaje i szuka swojego płaszcza wśród innych okryć. Nauczycielka gry na saksofonie śledzi ją wzrokiem, nie przerywając rozmowy. – Pan Saladin zostawił po sobie pewną spuściznę: dziwną, pełną fascynacji i zdumienia, prowokacyjną nieufność, która poraziła moich studentów jak wirus. Tę zgwałconą dziewczynę wszędzie otaczają szepty, łokcie i ślepa, bolesna zazdrość. Kiedy gasną światła, rodzice płaczą i pytają się nawzajem, co on jej takiego zrobił, ale dziewczęta aż się palą, by zadać inne pytanie: a co ona zrobiła? Co ona już teraz wie, co czyni ją niebezpieczną niczym powolny, bursztynowy wyciek trujących wyziewów?

Patsy jakby wkręca się w swój płaszcz, macha nauczycielce na pożegnanie, posyła jej całusa. Wychodzi.

– Próbują sobie wyobrazić, jak gładzi go po twarzy, wyciąga szyję i szepcze mu różne rzeczy, zupełnie wyjątkowe, jakich nie mówił jeszcze nikt nikomu na całym świecie. Widzą ją pod drzwiami sali muzycznej, jak szybko i płytko oddycha z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi w pięści dłońmi, które opiera o ścianę nad swoją głową. Wyobrażają też sobie zupełnie zwyczajne rozmowy, jak: „Może w przerwie na lunch?”, „Nie mogłam wczoraj zasnąć” albo: „Wolę cię w tej koszuli w paski”. Myślą, że może teraz, kiedy dziewczyna mocno spleta ramiona na piersi, przyglądza włosy z boku, nieoczekiwanie milknie i mocno przygryza wargę, to wszystko znaczy coś, czego nie znaczyło przedtem. Starają się to sobie wyobrazić, pani Miskus. Próbują się domyślić, co to może znaczyć.

Nauczycielka milknie, słucha odpowiedzi swojej rozmówczyni i owija sobie przewód od telefonu wokół palca. Na klatce schodowej rozlega się trzask zamykanych drzwi.

– Rozumiem – odpowiada po chwili. – Pani biedna, krucha i wrażliwa córka czuje się splugawiona, ponieważ została skojarzona z tą sprawą, i pragnie trzymać się jak najdalej od tego okropnego człowieka. Niech jej pani powie, że mam wolną chwilę we wtorek o trzeciej.

Piątek

Na korkową tablicę wędruje wywieszka, głosząca, że próby zostają wznowione. Znalaziono nowego dyrygenta dla big-bandu, orkiestry i zespołu jazzowego, niejaką panią Critchley,

mężatkę, której nazwisko wypisano tłustym drukiem. Nie licząc zbędnej informacji o jej stanie cywilnym, dowiadujemy się też, że ma na imię Jean.

– Oczywiście, że przyjęli kobietę – stwierdza ponuro pierwsza altówka. Dziewczęta stoją na korytarzu, zbite w bezładne stadko.

– Ja tam lubiałam pana Saladina – mówi Bridget w swój niedzisiejszy, jakby lepki sposób.

– Czy on już siedzi w więzieniu? – pyta pierwsza altówka.

– Pewnie w areszcie domowym – odpowiada kontrabas. – Żeby nie popełnił recydywy.

– Gówno prawda – odzywa się pierwszy puzon. – Siedzi w domu w piżamie i ogląda poranną telewizję.

Nie mają już nic więcej do powiedzenia i przez chwilę przyglądają się nazwisku pani Jean Critchley, mężatki, wypisanemu tłustym drukiem.

– Sądząc po nazwisku, może być z niej larwa – pierwsza altówka mówi na głos coś, co i tak wszystkie myślą.

Piątek

– Poszłam wczoraj do pana Partridge'a, żeby porozmawiać o zajęciach fakultatywnych – mówi Isolde. – Był w swoim gabinecie, a kiedy weszłam, wypadł zza biurka jak bomba i powiedział: „Porozmawiajmy na korytarzu. Chodź, wyjdźmy”. Oni wszyscy się tak teraz zachowują. Boją się zamkniętych przestrzeni.

Nauczycielka gry na saksofonie patrzy na nią i myśli: Oto narodziny nowej, twardszej, bardziej znieczulonej Isolde, która widziała całą brudną, zбочoną wspaniałość tego świata, wciąż jednak podtrzymuje w sobie małą isierkę wątpliwości, bo nie doświadczyła jeszcze tego, o czym już słyszała i co zobaczyła.

– No i wyszliśmy na ten korytarz – mówi Isolde.

Przekręca saksofon, tak że zwisa jej teraz bezwładnie z ramienia jak szkolny plecak. Obiema rękami przytrzymuje pasek na ramieniu, opiera ciężar ciała na drugiej nodze, wysuwa biodro w bok i mruga dużymi oczami, zmieniając się w jednej chwili w słodką i niewinną ofiarę. Światła stają się bardziej przyćmione i rozproszone, aż w końcu Isolde stoi w kremowo-liliowej smudze popołudniowej jasności, która wpada ze szkolnego korytarza, gdzie drzwiczki wszystkich pustych szafek dla uczennic są otwarte, a na podłodze niczym srebrne liście poniewierają się opakowania po chipsach.

– No więc mówię mu, że byłam tylko ciekawa, czy mogłabym się zapisać na dodatkowe zajęcia albo coś, bo w domu panuje ostatnio taka przygnębiająca atmosfera...

Tu dziewczyna gładko zsuwa saksofon z ramienia, ujmuje go w dłonie i lekko podtrzymuje obiema rękami pod kielichem, niefrasobliwym i obronnym gestem przyciskając instrument do siebie na wysokości biodra, w taki sposób, w jaki być może trzymałby folder mężczyzna, stojący z uczennicą na korytarzu w tej samej smudze kremowo-liliowego światła, kiedy wszyscy inni poszli już do domu.

Nauczycielka gry na saksofonie zastanawia się, jak bardzo cieszą ją te zmiany zachodzące w chwili, kiedy Isolde wyslizguje się z jednej postaci i zamienia w drugą. Bridget umiejętnie naśladuje głosy, ale występ Isolde zawsze jest fizyczny i totalny, jak nieoczekiwana wylinka. Nauczycielka zmienia ułożenie ciała i kiwa głową na znak, że słucha.

– A on patrzy na mnie, kręci głową. – Isolde teraz jak gdyby rośnie, kiwając się na piętach w przód i w tył i wciągając brzuch, przez co jednocześnie wypina pierś – i mówi dalej:

„Isolde, ja nie należę do nauczycieli, którzy podlizują się uczennicom po to, żeby ich kochały. To nie w moim stylu. Zdobywam popularność, wybierając sobie kozła ofiarnego. Robię to w absolutnie każdej klasie, którą uczę. Gdybym miał ci pozwolić na dodatkowe zajęcia, byłbym hipokrytą i podważyłbym zasadność własnych metod pedagogicznych”. I dalej: „Kiedy staram się o miłość uczennicy, to nie zaczynam od wydania zgody na dodatkowe zajęcia, jeżeli ona tak naprawdę ich nie potrzebuje. Zaczynam od kultywacji kultury zazdrości w klasie. Zazdrość to kluczowy składnik każdego środowiska klasowego, oznacza bowiem rywalizację, a rywalizacja prowadzi do doskonałości. Prawdziwa i gorąca miłość może rozkwitnąć tylko w zazdrosnej klasie. Kozła ofiarnego wybieram dopiero wtedy, kiedy już jestem pewien, że moje uczennice mają solidne podstawy, by mogły stać się bardzo o siebie zazdrosne. A wybór kozła ofiarnego nie jest łatwy, Isolde. Nie tak łatwy jak zezwolenie na dodatkowe zajęcia dla uczennicy, która w ogóle ich nie potrzebuje. Wybór kozła ofiarnego to bardzo trudne i delikatne zadanie. Sztuka polega na tym... – Isolde podciąga saksofon i gwałtownie podnosi go do góry, aby podkreślić swoje słowa – ...żeby nie wybierać dziewczyny, której i tak już wszyscy autentycznie nie znoszą. Dzięki temu pozostałe uczennice będą się litować nad kozłem ofiarnym i zaczną mnie darzyć pogardą, bo jestem okrutny. A ja nie chcę być okrutny dla moich uczennic. Rzecz w tym, żeby wybrać najmniej oryginalną dziewczynę w klasie. Chcemy najmniej oryginalną, bo taka będzie na tyle ograniczona, aby uwierzyć, że wybieramy ją ze względu na siłę jej talentów komicznych. Trzeba ją przekonać, że może śmiać się razem ze wszystkimi, kiedy nauczyciel rozbawi klasę jej kosztem. Isolde, mówił dalej pan Partridge, jestem dobrym nauczycielem, którego uwielbiają wszystkie uczennice. Zdobywam ich miłość, wybierając ofiarę w imieniu ich wszystkich, a nie wkradając się w łaski każdej uczennicy z osobna. To dobra metoda, a ja jestem dobrym nauczycielem. Nie zgodzę się na te dodatkowe zajęcia tylko dlatego, że twoja siostra uprawiała seks z dorosłym mężczyzną, a teraz wszyscy się o tym dowiedzieli i jest mi cię żal. Taka jest moja motywacja. Przykro mi”.

Światła znowu powoli się rozjaśniają. Isolde z wdziękiem kończy mówić i na nowo zawiesza saksofon na pasku, gotowa do lekcji.

– Czyli że nie dostałaś zezwolenia na zajęcia fakultatywne – mówi nauczycielka gry na saksofonie, wstając.

– Nie – odpowiada Isolde. – „Musisz się nauczyć, że życie po prostu nie jest sprawiedliwe, Isolde”, tyle pan Partridge powiedział mi na koniec.

Piątek

W laickiej szkole dla dziewcząt zapanowała moda na kupowanie małych, pękatych, plastikowych butelek coca-coli w sklepiku szkolnym i wydłubywanie paznokciem tkwiących ciasno pod zakrętką małych, sztywnych niebieskich krążków. Dziewczyny podnoszą taki krążek do ust, przegryzają jakby tłusty, plastikowy miąższ w środku i wyrywają go, tak że pozostają tylko brzegi. Później delikatnie szarpią tę niemal przezroczystą, plastikową obęcz, obracają ją w dłoniach i rozciągają ostrożnie, a ona coraz bardziej się rozszerza, stając się w końcu jak gdyby bladą wstążką, w którą mogą wsunąć całą dłoń. Noszą te plastikowe wstążki na nadgarstkach.

Mówi się na nie powszechnie bransoletki „Zerznij mnie”. Dziewczyna, która sprawia sobie coś takiego z uszczelki pod zakrętką, musi być odważna, bo ten, kto rozerwie bransoletkę, nawet przypadkowo, zawiera pewną umowę z jej nosicielką. Czasami na imprezie chłopak

pochyla się, żeby pocałować dziewczynę, a wolną ręką szarpie ją za przegub, starając się złamać pieczęć coca-coli. Dziewczyna to zwykle wyczuwa i niby stara się oswobodzić rękę, bo wie, co oznacza rozerwanie uszczelki: udaje, że stawia opór, przekręca dłoń i szarpie się, żeby plastikowa ozdoba pękła jak najszybciej. A kiedy pęknie, każda dziewczyna wie, że teraz będzie już musiała pójść na całość.

Własnoręczne rozerwanie bransoletki to hańba. Dziewczęta prychają na taką ewentualność i wykluczają ze swojego grona wszystkie niezdarne koleżanki, którym zdarza się zaczepić cienką uszczelką o framugę drzwi albo o zapinkę plecaka i rozerwać obrączkę w ten sposób.

Jedna z dziewcząt mówi:

– W pokoju pana Saladina znaleziono bransoletkę „Zerznij mnie”. Pod fortepianem. Była rozerwana.

Nie jest to prawda.

Poniedziałek

– Dziękuję wam wszystkim, że przyszłyście! – szkolny psycholog przekrzykuje szuranie i drapanie, unosząc ręce jak polityk albo ksiądz. – Bardzo chciałbym zacząć od kwestii, które poruszaliśmy na ostatnim spotkaniu. I pomyślałem sobie, że dzisiaj moglibyśmy porozmawiać o tym, jak jeden człowiek zdobywa władzę nad drugim.

Julia siedzi z tyłu, nisko pochylona na krześle, ręce ma założone na piersi, nogi skrzyżowane w kostkach, a włosy opadają jej na twarz. Przygląda się, jak zziębnięte dziewczyny wchodzą z ulicy i od razu biorą się pod ręce ze swoimi najlepszymi koleżankami, tworząc zbliżającą się ku niej przez salę prostokątną eskadnię ulubienic. Wybierają miejsca do siedzenia, szepczą, trącając się łokciami i rzucają rozpaczliwe spojrzenia spod zmrużonych powiek, jak zawsze bojąc się, że pewnego dnia zajmą te straszliwe krzesła na obrzeżach, które zmuszą je do tego, żeby bezustannie się nachylać i pytać: „Co? Z czego się tak śmiejecie? Co ona powiedziała?”.

Julia pogardliwie, ale i z lekką zazdrością patrzy, jak dziewczyny wsuwają się na miejsca wokół ich dzisiejszego centrum zainteresowania i krynicy mądrości. Większość to uczennice klas siódmych, rówieśnice zgwałconej, zarażone jedynie wskutek dalekich kontaktów z nią, reszta natomiast chodzi do klas muzycznych. Te dziewczęta są poważniej chore i z tego powodu dostały imienne wezwania na powielonej na fotokopiarce różowej, uroczystej wyglądającej karteczce, podpisanej przez psychologa delikatną, jak gdyby szeptliwą ręką.

Otwierają się drzwi i ku swojemu zdumieniu Julia widzi siostrę zgwałconej, ostrożnie trzymającą różowe wezwanie w zaciśniętej dłoni i sprawdzającą mosiężny numer sali na tabliczce nad kłamką. Isolde jest dopiero w piątej klasie, za młoda do big-bandu, zespołu jazzowego czy orkiestry, choć kiedy wchodzi do sali, skinieniem głowy pozdrawia kilka dziewcząt, najwyraźniej koleżanki jej siostry. Na widok Isolde szkolny psycholog uśmiecha się z aprobatą, pokazując wszystkim, że jest z niej strasznie dumny, tak jak można być dumnym z maskotki albo flagi.

Patrząc, jak Isolde wsuwa sobie kosmyk włosów za ucho i rozgląda się w poszukiwaniu wolnego miejsca, Julia odczuwa chwilowe zainteresowanie tą dziewczyną, wciśniętą od teraz już na zawsze w przygarbiony, zdyszany cień swojej siostry, i zastanawia się, co myśli Isolde.

Kiedy młodsza siostra Victorii siada, uczennica z ławki za nią pochyla się i ściska ją za ramiona, wsuwając kciuki pod jej kości obojczykowe i szepcząc: „Trzymasz się?” rozgorączkowanym, litościwym głosem. Isolde wywija się z jej uścisku, kiwa głową

i odpowiada coś, czego Julia nie słyszy. Dziewczyna kręci głową, poklepuje Isolde po ramieniu, cofa się z matczynym westchnieniem i natychmiast zaczyna ciągnąć za rękaw siedzącą po swojej lewej ręce uczennicę, która już się pochyła, żeby wysłuchać, co tamta ma do powiedzenia.

Julia patrzy, jak zdyszane szeptu nabrzmiewają i rozchodzą się na lewo i prawo w rzędzie za Isolde, po czym przygląda się jej surowej, obojętnej minie.

– Czy skoczyłybyście z mostu tylko dlatego, że robią to wasze koleżanki? – Jest to ulubione pytanie psychologa, które zadaje rutynowo dźwięcznym i triumfującym głosem, jak gdyby właśnie dał komuś spektakularnego mata.

Julia patrzy, jak Isolde nieznacznie przesuwa się na krześle. Gapi się bezmyślnie na mężczyznę, marszczy brwi, ale właściwie go nie słucha, a usta ma rozchylone i lekko wydęte. Jej policzki są okrągłe, oczy zaś niewinne i duże jak jej siostry, ale o ile krągłość Victorii to bezwstydną, otwartą i prowokującą obfitość, o tyle Isolde przypomina pulchne, zepsute dziecko o przesłodzonym wejrzeniu. Isolde obnosi się ze swoją twarzą niczym z modną ozdobą, która, o czym dobrze wie, wygląda lepiej na każdej innej dziewczynie.

– Są ludzie – mówi psycholog – dla których uwiedzenie to sposób zwrócenia na siebie uwagi, wołanie o pomoc, ostatnia i rozpaczliwa próba nawiązania autentycznego kontaktu z drugim człowiekiem. – Psycholog grozi serdelkowatym paluchem im wszystkim, siedzącym wokół niego nierównym półkolem. Dziewczyny mają rozluźnione krawaty pod szyją, a gładkie, aksamitne nogi skrzyżowane w kolanach. – Tacy samotni i upośledzeni ludzie – kontynuuje – mogą poszukiwać fizycznych i seksualnych związków, których właściwie nie chcą, ale bez których nie potrafią żyć. Takich ludzi musicie się wystrzegać. – Tu psycholog przerywa dla lepszego efektu. – Jednym z nich był właśnie pan Saladin.

Julia spogląda na Isolde, która jednak wciąż gapi się na psychologa w ten sam bezmyślny sposób. Julia jest ciekawa, czy Isolde gra. Stara się domyślić, jak to jest być Isolde, wracać codziennie do domu ze szkoły niczym posłaniec z zakazanego miejsca, obchodzić siostrę dokoła, przyglądać się jej przy stole w czasie obiadu, kiedy ponuro rozgniata ziemniaki na miazgę, przechodzić koło zamkniętych drzwi jej sypialni, wciąż oblepionych łuszczącymi się już naklejkami i kawałkiem ukradzionej gdzieś żółtej taśmy policyjnej, mijać ją na korytarzu owiniętą ręcznikiem i ociekającą jeszcze wodą. Wyobraża sobie łkającą matkę o ściągniętej nieszczęściem twarzy, a także ojca, szarpiącego krawat, jakby ten go dusił. Wyobraża sobie pilne telefony, ludzi krzyczących szeptem i wilgotną, przemieszczającą się ciszę. Wyobraża sobie w tym wszystkim Isolde, która próbuje oglądać telewizję, czyścić swoje szkolne obuwie albo przeglądać dział rozrywkowy w gazecie, samotna i oddzielona od reszty świata łąką martwego powietrza jak statek w oku cyklonu.

Julia patrzy, jak Isolde beztrąsko przygląda się swoim paznokciom i obgryza skórę.

– Ten straszliwy przypadek seksualnego wykorzystania dziecka – mówi psycholog – to klasyczny przykład tego, jak uwiedzenie może posłużyć jednej osobie do zdobycia władzy nad drugą. Czyniąc tę uczennicę swoją ofiarą, pan Saladin odebrał jej prawo własności, zapewniając dziewczynce kontrolę nad swoim ciałem. Nadużył swojej uprzywilejowanej pozycji pedagoga, mistrza. Wykorzystał ją do tego, żeby zdobyć władzę nad uczennicą.

Przesuwa pulpit na bok i opiera się swobodnie o brzeg biurka. Zaciśniętą w pięść rękę trzyma w kieszeni, rozciąga nią nogawkę swoich spodni na wysokości bioder, po czym

delikatnie szarpie suwak rozporoka od wewnątrz. Drugą ręką gestykuje gwałtownie, jakby dyrygował wykonaniem bardzo nowoczesnego i poruszającego utworu.

– Mój cel na dziś – stwierdza gładko – to porozmawiać o tym, jak mogę pomóc wam zdobyć władzę nad kimś. Czy ktoś chce o coś zapytać, zanim zaczniemy?

Dziewczęta kręcą gremialnie głowami i uśmiechają się do niego, wierząc się na krzesłach jak kury na grzędzie. Potem odzywa się Julia:

– Tak, ja mam pytanie.

Wszyscy z wyjątkiem Isolde odwracają się szeleszczącą falą, żeby popatrzeć na Julię, która spokojnie mruży powieki i mówi:

– Nie zgadzam się z tym, że pan Saladin chciał zdobyć władzę nad swoją uczennicą.

Psycholog marszczy czoło i wyciąga rękę, żeby pociągnąć się za kosmyk włosów na karku.

– Nie zgadzasz się z tym... – mówi.

– Nie – odpowiada Julia. – Samo zdobycie władzy nad drugim człowiekiem nie jest podniecające. Przespanie się z nieletnią nie jest podniecające dlatego, że dorosły może jej rozkazywać, tylko ze względu na ogromne ryzyko, czyli dlatego, że można przegrać, nie wygrać.

Uczennice z pełną obrzydzenia fascynacją uważnie przyglądają się Julii. Wszystkie mają taki wyraz twarzy jak każda lubiana dziewczyna, patrząca na nielubianą koleżankę, która właśnie coś mówi. Przypatrują się Julii niczym występowi na jarmarku: jest intrygujący, ale widzom może się po nim zrobić niedobrze.

– To przypomina hazard – mówi jeszcze głośniejszą Julią. – Jeśli obstawiamy zakład, który prawie na pewno wygramy, nie podskoczy nam od tego poziom adrenaliny. Nie jest to specjalnie ekscytujące ani przyjemne. Ale jeśli obstawiamy jakiś zakład wbrew zdrowemu rozsądkowi i mamy tylko cień, najwyżej cień szansy, że może nam się udać, to będzie nas aż nosiło. Bo wtedy istnieje większe prawdopodobieństwo, że przegramy, i właśnie to nas podnieca.

Dziewczęta zaczynają się kręcić i szeptać, ale Julia nadal surowo wpatruje się w psychologa zmrużonymi, błyszczącymi oczami. Psycholog wbija wzrok w podłogę.

– To, że Victoria była niepełnoletnia albo że była dziewczicą i tak dalej, nie podniecało pana Saladina dlatego, że mógł sprawować nad nią większą władzę – mówi Julia. – Podniecało go to dlatego, że miał tak wiele do stracenia, gdyby ktoś się o tym dowiedział. – Julia przechyla głowę w charakterystyczny sposób, aby podkreślić szokujące znaczenie swoich słów. – Nie chodzi o to, że straciłby tylko ją, ale że straciłby wszystko.

Zapada krótka cisza, a potem dziewczęta ponownie odwracają się szeleszczącą falą, by spojrzeć na psychologa, który podnosi wzrok i znowu szarpiąc się za kosmyk włosów na karku, wzdycha.

– Wydaje mi się, że odbiegliśmy od tematu – mówi. – Nas interesuje nierównowaga sił. Czyli to, że pan Saladin wykorzystał swoją nauczycielską władzę, aby nawiązać romans z uczennicą.

– Bo po prostu odbiegliśmy od tematu, który narzucił nam pan, i przeszliśmy do tematu, który ja narzuciłam – zauważa kąśliwie Julia. – A poza tym czy każdy związek nie zakłada w pewien sposób nierównowagi sił?

Psycholog szybko odwraca się do grupy, żeby Julia nie zdążyła otworzyć ust i powiedzieć

nic więcej.

– A co wy myślicie na ten temat, dziewczyny? – pyta, starając się nawiązać kontakt wzrokowy wyłącznie z najmniej wojowniczymi i elokwentnymi uczennicami na sali. – Macie jakieś własne przemyślenia? Zgadza się z tym czy nie?

Kilka dziewcząt podnosi ręce i zaczyna mówić, a wtedy Julia natychmiast traci zainteresowanie dyskusją. Spogląda ponuro na psychologa, po czym wyciąga z kieszeni długopis i zaczyna coś bazgrać na grzbiecie dłoni, jak gdyby nic jej to wszystko nie obchodziło. Po chwili ku swojemu nagłemu, pulsującemu zdumieniu stwierdza, że patrzy na nią Isolde. Wyraz jej twarzy nie jest już dziecinny ani przesłodzony. Głowę ma lekko przekreconą na bok, wygląda więc tak, jak gdyby zerkała przez ramię za siebie, niczym zimna i beztroska królowa, której wystąpiły wszystkie żyły na szyi.

Julia rumieni się pod kołnierzykiem i cenzuruje swoją minę, ale jest już za późno. Czuje nagle, że jest jej za ciasno we własnym ciele, jest niezdarna, głupia i gruba, i to poczucie w jednej chwili wzbudza w niej straszny dreszcz.

Przez chwilę mierzą się wzrokiem, a potem Isolde odwraca głowę.

Sobota

Isolde i Victoria oglądają telewizję. Isolde siedzi zwinięta w pokrytym kocimi kłakami zagłębieniu fotela, z nogami przyciągniętymi do piersi i głową wspartą na podłokietniku. Victoria leży na kanapie z nogą zgiętą w kolanie, delikatnie trzymając pilota pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym. Tata wszedł przed chwilą do pokoju, ścisnął stopy Isolde w swojej wielkiej dłoni i powiedział: „Dobranoc, leniuszki”. Przed chwilą ze schodów wołała też do nich mama: „O jedenastej do łóżka, bardzo proszę!”. Ich kontrapunktowe kroki, lekkie i ciężkie, ucichły przed chwilą na schodach, a rodzice właśnie zamknęli się w sypialni, czemu towarzyszył słaby trzask popchniętych pięścią drzwi.

– Co z tymi chłopakami, z którymi się spotykałaś? Ciągłe się kręcą koło ciebie?

Victoria mówi to, wykorzystując przysługujący wyłącznie starszej siostrze przywilej domagania się całej prawdy. Z perspektywy swojego starszeństwa patrzy na życie młodszej siostry jak świeżo upieczony weteran wojenny, wszystkowiedzący i kompetentny, którego nic nie może zaszokować. Sprawia to takie wrażenie, jakby na każdym kolejnym etapie swojego życia Isolde po prostu podnosiła z podłogi następny kostium, z którego Victoria wyrosła i który odrzuciła, a kiedy Isolde męczy się, wciągając rękawy, Victoria ma prawo wejść do jej garderoby i patrzeć. Kiedy Isolde dostaje pierwszej miesiączki, przymierza pierwszy stanik, daje komuś pierwszego całusa albo wybiera sukienkę na swój pierwszy bal, Victoria zawsze jest przy niej albo będzie – będzie przy każdym z tych kamieni milowych. A jeżeli nie, to jako starsza siostra zawsze ma prawo zapytać: „Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś, Issie, no dlaczego?”.

W przeciwieństwie do niej mała Isolde nigdy nie ośmieliłaby się zapytać Victorii, co się naprawdę stało za tymi małymi, mlecznymi szybami drzwi do sali prób. Nigdy nie ośmieliłaby się zapytać o szczegóły – o procesy życiowe, zachodzące pod ubraniem pana Saladina, o jego oddech, dotyk. Nie zapytałaby: „Denerwował się, Torio?” ani: „Kto kogo pierwszy dotknął” albo: „Czy najpierw całymi tygodniami rozmawialiście o sobie, o tym, czego chcecie i czego nie udało się wam zdobyć?”. Tych wszystkich pytań Isolde nie wolno zadać. Ona nie mogła spytać: „Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?”, kiedy Victoria usidliła

swojego pierwszego kochanka, zaczęła pierwszy romans, zerwała pierwszą obietnicę lub po raz pierwszy straciła kilka kropelek dziewiczej krwi, bo wszystkie te dobrze widoczne punkty orientacyjne stoją w takiej strefie, do której jej młodsza siostra nie ma na razie wstępu.

Później, kiedy Isolde osiągnie obecny wiek Victorii, a Victoria, zawsze wyprzedzająca siostrę o dwa kroki, zacznie uczęszczać już może na uniwersytet i zamieszka gdzie indziej, zapali po raz pierwszy trawkę, wróci do domu bosą po swojej pierwszej przelotnej przygodzie erotycznej, niosąc przewieszane przez ramię sandały, i po raz pierwszy postanowi, kim tak naprawdę chce zostać... może dopiero wtedy opowie młodszej siostrze, co się naprawdę stało. Nie ze wszystkimi szczegółami, bo w tym wieku będzie już arogancka i programowo zdystansowana, machnie więc ręką i rzuci: „Ja po prostu uważam, że mama i tata zachowali się w tej sprawie jak ostatnie pizdy” albo: „Boże, to przecież było całe wieki temu”. Mogłaby powiedzieć: „Chcieliśmy razem uciec, ale on w końcu wrócił do swojej dawnej dziewczyny. Spotkałam go na ulicy kilka miesięcy temu. Przytył”.

Jednak rozmowa na ten temat jest teraz niemożliwa. Isolde myśli, że gdyby w tej chwili naciskała Victorię o jakieś szczegóły, odpowiedź albo wskazówki, to byłoby tak, jak gdyby chciała przeskoczyć o jeden rozdział do przodu w czytanej właśnie książce. Życie Victorii będzie o dwa kroki przed nią, przed Isolde, teraz i zawsze, a gdyby Isolde ujrzała najpierw drogę, którą będzie musiała kroczyć potem sama, byłoby to zwykłe oszustwo.

– Tak, ale to znaczy, że ty nigdy nie popełnisz tych błędów co ja – mówi Victoria, nie chcąc dać siostrze do zrozumienia, że czeka ją gorszy los.

– Nie – odpowiada Isolde. – Popełnię te same błędy, tylko że kiedy to zrobię, nie będą wydawały się już takie interesujące, bo przecież ty popełniłaś je już wcześniej, więc ja cię będę jedynie naśladować.

– Taak... Nie – mówi Victoria. – Ty masz lepiej. Mama i tata traktują mnie o wiele surowiej niż ciebie. Marnują na mnie całą swoją energię, a kiedy ty będziesz w moim wieku, obniżą wymagania. Poza tym pewnie nie będą już chcieli zawracać sobie tym głowy.

– Taak... Nie – odpowiada Isolde. – Muszę udawać, że ciągle jestem dzieckiem, a to jest do dupy.

– Taak, ale jak ja miałam sześć lat, to dostałam na Boże Narodzenie kredki i kredę, a tobie jako sześciolatce dali taką różową rakietę tenisową w błyszczącym, różowym pokrowcu. Mama i tata z czasem się wzbogacili. Ty miałaś o wiele więcej zabawek niż ja.

– Taak, ale właśnie o to chodzi. Rodzice zawsze porównują mnie z tobą, a ciebie nie mogą porównywać z nikim, bo ty zawsze robisz wszystko pierwsza.

– Pieprzenie – odpowiada Victoria. – Kiedy ostatnio cię ze mną porównywali?

Ta rozmowa to dla nich pocieszenie, bo przecież w duszy wiedzą, że przynajmniej mają gdzieś swoje miejsce, starsza i młodsza siostra – miejsce, które wypełniają tak ściśle i całkowicie, jak ciało Isolde wypełnia stare wgłębienie po kocie w fotelu przy ścianie. Wiedzą, że jest to raczej kwestia niezbędnej równowagi niż coś w rodzaju nieudanego naśladownictwa. Żadna z sióstr nie jest lustrzanym odbiciem rodziców, lecz postrzępioną, zdeformowaną, pokręconą połówką rodzicielskiego zainteresowania i władzy.

– To co jest z tymi chłopakami, z którymi się spotykałaś? – pada pytanie Victorii, a Isolde odpowiada:

– E, nie wiem. Wydaje mi się, że wszyscy chłopcy od Świętego Sylwestra to chujki.

– Też tak myślałam – mówi Victoria. – Jak byłam w twoim wieku.

Środa

W sali prób, gdzie big-band wnosi instrumenty i rozstawia stojaki na nuty, panuje dziwna atmosfera. Uczennice spotykają się na próbie pierwszy raz od trzech tygodni i w głębi serca wszystkie uważają się za zdradzone – nie przez pana Saladina, który był zawsze jowialny, rozczochrany i zwracał się do nich per „księżniczko” albo „proszę pani”, ale przez Victorię, która oszukała ich wszystkich, udając, że jest jedną z nich.

Dziewczęta milczą, kolektywnie cierpiąc z powodu obrzydliwego upokorzenia wynikającego stąd, że dowiedziały się o wszystkim ostatnie. Kiełkuje w nich przekonanie, że Victoria od początku widziała, jakie są zszokowane, ale nic nie mówiła, tylko przez cały czas siedziała wśród nich milcząca i zadowolona jak drobnomieszczkańska hipokrytka, ukrywając swoją tajemnicę. Teraz ze wstydem same wspominają swoje niewinne, nieśmiałe flirty z panem Saladinem, i każde przywołane z radosnym trzepotem serca uczucie zatruwa im świadomość, że on już należał wtedy do niej, już go im wtedy ukradła. Wracają pamięcią do zajęć z instrumentów drewnianych, kiedy pan Saladin podniósł pięść i powiedział: „Właśnie o to mi chodzi”, po czym posłał im chłopięcy uśmiech. Wspominają zabawę na dziedzińcu w porze lunchu, kiedy na chwilę przyłączył się do gry w zośkę, a potem, jak zaczął przegrywać, uciekł, i wspominają dzień, gdy przed próbą zespołu jazzowego podszedł do nich i zaczął mówić o Festiwalu Szekspirowskim, o konkursie muzyki kameralnej i zmianach, które miały nastąpić w kroju ich letnich mundurków...

– Już dawno temu, jeszcze w pierwszym semestrze, powiedział, że Victoria dobrze wygląda w letnim mundurku – odzywa się pierwszy puzon, odkładając na dywan zawór do usuwania skroplin. – Stałam wtedy tuż obok niej.

Świadectwem głębokości ich ran jest to, że udają, jakoby przez cały czas podejrzewały, na co się zanosi. Wszystko, co do tej pory wiedziały na temat miłości i co im o niej mówiono, pochodziło od wtajemniczonych, i dziewczyny nie są przygotowane na przygniatające je brzemię wykluczenia. Dociera do nich, jak wielu rzeczy jeszcze nie widziały i jak niewielkie wzbudzały pożądanie, a wraz z tą świadomością przychodzi bolesne, nowe wyobrażenie siebie jako osoby zmarginalizowanej, nieproszonej i absolutnie drugorzędnej.

– Pan Saladin miał taki dziwny zwyczaj... – mówi perkusistka. – Kiedy leżeli razem w ciemności, a on coś do niej mówił, to nie wiedział, czy Victoria się uśmiecha, i wtedy wyciągał palce jak cyrkiel albo suwmiarkę i starał się nimi dotknąć kącików jej ust. Czasami leżał na boku i trzymał palce na jej ustach, delikatnie, kiedy tak gadali i gadali. Kiedyś oboje często robili sobie z tego żarty. Właśnie taki zwyczaj miał pan Saladin.

Bridget siedzi w kącie, wyciąga saksofon z szarego, puchatego futerału i z roztargnieniem nasadza ustnik. W zeszłym tygodniu kupiła kilka stroików różnych producentów, żeby je wypróbować, i oznaczyła każdy maleńką, czerwoną cyferką, żeby zapamiętać, który jest który. Wyciąga teraz jeden z nich z plastikowego pokrowca i przygląda się mikroskopijnemu numerowi, nim mocno dokręca stroik. Jest twardszy niż te, do jakich przywykła, i pewnie będzie jej od niego krwawił język.

– Moja Cyganeczka – mówi druga trąbka. – Tak ją nazywał. Moja Cyganeczka.

Rozlega się dzwonek. W zamieszaniu słychać niewyraźny stukot odsuwanych krzeseł i szuranie, dziewczyny celują swoimi na wpół zjedzonymi kanapkami do kosza, a potem

siadają w koncentrycznym półkolu, gotowe na przyjęcie dyrygentki.

– Zmusili Victorię, żeby się przyznała, że to się ciągnęło od zeszłego roku – mówi saksofon tenorowy. – Musiała zeznawać na policji i w ogóle.

A potem milczą przez jakiś czas, dochodząc, każda z osobna, do smutnej konkluzji, że to właśnie one zostały oszukane bardziej niż ktokolwiek inny.

Środa

– Jeżeli wyobrażaliście sobie, że z zaplecionymi w warkoczyki włosami i w wyprasowanej szkolnej spódniczce będziecie grać *Sweet Georgia Brown* na saksofonie tenorowym w czasie rozdania nagród dla siódmoklasistek, stojąc nieśmiało w kręgu żółtego światła, to obawiam się, że dokonaliście niewłaściwego wyboru.

Paznokcie nauczycielki gry na saksofonie, którymi delikatnie postukuje o kubek, są dzisiaj krwistoczerwone.

– Saksofon nie mówi takim językiem. Saksofon mówi językiem undergroundu, zmęczonym językiem półmroku: brudnym, seksownym, spoconym i twardym. Mówi językiem sierot, dzieci z nieprawego łoża i kurew.

Bridget stoi z nieruchomym saksofonem w rękach, przypominającym zwiędły kwiat.

– Saksofon to kokaina w rodzinie instrumentów dętych – ciągnie nauczycielka. – Saksofoniści budzą podziw widowni, ponieważ są niebezpieczni, zbadali ciemniejszą, bardziej złowrogą stronę samych siebie. W twoim występie, Bridget, nie widzę niczego nieczystego, seksownego, spoconego ani trudnego. To, co widzę, jest lśniące, wyszorowane do czysta na różowo i białło, wyciszone i wyszczotkowane jak pudel na wystawie psów rasowych.

– Okej – odpowiada nieszczęśliwa Bridget.

Stuk-puk, odzywa się krwawy paznokieć, który postukuje o bok kubka.

– Jak myślisz, czego potrzeba, żeby być dobrym nauczycielem, Bridget?

Zastanawiając się nad odpowiedzią, dziewczyna przygryza wargi.

– Chyba talentu – mówi niezbyt przekonująco. – Trzeba być dobrym w tym, czego się uczy.

– I czego jeszcze?

– Może cierpliwości.

– Powiedzieć ci, czego potrzeba, żeby być dobrym nauczycielem?

– Dobrze.

– Dobry nauczyciel – mówi nauczycielka gry na saksofonie – to ktoś, kto budzi w tobie coś, co wcześniej było uśpione. Dobry nauczyciel zmienia cię w taki sposób, że nie możesz wrócić do swojego poprzedniego stanu ducha, nawet gdybyś chciała. Możesz ćwiczyć, nauczyć się nut, dobrze opanować instrument i zagrać ten kawałek bardzo poprawnie, ale dopóki nie zaczniemy pracować wspólnie, żeby cię sprowokować, rozbudzić coś w tobie i zmienić, to twoje wykonanie nigdy nie będzie więcej niż poprawne.

– Ja po prostu próbowałam zagrać tak, jak mówiła pani Critchley – wypala Bridget. – Przyszła do szkoły za pana Saladina. Mieliśmy z nią dzisiaj zajęcia z big-bandu.

Nauczycielka gry na saksofonie na moment mruży oczy, ale powstrzymuje się od komentarza i tylko pyta:

– Chodzi o panią Jean Critchley?

– Zastąpiła pana Saladina – powtarza Bridget.

– Widziałam kiedyś jej występ na żywo. Gra na trąbce. – Nauczycielka gry na saksofonie staje się nagle powściągliwa i ostrożna, mówi zimnym, spokojnym głosem, mierząc Bridget wzrokiem od stóp do głów, jak gdyby w poszukiwaniu jawnych oznak zdrady.

– A dlaczego pani nie zgłosiła się na miejsce pana Saladina? – pyta Bridget, szeroko otwierając oczy na tę myśl.

– Nie lubię liceów.

– To nazwisko do niej nie pasuje. Pani Critchley nosi czerwone okulary, a chodzi w luźnych T-shirtach, legginsach i trampkach. Na początek powiedziała tak... – mówi Bridget, rozpromieniając się. – „No już, zamknijcie się, żebym mogła wam opowiedzieć o sobie. Przychodzę do was zastąpić tego pana, który miał romans z uczennicą. Oczyścimy atmosferę i od razu postawmy sprawę jasno, żebyśmy mogły iść dalej, trochę pograć i trochę się zabawić. Ale chcę was z miejsca uspokoić: kazali mi obiecać, że nie będę romansować z żadną z was”.

Bridget, która potrafi udatnie naśladować głosy, mruga niewinnie do nauczycielki.

– Czy ktoś się wtedy roześmiał?

– O, tak – odpowiada Bridget. – Tak, wszyscy ją bardzo lubią.

– A więc się śmiali. Z czystej absurdalności tego, co powiedziała. Z tego, że pani Jean Critchley mogłaby uwieść którąś z was, mogłaby przyciągnąć ją ku sobie, stosując jakieś wyrafinowane i zdradzieckie sposoby, że mogłaby popchnąć jedną z uczennic na drzwi szafy z nutami i przycisnąć swój zimny policzek do twarzy swojej wybranki w ten sposób, by niemal dotknąć ustami płatek jej ucha, przypominający piórko. Z tego, że któraś z was mogłaby jej pożądać i wybrać ją sobie na obiekt pożądania i nagrodę. Któraś z was mogłaby się rumienić za każdym razem, kiedy pani Critchley by na nią spojrzała, że mogłaby się jąkać, zacinać i korzystać z każdej okazji, aby zabłąkać się do muzycznego skrzydła gmachu szkoły w nadziei, że tam będzie mogła otrzeć się o nią w korytarzu.

– Tak – mówi Bridget. – Postawiła sprawę jasno. Chodziło jej o to, żebyśmy mogły iść dalej, trochę pograć i choć przez chwilę się zabawić.

– Więc poszłyście dalej, pograłyście trochę i się zabawiłyście.

– Tak – odpowiada znów Bridget.

– A pani Jean Critchley zasugerowała, że w twoim wykonaniu ten kawałek brzmi jak muzyczka z samochodu z lodami.

– Nie użyła takich słów – Bridget wyczuwa, że w jakiś niejasny dla niej sposób to ona bierze górę w tej rozmowie, i prostuje się jeszcze bardziej. – Powiedziała tylko: „Czasami nie chodzi o oryginalność. Czasami chodzi o to, żeby się trochę zabawić”.

Nauczycielka gry na saksofonie marszczy brwi. W głębi duszy zadaje sobie pytanie: czy jest zazdrosna? Przypomina sobie, że Bridget należy do najmniej lubianych przez nią uczennic, że jest dziewczyną, z której szydzi najczęściej i którą sama najmniej chciałaby być. Przypomina sobie, że Bridget jest chuderlawa i myszowata, ma tłustą cerę i kościstą twarz, a także cienki haczykowaty nos i blade rzęsy, przez co przypomina fretkę albo gronostaja.

Jest zazdrosna. Nie podoba jej się myśl o pani Jean Critchley, która jest dowcipna, bezpośrednia i nieustannie apeluje do swoich uczennic, żeby sprawiły sobie trochę frajdy. Nie podoba jej się myśl, że Bridget ma teraz podstawy do porównania pani Critchley z nią, ma sposobność zobaczenia jej, nauczycielki gry na saksofonie, w nowym i innym świetle. To jej

się zupełnie nie podoba.

– Idźmy dalej – mówi. – Myślę, że już pora spróbować czegoś nowego. Czegoś nieco trudniejszego, co sprawi, że będziesz musiała się trochę bardziej wysilić, i wtedy ustalimy na nowo, która z nas rzeczywiście panuje nad instrumentem, ty czy ja. Dobrze?

– Dobrze – odpowiada Bridget.

– Pozwolisz, że znajdę jakiś utwór ósmej kategorii – mówi nauczycielka gry na saksofonie. – Taki, którego pani Critchley nie będzie miała powodu ani możliwości skomentować.

Piątek

Isolde poddaje się po pierwszych sześciu taktach.

– Nie ćwiczyłam – mówi. – I nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

Stoi przez chwilę z prawą dłonią nad klawiszami, w które uderza, jak gdyby kłaskając wilgotno. Napinające się i rozluźniające w jej dłoni ścięgnię rozciągają skórę, która przybiera biały i purpurowy kolor.

Nauczycielka gry na saksofonie patrzy na Isolde i postanawia nie robić jej awantury. Podchodzi do regału z książkami, po czym podnosi plastikową pokrywę gramofonu.

– To pozwól, że odtworzę ci takie jedno nagranie. – Wybiera jakiś album ze stosu płyt i dodaje: – Opowiedz, co było dzisiaj w szkole.

– Chcieli odwołać zajęcia z edukacji seksualnej. W świetle ostatnich wypadków. Wyciągnęli pannę Clark na korytarz. Był tam dyrektor i wszystko słyszeliśmy. Nie wolno nam odtąd nazywać tych zajęć edukacją seksualną. Mamy teraz mówić, że to jest przysposobienie do życia w rodzinie.

Nauczycielka opuszcza igłę z trzaskiem i cichym sykiem. Sonny Rollins gra na saksofonie tenorowym *You Don't Know What Love Is*. Płyta drży niczym liść.

– A czego was uczą na tym przysposobieniu do życia w rodzinie? – pyta nauczycielka, kiedy siadają, żeby posłuchać utworu.

– Uczymy się o chłopcach – odpowiada Isolde tym samym bezbarwnym głosem. – Nakładamy kondomy na drewniane kije. I uczymy się je zdejmować tak, żeby nie pękały. Panna Clark pokazała nam, jakie są elastyczne, bo naciągnęła jeden na swój pantofel.

Isolde na chwilę popada w milczenie i przypomina sobie, jak panna Clark się męczyła, by wciągnąć prezerwatywę na czubek swojego praktycznego pantofla na płaskim obcasie, podskakując na jednej nodze, czerwona na twarzy i zdyszana z wysiłku. „No, udało się! – powiedziała w końcu triumfalnie i pokręciła stopą, żeby wszystkie uczennice mogły to zobaczyć. – Nigdy nie wierzcie chłopakowi, który wam powie, że kondom jest na niego za mały. Powiedzcie mu: «Widziałam, jak panna Clark naciągnęła jeden na swój pantofel»”.

Wciąż gra muzyka. Isolde słucha tylko jednym uchem, wyglądając przez okno na dachy, kominy i druty telegraficzne.

– Właściwie to nie mówią nam za dużo o dziewczynach – zauważa. – O chłopcach uczymy się na takich praktycznych trójwymiarowych modelach i rysunkach komiksowych, a o dziewczynach zawsze na przekrojach i raczej na wykresach niż obrazkach. Jeśli chodzi o chłopaków, to głównie mówią nam o ejakulacji, a w przypadku dziewczyn słyszymy wyłącznie o rozmnażaniu. Tylko o jajeczkach.

Prawdę mówiąc, zajęcia z przysposobienia do życia w rodzinie są prowadzone byle jak

i jest w nich wiele luk. Te lekcje to długie godziny mglistych, niepomocnych suplementów, rysunków i starannych przemilczeń, które bardziej szkodzą, niż pomagają. Większości dziewcząt brakuje kluczowej definicji w ich nowym, kulawym leksykonie słów zakazanych, odczuwają więc pewien niedosyt wiedzy, który je następnie upokorzy, wprawi w zakłopotanie i zdemaskuje, gdyż oczekuje się od nich, by wiedziały już wszystko. Myśląc o gładziutkich jak ich plastikowe modele męskich genitaliach, starannie ułożonych w trójelementowy bukiet, wyobrażają sobie sztywne, prostopadłe erekcje i całkowicie bezwłose jądra oraz członka. Nie słyszały nic o szklistej żywicy, która poprzedza przyływ kobiecego pożądania. Wiedzą, co to jest owulacja, ale nie orgazm, rozumieją co oznacza biseksualizm, nie mają jednak pojęcia, co znaczy „robić laskę”. Ich wiedza przypomina rozdarty artykuł z gazety, z którego pozostała tylko jedna połowa.

– Czy te lekcje są przydatne? – pyta nauczycielka gry na saksofonie. – Dowiadujecie się na nich czegoś nowego?

– Dowiedziałyśmy się, że można odczuwać tylko jeden bodziec naraz – mówi Isolde. – Podniecenie albo strach, ale nie jedno i drugie jednocześnie. Dowiedziałyśmy się, dlaczego taka ważna jest uroda: ponieważ nie można zbrukać czegoś brzydkiego, a zbrukanie to ostateczny cel impulsu seksualnego. I dowiedziałyśmy się, że zawsze można powiedzieć „nie”.

Siedzą wstydliwie zwrócone do siebie półprofilami, jak tego wymaga etykieta lekcji muzyki. Siedzenie na wprost byłoby odczytane jako zbyt poufale, a stanie ramię przy ramieniu przesadnie formalne, ponieważ Isolde i nauczycielka przypominałyby występujące po raz pierwszy na scenie amatorki, które boją się odwrócić od widowni, żeby nie zaszkodzić swojej grze. Dlatego zawsze zajmują pozycje pod kątem czterdziestu pięciu stopni do siebie, typowym dla zawodowców, uwzględniających zarówno scenę, jak i publiczność, i zachowującym delikatną równowagę pomiędzy tym, co podlega ekspresji, oraz tym, co skrywają.

Utwór Sonny’ego Rollinsa odznacza się cienkim, brudnym brzmieniem starego nagrania.

– Zabierz tę płytę do domu, jeżeli uważasz, że może cię jakoś zainspirować – mówi uprzejmie nauczycielka. – Naprawdę wydaje mi się, że saksofon tenorowy pasowałby do ciebie.

– Nie mamy gramofonu – odpowiada Isolde.

Rozdział CZWARTY Październik

Sala gimnastyczna nie wyglądała jak typowe miejsce do ćwiczeń – była płynną przestrzenią, która zdawała się wciągać i wypuszczać z siebie powietrze, a także osiadać wokół przedmiotów i postaci na podłodze. Wielka żelazna konstrukcja, przypominająca akordeon, wciskała się w ścianę plastikowymi krzeselkami dla widzów, a zakurzone, ciężkie zasłony mogły podzielić pomieszczenie na trzy, cztery albo pięć części. Scena składała się z licznych podiów, umazanych kredą i śladami butów, które można było ustawiać w różnych konfiguracjach, do góry nogami, w rzędach albo jedno na drugich, w zależności od potrzeb. Dzisiaj zasłony zostały odsunięte na boki, a pośpiesznie zebrane podia utworzyły pod ścianą barykadę.

– Pantomima to dosłownie wcielenia – powiedział dziekan wydziału ruchu scenicznego, gdy drzwi zostały zamknięte. – Przedstawić jakiś przedmiot pantomimicznie znaczy odkryć jego ciężar i objętość, a co za tym idzie, jego znaczenie. – Mówiąc to, ważył w dłoni coś ciężkiego i niewidocznego. – Zaczynamy się nawzajem rozumieć, kiedy jedno z nas dokonuje podboju oraz okupacji drugiego człowieka. To samo dotyczy wszystkich rzeczy na świecie. Pantomima jest drogą do zrozumienia.

Odwrócił do góry nogami to, co trzymał w dłoni.

Wszyscy byli spięci i czujni, czekali na okazję, żeby powiedzieć coś mądrego, głębokiego albo ciekawego, co odróżniłoby ich od pozostałych kandydatów i zapewniłoby im życzliwość wykładowcy. Niektórzy powoli kiwali głowami, mrużąc oczy i chcąc w ten sposób zademonstrować, że mają wgląd we własną duszę i pogrążeni są w głębokim namyśle. Inni czekali, aż dziekan wspomni o czymś, na czym się dobrze znają, bo wtedy mogliby go osaczyć po zajęciach i zmusić do rozmowy. Stanley siedział z boku, uważny i wyprostowany, choć kiedy tylko mógł, obrzucał innych kandydatów baczny spojrzeniem.

– Pierwszą i najważniejszą kwestią jest to – powiedział dziekan – że musicie wyjść od przedmiotu jako takiego, a nie od jego idei. Widzę, co trzymam w ręce. Widzę ciężar tego przedmiotu, jego kształt i fakturę. Nie jest istotne, czy wy też już go widzicie, czy nie: ważne jest to, że ja go widzę.

Kandydaci próbowali zobaczyć, co dziekan trzyma w ręku. Śledziła go każda para oczu, kiedy powoli przemieszczał się tam i z powrotem. Był bosy, jak wszyscy wykładowcy Instytutu, a kiedy robił krok, jego stopa przesuwiała się z pięty na podbicie powolnym, kocim ruchem, leniwym, chociaż jednocześnie przemyślanym. Stopy miał młeczne i szczupłe.

– Wielu z nas boi się kobiet – stwierdził. – Boimy się kobiety jako kobiety, a pragniemy jej jako dziewicy, madonny albo dziwki. Nie przeciwstawimy się temu lękowi, stając się kobietą, lecz zmieniając się w przedmioty, których ona dotyka, w przestrzenie, przez które się przemieszcza, w urwane gesty, które nie są znakami same w sobie, ale należą do niej i dlatego są jej częścią. Jeśli odkryjemy ciężar tych drobiazgów, kobieta pojawi się przed nami nie jako idea, lecz jako życie i pewna zamknięta całość.

Dziekan zamilkł i obliznął dolną wargę. Kandydaci poruszyli się niepewnie, zastanawiając się, czy powinni zacząć z nim dyskutować, i przez pewien czas nikt się nie odzywał.

Stanley chodził do męskiego liceum i wyraźnie odczuwał obecność dziewcząt w grupie. Pole jego widzenia było nimi usiane jak rozrzuconymi brylantami, ale kiedy rozglądał się po sali, przesuwał po nich wzrokiem tak, jak gdyby nieśmiało patrzył na jakiegoś kalekę albo pijaka, udając, że go nie widzi i się nie wzdryga. Czuł się niezręcznie, czekając, aż któraś z dziewczyn coś powie, a może nawet sprzeciwi się dziekanowi. Utkwił wzrok w podłodze.

– Ja się nie boję kobiet! – zawołał w końcu jeden z chłopców, po czym zabrzmiała fala pełnego ulgi śmiechu.

Dziekan skinął głową.

– Wstań – powiedział. – Powiem ci coś o tobie. – Splótł nagle ręce na piersiach, zapominając o niewidocznym przedmiocie, który trzymał w dłoni, i wtedy ów przedmiot zniknął.

Chłopak wstał. Był szczupły i piegowaty, klatka piersiowa wystawała mu trochę na wysokości mostka, a biodra sterczały ponad ciasną gumką spodni od dresu. Jego ramiona, kostki u nóg i kolana wyglądały na nieco za duże, jakby był figurką z papieru, którą podtrzymują w stawach mosiężne zawiasy.

– Przejdź się – powiedział dziekan. – No już. Przejdź się po sali.

Chłopak zaczął iść. Dziekan przyglądał mu się w milczeniu, aż okrążył salę. Śledził go spojrzeniem, ręce miał nadal splecione na piersiach, a twarz nieruchomą. Gdy chłopak zatoczył pełne koło, dziekan ruszył za nim i zaczął go naśladować. Schował się w sobie niczym żółw w skorupie, wypinając pierś, ściągając łopatki i prostując korpus, dlatego ramiona dziwnie mu zwisały, on zaś wiosłował nimi, jak gdyby szedł pod wodą. Spacerowali w ten sposób przez jakiś czas, a chłopak nieszczęśliwie oglądał się przez ramię i popatrywał na boki, na pozostałych kandydatów, obserwujących ich z sali, nagle świadomy swoich dużych stóp, wypiętej piersi i sztywnych, wiosłujących ramion.

– Możesz już przestać – odezwał się w końcu dziekan. – Dziękuję. – Zwrócił się do grupy. – Czy ktoś z was będzie w stanie powiedzieć mi coś na temat mojego przedstawienia chodu tego młodego człowieka?

Kandydaci poruszyli się z zakłopotaniem, ale nikt nie zabrał głosu.

– Moje przedstawienie było parodią – oświadczył dziekan wydziału ruchu scenicznego po długim milczeniu. – Nie mogło być niczym innym, jako że ja nie znam tego młodzieńca. Jestem już stary, czuję się tu swobodnie i właściwie nie rozumiem jego zdenerwowania, niepewności czy nadziei. W żadnym razie nie potrafię zrozumieć, dlaczego on się tak czuje, bo przecież przyglądałem się, jak chodzi, przez zaledwie piętnaście sekund. Parodiując sposób chodzenia tego młodzieńca, niweczę wszelką złożoność. Redukuję go i obrażam. Wasze przedstawienia też będą obraźliwe, jeżeli dobrze nie zrozumiecie tego, czym będziecie się starali być.

W sali zrobiło się bardzo cicho. Dziekan powiedział:

– Nie uda się wam pantomimicznie oddać tego, czego nie rozumiecie. Nie uda się wam zmienić w śmierć, Boga ani kobietę. Ktoś, kto próbuje zrobić coś takiego, poszukuje raczej szczerości niż prawdy, a szczerość to za mało dla studentów naszego Instytutu. Szczerość to słowo dobre dla straganiarzy, sprzedawców i dziennikarzy. To gadżet, a my nie zajmujemy się tutaj gadżetami. Pantomima. Zaczniemy od tego, co w niej najprostsze. Wstańcie.

Luty

– Zachęcamy naszych studentów, by uprawiali seks – powiedział dziekan wydziału

aktorskiego. – W tym zawodzie trzeba znać swoje ciało. Musicie poznawać samych siebie i badać wszystkie części swojego ciała. Nasi absolwenci powiedzą wam jednak zapewne, że nie jest dobrym pomysłem, abyście spali ze swoimi kolegami czy koleżankami ze studiów. Jest was niewielka grupa, a poza tym związek dwojga aktorów to zawsze katastrofa.

Rozległ się cichy szmer rozkoszy, kiedy studenci przyjrzeni się sobie nawzajem, zacisnęli wargi, wyrócili oczami i zaczęli cicho chichotać na myśl o tym, co powiedział dziekan. Na krótką chwilę każda para i każda kombinacja między nimi stała się możliwa. W jednej chwili wszyscy zmienili się w płodnych, utajonych i strzelistych kochanków, nawet ci niekształtnie zbudowani i bezpłciowi, od których inni mieli potem stronić albo których mieli lekceważyć. Serca zabiły im szybciej.

– Zachęcamy was do badania najskrytszych zakamarków ludzkiego ciała, przekraczania wyznaczanych przez nie granic i sprawdzania jego możliwości – ciągnął dziekan wydziału aktorskiego. – Zachęcamy was, żebyście dbali o swoją sprawność fizyczną, żebyście się zakochiwali, cierpieli i oddawali masturbacji.

Ucieszył go zbiorowy dreszcz, przejawiający się w czymś w rodzaju nagłej, nieruchomej surowości, wszyscy patrzyli ponuro przed siebie, dowodząc z milczącym wysiłkiem, że są na tyle dorośli, aby usłyszeć słowo „masturbacja” wypowiedziane na głos. Chłopcy – którzy jeszcze przed czterema miesiącami tylko by parsknęli i wyciągnęli rękę, żeby pociągnąć najbliższego siedzącego kolegę za kołnierzyk, a potem go odepchnąć, którzy wykrzyknęliby imię jakiegoś kolegi, a potem śmialiby się, gdy wywołany chłopak patrzyłby na nich spode łba, rumieniąc się i zapadając coraz głębiej w plastikowe krzesło, i którzy w piątej klasie szybko i cichaczem rysowali męskie oraz żeńskie genitalia na każdym wykresie w podręczniku otwartym na ich kolanach – ci chłopcy milczeli teraz z szacunkiem i szeroko otwartymi oczami.

Dziewczyny w grupie też nic nie mówiły, zaciskały zęby i nie poruszały oczami. Tylko chłopcy mogli być onanistami, koniowałami i koniobijcami: to oni niejako zaocznie pełnili tę samotną funkcję, był to powszechnie znany fakt, który osłabiał ich poczucie wstydu i nie pozwalał, aby którykolwiek z oskarżonych o masturbację został skazany na ostracyzm albo zatracenie. Dla dziewcząt ta sfera życia pozostawała jednak niewytłumaczalnym tabu. Jeszcze przed czterema miesiącami po prostu zmarszczyłyby brwi, zrobiłyby może nadąsane albo pełne obrzydzenia miny i bardzo nieznacznie zaczęłyby kręcić głowami, żeby na zawsze zakazać poruszania tego tematu w swoim towarzystwie w czasie przerwy na lunch, którą spędzały, siedząc na zapiaszczonej trawie. Czuły się teraz nieswojo: usłyszały, jak dziekan wydziału aktorskiego wymówił to słowo na głos i nagle się przestraszyły, że takie stanowcze i pruderyjne wyparcie się masturbacji jest z ich strony – w oczach mężczyzny, na którym wszystkie chciały zrobić wrażenie – niestosowne. W czasie krótkiego lata, dzielącego liceum i daleki świat, ich kosmiczny potencjometr został przekreślony: samowiedza była teraz wartością, otaczającą dziewczynę czymś w rodzaju łuskowatego mroku i beztroskiej samowystarczalności, a także nadającą jej atrakcyjność życiową, tęskną i sycącą jednocześnie. Dziewczęta siedziały sztywne i spięte na podłodze, starając się wyglądać tak swobodnie i poważnie, jak mogły.

Taka była metoda dziekana wydziału aktorskiego: uświęcić wszystko, co studenci mogli uważać za przyjemne, a potem sprowokować któregoś z nich, by zbladł albo się zaśmiał. I był

to sposób skuteczny. Studenci podnieśli na niego wzrok, nie odwołując się do dumnych i zwykle stosowanych przez nich mechanizmów, które wzbudziłyby w nich potrzebę okrzyku: „Wszyscy się onanizują, tylko nie ja!”.

– Dobrze – powiedział cicho dziekan. – A teraz wstańcie i utwórzcie krąg.

Posłusznie podnieśli się w pośpiechu. Byli niezgrabni, obcesowi i nietaktowni. Starali się rozplątać i stanąć w koło. Dziekan wydziału aktorskiego patrzył, jak nieporadnie wykonują jego polecenie, i uśmiechnął się.

Październik

– Jak myślisz, Martin? – spytał dziekan wydziału aktorskiego, postukując wiecznym piórem w swój policzek. – Wydawało mi się, że numer dwanaście jest bardzo pojętny.

– Chętny do nauki – odpowiedział dziekan wydziału ruchu scenicznego. – Gorliwy, lecz nie niecierpliwy. Powiedziałbym, że to na pewno nasz potencjalny student.

– Takich mamy za wielu – zauważyła pani dziekan wydziału emisji głosu, odwracając tablicę, żeby inni mogli ją zobaczyć. – Musimy zacząć podejmować jakieś konkretne decyzje albo będziemy tu siedzieć całą noc.

– To dlatego, że co roku przybywa nam tak zwanych potencjalnych studentów – odrzekł z irytacją dziekan wydziału aktorskiego. – Tym dzieciakom zaczyna czegoś brakować. Dwadzieścia lat temu byli delikatni, elastyczni i spolegliwi, a teraz są jak drewno. Gdzie nie spojrzeć, widzi się wyłącznie potencjalnych studentów, kurwa.

Opadł z powrotem na obrotowe krzesło, którego resory podtrzymały jego ciężar i nieznacznie wyniosły go do góry, przez chwilę podskakiwał więc gniewnie na siedzisku, dopóki siła podrzutu nie wygasła.

Pani dziekan wydziału improwizacji napisała na tablicy swoim pochyłym pismem: „Ambicja, Pojętność, Umiejętność Współzycia w Grupie, Zdolności”. Napis zwięźzał się, zbliżając do skraju tablicy, dlatego słowo „Ambicja” było znacznie większe od innych, a słowo „Zdolności” już cienkie jak szpic dzidy, dotykający wypukłej, srebrnej ramy tablicy. Dziekan wydziału aktorskiego odchylił głowę do tyłu i przyglądał się coraz mniejszym literom. „Umiejętność współzycia w grupie” była nową kategorią – przez długie lata na jej miejscu figurowały „Relacje z kolegami”, a wiele lat wcześniej „Odwaga”. Gdy dziekan zaczynał tu uczyć, była to właśnie odwaga. Te zmiany oznaczają dewolucję, pomyślał dziekan wydziału aktorskiego.

– Pojętność – odezwał się. – W przypadku chłopców oznacza to ich zdolność do poznawania siebie i męskiego ciała. A w przypadku dziewcząt zdolność zapominania, zapominania wszystkiego, czego nauczyły się o sobie i o ciele kobiety.

– Och, daj spokój – odpowiedziała pani dziekan wydziału improwizacji. – Zachowujesz się tak, jak gdyby chłopcy i dziewczęta należeli do diametralnie różniących się od siebie gatunków zwierząt.

– Po prostu zdaję sobie sprawę, że nie są tacy sami.

– Nie sędzę, żeby aż tak bardzo się różnili. Weźmy tego chłopaka z numerem dwunastym. W jaki sposób jego szanse i decyzje są inne od szans i wyborów którejkolwiek z dziewcząt?

Pani dziekan wydziału improwizacji była dzisiaj zagniewana na dziekana wydziału aktorskiego, złościła ją jego wyniosła, nadąsana mina, znamionująca głębokie rozczarowanie, do którego miał prawo jako dyrektor Instytutu oraz dysponent decydującego głosu. Dąsał się

majestatycznie niczym rozpuszczony król.

– No – powiedział – na przykład ten chłopak nie interesuje się swoją urodą. Nie oczekuje, że każda rola, którą przyjmie, będzie eksponować jego walory fizyczne, i że na każdym zdjęciu podświetlą go od tyłu i trochę je rozmiękczą, żeby zapamiętano go na zawsze takiego jak na fotografii. Dla dobra swojej sztuki jest gotów być brzydki.

– A to bardzo wygodne – warknęła pani dziekan wydziału improwizacji – bo wszystkie role niepiękne, charakterystyczne, i tak są pisane tylko dla mężczyzn.

Dziekan wydziału ruchu scenicznego obserwował ich sprzeczkę zza stołu i zastanawiał się, jakie powinien zająć stanowisko. Wydawało mu się, że dostrzega w swoim starszym koledze gburowatą żyłę mizoginii, nabrzmiałą przez lata w niebieskawe wybrzuszenie na skroni, które nigdy całkiem nie zniknęło, i pomyślał też, że zauważa w swojej koleżance obnażony nerw, jakąś nadwrażliwość, nieprzyzwoitą, krwawiącą formę hysterii, każącą mu się skrzywić i odwrócić wzrok. Dziekan wydziału ruchu scenicznego często się tak czuł: tkwił między dwoma punktami widzenia, w zawieszaniu. Westchnął.

– Nie intelektualizujmy za bardzo tej sprawy – powiedziała w końcu pani dziekan wydziału improwizacji, okazując skruchę. – Liczy się to, że chłopak jest skromny i na tyle chłonny, by próbować różnych rzeczy, wzbogacić swoją osobowość i rozwinąć się jako aktor.

– Pokora – powiedział dziekan wydziału aktorskiego. – W takim razie powinniśmy mieć ją na tablicy. Jeżeli tego szukamy.

Pozostali wykładowcy milczeli. Dziekan wydziału ruchu scenicznego przetarł twarz dłońmi.

– No dobrze. W ten sposób do niczego nie dojdziemy – odezwała się pani dziekan wydziału emisji głosu. – Zgadza się, że numer dwanaście jest pojętny. Co jeszcze?

Przyglądali się fotografii numeru dwanaście, przypiętej spinaczem do jego formularza zgłoszeniowego. Chłopak wyglądał na dość smutnego, miał szeroko otwarte oczy, długie, jasne rzęsy i jasne włosy.

– Ja przy numerze dwunastym zapisałam, że jest wrażliwy – powiedziała pani dziekan wydziału improwizacji.

– Ja też to w nim dostrzegłem – odezwał się dziekan wydziału aktorskiego. – Zanotowałem sobie, że jest dziewiczy.

– To ładnie – odpowiedziała pani dziekan wydziału improwizacji. – Na takim materiale możemy pracować.

Teraz starali się być dla siebie uprzejmi. Za chwilę przyjmą chłopaka, pomyślał dziekan wydziału ruchu scenicznego. Przyjmą go, ale wyłącznie na pokaz: żeby dziekan wydziału aktorskiego mógł się wykazać szacunkiem, a pani dziekan wydziału improwizacji wdzięcznością.

– Byłbym gotów napisać przy nim „Tak” – powiedział dziekan wydziału aktorskiego. – Martin?

Dziekan wydziału ruchu scenicznego wzruszył ramionami. Kiedy był młodszy, wybieranie najlepszych studentów podniecało go tak, jak łakomczucha podnieca wizyta na stoisku z przyprawami, kiedy obracał wszystkie możliwości na języku, pełen nadziei i ambicji na kolejny rok. Teraz, przerzucając formularze zgłoszeniowe, popadał w depresję, a nawet czuł się trochę zawstydzony, jak gdyby sprzedawał produkt, o którym wiedział, że jest bezużyteczny albo bezwartościowy. Za długo prowadził już zajęcia dydaktyczne.

W końcu skinął głową.

– Zgadza się – powiedział.

– Czy wszyscy są za? – spytał dziekan wydziału aktorskiego, zwracając się do kolegów.

Pozostali ponuro podnieśli swoje flamastry. Pani dziekan wydziału emisji głosu raptownie skinęła głową i przyciągnęła białą tablicę do siebie, po czym zdjęła skuwkę z flamastra i dużymi, drukowanymi literami zapisała nazwisko Stanleya jako pierwsze na liście z nagłówkiem „Tak”.

Listopad

Ściskając w dłoniach list z informacją, że został przyjęty na przesłuchanie, Stanley czekał w garderobie, aż go zawołają. Pozostali kandydaci przysiedli wokół niego na fotelach, na ustawionych w stos drewnianych paletach albo na obrotowych krzesłach, umocowanych na stałe przed popękkanymi i zakurzonymi lustrami. Zauważył swoje odbicie w jednym z nich i zdał sobie sprawę, jaki jest przerażony; w wyprasowanej koszuli czuł się sparaliżowany, miał nową fryzurę i długie, bezkrwiste ręce. Jego spojrzenie przesunęło się w lewo i nieoczekiwanie nawiązał kontakt wzrokowy z siedzącym obok chłopakiem. Obaj szybko odwrócili głowy, zawstydzeni, że przyłapali się na obserwowaniu siebie nawzajem w tak intymny sposób.

Wsparł stopy na poprzeczce swojego stołka i rozejrzał się. Liczba zebranych oddawała ich idealną symetrię. Grupa dwadzieścioro ostatecznie przyjętych studentów zawsze składała się z dziesięciu chłopaków i dziesięciu dziewczyn, toteż studenci nie traktowali się właściwie jak rywale: bo rywalizowali niejako obok siebie, równolegle, współzawodnicząc jedynie z przedstawicielami własnej płci. W rezultacie dziewczyny zachowywały się wobec siebie ostrożnie i podstępnie, ale wesoło i flirciarsko wobec chłopców. Chłopcy śmiali się głośno i otwarcie, kiedy się do nich zwracały, poza tym jednak siedzieli z dala od siebie i przyglądali się, jak dziewczęta szybko tworzą między sobą więzy wspólnoty i fałszywej sympatii, używając do tego czegoś pośredniego pomiędzy oszołomieniem i pogardą.

Stanley zaczął przypatrywać się dziewczynom. Nawet jako rywalki skłaniały się ku sobie, rozsiewając płytko nasiona koleżeństwa i wzajemnego wsparcia: „Wiem, że tak nie będzie – mówiły – ale mam nadzieję, że dostaniemy się wszystkie. Mam nadzieję, że tak. Czy to nie byłoby wspaniałe, gdyby nauczyciele wyszli i powiedzieli: «Przyjmijmy je wszystkie?»”. Mówiły też: „Nawet jeśli niektóre z nas się nie dostaną, to zostaniemy w kontakcie”, a inne dodawały: „Właściwie to nie mam szans. Z wami nie. Na pierwszym przesłuchaniu, kiedy odegrałaś ten kawałek o skrzyni z posagiem, płakałam. Jesteś o wiele lepsza ode mnie, i to w ogóle nie jest śmieszne”. Albo mówiły: „W głębi duszy ja po prostu chcę, żeby wszyscy mnie lubili, a nawet kochali”. Jedna z dziewcząt rozmasowywała ramiona drugiej. Wciskała otwarte dłonie w łopatki swojej rywalki, przeciwniczki, którą dopiero co poznała, i powiedziała do niej cichym głosem:

– Będiesz niesamowita. Byłaś niesamowita na pierwszym przesłuchaniu. Dostaniesz się bez problemu.

Później Stanley doszedł do wniosku, że dziewczęta są z natury bardziej dwulicowe, przebiegłe i lepsze w fałszywym kamuflowaniu swojego prawdziwego „ja” – bo charaktery chłopaków po prostu można było szybciej poznać. Uznał, że dzieje się tak za sprawą kobiecego talentu do wielofunkcyjności i dzięki pewnym właściwym czarownicom

umiejętnościom, pozwalającym im zachować podzielność uwagi i pociągać za dwa albo trzy sznurki jednocześnie. Dziewczęta zawsze wiedziały, kiedy są sobą, a kiedy grają, potrafiły odróżnić formę od substancji. Ta ich, jak można by ją nazwać, smykałka do wszechstronności oraz wieczna dwoistość oznaczały, że były w każdej chwili towarem i jednocześnie jego reklamą. Dziewczęta po prostu nieustannie grały. Później, z kwaśną miną, przyglądając ręką włosy na czubku głowy, Stanley pomyślał, że one potrafią się bez przerwy zmieniać, a chłopcy nie.

Zastanawiał się teraz, co będzie trudniejsze dla wykładowców: wybranie nowych studentów spośród dziewcząt czy chłopców? Czy mają tu inne kryteria dla jednej płci, a inne dla drugiej? Inne wzorce testowe, które uwzględniały fundamentalną różnicę pomiędzy podobnymi do siebie, tępowymi chłopakami i tymi wielogłowymi hydrami, dziewczynami? Uświadomił sobie – i temu uświadomieniu towarzyszył skurcz podobny do tego, jakiego dostaje się w wodzie – że wszystkie dziewczęta na sali są piękne, słodkie, smukłe i przypominają wariacje na jeden temat. W przeciwieństwie do nich chłopcy w większości wyglądali dziwnie, ale nieciekawie, i z powodu zbyt młodego wieku jakby nie pasowali jeszcze do swoich twarzy, ramion i dłoni; jedni, ci z tłustą cerą, byli zuchwali, a drudzy chudzi, pryszczaci i mieli chrapliwe głosy. Rozglądając się, Stanley odniósł wrażenie, że chłopcy, którzy przyszli na przesłuchanie, będą grali dziesięć różnych postaci, a wszystkie dziewczyny zagrają jedną rolę. Wstał i odszedł na bok.

W sali panował bałagan: wieszaki na kostiumy, malowane dekoracje, kufry, rusztowania i drabiny, pękate kartony, puszki z farbą, przykryte pokrowcami meble. Pod ścianą, która przylegała do audytorium, piętrzyły się rzędy półek, a na nich stały pozbawione twarzy, polistyrenowe głowy w hełmach, czepkach i koronach. W kącie tkwiła rdzewiejąca zbroja – ręce miała wsparte na wysuniętych do przodu biodrach.

Co pięć albo dziesięć minut wzywano kolejny numer. Wywoływała ich jakaś niesympatyczna, siwa kobieta, która z rozkoszą wykreślała kolejne nazwiska z notesu, a w przerwach między jednym i drugim skreśleniem przyglądała się kandydatom z litością i nieznacznym zainteresowaniem, jak idącym na śmierć gladiatorom w strojach bojowych.

– Numer pięć! – zawołała.

Numer pięć wybiegł nerwowym truchtem z garderoby. Pozostali kandydaci odprowadzili go wzrokiem.

– A co, jeżeli to jest część sprawdzianu? – zapytał numer czternaście, kiedy drzwi się zamknęły. – Co, jeśli nagrywają nas teraz na wideo i obserwują na żywo, żeby zobaczyć, jak się integrujemy?

– A jeśli w ogóle nie ma żadnego przesłuchania? – spytał numer sześćdziesiąt jeden. – Po prostu wywołują nas kolejno z pokoju, a kiedy już napatrzą się do syta, każą nam iść do domu.

– Traktują nas jak szczury doświadczalne – powiedział numer czternaście. Umilkli.

Kilku chłopaków krążyło po pokoju, tupiąc, żeby pozbyć się zdenerwowania, i zerkając na oprawione fotografie zawieszane na ścianie, aby się czymś zająć. Zdjęcia przedstawiały kolejne roczniki absolwentów Instytutu i wraz z rozwojem techniki fotograficznej stawały się coraz ostrzejsze, dlatego najmłodszy studenci połyskiwali jakby wilgocią, kruchością i jasnością, których brakowało ich starszym kolegom. Stanley przyglądał się twarzom tych wszystkich, którzy zostali w Instytucie otwarci, przebudzeni, złamani, którym nie pozwolono

na wytworzenie skorupy wokół siebie, i zastanawiał się, ilu z nich poddało się już dzisiaj i spospoliowało. Na zdjęciach wyglądali na stanowczych i pewnych siebie, promiennych w teatralnym makijażu i sfastrygowanych kostiumach, i było widać, że rumienia się na podniecającą myśl o premierze. Przeszedł wzdłuż całej ściany i oglądał żołnierzy, mnichów, sieroty, piratów, gospodynie domowe, bogów, samurajów oraz grupę jakichś milczących strażników w pierzastych maskach o surowym wejrzeniu, na których widok z niewiadomego powodu przeszył go dreszcz.

– Numer trzydzieści trzy, twoja kolej! – rozległo się wołanie.

Wcześniej, rano, kiedy już wszyscy przyszli, do garderoby wpadł dziekan wydziału aktorskiego, roztargniony i dziwnie przekrzywiając głowę, jak gdyby nosił dwuogniskowe szkła.

– Jedno z pytań, które wam dzisiaj zadamy – powiedział energicznie – będzie dotyczyło tego, dlaczego chcecie uczęszczać do naszego Instytutu i dlaczego chcecie zostać aktorami. Mówię wam o tym zawczasu, żebyście mogli dłużej zastanowić się nad odpowiedzią. Powiem też, że liczę przede wszystkim na to, iż usłyszę prawdę. Nie chcę, żebyście mówili, że teatr napętnia was szlachetną i świętą namiętnością, myśląc, że dzięki takiej odpowiedzi, waszym zdaniem, macie szansę wygrać. Prawda jest najważniejsza. Pozwólcie mi wyjaśnić, o co chodzi – ciągnął dziekan, przez cały czas patrząc na nich znad swego długiego nosa. – Prawie czterdzieści lat temu sam zgłosiłem się na przesłuchanie do Instytutu. Kiedy przyjechałem i czekałem w garderobie tak jak wy teraz, nie przepełniała mnie szlachetna i święta namiętność do teatru. Wiedziałem tylko tyle, że szkoła aktorska wydaje się ciekawsza niż uniwersytet, i sądziłem, że być może nie trzeba tu tyle pracować. Myliłem się co do pracy – uzupełnił, uśmiechając się nieznacznie. – Prawdziwym powodem, dla którego w ogóle poszedłem na studia, było to, że wiedziałem, iż nastoletnie dziewczęta zawsze wołają chłopaków z uniwersytetu. Byłem patykowatym, niezgrabnym nastolatkiem, któremu się w życiu nie wiodło, i chciałem dostać drugą szansę. Pomyślałem, że zapiszę się do jakiegoś college’u, kupię samochód i spróbuję sobie znaleźć dziewczynę. Opowiadam wam o sobie – mówił dalej dziekan wydziału aktorskiego w swój spokojny i roztargniony sposób – bo nie chcę, żebyście kłamali, stając przed komisją. Chcę, abyście mówili prawdę, nawet jeśli jest nudna, wstydliva czy godna pogardy. Nie obchodzi mnie, co mówicie, jeśli tylko będziecie autentyczni i prawdomówni. – Obrzucił ich wszystkich spojrzeniem, uśmiechnął się łagodnie i dodał: – Powodzenia.

Stanley przeszedł od fotografii absolwentów rocznika 1961 do fotografii rocznika 1962 i ku swojemu zaskoczeniu zobaczył na niej dziekana wydziału aktorskiego. Był młody i nieco szczuplejszy, ale miał to samo rozkojarzone spojrzenie, jak gdyby patrzył ponad ramieniem fotografa na coś, czego nie widział nikt inny. Wszyscy studenci byli w mundurach wojskowych, a dziekan siedział z przodu, w kucki, z karabinem na udach i zsuniętą na czubek głowy spiczastą czapką, odsłaniającą ciemny, wypomadowany kosmyk włosów. Stanley pochylił się, by lepiej mu się przyjrzeć, i zastanawiał się, czy ten żołnierz o kwadratowej szczęce znalazł kiedyś dziewczynę.

Luty

Z pachnącej wilgocią, wyłożonej pianką styropianową piwniczki pod zapadnią biegł na lewo i prawo niski, murowany korytarz, a za kanałem dla orkiestry znajdował się drugi, pod

pierwszymi rzędami krzesel na widowni. Te niewidoczne korytarze obramowywały kanał dla orkiestry, tworząc coś w rodzaju podziemnej fosy, rozwidlającej się na dwie szybkie i niedostrzegalne dla publiczności ścieżki między kulisami po obu stronach sceny. Korytarz zewnętrzny ciągnął się wśród starych fundamentów audytorium, oświetlony tuż nad podłogą szeregami zakurzonych lampek, które pomrugiwały czasem, gasnąc i zapalając się na przemian, jeśli ktoś przypadkiem potrącił konsolę sterowniczą. Tunel był wąski i niski, zaprawa murarska krwawiła gęstymi strużkami spomiędzy cegieł, o które przechodzący tędy człowiek ocierał się ramionami po jednej i drugiej stronie, a ze szpar wystawały suche jak pieprz włókna podpodłogowej izolacji, przypominającej watę cukrową. Korytarz wewnętrzny był wyłożony gipsowymi panelami i jeszcze węższy: kiedy spotykało się w nim dwoje aktorów, musieli się objąć i, drobiąc nogami, wykonać szybki obrót niczym obracający się w ciemności żywy kołowrót.

Tajemnice audytorium zdradzano pierwszorocznikom w drugim tygodniu roku akademickiego. W milczeniu przechodzili gęsiego tymi korytarzami, oglądali i testowali zapadnię, podciągali się na linach na nadszcenie i zeskakiwali na dół, niezgrabnie i nieufnie, zaciskając obie ręce na uprzęży i nerwowo wyciągając szyję, żeby sprawdzić, czy wyciąg nie jest uszkodzony. Przechodzili przez nitowany mostek, łączący piętra nadszcenia, oglądając widoczną daleko w dole scenę i wyciągając ręce, by dotknąć biegnących tu i tam grubych, plecionych kabli. Nadszcenie było co najmniej dwa razy wyższe niż proscenium, a dziekan wydziału aktorskiego pokazał im, jak można podnieść cały blok scenografii, który zawisa nad sceną i czeka na sygnał, by opaść z powrotem na dół. Uruchomił windę w kanale dla orkiestry i wszyscy patrzyli, jak podłoga unosi się na poziom sceny. Pokazał studentom ciężki, poruszany silnikiem łańcuch pod fałszywą podłogą, który uruchamiał mechanizm obrotowy, a potem go włączył i wtedy wszyscy zaczęli wirować po milczącej, potężnej orbicie, stojąc w ścisłości na sztywnych nogach jak pionki, kiedy czerwona paszcza audytorium migiała co chwila z każdym obrotem sceny.

Podszedł do nich dziekan wydziału oświetlenia i pokazał im szablony, dzięki którym można było zmieniać światło w cętkowaną wodę i wiatr, a potem zademonstrował nakładki z gazy, dające złudzenie, że scena jest w oddali, reflektory, które mogą uczynić człowieka pięknym, złoczyńcą albo starcem, i specjalny reflektor punktowy o grubej, stalowej rączce, mogący podążać za aktorem po scenie. Zademonstrował im, jak robić światło słoneczne, księżycowe i sztuczny ogień. Jak za pomocą oświetlenia zmienić wnętrze w plener i odwrotnie.

Stali pod żelaznym rusztowaniem i patrzyli w górę na ciężkie, czarne oprawki, uczezione szyn niczym chmura nietoperzy, a czarne osłony, przypominające drzwi od stodoły, zasłaniające albo tylko przesłaniające żarówki, zamykały się i otwierały niczym skrzydła tych układających się do snu niezliczonych latających ssaków. Oprawki były przymocowane do rusztowania stalową obejmą, pozwalającą skierować osłonięty snop światła w dowolne miejsce na scenie: dziekan wydziału oświetlenia pokazał im, jak to działa, fachowo wysuwając kolorowe filtry z przegródek i przesuwając obejmę tam i z powrotem. Wszedł na powyginaną drabinę, wplótł nogi w najwyższe szczeble, żeby utrzymać równowagę, spoglądał na nich w dół, mrużąc oczy, i wolną ręką skubał swoją kasztanową brodę.

Potem pierwszorocznikom zdradzono jeszcze mniej ważne tajemnice, pokazując im tak zwany drzwiozatrask, czyli małą drewnianą skrzynkę wyposażoną w ciężką zasuwę, dzięki

której można było zza kulis symulować odgłos zatraskiwanych drzwi, i tak zwane deszczopudełko, czyli pudełeczko pełne suszonego grochu – potrząsając nim, uzyskiwało się odgłos padającego deszczu. „Pochodzą sprzed powszechnej cyfryzacji”, powiedział dziekan wydziału aktorskiego z ciężką nostalgią, trzęsąc pudełkiem i wypełniając scenę łagodnym bębnieniem. Studenci dowiedzieli się, jak za sprawą fałszywej perspektywy dekoracji udaje się powiększyć powierzchnię sceny. Oglądali rowki i wcięcia, w które wsuwa się płaskie dekoracje, stary wyciąg, rozsuwający czerwoną kurtynę, i półkolistą cykloramę z tyłu sceny, dającą złudzenie nieskończoności przestrzeni, jak gdyby cofała się coraz dalej i dalej, bez końca.

– Audytorium to jest święte miejsce – powiedział w końcu dziekan wydziału aktorskiego, patrząc na nich z powagą, kiedy stali na środku zalanej światłem sceny, wdychając słodki, zapyłony zapach gorących reflektorów i sztucznej mgły. – Nie prowadzimy tu zajęć. Wolno wam wykorzystywać to miejsce dopiero na próbie kostiumowej. I nie możecie tu przychodzić bez nas.

Pierwszorocznicy skinęli głowami. Stanley stał z tyłu, nadal wyciągając szyję w górę, wpatrzony w ogromną czerń nadszcenia i starając się zapamiętać wszystko, co im pokazano. Trochę podziwiał dziekana wydziału aktorskiego, ale w głębi duszy wcale nie był pewien, czy go lubi. W jego zachowaniu było coś zimnego i pulsującego, co Stanleyowi przypominało jaszczurkę albo żabę. Nigdy nie dotknął jego żyłastych, pokrytych plamami wątrobowymi rąk, ale przypuszczał, że są na pewno chłodne, wilgotne i chwytnie.

Wszyscy czekali, że dziekan powie coś więcej, ale on tylko zsunął piętę i szerokim gestem kazał im zejść ze sceny, dając do zrozumienia, że wycieczka się skończyła.

Milczący pierwszorocznicy przechodzili obok niego w szeregu, a dziekan przyglądał się im, jak schodzą po ruchomych aluminiowych schodkach na widownię, idą przejściem wśród długich rzędów krzesel i wreszcie wychodzą na marmurowe światło foyer. Kiedy zniknęli mu z oczu, poszedł na stanowisko oświetleniowca i zgasił reflektory. Stał z ręką na chłodnej, szarej dźwigni, po czym odchrząknął i, kierując się starym nawykiem, krzyknął ostrzegawczo w kierunku nadszcenia:

– Wyciemnienie!

Listopad

Z ostatniej części przesłuchania Stanley wyszedł odurzony. Przystanął koło fontanny w foyer, żeby ochłonić, i przytrzymał się rękami zbiornika. Przez chwilę cicho oddychał, spoglądając poza porcelanowe maski w mglisty środek niedawnego wspomnienia, i po chwili zdał sobie sprawę, że ktoś go obserwuje. Wyprostował się i obdarował widza nieco ponurym uśmiechem. Była to starsza kobieta, zapewne sekretarka; za wielkim biurkiem, stojącym w foyer, wyglądała jak prezenterka telewizyjna, i przypatrywała się Stanleyowi, wspierając policzek na dłoni.

– Chyba żałujesz, że nie przyniosłeś piersiówki – powiedziała. – Pewnie właśnie wyszedłeś z przesłuchania.

– Czy po przesłuchaniu wszyscy wyglądają tak kiepsko jak ja? – spytał Stanley, i jakby na potwierdzenie tych słów niechcący uwydatnił swoją już i tak ułomną postawę ciała, lekkim, gwałtownym ruchem krzywiąc plecy, a ręce opuszczając bezwładnie wzdłuż tułowia. Kobieta zaśmiała się.

– Mniej więcej – odpowiedziała. – Ale powinieneś zobaczyć tych, którzy za bardzo się cieszą. Z mojego doświadczenia wynika, że kandydaci sprawiający po wszystkim wrażenie nazbyt pewnych siebie, zwykle nie dostają się na studia.

– Aha – odrzekł Stanley, nieco prostując plecy.

– Domyślam się, że to twój pierwszy egzamin – powiedziała kobieta. – Niektórzy próbują trzy, cztery, a nawet pięć razy. Ciekawe, czy robią coś ze swoim życiem między jednym a drugim podejściem na studia, czy tylko czekają przez te wszystkie lata, by wreszcie dostać się do Instytutu.

– No – odparł Stanley. – No nieźle. Faktycznie, to mój pierwszy raz.

– Nie za bardzo cię wyprowadzili z równowagi? – spytała. – Na początku potrafią być dość okrutni. Żeby was ułożyć.

Kobieta, siedząca z głową wspartą na ręce w rezonującej echem jaskini foyer, sprawiała wrażenie znudzonej. Wszystkie powierzchnie były tu nagie i czyste, a przez wysoką, szklaną ścianę było widać pusty parking.

– Nie zadali mi zbyt wielkiego bólu – powiedział Stanley. – Nie zrobili mi nic, na co bym nie zasłużył.

Znowu się zaśmiała, a Stanley patrzył na nią. Po raz pierwszy uderzyło go to, że istnieją pewne elementy urody, właściwe jedynie dorosłym kobietom – elementy, których nastolatki mieć nie mogą, jak na przykład wyrażające dobroć zmarszczki wokół oczu i ust, specyficzny sposób ułożenia ciała czy widoczne w jego pozach znużenie, sugerujące nieokreśloną seksualność, jaką odznacza się, powiedzmy, wspaniała, stara, zakurzona suknia z tafty albo teatralna biżuteria z zardzewiałą zapinką. Ta myśl wcześniej nie przyszła mu do głowy. Jak dotąd sądził (choć właściwie wyłącznie podświadomie), że kobieta jest atrakcyjna tylko o tyle, o ile przypomina dziewczynę, że jej atrakcyjność stopniowo zanika, kiedy przekracza dwudziestkę i trzydziestkę, by zostać w końcu pogrzebana przez wiek średni, i że tym, czego kobiety szukają w swojej urodzie, jest coś, co miały kiedyś – poszukiwały zatem piękna w przeszłości, co zawsze było skazane na niepowodzenie. Przypuszczał, że mężczyźni sypiają ze swoimi rówieśniczkami wyłącznie dlatego, że nie udaje im się usidlić nikogo młodszego, albo dlatego, że poślubiają swoje dziewczyny z młodości; nie sądził, aby znużone, żylaste kobiety o figurach w kształcie gruszki były atrakcyjne nawet same dla siebie – wyobrażał sobie, że są czymś gorszym, nagrodą pocieszenia. Teraz jednak, odczuwając słaby dreszcz w udreżonej zdenerwowaniem piersi, ujrzał tę kobietę jakby przez inną soczewkę.

Była umalowana; cienka czarna kreska na jej górnej powiece była zapewne prosta i równiutka, kiedy rysowała ją na rozciągniętym na płasko płatku skóry, ale gdy go puściła, żeby mrugnąć i przejrzeć się w lusterku, kreska się wygięła, nadając sekretarce rozmazany, nieco błazeński wygląd, który kojarzył się Stanleyowi ze starą, miłą kurwą. Kiedy się uśmiechnęła, zauważył, że jeden z jej siekaczy wypełnia szary jak rewolwerowa stal stary amalgamat. Skóra na grzbietach jej dłoni była tak obwisła, że nie widziało się pod nią ścięgien ani żył, a kłykcie przypominały workowate, białe baldaszki. Sztuczna opalenizna, pokrywająca obojczyk i rowek między piersiami, przypominający kształtem literę V, nadawała skórze włóknistą fakturę. Nitki zmarszczek biegingy po niej pionowo i poziomo, tworząc niezliczone rysy i załamki niczym na starym zamszu.

Stanley po raz pierwszy w swoim życiu spostrzegł, że kobieta to nie po prostu bezpowrotnie

postarzała dziewczyna, która poniosła życiową porażkę. Ta kobieta tutaj, sekretarka, była kimś zupełnie innym niż wymalowane i przesłodzone kandydatki na sali przesłuchań: one, pomyślał, Stanley, nigdy nie byłyby w stanie zagrać takiej dojrzałej kobiety, aż do dnia, dopóki same nie staną się takie jak ona – i od tej pory nie mogłyby już więcej grać młodych dziewczyn.

– Co do piersiówki, to ma pani rację – powiedział. – Coś mi się zdaje, że jak stąd wyjdę, polecę prosto do pubu.

– To wypij tam jednego i za moje zdrowie – odpowiedziała kobieta. – Życzę ci szczęścia, jeżeli szczęście ma tu cokolwiek do rzeczy.

Wyszedł na zewnątrz przez podwójne drzwi i otoczyło go senne ciepło późnego popołudnia. Kiedy skręcił za róg, pozostawiając wysokie szczyty dachu Instytutu za sobą, pomyślał, że tego dnia jest chyba dwudziestym studentem, który opuścił salę przesłuchań, przeciął foyer, minął biurko i wdał się przed wyjściem w rozmowę z sekretarką. Zastanawiał się, co mówiła innym i w jaki sposób, i co oni myśleli, kiedy patrzyli jej w oczy.

Październik

– No pokażcie, że jest między wami jakaś chemia – powiedział dziekan wydziału aktorskiego i kiwnął głową na znak, że mogą oboje zaczynać.

– Poznałam go w zeszłym tygodniu na wyłożonym wilgotnym atłasem parkiecie na balu międzyszkolnym – powiedziała dziewczyna. Słowa wylewały się z niej zbyt szybko, przedwcześnie, zanim opanowała zdenerwowanie i znalazła swój rytm. – Wszyscy zbili się ciasno w gęstą grupkę pod sceną, tworząc jakby pętlę wokół chłopaka i dziewczyny, stojących na środku. Chodziło o to, żeby nie widzieli ich nauczyciele. Z zewnątrz wygląda to okropnie, jest ciasno, ludzie się pchają i pchają, jak gdyby chcieli obejrzyć walkę kogutów albo niedźwiedzia w kajdanach, i wymieniają się miejscami w tej pętli. Ja stałam z drugiej strony, po prostu patrzyłam, a wtedy on podszedł do mnie i spytał bardzo cicho, czy chcę się czegoś napić.

Siedziała na skraju podium ze skrzyżowanymi w kostkach nogami, którymi machała leniwie i łagodnie, tak że jej pięty ciągle się poruszały. Stanley stał nieco z boku, trzymając ręce w kieszeniach, i przypatrywał się jej ze spokojem.

– Niedługo odprowadzę cię do domu w niebieskawej ciemności i zapytam, czy masz zimne dłonie, tylko po to, żeby móc cię dotknąć – powiedział Stanley.

– Zapytał, czy chciałabym się czegoś napić – powtórzyła dziewczyna. Nie patrzyła na niego. Znalazła już swój rytm, oczy jej błyszczały. – Myślałam, że to znaczy, że ma jakiś alkohol, odpowiedziałam więc, że chcę. Przy wejściu, znaczy zanim wejdziemy do szkoły, badają nas teraz alkomatami, musimy podawać swoje nazwiska i adresy, i zawsze ni stąd, ni zowąd przychodzi dreszczyk strachu, czy badanie nie wypadnie pozytywnie. Niektórzy chłopcy przynoszą aparaty fotograficzne, napełniają rumem puste pudełka po kliszach i piją, jak wejdą do środka. Albo przywiązują sobie piersiówki na wewnętrznej części uda. Większość przynosi prochy. Ja jednak myślałam, że on ma jakiś alkohol, więc powiedziałam, że chcę. Wtedy zniknął.

– Rozczarowałem się właściwie od razu, kiedy cię zobaczyłem – powiedział Stanley. – Pytałem sam siebie, czy z tak zwyczajnego początku może coś wyniknąć. Patrzyłem na ciebie i myślałem o wszystkim, czego nie uosabiasz. Jeszcze zanim cię zagadnąłem, byłem na ciebie zły, że nie jesteś kimś innym.

– Wrócił – powiedziała dziewczyna – i niewiele brakowało, żebym wybuchnęła śmiechem. Zniknął i kupił nam colę, butelki z lodówki za barem były jeszcze mokre i zmrożone. Otworzył jedną dla mnie z milczącym rumieńcem dumy jak jakiś bohater z czarno-białego filmu, który przypala mi papierosa i przyrządza mój ulubiony koktajl. Przez chwilę rozmawialiśmy o tym, że kończymy szkołę i idziemy na studia, a on powiedział, że chce zostać aktorem, i przez jakiś czas przyglądaliśmy się tej ludzkiej pętli.

– Nie podobałaś mi się – powiedział Stanley. – Nie podobałaś mi się, bo zatrzymywałaś mnie pod tą nieskończoną sceną nerwowej ciszy, rozmów o niczym i zmartwień. Nie chciałem tego, co miałaś mi do zaoferowania. Zostałem, bo wpadłem w złość i chciałem ci pokazać, że moim zdaniem jesteś nudna. Chciałem, żebyś się poczuła nudna.

Dziekan wydziału aktorskiego przypatrywał im się beznamiętnie. Stanley widział go kątem oka, trzymając głowę zupełnie nieruchomo.

– Podjęłam już decyzję – powiedziała dziewczyna. – Nie mógł o tym wiedzieć. Kiedy go ujrzałam, podjęłam decyzję co do tego, jak będzie. Nie miał żadnych szans.

Listopad

– Dlaczego chcesz zostać aktorem, mój chłopcze? – spytał tata Stanleya. Na jego policzkach wyraźnie było widać niteczki naczyń krwionośnych i Stanley tylko dlatego zorientował się, że ojciec jest pijany, bo za każdym razem, gdy mrugał powiekami, pochylał nieznacznie głowę.

– Pytali mnie o to w czasie przesłuchania – odparł. Patrzył, jak ojciec ponownie napełnia kieliszek winem i nagle odechciało mu się szczerości. – Chyba po prostu chcę się dobrze bawić.

– A nie chcesz sławy i pieniędzy?

– Och. – Stanley przyglądał się, jak tata sięga przez stół i opróżnia butelkę, napełniając jego kieliszek. – Nie. To raczej coś jak... nie. Ja po prostu chcę się dobrze bawić.

– Zuch chłopak. Znam jeden kawał, który pewnie ci się spodoba.

– Tak? – Tę część wieczoru Stanley zawsze najmniej lubił. Usiłował odczytać godzinę na zegarku ojca po drugiej stronie stołu. Zamówili już deser, małe kleksiki bitej śmietany i różnokolorowe plamki na wielkich białych talerzach, co oznaczało, że ojciec zaraz wezwie dwie taksówki, wsunie synowi pięćdziesiąt dolarów do kieszonki na piersi, poklepie go po ramieniu i odejdzie. Ulica była lśniąca i śliska od deszczu.

– Jaki jest najczęstszy powód pedofilii w tym kraju?

– Nie wiem.

– Seksowne dzieci.

– Śmieszne.

– Niezły, co?

– No.

– Opowiedział mi go jeden mój pacjent. Mówiłem ci o nim? To ten, który potrafi mówić anielskim głosem. Spodoba ci się. Facet jest naprawdę niesamowity.

Stanley czasami próbował sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby mieszkał z tatą w jednym domu, widywał się z nim codziennie, przechodził obok niego, śpiącego na kanapie, szorującego zęby albo zagląającego do lodówki. Ich coroczny wspólny wypad do miasta zawsze kończył się w innej restauracji, a Stanley mógł skatalogować swój związek z ojcem w liście nazw: The Empire Room, The Setting Sun, Federico's, La Vista. Czasami tata do

niego telefonował, ale dwie sekundy opóźnienia w połączeniach międzynarodowych sprawiały, że wydawał mu się daleki i roztargniony, a Stanley zawsze się bał, że mówi za mało albo za dużo.

– Byłeś wypadkiem przy pracy – tłumaczył mu ojciec wiele restauracji temu. – Nasz związek był swobodny, pełen wzajemnego szacunku i bardzo krótki. Kiedy mama zorientowała się, że jest w ciąży, postanowiła, że zostaniesz z nią, chociaż ja przenosiłem wtedy swoją praktykę do Anglii i było prawdopodobne, że nigdy nie wrócę. Powiedziałem, że zostaniemy w kontakcie i w miarę możliwości będę jej pomagał. No i uratowałem ci życie... Bo mama chciała dać ci na imię Gerald, podjąłem jednak interwencję w tej sprawie.

– Dzięki – powiedział Stanley.

– Nie ma sprawy – odparł jego ojciec, wymachując kawałkiem ośmiornicy. – Ale możesz mi wierzyć, sperma to poważna sprawa.

Stanley patrzył teraz na niego, pijanego, ekstrawaganckiego, rozdokazywanego i śmiejącego się ze swojej opowieści. Trochę bał się ojca. Bał się tego, jak tata wyraża swoje opinie, bał się jego przebiegłej, uważnej niechęci, albowiem nie był pewien, czy powinien się z nim spierać, czy zgadzać. Ojcowski pomysł dotyczący polisy za milion dolarów był typową pułapką, kawałkiem surowej, krwawej przynęty, wyłożonej na stół z szerokim gestem i oszukańczym uśmiechem. Czy tata spodziewał się, że Stanley zacznie teraz krytykować ten pomysł? Powinien go podchwycić czy może raczej skarcić ojca za tę makabryczną i prymitywną propozycję? Nie wiedział. Sięgnął do kieszeni i dotknął brzegu połyskliwej broszury reklamowej Instytutu.

– No, chyba skończyliśmy – odezwał się tata, odstawiając kieliszek na stół i wygładzając klapę marynarki. – Za rok będziesz już wrażliwym, uczuciowym człowiekiem, mój chłopcze.

Listopad

– Opowiedz nam coś o sobie, Stanley – powiedział dziekan wydziału aktorskiego i zrobił gwałtowny gest ręką. – Cokolwiek. Nie musi to być nic istotnego.

Stanley przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. Serce waliło mu w piersi. Członkowie komisji siedzieli pod ścianą z wysokimi oknami, toteż ich twarze znajdowały się w cieniu, a Stanley musiał mrużyć oczy w oślepiającym blasku.

– Nie wiem, czy jestem dobry, jeśli chodzi o emocje – powiedział. W wielkiej sali jego głos brzmiał cichutko. – Jak dotąd nie przydarzyło mi się nic wielkiego. Nikt mi nie umarł, nie stało się nic strasznego. Nie byłem jeszcze nigdy zakochany ani nic w tym rodzaju. W pewnym dziwnym sensie czekam nawet, aż coś strasznego się stanie, żebym mógł zobaczyć, jak to jest.

– Mów dalej – poprosił dziekan, kiedy Stanley urwał.

– Zawsze trochę zazdrościłem ludziom, których spotkała w życiu prawdziwa tragedia – powiedział. – Bo to dawało im coś, czym się mogli karmić. A ja czułem się tak, jak gdybym nie miał nic. Znaczący nie chodzi o to, że chciałbym, żeby umarł mi ktoś z rodziny czy coś w tym rodzaju, ja po prostu chcę pokonywać przeszkody. Pragnę jakiegoś wyzwania. Wydaje mi się, że jestem na to gotowy.

Starał się patrzeć na wszystkich członków komisji.

– W liceum przymierałem jak gdyby różne stroje – powiedział – po prostu żeby zobaczyć, jak w nich jest. Nawet kiedy się wściekałem, denerwowałem albo z kimś kłóciłem, czułem się tak, jakbym coś tylko przymierał, bo chciałem po prostu zobaczyć, jak daleko mogę się

posunąć. W takich sytuacjach zawsze pozostaje jakaś częśćka mnie, która się nie złości i jest spokojna, zaciekawiona albo rozbawiona.

– Dobrze – powiedział nagle dziekan wydziału aktorskiego. – To powiedz nam teraz, dlaczego chcesz zostać aktorem.

– Bo chcę być oglądany. Właściwie nie mam lepszej odpowiedzi. Po prostu chcę, żeby ktoś mnie oglądał.

– Ale dlaczego? – spytał dziekan, którego wieczne pióro krążyło w powietrzu nad kartką.

– Bo jak ktoś nas ogląda, to wiadomo, że jesteśmy coś warci – odpowiedział Stanley.

Rozdział PIĄTY Poniedziałek

– Dziękuję wam wszystkim, że przyszyście – mówi psycholog, kiedy wchodzi Isolde, i unosi dłonie jak polityk albo ksiądz. – Bardzo chciałbym wyjść od tych kwestii, które poruszaliśmy na ostatnim spotkaniu. Pomyślałem, że dzisiaj moglibyśmy porozmawiać o tym, jak jeden człowiek zdobywa władzę nad drugim.

Sala jest prawie pełna. Isolde rozgląda się w poszukiwaniu krzesła, krótkim skinieniem głowy pozdrawiając kilka koleżanek swojej siostry, które przyglądają się jej smutnymi, okrągłymi oczami, jak gdyby wyobrażały sobie siebie na jej miejscu i naprawdę bardzo się nad sobą litowały. Isolde patrzy na nie wilkiem. Osuwa się na krzesło i usiłuje skulić się jak najniżej. Psycholog uśmiecha się do niej okropnym, dumnym, jak gdyby gumowatym uśmiechem, od którego dziewczyna dostaje gęsiej skórki, szybko odwraca więc wzrok, po czym zaczyna oglądać swoje paznokcie i wytarte mankiety szkolnej bluzy. Z trudem znosi pytania, poklepywanie i pieszczoty siedzącej za nią krępej, opiekuńczej dziewczyny, która była tenisową partnerką Victorii w gimnazjum i kiedyś poczęstowała Isolde słodyczami z papierowej torebki pod osłoną drzew na skraju trawnika.

Dziewczyna mości się na krześle niczym tłusta, nastroszona kura i Isolde słyszy, jak zwraca się do siedzącej obok koleżanki:

– Wydaje mi się, że nie mówią jej wszystkiego. Słusznie, to rozsądne.

– Kto mi odpowie, o co tutaj chodzi? – pyta psycholog, rozkładając ramiona, jakby chciał objąć wszystkie uczennice. – Odpowiedź zaczyna się na literę G – dodaje, uciszając te z nich, które zamierzają właśnie zaproponować odpowiedzi niezaczynające się na G. Dziewczęta odchylają się do tyłu i przypominają sobie wszystkie słowa na tę literę, które słyszały dotąd z ust psychologa.

– Granice – mówi w końcu pieszczotliwie psycholog, po czym rozlega się kolektywny wydech. – Granice, dziewczyny.

Isolde siedzi całkiem nieruchomo, nie daje nic po sobie poznać i kryje się w sobie. Jej oczy robią się szkliste, jak gdyby wkładała maskę. Sępy, myśli, wspominając słowo, którego użyła jej matka na widok tchnących autorskim samozadowoleniem nagłówków w porannej gazecie. „Sępy”, powiedziała, a potem schyliła się i z rozmachem rozdarła pierwszą stronę, ale nieskutecznie, bo udało się jej wyrwać tylko kilka słów, a kawałek nagłówka, który pozostał, brzmiał: „Nauczyciel seks”. Sępy, myśli teraz Isolde, kiedy szepty wirują wokół niej, a na twarzy psychologa pojawia się obleśny, jakby rozlazły uśmieszek.

– Może pozwalacie na takie rzeczy, na jakie pozwoliła sobie Victoria, bo po prostu nie wiecie, jak zareagować – mówi psycholog.

Isolde wzdycha, chce umrzeć.

– Dlaczego muszę iść na te zajęcia? – spytała wczoraj wieczorem matkę, z rozmachem odkładając różowy formularz obok mąki i posiekanej cebuli. – Tam będą siódmoklasiści, uczniowie klas muzycznych i ja. Przyjdę jako jedyna piątoklasistka, wszyscy będą o tym wiedzieć, a to jest upokarzające. Wszyscy się nade mną litują. Nie mogę tego znieść.

Mama Isolde przygryzła wargę, jak zawsze, kiedy wiedziała, że nie poradzi sobie z córką.

– Pewnie mogłabyś odmówić i nie iść, kochanie – odparła z roztargnieniem – ale wtedy wyglądałoby na to, że się buntujesz. Ściągnęłabyś na siebie uwagę, a chyba nie tego chcesz. Może byłoby lepiej, żebyś się zgodziła i sama położyła głowę pod topór. Nie wiem. To twoja decyzja. – Uśmiechnęła się w nieco niejasny, ale zachęcający sposób. – Moje biedne jagniątko. – Była to ostatnia rzecz, jaką powiedziała, zanim się odwróciła, by pokroić cebulę, a brak matczynego zainteresowania ogarnął córkę niczym unosząca się nad ogniskiem domowym wilgotna, chemiczna mgiełka.

Isolde chwyciła formularz i wyszła dumnym krokiem.

– Przez ciebie muszę iść na zajęcia z psychologiem – warknęła, mijając Victorię w korytarzu.

– Dlaczego? – spytała Victoria, zatrzymując się z autentycznie zdziwioną miną.

– Bo nauczyciele chcą nas poddać kwarantannie! – krzyknęła Isolde. – Chcą nas trzymać wszystkie w jednym miejscu, żeby choroba się nie rozprzestrzeniła i żeby mieli czas na wynalezienie szczepionki. Chcą nas zapędzić na betonowy podwórzec, kazać nam się rozebrać, splukać nas wodą z węża, wyszorować papierem ściernym, terpentyną i szmatami, zrobionymi z wyblakłych już ze starości męskich slipów. Bo to jest tak, jakbyś zostawiła na nas atramentowe odciski swoich palców, na wszystkich, których znasz, ale szczególnie na mnie, bo to ja jestem najbardziej poplamiona tym atramentem, normalnie ze mnie kapie, spływa mi z nóg, rąk i z czubków palców, a kałuża na podłodze robi się coraz większa.

Victoria stała w korytarzu. Ostatnie promienie słońca kładły się ukośnie na jej twarzy; przez pewien czas nie odpowiadała. Isolde oddychała nierówno i gniewnie przyglądała się siostrze, przystanąwszy w progu swojej sypialni z ręką na klamce, gotowa zatrzaskać drzwi na odpowiedni sygnał. Potem Victoria powiedziała:

– Przykro mi.

– Gównu prawda – odrzekła Isolde. I zatrzaskała drzwi.

– Czy ktoś chce coś powiedzieć, zanim zaczniemy? – pyta teraz psycholog, a jedna z dziewcząt z tylnego rzędu krzyczy:

– Ja!

Isolde jest wciąż zamyślona, zamknięta w sobie i nie odwraca się, kiedy dziewczyna zaczyna mówić. Słyszy jej głos: „Nie zgadzam się z tym, że pan Saladin chciał zdobyć władzę nad tą uczennicą”, ale mija chwila, zanim dociera do niej treść wypowiedzi.

– Przespanie się z osobą nieletnią nie jest podniecające dlatego, że dorosły może jej rozkazywać. Jest podniecające ze względu na wielkie ryzyko. A podjęcie takiego ryzyka jest podniecające dlatego, że można przegrać, nie wygrać.

Isolde odwraca się, żeby popatrzeć na wypowiadającą te słowa uczennicę.

To ta zbuntowana siódmoklasistka o palcach poplamionych atramentem, która pali papierosy za bramkami na boisku do gry w piłkę nożną i zostaje za karę po lekcjach w szkole, z wyrażającym zadowolenie z siebie uśmiechem, który ma świadczyć o tym, że wszystko idzie dokładnie tak, jak zaplanowała. To samotniczka, za bardzo rozgarnięta dla puszczałskich i zbyt nieposkromiona dla swoich mądrych koleżanek, nawiedza więc różne zakamarki i zakątki szkoły niczym ponury, rozczarowany duch. Ścigają ją pełne strachu i złośliwe plotki,

że może być lesbijką.

To, że tych plotek o Julii nie potwierdzają świadkowie ani żadne oficjalne doniesienia, oznacza, że jej seksualność pozostaje nieuchwytna, groźna – choć nie wiadomo, jak bardzo – i w nieprzewidywalny, nieuchronny sposób drapieżna. Sama Julia, zgryźliwa, sarkastyczna, odizolowana od otoczenia dzięki słuchawkom, książkom i zasłonie opadających na oczy włosów, nigdy nie decyduje się na to, żeby rozproszyć oceniające ją szept. Jeśli ktoś ją sprowokuje, potrafi się nachmurzyć i pokazać prowokatorce środkowy palec, ale prowokacje nie są obecnie w modzie, dlatego przez większość czasu koleżanki zostawiają ją w spokoju.

Teraz, kiedy przyglądają się Julii jak jakiejś jarmarcznej atrakcji, a psycholog nerwowo szarpie się za kosmyk włosów na karku, Isolde zdaje sobie sprawę, że atmosfera na sali ulega zmianie. Nad dziewczętami unosi się zimny, świtający strach. Spóźnione zagrożenie ze strony nieobecnego już pana Saladina najwyraźniej maleje w obliczu tego bardziej przebiegłego i nienazwanego zagrożenia ze strony Julii. Uczennice nie boją się po prostu i wyłącznie tego, że jedna z nich wygłasza swoje zdanie: bo Julia je też infiltruje, jest niebezpieczną i ulotną wtyczką, która mogłaby się zacząć podkochiwać w jednej z nich bez ich wiedzy, która w dowolnej chwili mogłaby jedną z nich przywołać w wyobraźni – a przecież w rozkładzie szkolnych zajęć nie ma takich spotkań z psychologiem, które przygotowywałyby dziewczyny na zaloty przedstawicielek ich płci.

– To, że Victoria była niepełnoletnia albo że była dziewicą i tak dalej, nie podniecało go dlatego, że mógł sprawować nad nią większą władzę – mówi Julia. – Podniecało go to, ponieważ miał tak wiele do stracenia, gdyby ktoś się o tym dowiedział. – Przechyliła głowę w charakterystyczny sposób, aby podkreślić szokującą wagę swoich słów. – Nie chodzi o to, że straciłby tylko ją, ale że straciłby wszystko.

Zafascynowana Isolde mierzy ją spojrzeniem od stóp do głów. Zastanawiając się nad tym, co Julia mówi, po raz pierwszy zaczyna odczuwać zaciekawienie panem Saladinem. Tym panem Saladinem, który zobaczył w jej siostrze coś godnego zainteresowania, szeptał jej coś, czego jeszcze nikt nigdy nikomu nie powiedział, zaryzykował i stracił wszystko, co miał.

Dlaczego wybrał Victorię? Isolde po raz pierwszy zatrzymuje się dłużej nad tym pytaniem. Wyobraża sobie okrągłą, wiśniową buźkę swojej siostry i jej szeroko otwarte oczy, a także błysk czerwonej satyny, kiedy sprytnie demonstruje wiszący jej nisko na biodrach pasek u szkolnej spódniczki. Widzi Victorię w big-bandzie, pochylającą się, żeby przewrócić kartkę saksofonem, przewieszonym ukośnie przez jej pierś. Ciężki instrument ściąga pasek na jej szyi w dół, ciasno opinając go na mostku, a górna część saksofonu, złocista i błyszcząca, spoczywa pomiędzy niebieskimi, wełnianymi wzgórkami jej piersi. Potem Isolde myśli: A dlaczego Victoria wybrała pana Saladina?

Na początku, kiedy patrzyła, jak rodzice kłócą się o Victorię i wiszą jej na ramionach niczym symbolizujące sumienie anioły w moralitecie, Isolde odczuwała tylko niewczesne ukłucie niesprawiedliwości, ciekawa, czy rodzice znajdą kiedyś powód, żeby tak samo troskliwie zajmować się nią. Współuczestniczyła w ich zmartwieniu z powagą i przyglądała się Victorii z dystansu, nie przyszło jej jednak do głowy, by zastanawiać się nad panem Saladinem czy wyobrażać sobie, jak krąży po swoim mieszkaniu o ścianach koloru kremowej, wielbłądziej wełny, w szkole wręcza dyrektorowi rezygnację z pracy niczym zбитy pies i ze wstydem dzwoni do swoich rodziców, żeby się przyznać, co zrobił.

Nawet teraz Isolde ma tylko niejasne wyobrażenie pana Saladina. Pamięta go w garniturze, jak prowadzi orkiestrę w czasie pokazowego koncertu z okazji zakończenia roku szkolnego, a raz widziała, jak biegnie z muzycznego skrzydła szkoły na parking dla pracowników – miał wtedy krawat przerzucony przez ramię, a w ręku plik papierów. Przypomina sobie niewyraźnie, jak w czasie pierwszego apelu garbił się na scenie, przeczesał ręką włosy i zerkał ukradkiem na zegarek, kiedy rozwlekłe witano w szkole najmłodsze uczennice. Zwracał się też do każdej dziewczyny „księżniczko” w jakiś taki prowokujący, a zarazem rozpaczliwy sposób, jak gdyby chciał powiedzieć, że nic się nie da z nią zrobić.

Próbuje wyobrazić sobie pana Saladina w kontekście seksualnym, ale bezskutecznie. Rozgląda się i usiłuje umieścić go wśród jego kolegów po fachu. Oto pan Horne z celulitowym rozmazem trądziku, płamiącego jego policzki jak blizna, i kredowymi odciskami palców wokół kieszeni spodni. Pan Kebble, który uczy matematyki i nieświeżej francuszczyzny – plamy potu pod jego pachami rozkwitają jak potajemne sińce. Pan MacAuley z kwestury, arogancki, żwawy, z twarzą, która zza przesuwanych szklanych drzwi lśni niczym jabłko. Isolde wyobraża sobie, jak rozpina im spodnie, wyciąga z nich koszule i z całej siły popycha ich na drzwi magazynku instrumentów. Wyobraża sobie, jak uśmiecha się do nich na lekcjach, od czego ich serca zaczynają bić szybciej. Wyobraża sobie, jak mówi: „A może w przerwie na lunch?”, „Wolę tę koszulę w paski” i „Nie wierzę, że jest za mały. Widziałam, jak panna Clark naciągnęła prezerwatywę na swój pantofel”.

Isolde jest zagubiona w tych myślach, gdy Julia podnosi głowę i patrzy jej prosto w twarz. Potrzeba chwili, żeby pogrążone w szklistym transie oczy Isolde zobaczyły ją wyraźnie, a potem wywraca się jej żołądek i dziewczyna na chwilę wpada w panikę, bojąc się, że może coś zdradziło, o czym myśli. Serce zaczyna jej mocno walić w piersi. Znowu zastanawia się nad tymi plotkami, które podążają wszędzie za Julią jak cień, i nagle czuje się trochę przestraszona, jakby sama wystawiała się na jakieś straszne ciosy, chociaż nie wie dlaczego. Strach każe się jej odwrócić. Psycholog znowu coś mówi, a wszędzie wokół niej dziewczyny kiwiają głowami, pełne satysfakcji, litości i głębokiego spokoju.

Serce Isolde zaczyna znowu bić normalnie. Słowa Julii powracają do niej spóźnionym echem, obmywając ją falą decybeli jak nieoczekiwany, rozchlapany napór wiosennego przypływu. „Nie zgadzam się z tym – powiedziała Julia – że pan Saladin chciał zdobyć władzę nad swoją uczennicą”. Isolde w oszołomieniu i wstydzie osuwa się coraz niżej na swoim krześle, a kiedy rozlega się dzwonek, wymyka się z sali, nie spoglądając za siebie.

Środa

– Bridget – mówi nauczycielka gry na saksofonie – mówiłam ci, że jeśli nie zagrasz tego taktu idealnie za pierwszym razem, to zacznę wrzeszczeć.

– Wiem – odpowiada smutno Bridget.

– Chciałaś, żebym krzyczała? Wyobrażałaś sobie, że ostre krawędzie każdej fałszywej nuty tego taktu wbijają mi się w policzki niczym kolce? Tego chciałaś?

– Nie – odpowiada Bridget.

Nauczycielka rozciąga zalegające między nimi milczenie na trzy króciutkie pauzy. Metronom na pianinie mierzy zawzięty czas.

– Masz problemy w domu? – pyta. – Albo w szkole?

Oczy Bridget napełniają się łzami.

– Dzwoniła do pani mama? – pyta, bojąc się tego, co nieuniknione. – Obiecała, że tego nie zrobi. Zawsze tak mówi, a potem jednak dzwoni.

Nauczycielka gry na saksofonie mierzy ją spojrzeniem od stóp do głów, po czym pyta:

– Czy twoja mama cię okłamuje, Bridget?

Zastanawiając się nad tym pytaniem, Bridget popada w żalosne milczenie.

Ilekcję ktoś jej dokucza, oszukuje ją albo w jakiś sposób źle traktuje, spanikowana Bridget myśli zawsze najpierw tylko o tym, że musi zrobić wszystko, aby nie dowiedziała się o tym jej mama. A mama Bridget składa wizyty w szkole niemal co dwa tygodnie, skarży się, zadaje pytania albo domaga się czegoś w imieniu córki – niezmiennie w imieniu córki – sunącej cicho w ślad za swoją zawsze mającą rację rodzicielką. Raz Bridget słyszała nawet, jak sekretarka szepcze: „Matka robi z tą dziewczyną, co chce. Normalnie co chce”.

– Proszę cię, nie idź do szkoły – powiedziała przerażona Bridget przed tygodniem, kiedy jej mama dowiedziała się, że w zeszłym miesiącu przez pomyłkę zapłaciła podwójnie za wypożyczenie saksofonu dla córki. – Załatwię tę sprawę na zajęciach z big-bandu. Proszę cię, nie przychodź.

– No dobrze – odparła w końcu mama, popatrując na Bridget nieufnym, jakby urażonym wzrokiem. – Ale pamiętaj, żeby wziąć rachunek. – Później jednak w drodze do domu z supermarketu zawróciła i poszła do szkoły, zanim Bridget zdążyła zainterweniować w sprawie saksofonu.

– Mówiłam ci przecież, że załatwię tę sprawę na zajęciach z big-bandu – powiedziała Bridget.

– Przy okazji zapytałam, jakie wdrożono środki w związku ze sprawą tej molestowanej dziewczyny – odrzekła jej mama. Wysunęła opuchniętą stopę z pantofla i rozmasowywała ją powoli. – Powiedziałam, że po tej całej aferze z panem Saladinem chciałabym wiedzieć, jakie podjęto decyzje. – Przyjrzała się córce, wymachując trzymanym w dłoni pantoflem. – Żadne, oto, czego się dowiedziałam. Nic nie zrobili.

– Przecież prosiłam, żebyś nie szła do szkoły – powiedziała cicho Bridget. – I tak już uważają, że robisz ze mną, co chcesz.

– Bridget – powiedziała mama – to moje pieniądze wydajesz na ten saksofon. A ja mogę robić ze swoimi pieniędzmi to, na co mam ochotę. Poza tym nadarzyła mi się okazja, żeby ich trochę pogonić. Bo nic nie zrobili.

Nauczycielka gry na saksofonie czeka spokojnie, aż Bridget skończy wspominać.

– To chyba było kłamstwo – mówi w końcu dziewczyna. – Tak, mama chyba mnie okłamuje. – Na myśl o tym, że zdradziła ją rodzona matka, żołądek wywraca się jej z żalu do góry nogami.

– To podrywa twoje zaufanie do niej – mówi nauczycielka gry na saksofonie.

– Pewnie tak – odpowiada Bridget. Ramię metronomu nadal kołysze się tam i z powrotem, mierząc dzielącą je przestrzeń.

Nauczycielka przez chwilę pozwala temu nieszczęściu ciążyć Bridget, a potem mówi:

– Owszem, twoja mamusia raczyła mnie odwiedzić w zeszłym tygodniu. Po prostu żeby nadrobić zaległości. A wcześniej pokłóciła się z jedną nauczycielką z twojej szkoły.

Na twarzy dziewczyny maluje się panika.

– Co powiedziała?

Nauczycielka gry na saksofonie lubi grać matkę Bridget. Kuli się w sobie, aż wreszcie robi się blada, żylasta, zmięta i nieco zdenerwowana. Bawi się rąbkiem szala, mnie go mimo woli, a kiedy się odzywa, jej spojrzenie krąży niespokojnie po pokoju.

– Bridget nie ma za wiele szczęścia do nauczycieli – oto, co powiedziała mama Bridget. – Nauczyciele jakoś po prostu nie znajdują z nią wspólnego języka. Nie chodzi o to, że ona jest złym dzieckiem... Nie sprawia nam żadnych kłopotów... I nie jest głupia. Ale jest w niej coś, co chyba irytuje nauczycieli. Mam wrażenie, że Bridget po prostu nie daje się lubić, choć nie rozumiem dlaczego. Co zrobić, żeby nasze dziecko było lubiane? Pewnie straciłam okazję, żeby to zmienić. Jakoś mnie ominęła.

Nauczycielka udanie naśladuje matkę Bridget, ale teraz znów jest sobą i robi zadowoloną, pełną nadziei minę, bo wie, że należą się jej najwyższe noty i chce usłyszeć, że na nie zasługuje.

– Ona zawsze opowiada takie rzeczy – stwierdza Bridget ze smutkiem. – Zawsze tak o mnie mówi. Chodzi do moich nauczycieli i opowiada im, że przychodzą mi do głowy różne pomysły. Albo przeciwnie, pyta, dlaczego tak mało myślę i co oni zamierzają z tym zrobić.

– To dlatego, że mama chce dla ciebie jak najlepiej – mówi nauczycielka.

– Nie, wcale nie – odpowiada Bridget. – Ona to robi dlatego, że w jej życiu poza tym nic się nie dzieje i po prostu musi wtykać nos w moje sprawy, bo inaczej zanudzi się na śmierć.

– Daj spokój, Bridget – karcici uczennicę nauczycielka. – Cały ten dramat w twojej szkole, ten skandal seksualny, autentycznie nią wstrząsnął. Martwi się o ciebie.

Taka całkowita przemiana to charakterystyczna cecha rozmów nauczycielki z Bridget. Nagły zwrot zachowania zawsze wywołuje przyjemne zdumienie, mączące wyraz twarzy dziewczyny wstydem oraz bolesnym, nieusuwalnym poczuciem winy, że powiedziała za dużo. Nauczycielka z zadowoleniem przygląda się tym efektom swoich działań.

Bridget przez chwilę żałośnie wpatruje się w zapis nutowy. Jej warkoczyki związane szarymi wstążkami zwisają smutno.

– Powiedziała, że dziękuje Bogu, że jest pani kobietą – odzywa się nieoczekiwanie, jak gdyby po raz pierwszy zastanowiła się nad tymi słowami.

Czwartek

Szkoła, do której tak niechętnie chodzą te dziewczęta, nazywa się Folwark Opata, choć mówi się na nią potocznie Folwark Łopata albo Pyta Opata, w zależności od nastroju czy też nastawienia mówiącego. Chłopcy z mieszczącego się naprzeciwko liceum wiszą na rozpostartych szeroko ramionach wzdłuż żelaznego ogrodzenia i wykrzykują zza krat: „Opat do klopa!”, a kiedy dziewczęta skracają sobie drogę przez teren ich szkoły imienia Świętego Sylwestra, to nieodmiennie krzyczą: „Sylwester z incestem!” albo „Święty z papieru wycięty!”, czasami nie mając przy tym żadnej widowni, ale zawsze poczucie, że wyrównują rachunki.

Dzisiaj Isolde lawiruje po łąsiejącej łące w stronę Folwarku Opata, wydeptując ścieżkę wokół unoszonych wiatrem śmieci i błotnistych kałuż, pokrytych beżową skorupką nocnego lodu. Z kortów do netballu unosi się para, bo słońce już rozgrzewa mokry asfalt, a połatana siatka w bramce na boisku do piłki nożnej lśni od rosy. Linie wymalowane na kortach

wyblakły, z białych stały się brudne, nitkowate i szare. Prawie wszystkie szkolne budynki wyłożone są od zewnątrz kremowym i płowym drewnem, wśród starych zabudowań stoi jednak grupka nowszych, niedawno odmalowanych i jaśniejszych od reszty, rzucających się w oczy niczym połyskliwe kawałki skóry porastającej świeżą oparzeliną. Drzewa zakute są w żelazne obręcze i otoczone ławkami, na których wszyscy uwięzieni kiedyś tutaj uczniowie wyryli swoje imiona i zapisali swój los.

Isolde idzie powoli, patrząc, jak pełzająca plama szarego błota i skoszonej trawy wsuwa się coraz wyżej na czubki jej szkolnych butów i mokre, wełniane skarpetki. Większość dziewcząt wlewa się do szkoły głównym wejściem, toteż Isolde, dzięki Bogu, jest sama w drodze do klasy. Od czasu odejścia pana Saladina cieszy się szczególnym rodzajem swobody, bo wszystkie uczennice zachowują się dziwnie i obchodzą Isolde z daleka, ostrożnie, jak gdyby była ze szkła, a nauczyciele są jacyś ożywieni, roztargnieni i najwyraźniej starają się traktować dziewczynę zwyczajnie, czyli jak powietrze. Cieszy się z tego wyobcowania, choć zdaje sobie sprawę, że odbite światło jej złej sławy zacznie wkrótce przygasać. Z czymś w rodzaju obojętnej pogardy zauważyła, że nikt z nauczycieli nie porównuje jej już do siostry, nawet nauczycielka netballu, która kiedyś tak lubiła powtarzać: „Ej, dziewczyny, słowo daję, chyba ktoś wam w domu dosypuje do herbaty środków pobudzających”.

Isolde kopie zgniecioną puszkę po coca-coli. Postanawia, że będzie ją kopać przez całą drogę do klasy. Rozbrzmiewa pierwszy dzwonek. Dziewczyna wsuwa pod ramię projekt, który przygotowała na angielski – ręcznie wykonany plakat, zwinięty w sztywny, spięty gumkami rulon, umieszczony w tubie.

Rysunek na plakacie przedstawia leżącego w łóżu króla z sercem przebitym mieczem i rozlewającą się na kocu plamę krwi w kształcie Szkocji. Pod spodem Isolde wpisała cytat: „Krwaw się, o krwaw się, biedna moja ziemio!”. Ładnie rysuje, zwłaszcza portrety, a z tej pracy, wykonanej kolorowymi kredkami i węglem oraz spryskanej lakierem w aerozolu, żeby się nie rozmazała w tubie, jest szczególnie dumna.

– Wiesz, że słowo „ziemia” albo „kraj” u Shakespeare’a znaczy zwykle coś takiego jak „pizda” – powiedziała Victoria na widok plakatu, opierając łokcie na oparciu krzesła w jadalni i przyglądając się krytycznie dziełu siostry. – Ludzie w tamtych czasach byli o wiele sprośniejsi.

Isolde odłożyła ołówek i przysunęła sobie bliżej tekst sztuki. Przypatrzyła się niepewnie cytatowi i odpowiedziała:

– Ale tutaj to chyba tego nie znaczy. Nie ma nic w przypisach.

– To przecież wydanie dla szkół, nie? – zauważyła Victoria. – Nie wolno im umieszczać świństw w lekturach. Wierz mi, „ziemia” i „kraj” zawsze znaczą „pizda”. Na przykład w *Hamlecie*. Tylko że w takich wydaniach jak twoje, zamiast: „Myślisz, że myślałem o piździe?”, Hamlet pyta: „Sądziś-li, żem miał w myśli co innego?”. To samo jest ze słowem „nic”. Ono też znaczy „pizda”.

Przez chwilę obie przyglądają się rysunkowi, po czym Victoria dodaje:

– Będiesz się o tym uczyć w siódmej klasie. Kiedy angielski przestaje być przedmiotem obowiązkowym, nauczyciele dopuszczają nas już do wszystkich smakowitości.

– Myślisz, że powinnam zrobić nowy rysunek? – spytała Isolde, ściskając w palcach wiórek zatemperowanej kredki i patrząc na swoje statyczne dzieło zupełnie inaczej niż przedtem.

– Nie, moim zdaniem teraz jest jeszcze bardziej błyskotliwy – odpowiedziała wielkodusznie Victoria, przechylając głowę na bok, żeby go lepiej zobaczyć. – Z tym krwawieniem i w ogóle. Założę się, że dostaniesz najwyższe oceny.

Przed wejściem na parking stoi pan Horne. Isolde po cichu drepcze obok z plakatem pod pachą. Pan Horne co jakiś czas wygraża pięścią strumieniowi wchodzących do szkoły dziewczyn w szalikach i mitenkach, krzycząc: „Zsiądźcie i idźcie pieszo!” do rowerzystek, które stają na pedałach, manewrują między koleżankami i wieszają kaski na kierownicy tylko za jeden pasek.

– Dzień dobry, Isolde! – woła pan Horne, przykładając dwa palce do skroni, jakby salutował. Isolde uśmiecha się, macha do niego i wchodzi na schody prowadzące do skrzydła muzycznego, gdzie znajduje się jej klasa.

Nagle rzuca się na nią jedna z koleżanek, mówiąc:

– Hej, Issie. Wszystko w porządku?

Dziewczyna robi szyderczo-smutną minę, błagalnie wykrzywia kąciki ust i oczyma duszy swojej widzi się jako troskliwa i dobra matka.

Isolde patrzy na nią groźnie.

– To dla mnie niedobry dzień – odpowiada, bo łatwiej jej udawać, że naprawdę tak jest.

Sobota

– „Mężczyzna może mieć władzę i być potężny, a mimo to kochany” – czyta na głos Patsy – „rzadko się jednak zdarza, żeby kobietę kochano za jej siłę... Kobieta powinna być bezsilna. Kiedy więc kobiety zdobywają dzisiaj władzę w naszym społeczeństwie, okazuje się, że coraz trudniej jest im zdobyć miłość”. – Zamyka książkę i patrzy pytająco na nauczycielkę gry na saksofonie. – Zgadzasz się z tą tezą?

Ta scena rozegrała się dawno temu. Nauczycielka gry na saksofonie wygląda młodziej. Skóra pod jej oczami jest bardziej sprężysta, a kreski obwisłych zmarszczek wokół ust nie są jeszcze widoczne. Patsy otoczona jest książkami, papierami i długopisami. Pada deszcz.

Nauczycielka gry na saksofonie rozpięta się na krześle i pełna wątpliwości, rozważa to pytanie.

– Znałam kiedyś takie jedno małżeństwo z dzieckiem – mówi w końcu. – Z małym, może czternastomiesięcznym chłopcem. Jego ojciec pracował całymi dniami, wracał wieczorem do domu, a chłopczyk uśmiechał się, wdzięczył, wyciągał do niego ramionka i popisywał się przed tatusiem. Ale kiedy matka na chwilę go zostawiała, na przykład z kimś z rodziny albo z sąsiadką, jeśli musiała na moment gdzieś wyskoczyć, to dzieciak wpadał w furję. Popatrywał na nią wściekły, odwracał się od niej, nie dawał się nosić na rękach i wył, kiedy podchodziła za blisko. Myślał, że matka nie ma prawa nigdzie wyjść i zostawić go samego. A miłość ojca była warunkowa i należało o nią walczyć. Dziecko musiało zdobyć tatę i to mu się udało, ale miłość matki widziało, słusznie, jako bezwarunkową, kiedy więc matka mu ją zabierała, odczuwało tylko niesprawiedliwość i pogardę. Na początku – ciągnie nauczycielka – było mi żal tej matki. Uważałam, że dzieciak zachowuje się wobec niej strasznie krzywdząco. Ale potem zmieniłam zdanie.

– Zmieniłaś zdanie?

– Tak. Bo matka też miała niejaką władzę nad dzieckiem. Wywierała na nie pewien wpływ. Doszłam w końcu do takiego wniosku.

– Właściwie nie odpowiedziałaś na moje pytanie – mówi Patsy. – Pytałam, czy sądzisz, że im więcej kobiety zdobywają dziś władzy, tym trudniej jest im zdobyć miłość.

– Nie – odpowiada nauczycielka. – Ale protestuję przeciwko takiemu sformułowaniu pytania. Nie zgadzam się z założeniem, że władza i miłość to całkiem osobne zjawiska.

– Ty zawsze masz zastrzeżenia do wszystkich pytań – mówi Patsy z udawaną irytacją. – Nigdy nie dochodzimy do odpowiedzi, bo protestujesz przeciwko każdemu pytaniu.

– Tego właśnie uczy się na wyższych uczelniach. W liceum nauczyciele żądają odpowiedzi, ale na uniwersytecie oczekuje się od studentów tylko tego, że będą zgłaszać swoje wątpliwości co do sposobu formułowania pytań. Właśnie tego chcą od was wykładowcy. Każdy ci to powie.

Patsy wzdycha i zmiata ręką jakiś okruch z okładki.

– Idiotyzm – stwierdza, ale w jej głosie słychać, że się poddaje.

– Na pierwszym roku miałam koleżankę – mówi nauczycielka – która każde wypracowanie zaczynała w ten sam sposób. Powiedzmy, że musiałyby pisać o obrazie przemocy we *Frankensteinie* Mary Shelley. Zaczęłyby tak: „Problem przemocy we *Frankensteinie* Mary Shelley jest dwojakiej natury”. Zawsze tak robiła, bez względu na temat. „Problem nacjonalizmu w Wielkiej Brytanii przed wojną był dwojakiej natury”. Zawsze identycznie.

– A jeżeli dany problem nie był dwojakiej natury? – pyta Patsy, znów patrząc spode łba na książkę leżącą na stole.

– Każdy problem jest dwojakiej natury – mówi nauczycielka gry na saksofonie. – W tym cała tajemnica.

Środa

– Jest w naszej szkole dziewczyna – mówi Bridget – która opowiada różne dziwne kłamstwa. A wydaje mi się, że są dziwne, bo ona chyba nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że kłamie.

– Która dziewczyna? – pyta nauczycielka gry na saksofonie.

– Willa – odpowiada niewyraźnie Bridget. – Ale nie domyśliłaby się pani, że ona kłamie. Jest dobra.

Bridget przez chwilę bawi się stroikiem i podnosi wzrok.

– No bo ja zawsze robiłam taki błąd, że zamiast „zmylić”, czytałam i mówiłam „zmilić”, a przy tym nie wiedziałam, że „zmylić” znaczy też „wprowadzić w błąd”, „zbałamucić”. Myślałam, że istnieje słowo „zmilić”, które znaczy „cyganić”, i że jeśli ktoś panią „zmilił”, to znaczy, że ocyganił. W każdym razie zawsze mówiłam „zmilić”, a nie „zmylić”.

Czubki palców nauczycielki gry na saksofonie dotykają wiszącego na jej szyi instrumentu, a kiedy przesuwa po nim ręką, na blasze pozostają małe, szare owale wilgoci, które marszczą się i błyskawicznie znikają.

– No i ta Willa – kontynuuje Bridget – chodziła ze mną w zeszłym roku na dodatkowe zajęcia z angielskiego i kiedyś usłyszała, jak mówię „zmilić”, a nauczycielka powiedziała mi, że robię błąd i wszystkie się z tego śmiałyśmy, no bo on był przecież taki głupi. No i potem siedzimy sobie całą grupą na lunchu, a Willa zaczyna opowiadać, jak to zawsze myślała, że

jest takie słowo jak „zmilić”, i mówi „zmilić” zamiast „zmylić”. Opowiada nam całą tę historię, jak gdyby to ona była jej bohaterką. Przyglądałam się jej naprawdę uważnie, a ona patrzyła na mnie, kiedy o tym mówiła, była swobodna i śmiała się niby z siebie, i ja naprawdę myślę, że nie wiedziała, że opowiada coś, co w rzeczywistości przydarzyło się mnie. Bo przecież inaczej miałyby niepewną minę, unikałyby mojego wzroku albo coś. Wydaje mi się, że po prostu usłyszała, jak mówię „zmilić”, spodobało jej się to słowo i po jakimś czasie wzmówiła sobie, że to jest jej historia.

– Narobiłaś jej wstydu? – pyta nauczycielka. – Przy wszystkich?

– Nie – mówi Bridget. – Bo wszyscy by pomyśleli, jaka ze mnie larwa.

– Czyli nikt nie wiedział, że Willa kłamie.

– Nie.

– I kiedy następnym razem powiesz „zmilić” przez przypadek, to wszyscy pomyślą, że po prostu chcesz być taka jak ona.

– No – mówi Bridget. – Jeśli jeszcze popełnię kiedyś ten sam błąd.

– I jesteś pewna, że Willa nie wymawia w myślach „zmilić”, ilekroć widzi w druku słowo „zmylić”?

– Nie – odpowiada stanowczo Bridget. – To mój błąd. Poza tym Willa wyśmiewała się ze mnie na tych dodatkowych zajęciach z angielskiego.

– No tak – mówi nauczycielka. – To z pewnością nie jest żadne bohaterstwo, skraść komuś jego historię i przedstawiać ją potem jako własną. Na pewno umiałabym wymyślić coś lepszego. – Znowu porusza ręką, a szare ślady jej wilgotnych palców parują i znikają.

Bridget jest czerwona na twarzy i nie umie składnie wyrazić swojego oburzenia, a nawet wściekłości, jaką odczuwa na myśl o tej kłamczusze, Willi, o tym rabusiu, o tej bezwstydną złodziejce. Bridget nigdy nie ma w zanadrzu zbyt wielu opowieści na swój temat, nawet takich zwyczajnych, ale teraz czuje się trochę uboższa, jej życie jakby odrobinę skarłało, a jej intelekt zrobił się nieco mniej oryginalny ze względu na kradzież, której dopuściła się ta dziewczyna.

– Teraz jednak Willa ma wspomnienie – odzywa się znowu Bridget, brnąc z trudem dalej. – Ma prawdziwe wspomnienie tej opowieści i pamięta każdy przypadek, kiedy nieprawidłowo wymówiła to słowo. I śmieje się z siebie i mówi: „Jaka ze mnie idiotka”, jak gdyby nie mogła uwierzyć, że jest taka głupia. A nie jest. Głupia. Przez cały czas wiedziała, że nie ma takiego słowa jak „zmilić”.

– Może po prostu jest kłamczuchą – mówi nauczycielka gry na saksofonie.

– Ale jeżeli ona nie wie, że kłamie – odpowiada Bridget, teraz już niemal rozpaczliwie – i nikt o tym nie wie, a ona ma prawdziwe wspomnienia...

Urywa, poruszając ustami jak ryba wyjęta z wody.

– To w takim razie może mówi prawdę – uzupełnia w końcu i z roztargnieniem uderza się dłońmi po bokach, jeden raz, drugi, a potem nieruchomieje.

Poniedziałek

– Pan Saladin uczył mnie w piątej klasie – mówi Julia ni z tego, ni z owego na lekcji w poniedziałek po południu.

– Naprawdę? – pyta nauczycielka gry na saksofonie.

– Uczył wychowania muzycznego – odpowiada Julia. – Zawsze myślałam, że jest trochę

ciamajdą.

– Och – mówi zaskoczona nauczycielka, dla której myśl o panu Saladinie jako o ciamajdzie jest całkowicie nowa, obraca ją więc przez chwilę na języku.

– A ona chodziła wtedy ze mną w szkole na muzykę – ciągnie w lekkim rozmarzeniu Julia. – Znaczą Victoria. Musiało to być na długo przedtem, zanim się spiknęli... Nie uczęszczała jeszcze na fakultet z dęciaków. Zastanawiałam się nad tym przedwczoraj i od tej pory ciągle myślę i myślę, i staram się sobie przypomnieć, czy nie widziałam ich kiedyś razem. Czy nie byłam świadkiem jakiegoś incydentu, który mogłabym oddzielić od wszystkich innych zdarzeń z tamtego roku i nadać mu o wiele większe znaczenie, niż naprawdę miał.

– I co?

– Pewnego razu – opowiada Julia – pan Saladin powiedział: „Victorio, jeżeli w ciągu najbliższej godziny jeszcze raz dotkniesz tego magnetofonu, to czeka cię szybka i przedwczesna śmierć, i nawet nie próbuj mnie prowokować, żeby sprawdzić, czy mówię poważnie”. – Julia podnosi płaskie ramiona stojaka, na którym stawia nuty. – Powinnam o tym wspomnieć na zajęciach z psychologiem. – Parska nieelegancko. – A potem powinnam się rozplakać.

– Co było dzisiaj na zajęciach z psychologiem? – pyta nauczycielka gry na saksofonie.

– Że krytyka jest konstruktywna, a porównania są obraźliwe – odpowiada Julia. – Na przykład powiedzieć: „Twoje zachowanie sprawia mi ból” to krytyka, i to jest w porządku. A: „Jesteś jak twoja matka” to z kolei porównanie, i to już nie jest w porządku. Najpierw zostaliśmy o tym pouczeni, a potem odgrywaliśmy różne scenki, psychodramy. Psychodrama to przydatne narzędzie, jeśli chcemy przyjrzeć się jakiejś sytuacji z nowej perspektywy.

Nauczycielka nic nie mówi, czeka, aż Julia skończy opowiadać, i pociera kciukiem szorstki brzeg swojego kubka.

– No to podnoszę rękę – mówi Julia – i pytam: „A co, jeżeli chodzi o związek osób tej samej płci? Bo przecież porównania odgrywają znacznie większą rolę w związkach tej samej płci. Takie jak: Jestem grubsza od ciebie albo bardziej męska, albo: To ja przypominam starą ciotkę, albo: To ja utrzymuję kochankę na boku czy coś w tym rodzaju”. Więc pytam psychologa: „Czy jeżeli porównania są obraźliwe, to pana zdaniem osoby pozostające w związkach homoerotycznych obrażają się częściej niż pary heteroseksualne?”.

Julia kołysze się w przód i w tył, szurając nogami po podłodze w radosnym uniesieniu, otoczona bladą poświatą wybrakowanej nastoletniej logiki, i przypomina sobie przerażającą, pełną obrzydzenia ciszę, która zapadła w klasie, gdy psycholog pocierał czoło, a koleżanki obrzucały ją gniewnymi spojrzeniami w milczącej próżni.

– No i psycholog odpowiada tylko: „Julio, nie rozmawiamy w tej chwili o związkach homoerotycznych. Pan Saladin był dorosłym mężczyzną, a Victoria była nastoletnią dziewczynką. Nie zmieniamy tematu”. I używa czasu przeszłego, jak to zwykle on, jakby oboje nie żyli.

Kończy opowiadać, bierze saksofon i zaczyna grać. Ocenzurowała ostatnią część tej sceny, która rozegrała się tuż przed dzwonkiem, kiedy dziewczęta odwróciły się z powrotem do psychologa, a ten zmarszczył brwi i zaczął szukać notatek. Jedna z najładniejszych uczennic odwróciła się wtedy do Julii i syknęła: „Dlaczego ty zawsze musisz wywoływać takie tematy? Wygadujesz tego rodzaju bzdury na każdej lekcji tylko dlatego, ponieważ chcesz zobaczyć,

jakie czujemy się zakłopotane. Jakbyś nie mogła sobie tego wybić z głowy i mówiła takie rzeczy wyłącznie dla zabawy. To wstrętne”.

Czwartek

Czasami nauczycielka gry na saksofonie stara się wyobrazić sobie dla własnej przyjemności, jak by to było, gdyby zaszły jakieś zmiany w obsadzie. Wyobraża sobie dziewczynę grającą Bridget w pożądanej przez wszystkie roli Isolde, i oczyma duszy swojej przemienia tę uczennicę – rozprasowuje jej tak cienkie, że prawie niewidoczne włosy w lśniącą zasłonę, opadającą stromo na boki ze środka głowy, malując jej policzki na różowo i nadając jej niedbały, zraniony wyraz twarzy, który stał się sygnaturą Isolde. Dodaje srebrny zegarek i delikatny srebrny łańcuszek pod kołnierzykiem jej szkolnego mundurka. Isolde jako postać od czasu do czasu nawija ten łańcuszek na palec albo podnosi go do ust i gryzie, kiedy o czymś myśli, a jego ogniwka wrzynają się wtedy w gładką skórę jej policzków jak cienka, srebrna uzda.

Nie trzeba dodawać, że rola Isolde nie jest pożądana ze względu na jakiegokolwiek cechy tej postaci: wszystkie dziewczęta pragną ją grać ze względu na to, jak blisko skandalu wokół siostry się znajduje. Donośne echo sromoty i hańby czyni ją potężną z takiego samego powodu, z jakiego za potężne uważa się piękne dziewczyny, które mówią: „Ja po prostu muszę przez chwilę побыć sama”, bo wtedy zaczynają przy nich nieustannie skakać różne zatroskane służki z poważnymi minami, szepczące między sobą: „Boję się, że ona może sobie coś zrobić”. Nawet niezbyt rozgarnięta Bridget widzi, że zażyłość, w której Isolde pozostaje z siostrą, wiele znaczy dla jej koleżanek.

Nauczycielka gry na saksofonie uśmiecha się, wyobrażając sobie myszowatą Bridget w roli Isolde. Myśli ciepło, że może mimo wszystko jest jakaś iskierka nadziei dla tej bladej, żylastej, wymiętej dziewczyny, która obgryza końce włosów, podciąga szkolną spódniczkę troszkę za wysoko i rozpaczliwie się stara.

W roli Bridget nauczycielka obsadziłaby dziewczynę, która gra teraz Julię, i w myślach przebiera ją w nieświeży, za duży na nią i nieco pomarszczony mundurek szkolny. Wyobraża sobie zmieniającą się postawę tej uczennicy, myśli, że staje się wycofana, pokorna i wędnie w taki sposób, w jaki marszczy się plasterek boczku, uciekający przed żarem na patelni. Z trzech głównych ról żeńskich rola Bridget byłaby najłatwiejsza, bo Bridget jest ofiarą, a ofiary są łatwe. Po zagraniu Julii postać Bridget byłaby bułką z masłem.

W roli Julii nauczycielka gry na saksofonie obsadza dziewczynę o okrągłej twarzy, która gra teraz Isolde. Taką zmianę najtrudniej sobie wyobrazić, jest bowiem najsubtelniejsza. Nauczycielka uważa, że dziewczyna grająca Isolde jest może zbyt niewinna, żeby zagrać Julię: niewzruszona próżność obrzydzenia, które Julia żywi wobec samej siebie, jest czymś, czego ta niewystarczająco jeszcze zbrukana uczennica nie jest w stanie pojąć.

Nauczycielka myśli z sympatią o swoich podopiecznych, siedząc przy oknie, wspierając podbródek na zaciśniętej pięści i wyglądając na dachy budynków i chmury. Potem rozlega się pukanie do drzwi, odstawia więc kubek z czarną herbatą. Wygląda nogawkę spodni i mówi:

– Proszę.

Poniedziałek

Na środku dziedzińca, na małym kwadratowym kawałku ziemi rośnie miłorząb. Beton wyrusza się i kruszy na wzgórkach wokół podstawy pnia, gdzie rozprzestrzeniają się

korzenie. Opadłe liście zostały wydeptane na pachnącą żółcią pastę, która zapycha rury kanalizacyjne i paskudzi bruk brudną, ziemistą błonką.

Isolde przyszła wcześniej i niewyraźnie słyszy coraz wyższe dźwięki granej na saksofonie tenorowym gamy, spływające znad dachówek na pusty dziedziniec i jego nagi miłorząb. Wyżej wznosi się stara wieża obserwacyjna, zamknięta o tej porze roku dla publiczności; jej białą żebrowaną kopułę plamią smugi zielonego mchu, a żelazne, ażurowe schody wypastowane są ptasimi odchodami i brudem.

Studio nauczycielki gry na saksofonie mieści się w rozległym zespole budynków, w którym było kiedyś muzeum i kilka wydziałów uniwersytetu. Obecnie ceglane czworoboki, krużganki i wąskie, zaskakujące tu ogródki dzierzawi ktoś prywatnie, a dawne sale wystawowe zostały podzielone na biura, studia oraz magazyny.

Saksofon wydaje głos wyższy o pół tonu i ćwiczenie zostaje powtórzone. Isolde spogląda na zegarek: przyszła prawie piętnaście minut za wcześnie. Leniwie kołysze futerałem od instrumentu i rozgląda się po dziedzińcu, żeby znaleźć sobie jakieś zajęcie. Beton jest poczerniały i zmatowiały po niedawnym deszczu, pod rynnami rozlewają się ponure kałuże, a ptaki otrząsają piórka z wody, skacząc między drutami. Isolde niepewnie odchodzi od drzewa i wysokiej wieży obserwacyjnej, zagłębiając się w zaułek w poszukiwaniu piekarni, w której zamierza kupić ciepłą bułkę.

Kiedy przechodzi przez krużganek, dobiega ją niskie dudnienie odległego bębna. Czasami po drugiej stronie, tam gdzie zatrzymują się food-trucki z gorącymi przekąskami, odbywają się bezpłatne przedstawienia teatralne albo występy typu performance, i Isolde w roztargnieniu podąża w ślad za bębniem przez wąski łuk, idąc wykładanym kostką, mokrym zaułkiem, aż dociera do otwartych drzwi.

W połowie ich wysokości przecina je poziomy, stalowy pręt, a w miejscu, gdzie pot tysiący brudnych dłoni wyżarł z niego farbę, widać lśniącą plamę. Drzwi są podparte cegłą, żeby się nie zamknęły, a z wnętrza dochodzą krzyki i wyraźne dudnienie.

Isolde po cichu wsuwa się do środka, drepcze korytarzem i wbiega na schody o pomalowanych na biało krawędziach. Mija garderoby z szeroko otwartymi drzwiami i zdaje sobie sprawę, że najwyraźniej weszła do starego audytorium przez wejście dla artystów. Waha się i już, już ma zawrócić, ale dudnienie bębna staje się coraz bardziej donośne, dziewczyna słyszy głosy, postanawia iść dalej i chociaż zerknąć na to, co się tam dzieje, nim wymknie się z powrotem tą samą drogą. Wkracza w aksamitną czerń kulis i powolutku posuwa się w ciemności, aż wreszcie znajduje szparę w zasłonach.

Zza kulis wydaje się, że na deskach sceny panuje chaos – widać wszystkie linie narysowane kredą i kredkami, a malowane, niezbyt piękne dekoracje stoją krzywo i w tłoku. W kulisach po przeciwnej stronie – porozrzucane rekwizyty i kostiumy. Isolde zauważa tam też nielicznych widzów, których oddziela od siebie drżąca, rozciągnięta zasłona; niektórzy są w kostiumach i czekają w napięciu na palcach na sygnał do wejścia na scenę. Dziewczyna przenika też wzrokiem światła rampy oraz mgliste, ciemne podbrzusze dwukondygnacyjnego audytorium, i na pierwszym planie dostrzega sylwetki aktorów, obwiedzione światłem niczym jasną nicią, jaka otacza tarczę słoneczną w czasie zaćmienia.

Na środku sceny stoi chłopak w szkarłatnym turbanie, starym surducie, rozdartej krezie i poplamionych białych rękawiczkach, za luźnych na niego w nadgarstkach. Nad oczami ma

wymalowane czarne romby, których czubki sięgają jego policzków jak dzidy, wycinając w białym pudrze lepki, tłusty ślad. Nadają mu dziwny, nawiedzony wygląd, wesoły i melancholijny zarazem. Isolde ledwo widzi jego profil, dostrzega tylko łuk policzka, wypukłość turbanu nad skronią i błysk tego czarnego rombu za każdym razem, gdy chłopak odwraca głowę.

– To kompletna talia – mówi chłopak w ciemność, tasując karty do gry, spływające równiutką kaskadą z jego prawej ręki do lewej. – Bez dzokera. Asy mają najniższą wartość. Możecie zatrzymać kartę, którą wyciągniecie. I odtąd będziecie ją zawsze nosili przy sobie jak plugawą tajemnicę.

Z rozmachem rozkłada karty w wachlarz na stojącym przed nim, obitym filcem stole. Wzrok Isolde nabiera teraz ostrości, zauważa więc na scenie inne postaci, ubrane na czerwono i czarno i kłębiące się wokół stojącego na środku chłopaka niczym trędowaci. Chłopak jest wysoki i dumny, stoi w jaskrawej jasności reflektorów i bije od niego blask jak na prześwietlonej fotografii; otoczony mgiełką, patrzy szklistymi oczami pod oślepiające światło.

– Kto wybierze kartę czarnego koloru, będzie odczuwał pociąg do mężczyzn. Kto wybierze kartę koloru czerwonego, będzie odczuwał pociąg do kobiet. Liczby na blokach to wasza wartość seksualna. Dziesiątka oznacza, że jesteście dobrzy; as, że tylko tak się wam wydaje.

W czasie tej przemowy chłopak gwałtownie wyciąga karty z talii lewą ręką, podnosi je dwoma palcami do góry, a potem szybko rozprostowuje dłoń i karta wystrzela ponad jego głowę. Aktor łapie roztrzepotany kartonik prawą ręką, a lewą sięga już po następną kartę ze stołu. Wygląda to trochę tak, jakby żonglował, bo podrzuca raptownie karty po krótkim skosie i chwytą je w powietrzu, zanim spadną na scenę.

– Jeśli wyberzecie jakąś figurę, wasze życie seksualne może się nieco bardziej skomplikować. Najogólniej mówiąc, królowa w dowolnym kolorze zmusi cię do cross-dressingu, król nada ci skłonności sadystyczne, a walet masochistyczne. Jednak są wyjątki.

Werbel wybijany na kotle narasta. Im głośniejszy się staje, tym bardziej chłopakowi zaczyna się spieszyć. Jego ruchy robią się coraz szybsze, krtań zaciska się mocniej, a głos brzmi bardziej stanowczo. Czarno odziane postaci na scenie zaczynają się wić.

– Król karo to jedyny król, który trzyma topór zamiast miecza. Dlatego jest znany jako Człowiek z Toporem. Jeśli wyciągniecie Człowieka z Toporem, wasz apetyt seksualny może przerodzić się w perwersję. Poza tym wszystkie figury są przedstawione en face, z wyjątkiem trzech: dwóch waletów i jednego króla, których widzimy z profilu. Jeśli wylosujecie któregoś z tych trzech jednookich, będziecie skłonni do samooszukiwania się i nieuczciwości. Najważniejszą figurą jest jednak królowa pik.

Ktoś z tyłu ciężko i boleśnie zderza się z Isolde, która chwieje się i gwałtownie odwraca. Jakiś chłopak zaplątał się w zasłonę, klnie, chwytą pełną garść tkaniny, żeby ustać, bo nogi ślizgają mu się na wytartych, kredowych deskach, i macha drugą ręką, jakby coś piłował, starając się odzyskać równowagę. Niezdarnie próbuje utrzymać berło, które dzierży w dłoni, rekwizyt upada jednak ze stukotem na podłogę i wtacza się pod fałdę zasłony.

Chłopak mierzy Isolde przenikliwym wzrokiem, marszcząc brwi.

– Co ty tu robisz? – syczy, schylając się, żeby podnieść berło.

– Ja tylko patrzyłam – mówi Isolde, pospiesznie robiąc krok w tył, kiedy chłopak gramoli się w półmroku. – Przepraszam.

– Stanley! – szepcze gniewnie jeden z trędowatych na scenie. – Stanley, twoja kolej!

Isolde nie ma czasu, żeby powiedzieć coś więcej. Chłopak chwytając swój monarszy rekwizyt, prostuje się i biegnie na scenę, poprawiając koronę i błyskawicznym ruchem podrzucając berło, bo zaraz obejmie go światło. Kiedy Isolde widzi go po raz ostatni, zanim roztapia się w ostrym blasku na scenie, dostrzega oblicze Stanleya, rozdarte pomiędzy swym naturalnym wyrazem i jego karykaturą, zmieniające się od wewnątrz jak powierzchnia wody w wannie, która zaczyna się marszczyć i zapadać po wyciągnięciu zatyczki.

Serce dziewczyny ciągle mocno bije po zderzeniu i Isolde ogarnia nagle wstyd, że nieproszona przygląda się przedstawieniu. Odwraca się i po cichutku wychodzi, wraca po pomalowanych z przodu na biało schodach, po których tu weszła, idzie bezszelestnie wąskim korytarzem i wreszcie gwałtownie wypada na pachnące miłorzębem jasne światło dnia.

Rozdział SZÓSTY Kwiecień

– Maski czy twarze? Ciągłe zadaję sobie to pytanie. Maski czy twarze.

Dziekan wydziału ruchu scenicznego opierał się o kaloryfer w sekretariacie, oplatając kubek szczupłymi palcami i nieco szklanym wzrokiem przyglądając się z marsową miną bladej plamie na linoleum.

– Ta wysoka dziewczyna – powiedział. – Dzisiaj. Zagrała ten kawałek... Ten kawałek z... Zagrała dzisiaj taki kawałek... Och, podpowiedzcie mi.

Dziekan wydziału aktorskiego położył sobie gazetę na kolanach i spojrzął na niego znad szkielec swych okularów.

– „Duchy, morderczych towarzysze myśli, do mnie tu! Duszę moją odniewieście, a najczarniejszym jadem okrucieństwa od stóp do głowy napełńcie mnie całą! Tak”.

Dziekan wydziału ruchu scenicznego drżał przez chwilę.

– Ona nigdy nie zagra tej roli przekonująco. Tkwi w pułapce tych swoich okrągłych oczek i idealnej symetrii łagodnej twarzy. Kiedy na nią patrzyłem, skupiałem się tylko na tym, że ona nigdy nie będzie w stanie myśleć tymi kwestiami. Nie ta dziewczyna. Nie ta twarz. Nigdy by się nie odważyła na coś takiego. Gdybym zobaczył ją w tej roli na scenie, wystąpiłbym i powiedział: „Lady Makbet była po prostu fatalna”. – Dziekan wydziału ruchu scenicznego potrząsnął głową z rozgoryczeniem. – Przyglądam się im wszystkim i widzę tyle nadziei, energii i determinacji uwięzionych w twarzach, które nigdy się nie sprzedadzą, które nigdy nie będą wyjątkowe... To są współczesne, rozpieszczone, jedwabiste oblicza, nieznające tragedii, trudności ani skrajności, a nawet... Boże, większość z nich prawie całe swoje życie spędziła we własnym wnętrzu. Ta dziewczyna... dzisiejsza lady Makbet. Wygląda jak z plastiku. Jest za łagodna i za miękka, by mogła być prawdziwa. Nigdy nie pozbędzie się tej łagodności i miękkości. Nigdy nie pozbędzie się tej twarzy.

– Jesteś dzisiaj w bardzo ponurym nastroju, Martinie – powiedział dziekan wydziału aktorskiego, rozpakowując aspirynę i zręcznie wrzucając ją do swojej kawy. – A ta dziewczyna nie wydawała mi się taka słaba. Jej świeżość nawet mi się podobała. „Wejdźcie w pierś moją, mleko w żółć przemieńcie...” Pomyślałem, że to było cudownie uwodzicielskie. Nie próbowała być wcieleniem zła.

– Nie próbowała być wcieleniem zła, bo nie rozumiała ani jednego słowa, które wypowiadała, do cholery – warknął dziekan wydziału ruchu scenicznego.

Zapadła cisza. Martin schylił głowę i zaczął pić duszkiem ze swojego kubka, nieelegancko, łapczywie, dysząc pomiędzy jednym gorącym haustem i drugim, a kiedy przełykał kawę, gardło zaciskało mu się jak u gada.

Dziekanowi wydziału aktorskiego nagle zrobiło się żal kolegi, odłożył gazetę i pomyślał: To zwyczaj kawalera; kogoś, kto przywykł jeść sam. Jego niechęć do świata zawsze ma taki strasznie osobisty wymiar. Czuje się rozczarowany za każdym razem na nowo, ilekroć coś nie wypada całkiem idealnie, i obnosi się z tym swoim rozczarowaniem na twarzy jak dziecko. Dowodziło to pewnej naiwności, dziwnej jak na mężczyznę w jego wieku; naiwności, która była czymś w rodzaju sabotażu dokonywanym na samym sobie, bo dziekan wydziału ruchu

scenicznego wiedział przecież, że się rozczaruje, a mimo to wierzył, że do tego nie dojdzie.

Instynkt popychał go ku prostocie i sumienności, choć wcale nie zaliczał się do pedantów. Był natomiast nerwowy, niezdecydowany i marudny, rozdarty pomiędzy dwoma punktami widzenia. Zawsze tkwił w cieniu zasad, w cieniu jakiejś zalanej światłem katedry, gdzie w ciemności roi się od nietoperzy, i chociaż mógł ją podziwiać, wielbić i bać się zarysów jej masywnej sylwetki, to nie potrafił zmusić się do tego, żeby wreszcie jej naprawdę dotknąć; nigdy nie zapuka do jej drzwi i nie wejdzie do wnętrza.

Dziekan wydziału aktorskiego patrzył, jak Martin krzywi się, groźnie zagląda do kubka z kawą, ściąga łopatki i rzuca głową na boki, jak gdyby zrobiło mu się za ciasno w swojej skórze.

Wydaje się, że on gdzieś w głębi duszy ciągle jest nastolatkiem, który nie stracił jeszcze tej samolubnej, ślepej zdolności, żeby się zakochać, i to nieszczęśliwie, myślał dziekan wydziału aktorskiego. Zastanawiał się, czy nie jest zazdrosny o jego nerwowość i udrękę, wynikające z konieczności dokonywania wyborów, a także o jego bolesne poczucie porażki i bankructwa sprawiedliwości na świecie.

– Przyjęliśmy kiepskich studentów w tym roku? – spytał dziekan wydziału aktorskiego. – To dlatego jesteś taki przygnębiony?

Jego młodszy kolega opadł na krzesło niczym przekłuty balonik.

– Nie – odrzekł, rozciągając to słowo w sposób budzący poważne wątpliwości.

– Zadałeś sobie pytanie, maski czy twarze.

– Tak – odparł dziekan wydziału ruchu scenicznego i westchnął. – Kiedyś wierzyłem w twarze. Przez całe swoje dotychczasowe życie. Ale wydaje mi się, że chyba zmieniam zdanie.

Luty

Ilekcio w Instytucie zamykały się jedne drzwi, to drugie się otwierały, delikatnie trzaskając, targane jakimś niewidocznym przeciągiem, którego nie można było opanować. Ruchliwy przewiew wytwarzał w budynkach uczelni szeleszczącą, upiorną atmosferę. Kiedy Stanley zamykał drzwi za sobą, zawsze nasłuchiwał, czy usłyszy te otwierane gdzie indziej, niczym wierne echo dobiegające z cieni w głębi korytarza. Wszystkie kłamki klekotały, a emalię pokrywała pajęcza sieć cieniutkich pęknięć, przypominająca brudną koronkę.

Rok akademicki zaczął się od przygotowanego z rozmachem przedstawienia *Króla Lira*, wyreżyserowanego przez studentów ostatniego roku, a główne role zagrali dumni wykładowcy w połyskliwych kostiumach w odcieniach burgunda i szarości. W postać tytułową wcielił się poprzedni dziekan wydziału aktorskiego, pozostający od dawna na emeryturze, żylasty mężczyzna o długich zębach i z cienkimi, siwymi włosami, wystrzyżonymi starannie nad czołem jak u mnicha. Mniej więcej miesiąc po ostatnim przedstawieniu jego świeżo wyprasowany kostium powieszono na łuszczącej się ścianie w korytarzu. Kołnierzyk był wciąż czarny od krwi, wypływającej z pustych oczodołów byłego dziekana i skapującej lepкими, szkarłatnymi kroplami z jego posiwiąłego, nieogolonego podbródka.

Rok zaczął się na dobre. Przedstawienie *Króla Lira* było po części prowokacją, mającą na celu napędzenie strachu pierwszorocznikom i zaprezentowanie im dziedzictwa, o którego przejęcie będą musieli walczyć. Okazało się to skuteczne – na pewien czas. Początkowo patrzyli na wykładowców i starszych studentów z czymś w rodzaju pełnego uniżenia szacunku,

ale stopniowo zaczęli się nadymać, nabierając pewności siebie dzięki uporowi i wierze w swój talent.

– Jestem aktorem. – Stanley ze zdziwieniem słyszał swój głos i po chwili ciszy przekonywał się, że to stwierdzenie sprawia mu przyjemność, a nawet dodaje sił. – Studiuję w Instytucie Dramatu – dodawał i zadowolony czekał, aż jego rozmówca powie: „Ach, w tym Instytucie. Podobno bardzo trudno się tam dostać, nie? Widocznie jesteś dobry”.

Pierwszych kilka tygodni nauki minęło im w zamieszaniu i podnieceniu. Studenci z naboru Stanleya byli początkowo niezdecydowani we wzajemnych relacjach, pokorni i nieśmiali, ale prawda wyglądała tak, że wszyscy starannie przygotowywali sobie miejsce w grupie: ci, którzy chcieli, żeby uważać ich za osoby śmieszne, tragiczne, ekscentryczne albo głębokie, zaczęli wyznaczać swoje terytorium, wymyślać dla siebie zwięzłe, stenograficzne epitety i zgłaszać pretensje do określonego typu osobowości, żeby inni nie mogli ich w tym ubiec. Dziewczyna mogła na przykład rzucić się w ramiona swoich koleżanek i kolegów, którzy zakończyli zajęcia z ruchu scenicznego i szli właśnie na lekcje emisji głosu, i zawołać: „Boże, uwielbiam was! Uwielbiam was wszystkich!”, tylko po to, aby zapewnić sobie w grupie miejsce jako osoba bez wątplenia miła. A jeśli to miejsce było już zajęte, to pozostali pospiesznie starali się ujawnić swoje talenty towarzyskie, muzyczne albo intelektualne, zagarniając dla siebie małą przestrzeń, w którą nikt inny nie miałby już wstępu. Studenci mówili więc: „Esther jest taka zabawna!” albo: „Z Michaela jest taki straszny drań!”, i w ten sposób każde z nich bez problemu zapewniało sobie bezpieczeństwo na dwóch frontach, jako osoba i typ charakterologiczny.

Stanley nie był pewien, co go wyróżnia z grupy jako osobę. Na początku zachowywał się wstrzemięźliwie, pozwolił więc innym chłopakom objąć role przywódcy, gracza i błazna, przyglądając się z czymś w rodzaju niepewnego uznania, jak ciężko pracują, by zapewnić sobie podziw i publiczność. Sądził, że chce, aby myślano o nim jako o osobie wrażliwej i rozważnej, ale nie starał się o to zbyt energicznie i stanowiska te zostały wkrótce zajęte. Okazało się, że kompletnie przyćmiło go kilku bardziej ambitnych ponuraków, którym wszyscy uważnie się przyglądali, żeby zobaczyć, w jaki sposób odrzucają włosy z czoła, chudzielców, którym wystawały z teczek tanie wydania Nietzschego, chłopaków o nieśmiałych minach, znamionujących samotność, wiecznie podenerwowanych i lekko niedożywionych. Ilekroć któryś z nich zabierał głos, studenci z szacunkiem odchylali się do tyłu, żeby ich posłuchać.

Z tego powodu Stanley został po cichu zaliczony do grona przeciętniaków. Podobnie jak oni pielęgnował jednak niewielką nadzieję, że pewnego dnia się odkuje i przebije ich wszystkich, chociaż ta nadzieja była naprawdę bardzo nieśmiała, a Stanley rzadko błyszczał na zajęciach.

– Jeszcze zrobimy z ciebie ludzi – powiedziała Stanleyowi któregoś ranka pani dziekan wydziału improwizacji, wyciągając rękę i stukając go palcem w pierś. – Tam coś jest, coś, co pewnego dnia po prostu dojrzeje, z dnia na dzień. Zobaczysz.

Odeszła, pozostawiając chłopaka z gorącym echem dotyku swoich palców i poczuciem radosnego spełnienia, które pozostało z nim na całe dni i tygodnie. Zabrał się odtąd energiczniej do swojej metody aktorskiej, popędzany do pracy przez zarazek pewności siebie, pęczniący w jego piersi tak, że mało nie pękła. Zaczął wierzyć, że dojrzeje, i zachowywał się niczym kleryk, z pobożną nadzieją oczekujący odpowiedzi Boga na swoje modlitwy. Nabrał więcej cierpliwości do własnych porażek, czuł się bezpiecznie i pewnie, bo wiedział,

że któregoś dnia, już niedługo, z pewnością mu się uda.

– To dziwne – powiedziała później pani dziekan wydziału improwizacji w sekretariacie, przerywając na chwilę, żeby perłowym czubkiem paznokcia policzyć oczka, a potem rozprostowała płachtę wełnianej robótki, chcąc się przekonać, ile już zrobiła. – Dziwne, że aż tak pieścimy ich ambicje. Widzę, jaki to ma na nich wpływ, jak ich to rozpala, i czuję się odpowiedzialna, a nawet winna, jakbym dawała dziecku prawdziwy pistolet.

– Wszyscy aktorzy są zepsuci przez swój zawód – odparł dziekan wydziału aktorskiego, potrząsając gazetą i składając ją z szelestem wzdłuż zagięcia. – Nady mamy ich miłość własną, żeby zrekompensować im to wszystko, co zostało w nich stłumione i złamane. Nie robisz im krzywdy, Glendo. Po prostu łagodzisz cios.

Większość szkolnych kolegów Stanleya już się rozjechała, połknęły ich miejscowy uniwersytet i politechnika, niektórzy spakowali się i wyjechali za morze szukać lepszych szans, a on się zagrzebał w Instytucie. Pierwszorocznicy musieli spędzać na uczelni długie godziny i Stanley coraz częściej znajdował powody, by przychodzić tu w weekendy do biblioteki albo iść z książką na galerię w sali tanecznej, skąd mógł się przyglądać, jak weekendowe grupy szkolne uczą się baletu, tańca ze skakanką i podstaw anatomii. Wynajął mieszkanie na spółkę z dwoma kolegami z pierwszego roku, szczupłymi, poważnymi facetami, którzy podobnie jak on właściwie zrezygnowali z życia poza aktorstwem. Instytut pochłaniał teraz Stanleya bez reszty, chłopak oddawał mu się całym sercem i myślał czasem o tym skwaszonym pracowniku technicznym, dźwigającym w ramionach stary gramofon. Widział go już kilka razy w drodze na wydział plastyczny i z powrotem; zawsze ciągnął za sobą jakieś puszki z farbą, worki ze ścinkami tkanin i niewykończone jeszcze kukiełki, jeżące się od igieł.

W domu chłopcy rozmawiali wyłącznie o aktorstwie, filmie i teatrze, o przedstawieniach ulicznych i rewolucji, czując się przytulnie w skorupie anonimowości ludzi, którzy jeszcze nic nie osiągnęli, chociaż kręciło się im w głowie, jakby stali razem i osobno na granicy jakiegoś nowego, nienaniesionego jeszcze na mapy świata. Gadali długo w noc, na wytłuszczonych skrawkach gazet robili notatki do sztuk, które mieli dopiero napisać, i wyobrażali sobie, że pewnego dnia może będą im płacić za opowiadanie różnych cudownych kłamstw.

– Kiedy ktoś napisze nasze biografie – mówili współlokatorzy Stanleya – wszystko to znajdzie się w rozdziale pierwszym, poprzedzającym wielki przełom, po którym staniemy się sławni i kiedy już wszystko zacznie nam wychodzić. To właśnie ten rozdział zainteresuje i zainspiruje czytelników, albowiem pokaże im, że jesteśmy normalnymi ludźmi, takimi jak wszyscy; ludźmi, którzy zaczynali zwyczajnie, byli niegdyś ubodzy, borykali się z przeciwnościami losu i mało zarabiali. Dlatego rozdział pierwszy zostanie najciekawszym rozdziałem w całej książce.

Stanley zaczął patrzeć na siebie inaczej, cenił w sobie to, co mógłby wykorzystać, i ostrożnie sondował swoje słabości, zarówno bojąc się, jak i mając nadzieję, że może wyjść z tych badań poobijany albo załamany. Jego tata, który nigdy dotąd nie był zbyt ważną postacią życia codziennego Stanleya, zaczął mu się jawić jako źródło tragedii, warte eksploatacji oraz osuszenia. Coraz częściej mówił o swoim ojcu na zajęciach. Stopniowo i nieświadomie zaczął uważać się za postać tragiczną – nie za normalną ofiarę mąk dorastania, lecz za osobę skrzywdzoną jeszcze głębiej, za postać królewską, za bohatera emocjonalnego. Wieczorami wdychał, walił pięściami w poduszkę, a czasami płakał.

– Wieczny arywista – powiedział w sekretariacie dziekan wydziału aktorskiego z czymś w rodzaju ojcowskiego zdziwienia. – Dostajemy ich za późno, w tym problem. Powinniśmy prowadzić szkołę dla szesnastolatków, wtedy otrzymywaliby dyplomy w wieku lat dziewiętnastu. I musieliby zrezygnować z liceum, żeby się do nas zgłosić. To by im dobrze zrobiło.

– Są już ukształtowani, kiedy do nas trafiają – powiedział dziekan wydziału emisji głosu. – Psychicznie. Moralnie. Teraz wszystko dzieje się tak szybko.

– A oni tak bardzo kochają samych siebie – dodała pani dziekan wydziału improwizacji, mocno szarpiąc kłębek wełny, który potoczył się pod stół. – To jest najtrudniej w nich złamać.

W kafeterii studenckiej piętro niżej siedziała grupka studentów pierwszego roku, pogrążonych w podobnej dyskusji. Stanley słuchał, dłubiąc widelcem w szarym plastrze pieczeni wieprzowej.

– Trzeba podziwiać tych, którzy do nas zdają – powiedział jeden z nich. – Ludzi gotowych wystawiać się na pokaz i bawić tymi aspektami swojej osobowości, które najbardziej narażają ich na cierpienie i czynią bezbronnymi. To najodważniejsi ludzie na świecie.

Kwiecień

Drobna mgiełka zacinającego deszczu zaciemniała dachówki i pokrywała puchnący mech cienką błonką srebrzystej rosy. Stanley rozłożył się na winylowej kanapie, jakich wiele stało na korytarzu w skrzydle technicznym. Leżał niedbale na wznak, oplatając nogami rurę od kaloryfera, i czytał, wciskając kciuk w górną część rozłożonej książki, żeby się nie zamknęła.

– Lektura na zajęcia z dramatu jakobińskiego? – spytała jedna z dziewcząt z pierwszego roku, podchodząc bliżej i przysiadając z kłapnięciem na podłodze.

– No – odparł Stanley, nieznacznie przesuwając kciuk, żeby zaznaczyć, w którym miejscu przerwał. – Dostałem *Tragedię mściciela*. A ty?

– *Alchemika* – odparła dziewczyna, otwierając torbę i wyciągając podniszczoną książkę. – Jeszcze nie zaczęłam. O czym jest ta twoja?

Stanley zastanawiał się przez chwilę, a potem odpowiedział:

– O takim jednym facecie, który się przebiera, żeby pomścić śmierć kogoś, kogo kochał, ale kiedy dokonuje zemsty, okazuje się, że nie może pozbyć się przebrania. Stał się tym kimś, kogo tak długo udawał. – Odwrócił książkę, aby jeszcze raz spojrzeć na okładkę, na której widniał mężczyzna w pelerynie, usiłujący zgwałcić kościotrupa. Trupia czaszka była kolorowa, brzoskwiniowo-szkarłatna, kości policzkowe miała pokryte różem, a oczodoły podkreślone lśniąco czernią.

– Ekstra – powiedziała kompletnie niezainteresowana dziewczyna. Westchnęła i wyciągnęła nogi, po czym schyliła się, by złapać się rękami za palce u stóp jednej z nich. – Wczorajsze zajęcia z tańca kompletnie mnie wykończyły. Kulałam przez całą drogę do domu. Normalnie kulałam.

– No – odrzekł Stanley. Zawiesił głos na chwilę, zastanawiając się, co powiedzieć. Już, już miał zacząć mówić, jak bardzo się poci na zajęciach z tańca, ale powstrzymał się, chociaż miał już te słowa na końcu języka. Mało brakowało, żeby w samoponiżający się sposób zaczął pleść coś o swojej kondycji fizycznej, znów jednak zawiesił głos i zaczął szukać czegoś do powiedzenia o wykładowcy tańca albo o jego zajęciach, za długo się jednak nad tym zastanawiał. Uświadomiwszy to sobie, zastygł nagle w bezruchu, ogarnięty jeszcze większym

strachem. Dziewczyna zmieniła pozycję i zaczęła rozciągać mięśnie drugiej nogi. Wystrzępiony *Alchemik* zsunął się z jej kolan na podłogę.

– Wykładowcy tańca w tej szkole to sadyści – powiedziała. – Popatrz na ten siniak.

Stanley popatrzył. Smukłe paluchy szarości i fioletu przecinały jej udo, stapiając się powyżej kości w czerwonawą chmurę. Dziewczyna malowniczo rozcierała siniec jednym palcem, a drugą ręką odciągała gumkę spodni od dresu, żeby odsłonić obolałe ciało.

– Nieźle – stwierdził Stanley.

– Ale właściwie to ja dostaję siniaków od byle czego – powiedziała dziewczyna. Ukryła siniec pod gumką od spodni i powróciła do rozciągania mięśni.

– Wiesz, ta moja sztuka jest w zasadzie dość dobra. – Stanleyowi rozwiązał się teraz język, spróbował więc jeszcze raz, bez przekonania uderzając *Tragedią mściciela* o swoją nogę. – Taka makabryczna i pełna obrzydliwości.

Dziewczyna zerknęła na okładkę.

– Czy to w tej sztuce jeden facet przybija drugiemu sztyletem język do podłogi?

– No! – odparł Stanley. – A potem ten przyszpilony, już umierając, musi patrzeć, jak jego żona uprawia seks z nieślubnym synem tego drugiego.

– No tak, znam tę scenę – powiedziała dziewczyna.

Jej obojętność wydawała się definitywnie zamykać rozmowę, jak gdyby z trzaskiem, po którym nie następowało jednak echo. Westchnęła. Stanley bębnił palcami i zastanawiał się przez chwilę, czy powinien na nowo otworzyć książkę i czytać dalej. Wybrał wyjście kompromisowe, bo odwrócił ją i zaczął czytać notkę na czwartej stronie okładki.

– A ty nie masz siniaków po wczorajszym? – zapytała dziewczyna, mrużąc oczy i mierząc Stanleya od stóp do głów zaciekawionym spojrzeniem.

– Ja po prostu strasznie się spociłem – odpowiedział, czując, że obmywa go fala zrezygnowania, jak gdyby przez cały czas wiedział, że to powie. – Bardzo się pocę na zajęciach z tańca.

– To obrzydliwe – powiedziała dziewczyna i znów dotknęła siniaka przez gumkę od spodni, ostrożnie obejmując palcami swoje biodro.

Marzec

– Pokażcie, że jest między wami jakaś chemia – powiedział dziekan wydziału aktorskiego i skinieniem głowy kazał obojgu zacząć.

Tym razem Stanley siedział z podwiniętymi nogami na ławce parkowej, kuląc się z zimna. Powietrze było rześkie, pachnące miłorzębem.

– Widziałem cię tu wcześniej – powiedział Stanley. – Szłaś na zajęcia z muzyki i omijałaś opadłe liście na drodze.

Dziewczyna przystanęła w pewnej odległości od niego. Zsunęła instrument z ramienia i postawiła futerał przed sobą, wspierając się na nim rękami niczym kasjerka w punkcie poboru opłat na autostradzie. Stanley znów się odezwał.

– Myślałem, że może mógłbym spróbować cię przekonać, że jesteś coś warta. Jeśli miałabyś ochotę. Może w najbliższy weekend. Pocałowałbym cię dopiero wtedy, kiedy byłabyś już zupełnie pewna, że możesz mi zaufać. Zaopiekowałbym się tobą. Słowo.

– Dlaczego? – zapytała dziewczyna.

– Bo wydajesz mi się interesująca – odparł Stanley. – Chciałbym cię bliżej poznać.

Wiatr owiał rąbek jej spódnicy i zaczął nim delikatnie szarpać. Poczawszy na nogach podmuch, dziewczyna zacisnęła kolana.

– W zeszłym roku – powiedziała – stałam po zajęciach z netballu na przystanku autobusowym. Podjechał jeden chłopak na rowerze, uśmiechnęłam się do niego i zaczęliśmy rozmawiać o wspólnych znajomych, a potem on zapytał: „Wiesz, co zrobiłem mojej dziewczynie na walentynki? Dziecko”. No to uśmiechnęłam się i powiedziałam: „Gratuluję”. A on spojrzał na mnie spode łba i odpowiedział: „Rany boskie, musieliśmy pojechać do lekarza. Ona ma dopiero szesnaście lat”.

– Nie rozumiem.

– Nie ma już dzisiaj czegoś takiego jak niewinność – zauważyła dziewczyna – jest tylko ignorancja. Wydaje ci się, że są takie miejsca, gdzie można znaleźć czystość, ale to nieprawda. Jesteś tylko ignorantem. Wszystko, czego jeszcze nie wiesz, upośledza cię.

– Ale ja widzę w tobie coś wspaniałego – powiedział cicho Stanley. – Coś, co cię różni od innych. Widzę w tobie czystość.

– Jedyna różnica pomiędzy mną i każdą inną dziewczyną – odpowiedziała Isolde bez ogródek, chociaż z czymś w rodzaju przyjemności – polega na tym, za jaką cenę i w jakich okolicznościach jestem gotowa ulec.

Kwiecień

– Walka na scenie – powiedział dziekan wydziału ruchu scenicznego – znana jest także jako bój pantomimiczny.

Tego dnia wszyscy byli czujni i gotowi, kołysali się na piętach i strzepywali palce u rąk. Na te zajęcia wszyscy czekali z niecierpliwością, podkreślali je na czerwono w swoim planie zajęć i przygotowywali się do nich w tajemnicy w domowych sypialniach.

– Walka na scenie nie jest formą przemocy – powiedział dziekan. – To rodzaj kontrolowanego tańca, który powtarza się bardzo powoli na próbach, aż opanuje się go całkowicie i wtedy wykonuje się go szybciej. W przyszłym roku nauczycie się podstaw fechtunku, poznacie sztukę władania szpadą, szablą i floretem. Teraz koncentrujemy się tylko na uderzeniach otwartą dłonią i pięścią oraz na kopnięciach, czerpiąc z kick-boxingu, z capoeiry i z podstaw akrobatyki. Pod koniec roku powinniście już umieć ułożyć choreografię i wziąć udział w takiej walce, w której zadaje się ciosy pięścią, kopniaki i wykonuje rzuty. Nauczycie się też przyjmować uderzenia i kopnięcia oraz padać.

Uśmiechnął się, widząc zapał swoich studentów, i dodał:

– Przekonacie się, że przegranie walki na scenie jest równie trudne i wymagające, jak jej wygranie. No dobrze. Kto może mi podać definicję pojęcia „efekt specjalny”? – Rozejrzał się, ale twarze przestępujących z nogi na nogę studentów, którzy niecierpliwili się i nie mogli się już doczekać, żeby zacząć, były bez wyrazu albo malowało się na nich roztargnienie. – Efekt specjalny – ciągnął niezrażony dziekan wydziału ruchu scenicznego – to coś, co się nie dzieje, tylko wydaje się dziać. I walka na scenie to właśnie efekt specjalny. Do aktów przemocy, które odgrywacie, nie dochodzi naprawdę. Nikt, kto tego nie rozumie, nie zaliczy tych zajęć. Musieliśmy usuwać z nich niektórych studentów w poprzednich latach, ponieważ nie rozumieli, na czym polega efekt specjalny.

Wskazał prostokąt, narysowany kredą na podłodze, i powiedział:

– W porządku. Zapraszam wszystkich do środka.

Studenci ruszyli w ścisku, aby zmieścić się w tej kredowej figurze geometrycznej. Jej powierzchnia była niewielka, musieli się więc tłoczyć, przepychać i podtrzymywać nawzajem, żeby zachować równowagę i nie przekroczyć linii granicznych. Dziewczyny garbiły się, co nadawało ich sylwetkom lekko wklęsły wygląd, ostrożnie wyciągały przedramiona i instynktownie splatały je przed sobą, żeby osłonić piersi. Chłopcy prychnęli na siebie, poszturchując się barkami i nadgarstkami. Stanley znalazł się w środku tego ścisku, utkwivszy niewygodnie między dwiema zwróconymi w jego stronę dziewczynami. Pierwsza z nich, ta z przodu, dyszała mu w obojczyk i ostrożnie przestawiła nogi tak, że jej stopy znalazły się pomiędzy nogami Stanleya. Dotknęła jego kostki szorstkim czubkiem buta i szybko zmieniła pozycję, żeby się odsunąć.

– Zanim zaczniemy walczyć, chcę wam zaproponować kilka ćwiczeń, dzięki którym będzie nam łatwiej się dotykać – powiedział dziekan wydziału ruchu scenicznego. – Pierwsze ćwiczenie nazywa się „Tratwa Meduzy”, a chodzi w nim o to, by zostać ostatnią osobą w tym prostokącie. Kiedy powiem „Start!”, musicie wszyscy zacząć się przepychać. Kto dotknie podłogi poza obrębem czworoboku jakkolwiek częścią ciała, musi natychmiast opuścić tratwę. Wygrywa ten, kto pozostanie wewnątrz prostokąta. Rozumiecie mnie?

Z tłoku rozległ się szmer i wszyscy potakiwali głowami.

– Wolno wyłącznie pchać – powiedział dziekan wydziału ruchu scenicznego. – Nie uderzać. I nie kopać. Jeszcze nie.

Zgięli ręce w łokciach i napięli mięśnie nóg, gotowi do walki. Studenci stojący przy liniach zbyt późno zrozumieli, że mają mniejsze szanse, i wszyscy naraz usiłowali się ustawić lepiej, by wkręcić się do środka.

– Dobrze. Start!

W tłumie natychmiast zawrzało. Już po kilku chwilach kilkoro studentów zostało wypchniętych za linie; przegrani wycofali się w podskokach i rozczarowani odeszli, aby przyglądać się kolegom z daleka. Stanley znalazł się w otoczeniu dziewczyn i początkowo popychał je bojaźliwie, uważając na ręce, żeby przypadkiem nie dotknąć piersi którejs z koleżanek, w walce używał więc głównie barków i bioder. Dziewczęta były mniej uprzejme. Ich drobne dłonie zaczęły mu się nagle wciskać w krzyż, pchały go i pchały, aż zaczął się przesuwać po podłodze. Chwycił w garść czyjś sweter, żeby stawić opór przeciwnikowi. Tłum nagle przechylił się na bok, wygięte w łuk bosc stopy studentów ślizgały się po deskach, a połowa grupy wypadła za zachodnią kredową granicę, czyli z tratwy. Wyeliminowani studenci od razu zgrabnie usunęli się na bok, aby ich koledzy i koleżanki mogli walczyć dalej.

Ponieważ większość grupy została już wykluczona, pozostali mieli znaczną swobodę. Coraz większą rolę zaczęła odgrywać taktyka, a w zabawie pojawiła się rozmyślna zawziętość. Stanley jedną ręką niezdarnie założył jakiejś drobniejszej dziewczynie duszenie i starał się ją wypchnąć za linie, kiedy z boku wpadł na niego kolega i wszyscy troje wytoczyli się z tratwy. Dziekan wydziału ruchu scenicznego stał spokojnie z boku. Spojrzał na zegarek.

Gdy tratwa została już opróżniona z prawie wszystkich uczestników ćwiczenia, przegrani utworzyli krąg wokół jeszcze pozostałych w walce, po czym zaczęli śpiewać i wiwatować. Zwycięska trójka zamknęła się w spoconych objęciach na zapyłonym kredą środku tratwy, zsuwając się na boki, a każde z nich co chwila opadało boleśnie na kolano albo biodro, ciągnąc za sobą pozostałych. Ich nogi wyprężyły się i splatały ze sobą, kiedy się mocowali,

dwaj chłopcy i dziewczyna – żylasta, muskularna studentka o kształtnej i wyrazistej figurze tancerki.

Ktoś na obwodzie prostokąta zaczął wybijać rytm i po chwili wszyscy już tupali, wzbijając bosymi stopami maleńkie obłoczki białego pyłu, a miarowy rytm wypełniał wielką przestrzeń, sięgając wysokiego, ażurowego sufitu, pod którym na niebieskawych szynach wisiały niezapalone, zakapturzone żarówki. Dziekan nie dołączył do tupiących, ale wybijał smukłymi palcami rytm na swoim przedramieniu, a jego wzrok przesuwiał się uważnie z kręgu wiwatujących widzów na walczącą trójkę i z powrotem. Za każdym razem gdy jeden z wygrywających walkę studentów zostawał mocniej popchnięty albo przeciągnięty bliżej kredowej linii, publiczność wydawała okrzyk uznania, po czym rozbrzmiewały oklaski i wybuchy śmiechu. Rytm stawał się coraz szybszy. Dziekan wydziału ruchu scenicznego kiwał głową i czasami ledwo dostrzegalnie się uśmiechał.

Dynamika zachowania walczącej trójki zmieniła się w nagłym, ale płynnym ruchu, kiedy chłopcy zwrócili się przeciwko dziewczynie i po raz pierwszy zaczęli współpracować. Na widok tej milczącej eksplozji współdziałania dziekan z powagą wciągnął powietrze do płuc, po czym zaczął gładzić kąciki swoich ust kciukiem i palcem wskazującym. Dziewczyna została w końcu wyeliminowana, wypchnięta za linię przez napierających na nią z dwóch stron chłopaków, którzy potem od razu zwrócili się ku sobie, odskakując szybko od granic tratwy na jej bezpieczny środek. Studentka także zaczęła krzyczeć i tupać, a chłopcy, zamknięci znowu we wzajemnym uścisku, ślizgali się po deskach w męczącym, powolnym tańcu, który skończył się dopiero, kiedy w plątaniu rąk i nóg obaj upadli poza linię południową.

Powtórzyli „Tratwę Meduzy” sześć razy, aż wreszcie wszyscy zrobili się czerwoni na twarzach. Byli też poobijani i zmęczeni. Postawa studentów z czasem zaczęła się zmieniać, stawali się twardsi, bardziej zdecydowani i agresywni, i w końcu przestali się lękliwie, asekurancko kulić, co na początku tak wyraźnie im przeszkadzało. Kredowe linie szybko zaczęły obciekać lepкими smugami szarości i bieli – jak krwią – wyrywającymi się na zewnątrz niczym szczątki umierającej gwiazdy.

– Dziękuję wam – powiedział dziekan wydziału ruchu scenicznego po blisko godzinie, kiedy zarumieniony zwycięzca po raz szósty i ostatni posłał swojego chwiejącego się na nogach przeciwnika za linię. – Teraz wszyscy ładnie się rozluźniście i mam nadzieję, że już nie boicie się nawzajem dotykać. Chciałbym zacząć od samych podstaw walki scenicznej i na nich budować nasze dalsze zajęcia. – Pokazał im gestem, żeby stanęli w koło. – Na początku nauczymy się walki na pięści.

Maj

Chłopak w masce powiedział:

– Potrzebny mi ochotnik.

Maska była wycięta wokół ust i wyglądała jak obwisły policzek. Biegła półkolem nad jego górną wargą, odsłaniając podbródek i dolne zęby. Twardy, plastikowy półksiężyc wokół ust nadawał mu po trosze wygląd marionetki, błyszczącej, sztywnej i elastycznej zarazem. Maską była gładka, pomalowana na cielisty kolor, miała wycięte w kształcie migdałów otwory na oczy i trzymała się na twarzy chłopaka bez gumki.

Kilkoro pierwszoroczników na widowni podniosło ręce, uśmiechając się wstydliwie i asekurancko, a zamaskowany chłopak wskazał jednego z nich.

– Ty – zdecydował i przywołał ochotnika do siebie. Był to najwyraźniej sygnał, żeby odezwała się muzyka, bo salę gimnastyczną wypełniły nagle radosne, nakładające się na siebie wesołe dźwięki akordeonu.

Drzwi się otworzyły i na salę wpadła sekretarka, która podbiegła do dziekana wydziału aktorskiego i zaczęła gorączkowo szeptać mu do ucha. Dziekan skinął głową, wstał i wyszedł za sekretarką. Drzwi zamknęły się za nimi.

Stanley na widowni drżał z nieznanego mu dotąd rozkoszy. Patrzył, jak ochotnik lawiruje wśród widzów i wchodzi po schodkach na scenę. Pozostałe zamaskowane postaci już spokojnie wsuwały się na nią zza kulis, krążąc tam i z powrotem i przyglądając się beznamiętnie widowni przez migdałowego kształtu otwory na oczy, wycięte również w ich maskach.

– To jest ćwiczenie z repertuaru Teatru Okrucieństwa! – zawołał zamaskowany chłopak, przekrzykując coraz głośniejszą muzykę. – I prawdziwe wyzwanie.

Stanął za plecami ochotnika. Chłopak uśmiechał się do wszystkich niepewnie, czekając na instrukcje, nasłuchując, co robi stojący za nim zamaskowany student i kołyszając się wstydliwie na piętach. Po chwili chłopak w masce powalił go na deski. Kiedy ochotnik padał na kolana, jego szyja wygięła się boleśnie do tyłu. Po trwającym ułamek sekundy uderzeniu zrobił urażoną, zaskoczoną minę, choć nadal uśmiechał się nieco nerwowo i defensywnie. Zamaskowany student błyskawicznie rzucił się naprzód i ponownie wymierzył cios ochotnikowi, który upadł na brzuch i huknął podbródkiem o deski. Po chwili chłopak w masce przyklęknął mu na plecach, przygniótł go do podłogi i wykręcił ofierze ręce do tyłu, by całkowicie ją unieruchomić.

Ktoś podbiegł do nich z szerokim, płaskim poidłem, pełnym wychlapującej się wody, i postawił je niedbale na scenie. Napastnik chwycił ochotnika za włosy, pociągnął i wepchnął mu głowę pod wodę. Sam wstrzymał oddech, szamocząc się z ofiarą, żeby dłużej przytrzymać ją w tej pozycji. Patrzył na wijącego się chłopaka wzdłuż swoich wyciągniętych, żylastych ramion i zaciskał wargi w skupieniu. Ochotnik zaczął się miotać w rozpacz i ze strachu, kopał deski sceny, przerażony i rzucający się jak zakrwawiona, wypatroszona ryba, zdychająca na molo.

Z perspektywy Stanleya, siedzącego po turecku na widowni, przyciśnięty do ziemi, podtapiany chłopak wyglądał tak, jak gdyby był bez głowy. Stanley widział tylko jego mokry kołnierzyk i ostatni biały krąg szyjny nad krawędzią poidła, kiedy ochotnik bezskutecznie usiłował się wyrwać. Patrzył, jak bije rękami w podłogę i wije się, jak woda się wylewa i chlupocze, i słuchał akordeonu, wciąż grającego wesołą, ludową melodię. Po mniej więcej dwudziestu sekundach publiczność zaczęła się wiercić i szeptać, a ktoś nawet krzyknął: „Puść go!”. Zamaskowany student gwałtownie podniósł głowę, jakby wyrwany z zadumy. Od razu uwolnił ofiarę, podskoczył i cofnął się zwinnym, lekkim krokiem, a ochotnik podniósł ociekającą wodą głowę, kaszląc, plując i wściekle wciągając do płuc wielkie hausty powietrza. Z zaczerwienionych oczu ciekły mu łzy; był blady. Przez chwilę siedział na środku sceny w oszołomieniu, jak gdyby urażony, dygocząc na całym ciele i lekko wzdychając.

Publiczność przyglądała się w milczeniu, jak zaczyna znowu normalnie oddychać. Patrzyli na niego z czymś w rodzaju ostrożnej podejrzliwości, sądząc, że pewnie był podstawionym, umówionym asystentem studenta w masce i za chwilę zerwie się, roześmieje, zacznie ich

klepać po ramionach i powie: „Ale was nabrałem”. Przyglądali mu się nieufnie, wciąż nie byli bowiem przekonani, czy tak nie jest. Kilkoro studentów rozglądało się, żeby zobaczyć, w jakim stopniu to, co się działo na scenie, aprobuje czy też afirmuje wykładowca, ale dziekan wydziału aktorskiego wyszedł i zostali sami – skonsternowana, ciemna, pstrokata plama na środku sali gimnastycznej.

Chłopak w masce nie zdradzał żadnych emocji, stał na rozstawionych szeroko nogach, a ręce miał splecione na plecach. Kiedy płynnym ruchem podniósł dłoń, podbiegło do niego dwóch innych zamaskowanych studentów, którzy chwycili zdyszanego ochotnika za ręce i dźwignęli go na nogi. Wtedy podskoczył do niego pierwszy chłopak, dało się zauważyć jakiś roztrzepotany ruch, jakby cięcie albo sztych, a potem ochotnik znowu został powalony na kolana i mocno uderzony otwartą dłonią w twarz. Dwaj studenci, którzy go trzymali, zaczęli szarpać ofiarę za koszulę i Stanley zdał sobie sprawę, że rozcięli mu ubranie na plecach, od pasa po kołnierzyk. Zamaskowani chłopcy zerwali z nieszczęśnika wystrzępioną już koszulę i bluzę, a potem pognali z powrotem na swoje miejsca, pozostawiając go pobladłego, półnagięgo i drżącego na środku sceny.

Zamaskowany student patrzył teraz wprost na publiczność, jakby ją prowokował. Pierwszorocznicy odpowiedzieli mu zdumionym spojrzeniem.

– Do dupy z tym wszystkim, stary – odezwał się nagle piskliwie ochotnik, patrząc na rozdartą bluzę i koszulę, zwinięte przed nim w postrzępiony kłębek. – To była moja ulubiona koszula.

Zamaskowany student nawet nie mrugnął okiem. Wciąż patrzył na publiczność, jakby czekał, aż ktoś coś powie, ale panowało milczenie. Następnie skoczył naprzód i znowu błysnęły nożyce – szybkim, lecz dokładnie wymierzonym ruchem chwycił ochotnika za włosy i z głośnym, srebrzystym „ciach!” obciął mu ich kępę na czubku głowy.

Wszyscy siedzący na podłodze studenci chóralnie zaczerpnęli tchu, a zamaskowany chłopak stał, trzymając w ręku garść brązowej sierści niczym zdobyczny skalp. Nikt się nie poruszył. Nastąpiła długa, straszna cisza, a potem ochotnik niespodziewanie podskoczył i uciekł. Zamaskowani studenci rzucili się, żeby go złapać, ale za późno – wymknął im się. Zeskoczył ze sceny i nie odwracając głowy, wybiegł z sali.

Zamaskowany chłopak odprowadził go wzrokiem i wyprostował się jeszcze trochę bardziej.

– To jest ćwiczenie z repertuaru Teatru Okrucieństwa – powiedział. – Jesteśmy tu po to, żeby wam pokazać, jak to jest, kiedy doświadcza się czegoś na własnej skórze. – Złożył im dziwny, krótki ukłon, a potem kurtyna opadła z głośnym świstem jak ostrze gilotyny. Dolne fałdy tkaniny załomotały o scenę i pierwszorocznicy zostali sami. Kiedy się rozchodzili, usłyszeli ciche, jak gdyby przeprasające kroki aktorów z drugiej strony kurtyny. W końcu wszyscy wyszli.

Maj

– Chodź ze mną. – To było wszystko, co powiedział dziekan wydziału ruchu scenicznego, kiedy Stanley go znalazł i poszedł krzywym śladem jego bosych stóp z dziedzińca do gabinetu na górze. Milczeli. Stanley szedł z tyłu, próbując połykać łzy i nie dać po sobie poznać, że płacze. Dziwił się gwałtowności swojej reakcji.

– Przyszedłem się poskarżyć – powiedział, zsuwając kościste kolana i zaciskając ręce tak,

aż uciekła z nich krew. – Nie mogę znaleźć dziekana wydziału aktorskiego. Chciałem złożyć skargę.

Strapionemu Stanleyowi trochę ulżyło, że gabinet dziekana wydziału aktorskiego zastał zamknięty, a w sekretariacie nikogo nie było. Dziekan wydziału ruchu scenicznego był nieskończenie łatwiejszy w kontakcie niż jego starszy kolega, który przyglądał się studentom zza okularów z czymś w rodzaju beznamiętnego chłodu i nawet zimą chodził w koszuli z krótkim rękawem, jakby był zimnokrwisty i nie odczuwał różnicy temperatur.

Teraz, w ciszy gabinetu, dziekan splótł błagalnie dłonie.

– Stanley... – powiedział. – Jak myślisz, co byś zrobił, gdybyś zapłacił za bilet na przedstawienie, w którym pojawiłaby się scena gwałtu? Taka, w której napastnik naprawdę zaczyna gwałcić swoją ofiarę?

– Powiedziałbym coś – odrzekł Stanley. Głos drżał mu lekko i wyciągnął rękę, żeby potrzeć policzek otwartą dłonią.

– Wcale nie – stwierdził dziekan, splatając palce rąk. – Wierciłbyś się na krześle i myślałbyś, że to strasznie awangardowe, ale właściwie nie dla ciebie, zachwycałbyś się, jak to wszystko realistycznie wygląda i może, jeśli poczułbyś się naprawdę zakłopotany, rozejrzałbyś się wokoło, żeby zobaczyć, jak to widzą inni. A potem, jeżeli naprawdę byś uznał, że coś jest nie w porządku, na przykład gdyby ofiara faktycznie wzywała pomocy albo gdyby wszyscy na widowni wyraźnie czuli się zakłopotani, to może dopiero wtedy wstałbyś i coś krzyknął. Zajęłoby ci to jednak dużo czasu. Najprawdopodobniej zanim zdobyłbyś się na odwagę, żeby przeciwstawić się przemocy, ta scena już by się skończyła.

Stanley przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Wiem, że to straszne, kiedy trzeba wyobrazić sobie coś takiego – ciągnął dziekan wydziału ruchu scenicznego – próbuję ci jednak w ten sposób coś udowodnić. A mianowicie, że jeśli ktoś stoi na scenie przed pełną widownią, to słowo „prawdziwy” traci sens, nie opisuje bowiem niczego, co widzimy. W teatrze ważne jest tylko to, czy coś wygląda jak prawdziwe. Jeżeli tak, to nie ma znaczenia, czy jest prawdziwe naprawdę. To nieważne. I właśnie o to mi chodzi.

– Na zajęciach z ruchu scenicznego mówił pan zupełnie inne rzeczy – odpowiedział Stanley z narastającym gniewem. – Że ważna jest prawda, nie szczerłość. Opowiadał pan wtedy dużo o pantomimie. A ja w to wszystko wierzyłem.

Dziekan westchnął i przytknął palce do ust.

– Nie – powiedział i na chwilę urwał, kręcąc głową i zbierając myśli. Odetchnął ze znużeniem. – Nie. W tej chwili rozmawiamy o dwóch różnych sprawach. Pomyśl, jak byś się czuł, gdybyś zagrał w sztuce, w której twoja postać musi umrzeć, a po przedstawieniu wszyscy do ciebie podchodzą i mówią, że naprawdę uwierzyli, że umarłeś, słowo honoru. Widziałem cię martwego na scenie i pomyślałem: O mój Boże, on naprawdę nie żyje. Byłbyś zachwycony. Byłby to najwspanialszy komplement, jaki mógłbyś usłyszeć: twoje udawanie, twoja polegająca na udawaniu wielka gra wyglądała tak prawdziwie, że wszyscy myśleli, że to się dzieje naprawdę.

– Ale ja jestem prawdziwy – powiedział Stanley, uświadamiając sobie ku swojemu niezadowoleniu, że zaraz się znowu rozpłaczę. – Mój występ może i jest udawaniem, ja jednak jestem prawdziwy.

– Dokładnie tak – odparł szybko dziekan. – Jeśli jesteś dobrym aktorem, to będziesz używał swoich emocji, śmiechu, łez, seksualności i niepewności. Na scenie zawsze pojawia się taka dwoistość. Ty i postać, którą grasz, musicie być przezroczyści. Trzeba przejrzeć jedną z nich na wylot, żeby zobaczyć drugą. Dlatego aktorstwo to taka trudna sztuka. Bo tam, na scenie, to naprawdę ty.

– Ale na scenie nie było dzisiaj żadnej dwoistości! – zawołał Stanley. Miał piskliwy głos, ściśniętą krtani i krztusił się. – Tam był tylko ten chłopak. To jemu zniszczyli koszulę. To on dyszał. To były jego włosy. To jemu sprawiali ból.

– Gniewasz się, bo koledzy cię zdradzili – odpowiedział dziekan bez owijania w bawełnę. – Zwabili cię w pułapkę, żebyś przeżył coś prawdziwego, realnego, a potem zniszczyli iluzję tej prawdziwości na twoich oczach.

– Zdradzili tego chłopaka! – krzyknął Stanley.

Dziekan westchnął i spojrział na swoje ręce.

– Dlaczego to nie stanowi dla pana żadnego problemu? – spytał po chwili Stanley, wciąż oddychając gwałtownie. – Jak to możliwe, że nie ma pan nic przeciwko czemuś takiemu?

– Rozumiem twoją złość – odpowiedział dziekan. – Proszę, uwierz mi, że to nie miało wyglądać w ten sposób. Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że chłopcy niewłaściwie zrozumieli, co mają robić. Manifest Teatru Okrucieństwa jest naprawdę bardziej skomplikowany, ciekawszy i przyjaźniejszy życiu, niż to sugeruje jego nazwa. – Zamknął oczy, przypominając sobie swój ulubiony fragment, i wyrecytował: – „Powiedziałem więc «okrucieństwo» tak, jak powiedziałbym «życie» albo «konieczność», bo chciałem zwłaszcza podkreślić, że dla mnie teatr jest czynem i wieczną emanacją, że nie ma w nim nic skostniałego, że utożsamiam go z czynem prawdziwym, czyli żywym, czyli magicznym”^[1]. – Otworzył oczy i uśmiechnął się smutno do Stanleya. – To słowa samego Artauda.

Stanley siedział przez chwilę, oddychając ciężko, przekonany, że znaleźli się w sytuacji patowej. Starał się sobie przypomnieć, o czym rozmawiali jeszcze kilka minut temu, by podjąć spór na nowo i spróbować wytrącić dziekana z jego zmęczonej, przepraszającej apatii.

– Podoba mi się, że miałeś odwagę się do mnie zgłosić – powiedział dziekan. – Porozmawiam bardzo poważnie z każdym z tych studentów z osobna, by dobrze zrozumieli, jak ogromny emocjonalny skutek odniosło to, co zrobili. – Mrugnął porozumiewawczo do Stanleya i czekał, a wskazówka minutowa poruszyła się do przodu z uroczystym „tak”.

Za swoich młodych lat dziekan wydziału ruchu scenicznego grał w Teatrze Wolnym, w grupie obdartusów, nieudanych cyganów i minstrelów, chodzących w ciuchach nadzartych przez mole, mieszkających w opuszczonych domach albo koczujących na parkingach i co roku objeżdżających kraj, by występować w więzieniach i szkołach wiejskich. Na ścianie nad jego głową wisiało kilka zdjęć z tamtych lat: umalowane twarze, zonglerka uliczna, ogień w beczkach po oleju i odrapane gitary. Teraz dziekan siedział zgarbiony pod ciężarem lat i oblepiającego go zmęczenia, wyciągał rękę, aby przygłodzić swoje rzednące włosy pomarszczoną dłonią, chrzęszczącą, ziemistą i wyblakłą niczym kawałek pergaminu, który za długo leżał na słońcu.

– Czy panu też się kiedyś coś takiego zdarzyło? – spytał nagle Stanley. – Coś jak ten gwałt. Był pan kiedyś na jakiejś sztuce, gdzie coś się dzieje naprawdę, a wszyscy tylko patrzą, bo wydaje im się, że to część przedstawienia?

– Tak – odparł dziekan. – Dawno temu. Widziałem, jak jeden facet umiera na atak serca. Był już starcem. Kurtyna opadła i tyle. Poprosili nas, żebyśmy wyszli. I wszyscy cichutko opuścili widownię.

– Kogo grał ten aktor, kiedy umarł?

– Och, przypominam sobie, że to był jakiś mało znany dramacik, który nie zrobił specjalnej furory – odpowiedział dziekan, odchylając się na krześle i spoglądając w sufit, żeby wyraźniej przywołać to wspomnienie. Odczuwał ulgę, nie musząc patrzeć więcej na Stanleya. – Właściwie było to piękne w nieco zabawny sposób. Gość zmarł w ostatniej scenie podczas ostatniego przedstawienia tej sztuki. Nie od razu się zorientowaliśmy, że nie żyje... Myśleliśmy, że to może wylew. Nie sądziłem, że umarł. Dopiero następnego dnia przeczytaliśmy o tym w gazetach.

Dziekana rzadko ktoś prosił, żeby snuł wspomnienia ze swojego życia, rozkoszował się więc tą sytuacją.

– Grał jednego faceta, który wzbogacił się na tym, że podszywał się pod obcych ludzi, dokonywał fałszerstw i kłamał. Ten bohater jest już dosyć leciwy. Pewnego dnia wraca do domu i okazuje się, że jego rodzina nie wie, kim on jest. Jak gdyby nigdy nie istniał. Tak mniej więcej wyglądała fabuła. Zdaje mi się, że ta postać miała zresztą naprawdę umrzeć na końcu – powiedział dziekan wydziału ruchu scenicznego. – Na jednej z ostatnich stron tekstu. Ale zakończenia, rzecz jasna, nie widziałem.

Rozdział SIÓDMY

Sobota

Nauczycielka gry na saksofonie czeka na dziewczyny przed automatem z coca-colą. Isolde jej z początku nie widzi: automat jest właściwie jedynym charakterystycznym miejscem w foyer ratusza, jak zwykle obleżonym przez tłum ludzi, którzy też umówili się tutaj ze znajomymi albo z rodziną. Potem tłum przeredza się i dziewczyna dostrzega nauczycielkę, wysoką i kanciastą w brązowej skórzanej kurtce i z rękami założonymi na piersiach. Przypatrywała się otaczającym ją ludziom, mierząc ich od stóp do głów spokojnym, krytycznym spojrzeniem, które Isolde już bardzo dobrze zna.

– Cześć, Isolde – mówi nauczycielka na jej widok i uśmiecha się. – Mama cię podrzuciła?

– No – odpowiada Isolde, czując się nieswojo. Nigdy nie widziała nauczycielki ani poza jej pracownią na poddaszu, ani wieczorem (i ta myśl wydaje się jej dziwna). Bierze program i pochyla głowę, żeby przeczytać go z udawanym zainteresowaniem, bo treść w istocie mało ją obchodzi.

– No, przysłała! – mówi nauczycielka, machając do kogoś ręką ponad tłumem. – W takim razie jesteśmy już we trzy.

Obok przepycha się grupka młodych muzyków, przechodzących bokiem koło nauczycielki i Isolde, dlatego obie zostają na chwilę osamotnione w tłoku. Muzycy przemykają w chmurze dymu papierosowego i kosmetyków, zamgleni i rozentuzjasmowani, trzymając się nawzajem smukłymi palcami pod łokcie.

A potem nauczycielka pyta:

– Isolde, znasz moją uczennicę, Julię? Prowadzę z nią zajęcia już trzeci rok.

Isolde podnosi wzrok. Odczuwa mdlący skurcz w brzuchu, rozpoznając Julię, kiedy spotykają się wzrokiem. Oczy Julii rozszerzają się nieznacznie, a jej policzki oblewa rumieniec.

– Cześć – mówi pospiesznie Isolde, starając się ukryć narastające zakłopotanie, a Julia kiwa głową na dzień dobry, zaciskając usta w krótkim, lecz wieloznacznym uśmiechu.

Gdy nie jest w szkolnym mundurku, Julia wygląda na starszą. Ma na sobie czarny, rozpinany z przodu sweter i długą, czarną spódnicę, a włosy niedbale spięte z tyłu głowy i opadające jej luźnymi kosmykami na skronie. Zimna, zgryźliwa i stanowcza Julia, którą Isolde poznała na zajęciach z psychologiem, właściwie zniknęła. Z niewiadomego powodu wydaje się teraz jakaś bardziej krucha, jakby dbałość o wygląd obnażyła wrażliwość, której dziewczyna nie miała powodu okazywać wcześniej. Serce Isolde bije szybko.

– Znacie się ze szkoły? – pyta zaciekawiona nauczycielka gry na saksofonie, patrząc to na jedną, to na drugą, jakby je widziała po raz pierwszy... I jak gdyby przeciwstawiając je sobie, ujrzała w nich coś, czego nie dostrzegała wcześniej.

– Poniekąd – odpowiada bez namysłu Julia. – Ja w każdym razie już cię gdzieś widziałam.

– No – mówi Isolde. – Ale nie wiedziałam, że grasz na saksofonie. – Z jakiejś przyczyny myśl o tym, że Julia już od dawna chodzi na lekcje muzyki do nauczycielki i czuje się swobodnie w jej towarzystwie, wydaje się Isolde dziwna. Zaskakuje sama siebie, zdając sobie sprawę, że osobiste sekrety, sukcesy i porażki, którymi dzieliła się z nauczycielką na

lekcjach w każdy piątek, są dla tej pani od muzyki tylko jednym, powtarzającym się epizodem w całym szeregu tygodni, miesięcy i lat wspólnych sekretów, sukcesów i porażek... I że ona, Isolde, jest dla niej zaledwie jedną z wielu wychowanek. Zastanawia się, o czym Julia rozmawia z nauczycielką, kiedy przebywają ze sobą sam na sam.

– Dlaczego nie jesteś na zajęciach z big-bandem? – pyta raptownie Isolde, a jej lęklivość przydaje temu pytaniu niepotrzebnej agresji. Zdaje sobie sprawę, że nauczycielka przenosi wzrok z Julii na nią i z powrotem, jak gdyby Isolde była jednym kawałkiem układanki, który pozwoli jej zrozumieć Julię, a Julia drugim, który pozwoli jej zrozumieć Isolde. Isolde robi się gorąco, czuje się zmieszana i ze zdenerwowania podkurcza palce stóp w pantoflach.

– Bo źle się czuję w szkole – odpowiada Julia. – Ja tam chyba po prostu nie pasuję. Może spróbowałabym grać, gdybym znalazła sobie coś skromniejszego i bardziej undergroundowego. Myślałam o tym, żeby założyć zespół.

– Och – mówi Isolde, zastanawiając się nad nową dla niej myślą, że można być dobrą instrumentalistką, ale nie trzeba tego udowadniać, grając dla swojej szkoły.

– Grałam w zespole, studiując na pierwszym roku na uniwersytecie – mówi nauczycielka gry na saksofonie. – Mieliśmy jakąś okropną nazwę. Nawet już nie pamiętam jaką.

– Może Kociaki Saksu? – pyta Julia. – Albo Saks, Drumla i Rock'n'Roll?

– Na coś tak błyskotliwego na pewno byśmy nie wpadli – mówi nauczycielka. – Boże, byliśmy straszni. Pod koniec każdego występu robiliśmy taki jeden numer... Łatwy, ale zawsze rozgrzewał publikę. Stawałam koło faceta, który grał na tenorze i kończąc piosenkę, odwracał saksofon do góry nogami, a wtedy zaczynałam w niego dmuchać ja, chociaż to on ciągle naciskał palcami klawisze, czyli że oboje graliśmy jednocześnie na tym samym instrumencie. Pewnie wyglądało na to, że to trudne, bo ludzie zawsze wrzeszczeli, jak byśmy robili coś zdumiewającego.

Julia uśmiecha się szeroko.

– Ma pani za sobą mroczną przeszłość jazzową – mówi. – Grała pani koncerty.

– Zdarzało mi się robić to i owo – odpowiada nauczycielka, udając wyniosłość.

Odwracają się obie do Isolde, żeby też mogła uczestniczyć w ich żartobliwej rozmowie, i Isolde od razu się uśmiecha.

– Och, przypomniałam sobie – mówi nauczycielka gry na saksofonie. – Nazywaliśmy się Trawestatorzy.

– A co to znaczy? – pyta Isolde.

– To pojęcie wywodzi się z teatru. Trawestacja roli oznacza, że gra ją aktor lub aktorka innej płci niż postać. Czyli że jeśli ty grałabyś Hamleta, w programie by napisano: „W trawestacji roli Hamleta występuje Isolde”.

– Aha.

– Dlaczego wybraliście taką nazwę dla zespołu? – pyta Julia.

– Zajmowała nas wtedy problematyka gender – odpowiada wesoło nauczycielka. – Zapytaj swoją mamę.

Jest dzisiaj ożywiona, ale Isolde wycofuje się, uważa tę poufałość za nazbyt namolną i prowokującą, jakby nauczycielka była więźniarką, która dostała przepustkę tylko na ten jeden wieczór i teraz przyciąga dziewczęta do siebie mocno zaciśniętymi, połyskliwymi szczypcami, żądając od Julii i Isolde, żeby dzieliły jej nikłą, samotną radość. Julia sprawia wrażenie

rozluźnionej, uśmiecha się i wyciąga z nauczycielki coraz więcej szczegółów z jej mrocznej, jazzowej przeszłości, a Isolde zawistnie się przygląda koleżance.

Zapięty na złote, wypukłe guziki sweter Julii pruje się lekko na brzegu, co nadaje jej niedbały wygląd uczoney, dlatego Isolde czuje się przy niej młoda, nieporadna i naiwna. Jej palce o poobgryzanych paznokciach są poplamione tuszem. Dziewczyna nosi też srebrny pierścionek z turkusem, a na nogach ma kabaretki z małymi oczkami. Isolde pochłania ją wzrokiem i czuje się dziwnie rozczarowana, przyglądając się tej nowej, bardziej kompletnej wersji Julii, będącej w pełni osobą, nie tylko ideał osobą. Czuje się zazdrosna, wykluczona, a nawet zdradzona, jak gdyby Julia nie miała prawa istnieć poza świadomością Isolde.

Isolde wraca do programu. Solista jest cudzoziemcem; na czarno-białym zdjęciu wspiera podbródek na zaciśniętej pięści, a jego saksofon błyszczy na tle policzka. Muzyk wygląda na chimerycznego, bezkompromisowego i utalentowanego. Będzie grał dzisiaj z orkiestrą symfoniczną, przedstawiono go więc obok dyrygenta, pulchnego, jowialnego faceta, trzymającego w ręku batutę tak swobodnie jak niepotrzebny sztylet.

– Wielki solista – mówi nauczycielka gry na saksofonie – nigdy nie jest dupkowanym sztywniakiem, który przez całe życie nie robił nic innego, tylko się uczył. Wielki solista zawsze rodzi się we współpracy z partnerem albo z zespołem. Wielki solista to ktoś, kto ma się czym karmić.

Julia słucha uprzejmie, ale marszczy brwi. Isolde dostrzega jej krytykancki sceptycyzm, który w szkole wydaje się wykładnikiem agresji, niezadowolenia i ponuractwa, lecz teraz wskazuje na coś innego, jak staranność albo może ostrożność – w każdym razie coś bardziej instynktownego i mniej nieprzyjaznego.

– To twój pierwszy koncert w tym roku, prawda, Isolde? – pyta nagle nauczycielka, a dziewczyna potakująco kiwa głową.

– Ten facet jest niesamowity – mówi Julia, uderzając programem o dłoń. – Mam wszystkie jego nagrania. Ejże, czy muzycy klasyczni też mają fanki, które jeżdżą za nimi na koncerty? Na pewno muszę to sprawdzić.

Próbuje być miła dla Isolde, która jednak tylko się czerwieni, uśmiecha i mówi, że z niecierpliwością czeka na ten koncert. I znowu mocno podkurcza palce u stóp.

Rozlega się łagodne arpeggio gongu, przypominające, że pora zająć miejsca. Tłum pod automatem z coca-colą zaczyna się rozchodzić, a nauczycielka gry na saksofonie uśmiecha się kolejno do Julii i Isolde.

– Naprawdę mam nadzieję, że czegoś się dzisiaj nauczycie – mówi. – Dla mnie to też jest szczególny wieczór... Kiedy ostatnio słyszałam tę aranżację na żywo, byłam tylko niewiele starsza od was. Ten koncert był dla mnie jak iluminacja.

Sobota

Na powleczonej politurą deskach sceny orkiestra prezentuje się stylowo i olśniewająco. Nauczycielka gry na saksofonie siedzi pomiędzy swoimi dwiema uczennicami, spokojna, dominująca i milcząca, a dziewczyny odchylają się od niej na boki; we trójkę wyglądają więc jak godło heraldyczne – grupa bohaterów, którą można by umieścić powyżej tarczy jako uzupełnienie rodowego herbu. Julia siedzi z rękami na kolanach, w skupieniu przyglądając się złotym i srebrnym błyskom, chociaż szklistym, jakby niewidzącym wzrokiem, i nie porusza oczami, jak gdyby skupiała się na utrzymaniu jakiejś myśli w bezruchu. Isolde jest bardziej

niepokojna, celowo odsuwa się od nauczycielki, żeby nie dotknęły się łokciami, i obserwuje muzyków w zdystansowanym zamyśleniu, a jej spojrzenie przesuwa się ze sceny ponad niewyraźnymi, bladymi i poważnymi twarzami widm naokoło.

Kiedy Isolde prześlizguje się wzrokiem po widowni, myśli o tym, jak różnie można słuchać. Niektórzy widzowie mają zamknięte oczy, unoszą lekko głowy i rozkoszują się deszczem muzyki. Inni powolnie i znacząco kiwają głowami, może co cztery albo pięć taktów, jak gdyby coś na ich oczach z wolna i majestatycznie nabierało kształtów. Jeszcze inni, jak nauczycielka gry na saksofonie, po prostu siedzą nieruchomo.

Isolde zastanawia się, jakie to dziwne, że każdy słuchacz jest zamknięty w prywatnym przeżywaniu muzyki, sam na sam ze swoimi myślami, sam w przyjemności albo zniesmaczeniu, i drży na myśl o tym potężnym poczuciu intymności, które zapewnia człowiekowi taka samotność, gdy wszyscy czekają już z niecierpliwością na przerwę, aby porównać swoje przeżycia z przeżyciami sąsiadów i stwierdzić z ulgą, że są identyczne. Czy słyszę to samo co oni?, zastanawia się bez entuzjazmu Isolde, nie może jednak drążyć dłużej tego pytania, bo jej uwagę zwraca jakaś starsza pani na parterze, która hałaśliwie grzebie w torebce w poszukiwaniu chusteczki higienicznej albo miętówki.

Julia słucha sennie, w rozmarzeniu, muzyka jest dla niej pojedynczą, powolną i ostateczną impresją, a nie pokazem slajdów wrażeń, które mogłaby następnie połączyć i podzielić, by znaleźć jakąś średnią arytmetyczną. Myśli o Isolde. Nie widzi jej dobrze za surowym, nieruchomym profilem nauczycielki gry na saksofonie, tylko błysk jej kolana za każdym razem, kiedy Isolde zakłada nogę na nogę – wzrok Julii wyostrza się jednak dzięki pełnej napięcia hiperświadomości, ilekroć jej młodsza koleżanka porusza się na krześle. Julia myśli o przeciągłym spojrzeniu, które wymieniła z Isolde na zajęciach ze szkolnym psychologiem, wierząc w tym wspomnieniu raz po raz niczym w chorym zębie i zastanawiając się, jak już wiele razy przedtem, skąd to spojrzenie się wzięło i dokąd może je zaprowadzić.

Czasami, kiedy myśli Julii błędzą tak jak teraz, ogarnia ją irracjonalny strach, że zaraz otworzy usta i powie słowo w słowo to, co myśli, choćby po to, by dokuczyć samej sobie. Zastanawia się, co by powiedziała, gdyby zdecydowała się odezwać, a potem przygryza wargę i walczy z zimną falą strachu na myśl, że naprawdę mogłaby to zrobić.

Przed oczami nauczycielki gry na saksofonie wyświetla się scena, gdy Patsy siedzi w zadymionym barze po koncercie, trzymając nadal program w zaciśniętej dłoni, i zamawia wino na kieliszki – będą je jeszcze później lekkomyślnie napełniać po kryjomu z butelki, którą Patsy ma w torebce. Widzi, jak obie wsuwają się w kąt, zdejmują szale i płaszcze i rozmawiają o publiczności, aranżacji i soliście, po czym Patsy pyta: „A co ty sobie wyobrażałaś w czasie koncertu?” i już się prawie śmieje w swojej pochopności.

„Wyobrażałam sobie, że muzyka wylewa się z saksofonu jak woda – odpowiedziała nauczycielka – że cieknie po brzegach kielicha i zbiera się w kałuży pod nogami solisty, że poziom tej bulgocącej coraz gwałtowniej wody ciągle się podnosi i saksofonista musi wreszcie skończyć, aby ocalić życie. A potem biłyśmy brawo, on zagrał nowy kawałek i wtedy zaczęłam sobie wyobrażać, że to nie saksofonista dmie w saksofon, tylko instrument wysysa z niego oddech, że ustnik stara mu się wcisnąć coraz głębiej i głębiej do ust, bo ten saksofon rozpaczliwie próbuje go udusić, a muzyk musi grać, żeby ocalić życie”.

Patsy zaśmiała się, klasnęła w dłonie; obie kobiety stuknęły się kieliszkami i wypily,

a nauczycielka zapytała: „A co ty sobie wyobrażałaś w czasie koncertu?”.

„Że w zależności od klasy muzyka – odrzekła Patsy – dźwięk może zrobić człowiekowi poważną krzywdę, a nawet go zabić. Im lepsze wykonanie, tym totalniejsza śmierć. Ratusz byłby wtedy jak szafot, na który wprowadzalboby się kogoś, kto zrobił coś naprawdę strasznego. Wepchnęliby cię na widownię, przywiązali i przypięli do tych foteli z czerwonego pluszu tak mocno, że nie mogłabyś się ruszyć. Solista byłby katem, grałby coraz szybciej i przyglądałby ci się pożądliwie wilgotnymi oczami ponad światłami rampy”.

Nauczycielka roześmiała się, klasnęła w dłonie; potem znów obie trąciły się kieliszkami i wypily, a Patsy powiedziała: „Ten koncert zmienił mnie na zawsze”.

Sobota

W sobotnie wieczory Bridget pracuje w miejscowym sklepie i wypożyczalni wideo. Z ponurą miną zajmuje wysoki stołek z siedziskiem z włókna winylowego, przygląda się samotnym klientom wędrującym od półki do półki i jednym okiem zerka na czarno-biały monitor telewizji wewnętrznej, na którym niewyraźnie widać otoczony zasłoną kąt, gdzie stoją kasety dla dorosłych. Zegar wskazuje wpół do dziesiątej. Bridget obserwuje powolny ruch wskazówki minutowej i nasłuchuje stłumionych odgłosów, jakie wydają kasety przynoszone przez spóźnionych klientów, którzy wrzucają je w zroszoną szczelinę skrzynki zwrotnej.

– Cześć, Bridget – słyszy czyjś głos.

Dziewczyna językiem przesuwając w ustach gumę do żucia, a kiedy zmęczona odwraca głowę, widzi stojącego w drzwiach pana Saladina. W beżowych spodniach i wełnianym płaszczu wygląda schludnie. Uśmiecha się chłopięco.

– Serwus, panie Saladin – odpowiada Bridget, rozpromieniając się i zsuwając ze stołka. – Nigdy wcześniej tu pana nie widziałam.

– W tej okolicy mieszka mój siostrzeniec. Dwie ulice stąd.

– Aha – odpowiada Bridget z autentycznym zdumieniem, bo nigdy nie myślała o panu Saladinie jako o kimś, kto może mieć siostrzeńca. Przygląda mu się, lekko zawstydzona.

– Jak to możliwe, że pozwolili ci pracować w takim miejscu? Nie masz jeszcze osiemnastu lat – mówi pan Saladin, splatając na piersi dłonie w rękawiczkach. – Nie powinnaś oglądać co najmniej połowy filmów z tych półek.

– Nie oglądam ich – mówi Bridget. – Ja je tylko sprzedaję albo wypożyczam.

Pan Saladin chichocze.

– I pewnie jak stąd wyjdę, sprawdzisz, ile mam na koncie kaset porno.

– Być może – mówi Bridget w przypływie wdzięczności za to, że pan Saladin uznał, że sama wpadła wcześniej na ten śmieszny pomysł. – I przy okazji się dowiem, ile ma pan lat.

– No nie, posuwasz się za daleko, moja panno – odpowiada pan Saladin z udawaną powagą. – To informacja poufna. Ani mi się waź.

Bridget też chichocze, a potem szybko tłumi śmiech, zakrywając usta ręką. Za jej plecami na ekranach kilku wiszących na ścianie telewizorów migają niemo srebrzyste kraksy samochodowe i umarli, którzy zginęli szybką i tragiczną śmiercią.

– Pracować w sobotę wieczorem... – mówi pan Saladin, kręcąc głową. – To znaczy co, że teraz już się nie pije, nie zażywa narkotyków, nie pali i nie słucha głośnej muzyki? Chyba jestem niedzisiejszy.

Ręka Bridget znów się podnosi do ust, żeby stłumić śmiech. Pan Saladin uśmiecha się i na

moment patrzy na jeden z ekranów, bo jego uwagę zwraca jakaś przelotna scena.

Wskazówka zegara posuwa się naprzód.

Do tej chwili Bridget pojmowała flirt wyłącznie jako autopromocyjne narzędzie konwersacyjne, używane po to, żeby na krótki czas zapewnić sobie towarzystwo chłopaka albo jego pieśczoły. Kiedy patrzy na pana Saladina, spokojnego, uśmiechniętego i schludnego w czystym, wyprasowanym ubraniu, ze starannie przewiązonym na szyi szalikiem, w eleganckich skórzanych rękawiczkach o trzech szwach na każdym palcu i z potarganymi przez wiatr włosami, dziewczynę ogarnia lubieżny przypływ oszałamiającego pożądania, które zaciska się w jej podbrzuszu jak pięść. Po raz pierwszy od szesnastu lat czuje, że musi flirtować tylko po to, żeby kogoś zniszczyć, i decyduje się na takie ryzyko za sprawą mglistej i ekscytującej myśli, że oto w końcu znalazł się mężczyzna, który będzie ją postrzegał wyłącznie w kategoriach seksualnych. Bridget wyciąga rękę i ściska laminowaną krawędź lady, kołysząc się zalotnie na piętach i przysuwając się do pana Saladina niczym przynęta, by z przyjemnością patrzeć, jak bezskutecznie ją skubie.

– Czym się pan teraz zajmuje? Ma pan nową pracę? – pyta. – Brakuje nam pana na zajęciach z big-bandem.

– Na razie maluję domy. Jeszcze nie wiem, co będę dalej robił. A jak tam ta nowa dyrygentka, daje wam do wiwatu?

– Pani Jean Critchley? Jest w porządku.

– Znam to nazwisko. Widziałem, jak gra na żywo. Dobra jest.

– No – odpowiada lekceważąco Bridget. Pan Saladin uśmiecha się i rozgląda, jakby zamierzał odejść, dlatego dziewczyna mówi pospiesznie: – Musiałyśmy chodzić na zajęcia ze szkolnym psychologiem, kiedy pan zrezygnował z pracy, bo nauczyciele bali się, żeby nie stała nam się jakaś krzywda. To była żenada.

Pan Saladin unosi brwi. Milczy przez chwilę, a potem mówi spokojnie:

– Czyli że pewnie marnie się bawiłyście.

– To była żenada – powtarza Bridget i czuje się trochę głupio, ale potem przypomina sobie, że ten mężczyzna przynajmniej zrozumie i wybaczy jej naiwność: jej młodość nie jest dla niego wadą, lecz nagrodą.

Pięść w podbrzuszu dziewczyny ponownie sztywnieje, zaciskając się jak szybko wkręcana śruba.

– Victoria nie wróciła jeszcze do szkoły – wypala, zanim pan Saladin ma okazję znowu się odezwać, starając się na swój niezręczny i rozmamłany sposób mówić beztrzesko, jak najładniejsze dziewczyny w szkole, które odrzucają włosy na ramiona i przebierają nogami niczym tresowane kucyki. – Odeszła od nas na dobre?

– Nie, nie sędzę – odpowiada pan Saladin. – Wydaje mi się, że wróci jeszcze przed egzaminami.

– To dobrze. – Bridget uśmiecha się, jak ma nadzieję, zachęcająco, chcąc pokazać panu Saladinowi, że jest po jego stronie.

– Miło cię było widzieć, Bridget. Ucz się dalej muzyki. – Pan Saladin odwzajemnia uśmiech, zmierzając już pod neonową ścianę z nowościami filmowymi. – Pójdę zobaczyć, co tam macie w ofercie.

– Dwa filmy za dziesięć dolarów! – woła za nim Bridget.

Przez chwilę stoi nieruchomo, po czym wraca na stołek. Z przyzwyczajenia zerka na ekran monitora telewizji wewnętrznej i widzi, jak jakaś para wchodzi ukradkiem do działu dla dorosłych, obejmując się, chichocząc i przesuwając palcami po grzbietach kaset. Bridget patrzy, jak kobieta wybiera jakiś tytuł i oboje śmieją się z różnych pozycji seksualnych, przedstawionych na miniaturowych zdjęciach na okładce z tyłu. Mężczyzna mówi coś cicho, a kobieta udaje złość i uderza go w twarz rąbkiem szalika. Znow się śmieją.

Kiedy pan Saladin wychodzi, Bridget sprawdza, co dotąd wypożyczał, i jest rozczarowana, ponieważ nie znajduje żadnych pornosów. Dowiaduje się też, że pan Saladin ma trzydzieści jeden lat.

Sobota

Kiedy cichną brawa, jeszcze przez chwilę wszystkie trzy siedzą w milczeniu. Światło na widowni przywraca upiorom kolory, a publiczność wokół zaczyna się wiercić, śmiać i rozmawiać. Widzowie sięgają po szaliki, programy i torebki, jak gdyby ktoś zdjął z nich zaklęcie. Nauczycielka gry na saksofonie jest zagubiona we wspomnieniach i nie porusza się; dłonie ma zdrętwiałe od klaskania, zwrócone na scenę oczy szeroko otwarte, a spojrzenie bezmyślne. Julia przesuwa się do przodu na fotelu, zwraca nieoczekiwanie do Isolde i pyta:

– Podwieźć cię do domu? Mam samochód. To dla mnie żaden problem.

Isolde nie ma jeszcze prawa jazdy, a propozycja Julii sprawia, że czuje się młodzieńca, niedoświadczona i pozbawiona wdzięku, jakby musiała się przyznać, że nie umie czytać albo że ciągle boi się ciemności. Starsza koleżanka wydaje się jej niemożliwie dojrzała, jak przyjaciółki Victorii, upudrowane, pachnące, pełne sekretów, śmiejące się między sobą i lekceważące małą Issie, która jeszcze nie wie tyłu rzeczy.

– Dzięki – odpowiada, uśmiechając się pospiesznie i pochylając głowę. – Byłoby super. Chciałam wrócić taksówką.

– Nie powiem twojej mamie... – nauczycielka gry na saksofonie wraca w końcu ze świata wspomnień do rzeczywistości i zagaduje Isolde – ...że zatrzymałaś pieniądze, które dostałaś od niej na taksówkę.

– A skąd pani wie, że ja nie pobieram opłat za podwiezienie? – pyta Julia.

Nauczycielka wybucha śmiechem.

– Bo widziałam twoje auto – oświadcza. Zwracając się głównie do Julii, zaczyna mówić o muzyce, a jej wielkie dłonie otwierają się, kiedy obraca w nich swoje wrażenia z koncertu niczym garncarz koło.

Isolde kiwa głową z uśmiechem. Rzuca Julii spojrzenie i zastanawia się, czy dziewczyna przygotowywała się do tej propozycji wcześniej, kiedy siedziała w milczeniu w szarym półmroku spływającym ze sceny, myśląc przez cały czas, jak najlepiej sformułować swoje zaproszenie. „Podwieźć cię do domu? Mam samochód. To dla mnie żaden problem”.

– Taki skład zespołu nie jest zbyt popularny – mówi nauczycielka gry na saksofonie. Isolde wciąż kiwa głową z mądrą miną, starając się ukryć skurcz podbrzusza, częściowo wynikający z uniesienia, częściowo zaś ze strachu. Co znaczy ta propozycja? Isolde jest bliska wyobrażenia sobie, jak jej starsza koleżanka pochyła się nad dźwignią zmiany biegów i hamulcem ręcznym, wyciągając poplamioną długopisem, ozdobioną pierścionkami dłoń, żeby zawinąć jej kosmyk włosów za ucho. Ucina jednak tę myśl pod wpływem chwilowej paniki.

– Uwznioślający koncert – mówi na koniec nauczycielka gry na saksofonie, rażno uderzając

rękami w podłokietniki fotela i wstając, żeby dołączyć do posuwającego się noga za nogą exodusu. – Naprawdę uwznioślający.

Sobota

– Kapitalny koncert – mówi Julia do nauczycielki gry na saksofonie, gdy opuściwszy widownię, wychodzą przez marmurowe foyer i owiewa je chłodne wieczorne powietrze. – Niewiarygodny. Będę o nim myśleć przez cały tydzień.

Nauczycielka ciasniej zapina pasek skórzanej kurtki na biodrach.

– No to do zobaczenia w poniedziałek – mówi do Julii. – A z tobą w piątek – zwraca się do Isolde. Nagle wygląda samotnie, gdy sztywno wyprostowana stoi na zapiaszczonych schodach ratusza, a z obu stron wymija ją fala widzów. Z tyłu podświetla ją czerwonawe, aksamitne światło foyer, i Isolde nieoczekiwanie stwierdza, że jest całkiem ładna. Nauczycielka odnotowuje z czymś w rodzaju triumfu, że teraz to ona jest outsiderką, i patrzy na dziewczęta z niezdecydowaną miną, jak gdyby chciała je jeszcze zatrzymać, chociaż nie wie jak.

– Fajnie – mówi Isolde i macha nieznacznie ręką. Julia przywołuje uśmiech na twarz, a potem dziewczyny odwracają się i wchodzą w noc.

Niedziela

Pani De Gregorio przyciska torebkę do brzucha, popijając herbatę. Siedzi, zaciskając kolana i trochę unosząc uda, bo opiera pięty na poprzeczce krzesła, tak że podłogi dotykają jedynie kwadratowe noski jej butów. Piersi pani De Gregorio sięgają niemal jej kolan, a kiedy siadała, wcisnęła torebkę w miejsce, w którym zgina się jej tułów. Nauczycielka gry na saksofonie myśli, że pani De Gregorio, która w ten opiekuńczy sposób jakby owijała się wokół swojej torebki, wygląda bardzo dziwnie. Spod miękkiego, akryłowego wybrzuszenia jej piersi wystaje tylko złota zapinka, złożona z dwóch kuleczek.

Nauczycielka uśmiecha się.

– Czym mogę pani służyć?

– Przychodzę w sprawie córki – odpowiada pani De Gregorio, a nauczycielka jak zawsze dziwi się w głębi duszy grze aktorskiej tej kobiety, kobiety wyjątkowej, jedynej w swoim rodzaju, która wszystkie matki gra inaczej, dlatego każdy jej występ jest subtelny i unikalny jak niewyraźne żyłkowanie na delikatnej perle. – Może wyda się to pani dziwne – mówi dalej pani De Gregorio – że przychodzę z takim osobistym pytaniem, ale ostatnio zauważyliśmy w domu pewne zmiany i... – Pani De Gregorio spogląda na swój brzuch i wzdycha. – Nasza córka zrobiła się po prostu niemożliwa.

– No to zacznijmy od początku – odpowiada ochoczo nauczycielka, obciągając poły bluzki i wygładzając wełniany sweter, jakby chciała pokazać, że nie żartuje. – Przede wszystkim dlaczego akurat saksofon? Dlaczego wybrała pani właśnie ten instrument? Saksofon budzi określone skojarzenia, wie pani. To nie pianino ani flet. Przyciąga bardzo szczególny rodzaj dziewcząt, szczerze mówiąc, takich, które raczej nie są spokojne. Dlaczego wybrała pani saksofon dla córki?

– Ach, to był jej wybór... – mówi pani De Gregorio, ale nauczycielka kręci głową i zaraz jej przerywa.

– Dajmy spokój z tym udawaniem, pani De Gregorio. Pani córka to jak wymyślony przez panią projekt, obie o tym wiemy. Naprawdę niewiele elementów jej życia pozostaje poza pani kontrolą. Widzę, że jest pani takim typem matki, która lubi trzymać dzieci krótko. Matka

traktująca swoje dzieci jak wolne elektrony to matka byle jaka, niezdecydowana, niedbała, która po prostu nie umie dobrze wykonywać swoich obowiązków. A pani taka nie jest.

Nieco zakłopotana pani De Gregorio kiwa głową.

– Sama zdecydowała pani o losie swojej córki – ciągnie nauczycielka. – Popchnęła ją pani w stronę instrumentu, który przywiedzie dziewczynę do upadku. Mogła mieć pani córkę grającą na skrzypcach, długowłosą, ekscentryczną i w duchu pewną siebie, ale nie! Saksofon. To pani dokonała tego wyboru.

– Chciałam powiedzieć... – zaczyna pani De Gregorio, nieporadnie dobierając słowa – próbuję powiedzieć, że zauważyliśmy w niej zdecydowaną zmianę, to wszystko. Nie odzywa się do nas... No właśnie. Wie pani, jak to jest. Więc chciałam tylko zapytać, o czym ona rozmawia z panią co tydzień w szkole. I czy może pani się domyśla, co się stało. Może ma chłopaka albo coś. Coś, w czym moglibyśmy jej pomóc i co możemy zrozumieć.

– Dlaczego pani sądzi, że powiedziała mi prawdę? – pyta nauczycielka gry na saksofonie

– Może mówi o tym, jak idzie jej nauka – odpowiada słabo pani De Gregorio. – Albo o tym, co się dzieje w szkole. Albo o swoim chłopaku czy coś, może ma jakiś problem, którym moglibyśmy się zająć i który uda nam się zrozumieć.

Nauczycielka gry na saksofonie przez chwilę się nie odzywa; na tyle długo, by pani De Gregorio poczuła się nieswojo i zaczęła żałować, że mówiła tak otwarcie. Potem dodaje:

– Ale skąd rodzice w ogóle mogą o tym wiedzieć? – Jest teraz bardziej zamyślona i mniej żywiołowa. – Jak możecie odkryć ziarno prawdy kryjące się za jej zachowaniem? Moglibyście ją śledzić, obserwować. Musicie jednak pamiętać, że można robić to na dwa sposoby: albo córka będzie o tym wiedziała, albo nie. Jeśli będzie wiedziała, to jej zachowanie zmieni się do tego stopnia, że stanie się czymś, co robi tylko dlatego, że jest obserwowana, a wszelka prawda gdzieś się w tym zagubi. Jeśli natomiast nie będzie wiedziała, przyjdzie wam oglądać coś niegotowego, nienadającego się do pokazania, prymitywnego i nieobrobionego, czemu sami będziecie starali się nadać znaczenie, którego to coś po prostu nie ma z natury. I wtedy wciśnięcie córki do niewłaściwej szufladki. Dlatego, jak pani widzi, żadnego z tych jej obrazów nie można nazwać prawdziwym. Bo w każdym występują jakieś zakłócenia.

– Czy ona coś pani mówiła? Wiem, że to dziwne pytanie. Wstydzę się tego, że muszę je pani zadać. Ale czy jest coś, o czym my, rodzice, powinniśmy wiedzieć? – Ręka pani De Gregorio znika na wysokości piersi, by sprawdzić, czy torebka wciąż tkwi wciśnięta w jej brzuch. Jej palce znajdują wypchaną, skórzaną bryłę i gładzą ją przez chwilę.

– Och, pani De Gregorio. Ja tylko udzielam jej lekcji muzyki – odpowiada nauczycielka gry na saksofonie, odstawia kubek na stół i splata palce rąk.

– Ale co ja mam teraz robić? – pyta pani De Gregorio z czymś w rodzaju narastającej paniki. – Jakie mam wyjście?

– Może pani o to wszystko zapytać córkę sama – mówi nauczycielka. – Może pani usiąść i po prostu z nią porozmawiać. Chociaż zawsze istnieje ryzyko, że skłamię.

Poniedziałek

– O czym myślałaś, patrząc na muzyków? – pyta nauczycielka gry na saksofonie, kiedy Julia przychodzi na lekcję w poniedziałek po południu. – Na tym koncercie.

– Druga część podobała mi się bardziej niż pierwsza... – zaczyna Julia, ale nauczycielka

niecierpliwie macha ręką i mówi:

– Nie, chodzi mi o to, o czym myślałaś w czasie koncertu. Co sobie wyobrażałaś?

Julia patrzy na nią z zaciekawieniem, jakby nauczycielka poddawała ją jakiemuś sprawdzianowi.

– A bo co? – pyta.

– Bawiłam się kiedyś w coś takiego ze swoją dawną przyjaciółką – odpowiada nauczycielka. – Ukułyśmy takie żartobliwe powiedzenie, że im lepszy występ, tym bardziej katalityczny efekt wywołuje. Kiepski koncert może cię skłonić tylko do myślenia o tym, co jadłaś na obiad albo w co się ubierzesz następnego dnia, ale wspaniały sprawi, że zaczniesz sobie wyobrażać coś, na co wcześniej nigdy nie miałabyś odwagi.

Mówi z entuzjazmem, jak dziecko. Julia odpina futerał z saksofonem i odpowiada:

– Myślałam po prostu o muzyce.

– Tak, ale poza tym? Kiedy zaczęłaś błędzić wokół niej myślami. Co sobie wyobrażałaś?

Julia wysuwa stroik z plastikowej osłonki i chwilę trzyma go w dłoni.

– Wyobrażałam sobie, co się stanie – odpowiada – kiedy odwiozę Isolde do domu.

Zmiana świateł. Górne lampy i jasne okno są teraz przyćmione; przed jedyny zapalony reflektor opuszcza się specjalny, wirujący szablon, dlatego żółte światło robi się pasiaste i zmienia co chwila odcień, grając na Julii i nauczycielce niczym smugi blasku latarni na desce rozdzielczej jadącego auta. Julia siada. Światła latarni przybliżają się i oddalają, zalewając jej kolana i gnąc się na jej ramieniu, aby po chwili zniknąć, dziewczyna przez chwilę jest więc pogrążona w ciemności, nim wznosi się kolejna struga świetlna, żeby zastąpić pierwszą, potem następna i jeszcze jedna, wszystkie żółte i zgięte ku przodowi.

– Wyobrażałam sobie – mówi Julia – że w drodze do domu będziemy trochę rozmawiać o koncercie, jak się nam podobał, i o naszych nauczycielach ze szkoły, o pani, bo pani jest jedyną realnie łączącą nas nicią. Przez jakiś czas ciągle wracałybyśmy więc w rozmowie do pani, tylko że nie byłybyśmy zupełnie szczere, bo przede wszystkim zależałoby nam na tym, aby zrobić dobre wrażenie na sobie i dlatego to, co naprawdę myślimy, nie byłoby ważne. Mówiłybyśmy to, co przedstawiałoby nas w dobrym świetle. Okłamywałybyśmy się bez przerwy.

Nauczycielka nie porusza się i spogląda uważnie na Julię. Jej twarz przypomina maskę.

– A potem wyobraziłam sobie – mówi Julia – że kiedy wyłączam silnik, to siedzimy przez chwilę, nie patrząc na siebie, tylko wyglądamy w ciemność na nieoświetlony dom Isolde. Kluczyki nadal kołyszają się, zwisając ze stacyjki, a my słuchamy wiatru, chłoszczącego liście. Wyobraziłam sobie, że zaschło mi w ustach.

Wirujący szablon zatrzymał się i kolana Julii znajdują się w kwadratowej plamie światła, wpadającego przez okno samochodu. Twarz dziewczyny pozostaje w cieniu. Siedzi sztywno, z jedną nogą wyciągniętą do przodu, a drugą przechyloną na bok, jak na pedale hamulca. Saksofon leży obok na kanapie, a ona trzyma go niedbale lewą ręką, podnosząc nieco instrument z drugiego końca, co wygląda tak, jak gdyby jej palce niedbale obejmowały hamulec ręczny: kłykcie w plastikowym wgłębieniu pod dźwignią, dłoń lekko zgięta w nadgarstku. Drugą ręką Julia skubie się w pierś, sprawdzając napięcie wyimaginowanego pasa bezpieczeństwa, który odciąga jakby od niechcienia, po czym pozwala mu z plaśnięciem opaść z powrotem na obojczyk.

– I mówię: „Wiesz, co wszyscy o mnie gadają. W szkole i w ogóle. To nieprawda”.

Julia zwilża wargi językiem. Nie patrzy na Isolde: wygląda przez okno i zerka w mroczną srebrzystość bocznego lusterka, jedną ręką wciąż skubiąc pas bezpieczeństwa.

– Isolde mówi, że wie. Odpowiada mi naprawdę pospiesznie, a potem powtarza swoją odpowiedź: „Wiem”. Spogląda przed siebie, na dom, a palec trzyma przy szyi, wciąż nawijając na niego swój naszyjnik, przez co z opuszka ucieka jej cała krew i palec przybiera ziemistą barwę.

Julia znowu rzuca Isolde błyskawiczne spojrzenie i zaciska chwyt wokół dźwigni hamulca.

– A potem ja mówię: „Bałam się po prostu, że pomyślisz, że będę się do ciebie przystawiać albo że się rzucę na ciebie, kiedy w ogóle nie będziesz się tego spodziewać, albo coś w tym guście. Bałam się, że możesz tak pomyśleć”.

Znowu wpatruje się w boczne lusterko i odwraca twarz.

– Isolde odpowiada, że wcale tak nie myśli. Ja na to, że to dobrze. Potem siedzimy chwilę, patrzymy na nieoświetlony dom jej rodziców i nasłuchujemy swoich oddechów, a potem ja mówię, że to wszystko. To wszystko, co chciałam powiedzieć.

Światła trochę się rozjaśniają, na tyle, żeby pokazać nauczycielkę gry na saksofonie i wciągnąć ją w tę scenę. Nauczycielka zmienia pozycję i zakłada nogę na nogę. Ma zakłopotaną minę.

– A co wszyscy mówią o tobie w szkole? – pyta niechętnie. Czasami czuje się osaczona przez Julię, tak jak teraz.

– Myślą, że interesują mnie dziewczyny.

– Rozumiem. – Światło znowu przygasa, teraz imitując tylko pojedynczą latarnię, która rzuca kwadratową plamę jasności na kolana Julii. Nauczycielka znowu znika w mroku.

– Zaparkowałyśmy samochód – opowiada Julia – siedziałyśmy przez chwilę i bez względu na to, o czym mówiłyśmy, wszystko odpływało od nas jak woda, aż w końcu nie było już nic, a my tylko czekałyśmy, aż coś się wydarzy. Zaszło mi w ustach. Potem Isolde mówi: „Możesz poczekać trochę w samochodzie? Mama chyba jeszcze nie śpi, a myśli, że Victoria poszła ze mną na koncert, więc musimy razem wejść do domu”. Nie skończyła tego mówić, kiedy podjechał samochód, który zatrzymał się kilka domów dalej, dlatego przez chwilę oświetliły nas na czerwono jego tylne światła, a potem zgasły, chociaż nikt nie wysiadł. Patrzyłyśmy, ale samochód tylko stał i nic. No to Isolde mówi: „Nie wie, że tu jesteśmy. Nie widziała nas”. Wpatruje się w to auto z taką jakąś zapiekłą miną, a ja nie chcę nic mówić, żeby nie palnąć czegoś niestosownego, i wtedy Isolde znowu się odzywa: „Miałyśmy to wszystko obgadane. Mama odwiozła nas razem na koncert, ja poszłam się spotkać z wami, a Victoria z nim. Tylko w ten sposób może się z nim nadal widywać. Zwykle nie pozwalają jej wychodzić z domu wieczorem, a po tym, co się stało, żadna z jej koleżanek nie chce już dla niej kłamać. Tylko ja nie mam nic przeciwko temu, żeby dać jej alibi”.

Nauczycielka gry na saksofonie pochyła się naprzód w ciemności. Marszczy brwi.

– Po chwili Isolde mówi: „Lepiej już pójdę. Jak będziemy tak tu siedzieć dłużej, zaczniesz to wyglądać podejrzanie. Muszę już iść”.

Julia wygładza spódnice na kolanach i znowu szarpie pas, kiwając głową.

– Ale nie wysiada. Zostaje jeszcze chwilę w samochodzie i obie przez tylną szybę stojącego przed nami wozu obserwujemy, jak Victoria się pochyła i opiera głowę na ramieniu

pana Saladina. Wygląda niezgrabnie, wyciąga się nad dźwignią zmiany biegów, dzieli ich spora odległość, a on gładzi Victorię po głowie. Mówi coś, widzimy jednak tylko ich sylwetki. Przypomina to teatr cieni i nagle serce bije mi mocno. Patrzę na Isolde, która rzuca mi takie naprawdę gwałtowne spojrzenie i mówi: „Proszę cię, nie mów nikomu; ja też obiecuję, że nie powiem”.

Głos Julii staje się suchy i zduszony, dziewczyna co chwila oblizuje wargi. Na jej policzkach wykwitają szkarłatne plamy.

– Potem wysiada – mówi Julia – a oni ją widzą, i Victoria całuje pana Saladina na do widzenia, ale nie w usta, bo pan Saladin odwraca się do niej bokiem, żeby mogła pocałować go w policzek. Uśmiechają się oboje, może nawet wybuchają śmiechem, jakby to był dowcip. Tylny światła auta znowu zapalają się na czerwono i pan Saladin odjeżdża, a Victoria i Isolde wchodzą razem do domu. Isolde otwiera bramę, a kiedy naciska kłamkę, Victoria wchodzi w krąg światła, patrzy na mnie przenikliwie i nieszczęśliwa mówi coś pod nosem do siostry. Później obie znikają mi z oczu.

Julia urywa raptownie i po raz pierwszy spogląda na nauczycielkę gry na saksofonie, która ma skrzywione usta i kwaśny wyraz twarzy, jakby ta scena zmusiła ją do przypomnienia sobie czegoś nieprzyjemnego, czego by wolała nie pamiętać.

– Naprawdę właśnie tak się to odbyło? – pyta nauczycielka, kiedy zapalają się normalne światła i Julia sięga po saksofon. – Czy w tym samochodzie naprawdę był pan Saladin, Julio? Skąd możesz mieć taką pewność?

– Opowiedziałam pani to, co sobie wyobrażałam – mówi Julia, która nieoczekiwanie robi się marudna, wycofana i popatruje podejrzliwie na nauczycielkę, jak gdyby ta była jej wrogiem. Po chwili dodaje: – Było ciemno... – Wciska jeden z klawiszy na saksofonie tylko po to, by usłyszeć jego klapnięcie.

– To może być bardzo ważne – stwierdza nauczycielka.

– Tak sobie to wyobrażałam – powtarza Julia, jeszcze bardziej dystansując się od nauczycielki. Odwraca się i gra arpeggio na rozgrzewkę.

– Julio – mówi nauczycielka. Jej oczy lśnią. – Powiedz mi, co widziałaś.

– Nic – odpowiada Julia, a chociaż jest posepna i skupiona na sobie, nauczycielka wyczuwa w niej jakby triumf, jak gdyby dziewczyna zaprowadziła ją w odległe i zdradzieckie miejsce, żeby ją tam porzucić. – Podwoziłam ją do domu. Powiedziała: „Do widzenia”. Wysiadła. Zamknęła drzwi. Nic się nie stało.

Sobota

– Pamiętasz, jak straciłaś niewinność, Patsy? – pyta nauczycielka.

Siedzą w barze po koncercie, odwrócona bokiem Patsy z nogami w brązowych butach skrzyżowanymi na stole. Na środku stoją butelka i dwa kieliszki, na których tuż pod górną krawędzią widać bladoszare ślady dolnej kobiecej wargi, przypominające odciski palców.

– Masz na myśli jakieś konkretne zdarzenie? – odpowiada pytaniem Patsy. – Chodzi ci o to, kiedy tak dokładnie to się stało?

– Tak.

– To znaczy, jak straciłam dziewictwo?

– Niekoniecznie. Po prostu zastanawiam się, czy przyszedł taki moment, kiedy straciłaś niewinność. Kiedy popełniłaś pierwszy grzech. Pamiętasz go?

Patsy zastanawia się nad tym przez chwilę. Nauczycielka podnosi kieliszek do ust i pije. Patsy wygląda dziś pięknie. Włosy ma zebrane w rozsypujący się kok na karku, a jej spojrzenie jest jasne i przejrzyste. Na szyi nosi ciężki, mosiężny medalion, prezent od Briana, zabytkowy i wyglądający na wybrany przez niego przypadkowo, choć doskonale pasuje do jej rozłożystej, mocnej piersi i delikatnie zarysowanego wgłębienia pod obojczykiem. Patsy dobrze dobiera ubrania – swoje kostiumy. Jej wizerunek zawsze jest kompletny, myśli nauczycielka: nie można jej przepołować, rozebrać, niczego jej odjąć. Nauczycielka nie potrafi sobie wyobrazić, że Patsy zdejmuje naszyjnik. Nie umie jej sobie wyobrazić rozebranej, bez wszystkich tych ozdób i przybrań, które tak bez reszty sobą wypełnia.

Patsy obraca w palcach nóżkę kieliszka.

– Kiedy byłam dzieckiem, nikt nigdy mi nie ściemniał ani nie wstawiał kitu – odpowiada powoli. – Wiesz, o Świętym Mikołaju, zającu wielkanocnym ani o dzieciach w kapuście. Żadnych eufemizmów. Nie przypominam sobie jakichkolwiek złudzeń. Nie przypominam sobie, żebym kiedyś czegoś nie wiedziała. Seks nigdy nie stanowił dla mnie tajemnicy. A że w naszym domu nie było Boga, to nie było też tajemnic. Oczywiście wszystko przeżywałam kiedyś pierwszy raz, jak każdy, popełniałam błędy, jak każdy, i jak każdy poprawiałam się i zaczynałam nowe życie. Nie pamiętam jednak, żebym kiedykolwiek naprawdę zgrzeszyła. I nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek naprawdę była niewinna. Nie tęsknię za tym, co było.

Patsy podnosi wzrok na nauczycielkę.

– Czy to jest strasznie smutne? – pyta ze śmiechem.

Nauczycielka uśmiecha się i nie odpowiada. Przez chwilę siedzą w milczeniu, dotykają kieliszków czubkami palców, odwracają wzrok.

– Zawsze jest jakiś precedens – mówi w końcu Patsy. – Wszystko, co robiłam, ma swój schemat, przepis, wzorzec, coś publicznego, widocznego i znanego. Już zawczasu znałam kształt tego, co mnie miało spotkać. Schemat niezmiennie poprzedzał rzeczywistość, doświadczenie, osobistą prawdę o tym czy o tamtym. O miłości dowiedziałam się z kina, z telewizji i ze sceny. Nauczyłam się przepisu na miłość, a potem go stosowałam. Tak to ze mną było. Przez całe życie.

Znowu śmieje się cichutko, srebrzyście.

– Czy to jest strasznie smutne? – pyta po raz drugi. – Bardzo?

Siedzący na niewielkim podwyższeniu koło pianina kontrabasista pochyła się do mikrofonu i mówi:

– To już ostatni utwór, moi kochani. Oto on.

Rozdział ÓSMY

Maj

Dzień po zajęciach z Teatru Okrucieństwa Stanley wpadł na schodach na ofiarę zamaskowanego studenta. Chłopak szedł szybko na dół ze spuszczoną głową, przeskakując po dwa stopnie na raz. Sprawiał wrażenie nieco przestraszonego. Ostrzygł się krótko, żeby nie było widać miejsca, z którego wycięto mu garść włosów. Nie wyglądało to za dobrze – uszy mu za bardzo odstawały, a czoło sprawiało wrażenie przesadnie wypukłego. Miał na sobie nową koszulę.

– Hej – powiedział Stanley, wyciągając rękę, żeby go zatrzymać.

Chłopak zwrócił na niego oczy winowajcy i nieśmiało skinął głową na powitanie.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że poszedłem na skargę. – Głos Stanleya zabrzmiał bardzo donośnie, pobiegł spiralnie w górę na wyższe piętra, po czym jasno i głucho zadźwięczał w pionowym szybie jak dzwon. – W związku z tym, co się stało. Poszedłem do dziekana wydziału ruchu scenicznego i złożyłem skargę.

– Dzięki – odezwał się cicho chłopak. – Ale już wszystko w porządku. To było głupie i tyle. – Zrobił taki ruch, jakby chciał schodzić dalej, Stanley jednak przysunął się bliżej, osaczył go i zatrzymał. Przyparł chłopaka do poręczy, tak że ten nie mógł się ruszyć.

– Porozmawiam też z dziekanem wydziału aktorskiego – powiedział Stanley. – Nie mogę uwierzyć, że nikogo poza mną to nie interesuje. To obrzydliwe. To, co ci zrobili, było wstrętne. I nikt się na ten temat nawet nie zająknął.

Chłopak przez chwilę patrzył na Stanleya nieprzeniknionym spojrzeniem. Sięgnął rękami za plecy, by oprzeć się o poręcz, i szarpał ją delikatnie. Potem powiedział:

– Byłem podstawiony.

– Co?

– Byłem podstawiony. Główny aktor, Nick, ten w masce, poprosił mnie o to i wszystko wcześniej zaplanował. Wiedziałem, że wybiorą mnie, i wiedziałem, co się stanie, prawie o wszystkim. Na przykład o tej wodzie. Nick powiedział też, że mogą mi dać raz czy dwa po twarzy. Myślałem, że będzie ubaw. Zrobiłem to tylko dla jaj.

Stanley zmarszczył brwi.

– Ale potem uciekłeś.

– Bo nie wiedziałem, że posuną się aż tak daleko – odparł chłopak. – Z tą koszulą i w ogóle. Że obetną mi włosy. Nick mówił tylko o poidle z wodą. Myślałem, że nic się nie stanie. Że im pomogę czy coś w tym rodzaju. Dlatego się zgodziłem.

– Zawsze jest na widowni podstawiony student? – spytał Stanley. – Co roku?

– Chyba tak – odparł chłopak. Raptownie odwrócił spojrzenie i popatrzył ponad ramieniem Stanleya w dół schodów. – Inaczej chyba nie uszłoby im to na sucho.

– Coś takiego nikomu nie powinno ujść na sucho.

– No – powiedział chłopak i wzruszył ramionami. – To było tylko ćwiczenie. Chodziło o to, żeby czegoś dowieść.

– Ale po co? – spytał Stanley bardziej agresywnie, niż zamierzał. Poczul kielkującą w sobie taką samą bezradność, jaka go ogarnęła w gabinecie dziekana wydziału ruchu scenicznego.

Zmieszany, patrzył na chłopaka nieufnie, a ten odwzajemnił jego spojrzenie.

– Ja tylko im pomagałem. Potrzebowali kogoś do tego projektu. Nic się nie stało.

– A twoja koszula? Z twojego punktu widzenia chyba jednak coś się stało.

Chłopak ścisnął poręcz jeszcze mocniej. Czerwienił się. Zacisnął szczęki, a jego krótko ostrzyżone włosy, wyglądające jak złocista czapka, gniewnie poruszyły się do tyłu wraz ze skórą głowy.

– Hej, posłuchaj, dzięki za pomoc, naprawdę – odpowiedział – ale ja nie jestem gwiazdą i nie reprezentuję żadnej słusznej sprawy, za którą mógłbyś się bić. To była moja wina, powinienem być zapytać, co dokładnie zamierzają mi zrobić. W sumie nic się nie stało. Nie musiałeś się skarżyć.

– Wyrządzili ci krzywdę! – krzyknął Stanley.

– No, ale zaraz potem przyszli ze mną porozmawiać – odparł głośno chłopak. – Po wszystkim, już bez masek. Pogadaliśmy sobie i w ogóle, i wszystko wyjaśniliśmy. To nie jest twój problem. Ciebie tam z nami nie było.

Stanley przyglądał mu się przez chwilę, a potem się odsunął, żeby go przepuścić. Chłopak pochylił głowę i mruknął:

– W każdym razie dzięki. – Prześlizgnął się obok Stanleya, zbiegł ze schodów i zniknął.

Stanley spojrzał na wysokie okno, które oświetlało klatkę schodową, i odetchnął ciężko. Zorientował się, że ma zaciśnięte pięści i ogarnęła go niewyraźna chęć, żeby w coś uderzyć, nie bardzo jednak wiedział w co ani dlaczego. Cofnął się przed zbiegającą na dół falą głośno tupiących aktorów z drugiego roku, a kiedy tłum się przeredził, zobaczył dziekana wydziału aktorskiego, który spokojnie schodził w ślad za nimi, trzymając pod pachą zwinięty żagiel, połatany, wystrzępiony i usiany na brzegach powleczonej rdzą kształtkami remizek. Dziekan wyglądał na zaaferowanego.

– Stanley – powiedział, podchodząc bliżej. – To ty jesteś tym studentem, który chciał się ze mną widzieć, tak?

– Już nie trzeba. Wyjaśniliśmy sobie wszystko z dziekanem wydziału ruchu scenicznego – odpowiedział Stanley, odsuwając się z szacunkiem na bok. – Już wszystko jasne.

Maj

– To ćwiczenie na panowanie nad własnym ciałem i komunikację z partnerem – powiedział dziekan wydziału ruchu scenicznego. – Macie się dobrać w pary i stanąć twarzami do siebie. Stykając się dłońmi i stopami, zaczniecie się poruszać jednocześnie, jak swoje lustrzane odbicia. Możecie przemieszczać się we wszystkie strony, ale w taki sposób, żebym, przechadzając się wśród was, nie wiedział, kto prowadzi, a kto jest prowadzony.

Cała grupa powoli się podniosła. Stanley stanął w parze z dziewczyną, która siedziała najbliżej. Uśmiechnęli się do siebie, wymieniwszy spojrzenia, a Stanley stwierdził, że serce podchodzi mu do gardła. Poczł lekkie ukłucie pogardy do samego siebie i żeby się go pozbyć, zmarszczył brwi. Odwrócił się w stronę dziekana, mrużąc oczy, aby pokazać dziewczynie, że uważnie słucha, zamierza potraktować zajęcia bardzo poważnie i pomimo tego, czego się spodziewa albo co na ten temat sądzi, jej płęć jest mu całkowicie obojętna. Niewyraźnie, kątem oka zauważył, że dziewczyna przypatruje mu się chwilę dłużej, a potem też odwraca się do dziekana.

– Sami decydujecie – ciągnął dziekan – kto zacznie to ćwiczenie jako prowadzący. Musicie

także ustalić jakiś sygnał, po którym prowadzący się zmieni. Możecie zamieniać się rolami, ile razy chcecie; prowadzi raz jedno, raz drugie. Najważniejszy jest kontakt wzrokowy, bo to ćwiczenie wykonujemy w milczeniu.

Dobrani już w pary studenci pochylili się, by móc rozmawiać szeptem. Dziekan odwrócił się, wcisnął klawisz odtwarzacza wieży stereo surround i wytarł wystającą krawędź talerza, czekając, aż załaduje się płyta CD. Gęsty i srebrzystoszary kurz, który zebrał się na czubku jego palca, przypominał mięciutki, puszysty biszkopt. Dziekan zwinął go w kulkę i pstryknięciem strącił na podłogę. Płyta zaczęła wirować, a on powoli podkręcał gałkę wzmacniacza, by dźwięk stawał się coraz donośniejszy, aż wreszcie całkowicie wypełnił salę. Dziekan wybrał filmową ścieżkę dźwiękową, instrumentalną, o narastającej dramaturgii i przesadnie napuszoną.

– Zajmijcie miejsca, proszę, i zaczynajcie! – zawołał, przekrzykując pierwsze takty. – Muzyka wyznaczy rytm. Niech wam podsuwa pomysły. Zapomnijcie o świecie, myślcie tylko o tym, by patrzeć na partnera i słuchać tego rytmu. Powinniście być czujni, ale spokojni. Możecie zaczynać.

Stanley odwrócił się do swojej partnerki i podniósł ręce, żeby mogli się zetknąć otwartymi dłońmi. Spojrzeli sobie w oczy, a Stanley najpierw zaczął się kręcić i marszczyć, niepewny, co widzi dziewczyna, patrząca na niego tak otwarcie i szczerze. Była trochę niższa od niego i musiała nieco unosić głowę. Miała zdecydowane, szare oczy i proste, wąskie usta. Stanley stał na tyle blisko niej, aby dostrzec puszek na jej policzkach, połyskujących delikatnym różem w padającym skośnie świetle, i płowe plamki piegów na nosie.

Cięższe instrumenty ociągały się, pozwalając strunowym zbudować własne, poszarpane crescendo. Stanley odsunął prawą dłoń od ręki dziewczyny i poczuł, że jego partnerka powtarza ten ruch, powoli i starannie, może z ćwierćsekundowym opóźnieniem. Nieznacznie zmarszczyła brwi, ale już w chwili, kiedy to zauważył, zrozumiał, że usiłuje go naśladować. Rozluźnił się, przybrał naturalniejszy wyraz twarzy i zobaczył, że dziewczyna robi to samo; widział, jak jego ruchy odbijają się delikatnym kobiecym echem niczym w jaskini, w której na ścianach tańczą cienie piękniejszej, damskiej wersji jego gestów. Zacisnął pięść i podparł nią podbródek, starając się poruszać powoli i starannie, żeby partnerka widziała trajektorię jego gestów i mogła ją powtórzyć razem z nim. Obserwowała oczy Stanleya, nie ruchy jego ręki. Mieli szeroko otwarte oczy, w których malował się wysiłek porozumienia bez słów. Pozostałe pary wokół nich poruszały się podobnie, gestykulując wolno i starannie. Kiedy rozcapierzył dłoń i splótł swoje palce ze smukłymi, zimnymi palcami dziewczyny-echa, pomyślał, że studenci pewnie wyglądają z góry jak chłostane wiatrem zboże, kładące się i wstające niczym drobne, drżące źdźbła, wyrastające z ziemi i wystawione na silny, bezustannie zmieniający się wiatr.

Dziekan wydziału ruchu scenicznego przypatrywał się im wszystkim w milczeniu, wciąż opierając pokryte nalotem kurzu palce na wieży stereo. Powędrował spojrzeniem poza grupę i przyglądał się jednemu z chłopaków, stojącemu na skraju grupy i wyciągającym rękę, by dotknąć szyi partnerki. Wykładowca patrzył, jak lustrzana para rysuje sobie nawzajem niewidoczną linię na szyi, coraz niżej, sięgając aż po dołek pod obojczykiem, i pomyślał, że to chłopak prowadzi. Zawsze udawało mu się odgadnąć, kto jest prowadzącym.

Student stał z wysoko podniesioną głową, na rozstawionych nogach i z poważną, pałającą

twarzą, na której widok dziekan niemal się uśmiechnął. Miał z nim zajęcia po raz pierwszy, odkąd ten pierwszorocznik o mało nie zalał się łzami w jego gabinecie po ćwiczeniach z Teatru Okrucieństwa, ale gdy wszedł dziś rano na salę gimnastyczną i poprosił studentów o uwagę, od razu zauważył podskakującą z boku jak korek na falach głowę Stanleya, zdenerwowanego i rozpaczliwie pragnącego zwrócić na siebie uwagę. Odwrócił wtedy wzrok. Nie chciał, by chłopak przyłgął do niego w synowski sposób, pożądam zainteresowania, uznania i czasu swojego wykładowcy, i nie zdając sobie przy tym sprawy, że wszystkie jego rozedrgane pierwsze doświadczenia i kiełkujące myśli, które tak go dogłębnie absorbowały, dla dziekana stanowiły po prostu najnowszą pozycję w długim szeregu identycznych przeżyć innych studentów.

Co roku przynajmniej jeden z nich skarżył się na ćwiczenie z Teatru Okrucieństwa. Zajęcia te przypadały w udziale dziekanowi wydziału aktorskiego i zwykle to on prowadził takiego strapionego delikwenta do swojego gabinetu i tam leczył jego co poważniejsze rany, jeśli takich doznał. Czasami, jak w tym roku, udawało mu się znaleźć jakiś powód, żeby opuścić salę w ostatniej chwili i czmychnąć tylnymi schodkami do boksu oświetleniowców, na górę, skąd obserwował swoich podopiecznych zza przyciemnionych szyb. Za każdym razem oglądał coś innego. Kiedyś studentowi ofierze udało się wyrwać swoim prześladowcom i podjąć z nimi walkę, i kilku studentów aktorów odniosło dosyć ciężkie obrażenia. Innym razem widzowie wpadli gromadnie na scenę, żeby ratować kolegę. Ostatnio jednak z roku na rok studentom aktorom jak gdyby zaczynało czegoś brakować – skłonności do gry bez ironii, pomyślał. Weźmy choćby obecny pierwszy rok – koszula, garść włosów i poidło z wodą, a potem ten student, wypłakujący mu się z bólu w mankiet.

Czasami dziekan wydziału ruchu scenicznego miał ochotę rzucić się na nich, wbiec na środek sali, zacząć ich bić po twarzach i szarpać, żeby się otrząsnęli, pękli i zaczęli walczyć; niekiedy ta dusząca ich, oblepiająca, owijająca błona apatii odbierała im oddech, a wtedy stawali się niczym oklejone folią, masowo wytwarzane lalki, opatrzone znakiem firmowym producenta.

Potrząsnął głową. Byli uśpieni, to wszystko. Trzeba ich obudzić.

W niewidoczny dla innych sposób Stanley przekazał prowadzenie swojej partnerce, która odsuwała się od niego, rozkładając ręce. Oboje byli w czarnych podkoszulkach i na drewnianej podłodze wyglądali jak symetryczna plama po atramencie na jakiejś starej kartce. Nie była jednak całkiem symetryczna. Ruchy męskie niedokładnie imitowały żeńskie i vice versa: jednym i drugim zawsze czegoś brakowało, jakiejś wyrazistej jadowitości, było więc widać, że studenci grają. Dziekan westchnął i przez chwilę patrzył na nich wszystkich – na ten jedwabisty, apatyczny tłum lunatyków, którzy przyglądali się, jak ich kolega został rozebrany, jak mu obcięto włosy i jak o mało go nie utopiono, a potem nic w tej sprawie nie zrobili. Jak ja ich mogę obudzić?, pomyślał. A potem: A kto obudzi mnie?

Czerwiec

– Przyszedłem powiedzieć wam o przedstawieniu, które przygotowujecie na koniec drugiego semestru – oświadczył z ożywieniem dziekan wydziału aktorskiego. – O przedstawieniu, będącym niewątpliwie najważniejszym wydarzeniem w kalendarzu zajęć studentów pierwszego roku.

Kiedy zaczynał mówić, na sali zawsze zapadała pełna respektu cisza i nikt się nie poruszał.

Dziekan wydziału aktorskiego nigdy nie musiał podnosić głosu.

– Przede wszystkim powinienem podkreślić, że będziecie zdani wyłącznie na własne siły. Wykładowcy Instytutu nie będą nadzorować prób, scenariuszy, oświetlenia, kostiumów ani dyskusji koncepcyjnych. To jest wasz projekt. Kiedy pierwszego października zameldujemy się o ósmej wieczorem na widowni, chcemy, żebyście nas zaskoczyli. I zaszokowali. Chcemy zobaczyć, dlaczego z tych dwustu kandydatów, którzy przyszli na wstępne przesłuchanie, wybraliśmy was. I chcemy wyjść z przedstawienia dumni z naszej decyzji. Warto też dodać, że ten projekt ma imponującą tradycję w Instytucie, a to, co nasi studenci wymarzyli sobie jako część ich występu scenicznego, po odpowiednim dopracowaniu wielokrotnie stawało się ważnymi spektaklami, pokazywanymi w wielu krajach świata. Macie wysoko ustawioną poprzeczkę.

Rozpromienił się, jak zawsze, gdy mówił o swoich byłych studentach. Podziw i aprobatę dla nich wyrażał bez wyjątku retrospektywnie, o czym pierwszorocznicy jeszcze nie wiedzieli. W tej swojej niewiedzy patrzyli na niego ogniście, aż paląc się do tego, by wykorzystać tę nowiuteńką okazję i się wykazać.

– Postępując zgodnie z instytutową tradycją – mówił dalej dziekan – wieczorem po ostatnim przedstawieniu aktorzy powinni wybrać jeden rekwizyt, który przekażą swoim następcom. Posłuży im jako źródło natchnienia, gdy będą przygotowywać swoje przedstawienie w przyszłym roku. W spektaklu zeszłorocznym, zatytułowanym *Piękna Machina*, studenci wykorzystali otrzymane od starszych kolegów duże żelazne koło, które było kiedyś częścią rikszy. W *Pięknej Machinie* stało się po drobnych modyfikacjach, tak zwanym Kołem Przeznaczenia i najważniejszym elementem wizualnym w sztuce.

Jeden z chłopaków energicznie kiwał głową, chcąc pokazać, że widział *Piękną Machinę* i dobrze to koło pamięta. Dziekan uśmiechnął się słabo.

– Obsada *Pięknej Machiny*, czyli zeszłorocznicy pierwszorocznicy, wybrała dla was rekwizyt, który stanie się centralnym punktem waszego przedstawienia. Mam go w kieszeni.

Urwał na dłuższą chwilę, rozkoszując się wywołanym napięciem.

– Czy ktoś ma jakieś pytania, zanim zostawię was samych, żebyście mogli odbyć pierwszą naradę?

Nikomu żadne pytania nie przychodziły do głowy, dziekan sięgnął zatem do kieszeni i wyjął z niej kartę do gry. Pochodziła z normalnej talii, na rewersie miała cieniutkie paski, była lekko różowa i miała zaokrąglone rogi. Dziekan podniósł ją, tak by wszyscy mogli się jej przyjrzeć, po czym odwrócił, pokazując brodatego, zadumanego króla karo o wąskich wargach, trzymającego topór nad głową w tłustej, mięsistej dłoni. Rzucił kartę na podłogę, uprzejmie skinął im głową i wyszedł z sali.

Drzwi zamknęły się za nim cicho, a powiew przesunął króla karo na bok. Karta była leciuteńko wypukła i drżała na swoim cienkim, wygiętym grzbiecie niczym pozbawiony masztów, zagubiony na morzu statek. Na chwilę zapadła cisza, a potem jedna z dziewcząt powiedziała z wahaniem:

– Król karo to jeden z Królów Samobójców. Jeśli ktoś z was nie wie.

Powiedziała to niemal płaczącym tonem, prawdopodobnie wstydząc się, że przerwała ciszę i odezwała się pierwsza.

– Król kier trzyma miecz tak, jak gdyby wbijał go sobie w głowę z boku –

zademonstrowała – a król karo dzierży topór w ten sposób, że ostrze jest skierowane w jego głowę. W każdej talii tak samo. Dlatego obu czerwonych królów nazywa się Królami Samobójcami.

Wyciągnęli szyje, żeby zobaczyć kartę, i przekonali się, że dziewczyna ma rację. Znowu zapadła cisza, tym razem nieco inna, bo dźwięcząca jej ostatnimi słowami: „Królowie Samobójcy”. Stanley pomyślał, że kiedy ktoś już rzuci pierwszą myśl, zapadająca potem cisza jest zawsze inna niż przedtem.

Po kilku chwilach wspólne skupienie prysnęło. Studenci podnieśli głowy, zaczęli się uśmiechać szeroko i bojaźliwie, wybuchać śmiechem, przeciągać się, wiercić, gadać i rozglądać w poszukiwaniu przywódcy, który mógłby ich poprowadzić dalej.

Lipiec

– Jak myślicie, czy jako nauczyciele osiągamy już ten etap – zapytał dziekan wydziału ruchu scenicznego – na którym wydaje się nam, że mogą na nas zrobić wrażenie tylko studenci najbardziej przypominający nas samych z młodości?

Dzekan wydziału aktorskiego roześmiał się.

– I to w najbardziej pochlebnej dla nas wersji – powiedział. – Zwracamy uwagę na tych, którzy są pełni energii i ideałów. Atrakcyjni fizycznie. Na tych w dobrej kondycji, mających gibkie ciała, które, jak sobie wyobrażamy, mieliśmy i my, zanim dopadła nas starość.

Dzekan wydziału aktorskiego był o dobre dziesięć lat starszy od dziekana wydziału ruchu scenicznego i nie starzał się ładnie: jego blade oczy były podbite wilgotnymi, różowymi sińcami, przez które zawsze sprawiał wrażenie chorego.

– Myślę, że jeśli chodzi o mnie, taka jest smutna prawda – odpowiedział dziekan wydziału ruchu scenicznego. – Mamy takiego jednego studenta na pierwszym roku... Wydaje mi się, że bardzo przypomina mnie z młodości. W każdym razie tak sobie siebie wyobrażam z tamtych lat. Kiedy prowadzę zajęcia z jego grupą, zapominam o wszystkich wątpliwościach na temat... Właściwie na każdy temat. Przyglądam mu się uważnie i naprawdę cieszę się z jego postępów... Naprawdę... Bez przerwy wyławiam go wzrokiem spośród innych i patrzę, jak się zmienia, krok po kroczku, jestem podekscytowany, wielkoduszny i w ogóle taki, jacy powinni być nauczyciele.

Jako wykładowca dziekan wydziału aktorskiego zawsze z rozmysłem dystansował się od swoich studentów, ale, co dziwne, jego wielkie wycofanie i niewzruszoność sprawiały, że młodzież jeszcze bardziej go uwielbiała. To przeważnie na nim studenci chcieli zrobić wrażenie i większość z nich to właśnie jego wspominała po ukończeniu szkoły. Charakterystyczny chłód i nieczułość ulubionego wykładowcy jakoś ich pociągały, byli niczym psiaki, łaszące się do pana, który trzyma bat. Dziekan wydziału ruchu scenicznego nie ma takiego daru obojętności, pomyślał teraz dziekan wydziału aktorskiego: dziekan wydziału ruchu scenicznego za bardzo się odkrywał, jego prawdziwe oblicze było zbyt oczywiste. I za bardzo pogardzał studentami, jeśli sprawiali mu zawód.

– Iluzję głębi postaci – mówił tego ranka dziekan wydziału aktorskiego studentom drugiego roku – tworzy się, skrywając pewne informacje przed widzami. Postać wydaje się nam skomplikowana i intrygująca wyłącznie wtedy, kiedy nie wiemy, dlaczego jest właśnie taka, a nie inna.

Dzekan wydziału ruchu scenicznego palcami jednej ręki gładził się po drugiej. Pokręcił

głową.

– A ja wciąż sobie powtarzam, że to najprawdopodobniej tylko moja próżność skłania mnie do poszukiwań młodszej wersji samego siebie i do obserwowania jej tak chciwie, jak jakiejś zaczarowanej postaci z bajki. To smutne. Nie sądzę, żebym umiał nawiązać podobny kontakt z innymi studentami. Oni mnie po prostu... – Rozłożył ręce i wzruszył ramionami. – Oni mnie po prostu nie obchodzą. Nie obchodzi mnie, co ich wyróżnia. Nigdy się tego nie domyślą. Staję przed nimi i uczę, to jest jak każde przedstawienie sceniczne: trzeba znać swoją rolę na wrywki, zmobilizować się i ją odegrać. W gruncie rzeczy jednak wszystko to tylko udawanie.

– Może podchodzisz do siebie zbyt surowo – powiedział dziekan wydziału aktorskiego. – Za wiele od siebie oczekujesz, sądząc, że oni naprawdę muszą cię obchodzić. A może wcale tak nie jest. Może wcale nie musisz się interesować studentami, żeby być wspaniałym nauczycielem.

– Może – odpowiedział dziekan wydziału ruchu scenicznego.

– A który student urzekł ciebie? – spytał dziekan wydziału aktorskiego. – Który z nich jest tobą z młodych lat?

Dziekan wydziału ruchu scenicznego zawahał się i spojrzał spod przymrużonych powiek na oprawkę lampy nad głową swojego kolegi.

– Wolałbym nie mówić – odezwał się w końcu, trochę nieśmiało, jakby kiedyś podkochiwał się w tym chłopaku i on wciąż był mu bliski.

– W porządku – odpowiedział dziekan wydziału aktorskiego. – Ale jeśli każesz mi się domyślić, kto to jest, to idę o zakład, że zgadnę.

Kwiecień

– Mój tata ma taką teorię... – powiedział Stanley. – Uważa, że szkoły powinny zarabiać na ubezpieczeniach tych uczniów, którzy zdaniem nauczycieli mogą zejść z tego świata szybciej niż inni.

Zapadła cisza, a potem cała szóstka odłożyła widelce i odwróciła się do Stanleya, by dobrze mu się przyjrzeć.

– Co takiego? – spytali.

– Bo w każdej szkole zawsze umiera przedwcześnie przynajmniej jeden uczeń – odparł Stanley. – W każdym liceum jest ktoś taki, nie? Na pewno pamiętacie kogoś ze swojego liceum albo i z innej szkoły, jakiegoś ucznia, który umarł młodo.

Jego uśmiech już gasł. Chciał, żeby to, co powiedział, zabrzmiało błyskotliwie, zabawnie i trochę szokująco, ale jego koledzy sprawiali wrażenie oburzonych i oszołomionych. Na mgnienie oka usiłował przybrać zdziwiony i rozczarowany wyraz twarzy, jak gdyby chciał im dać do zrozumienia, że jego publiczność nie jest tak jowialna i niekonwencjonalna, jak sądził, że wszyscy w pewnym sensie zawiedli go tymi swoimi nędznymi, pruderyjnymi poglądami, wsteczną i niemodną ideologią, niepozostawiającą miejsca na dowcip ani skandal. Usiłował podnieść brwi, lekko skrzywić usta w uśmiechu i przybrać minę światowca – pogardliwą, wesołą i lekceważącą zarazem. Usiłował lekce ich sobie ważyć.

– Co za idiotyzm – powiedziała jedna z dziewczyn.

Stanley uśmiechnął się szerzej. Nie wiedział, jak się teraz zręcznie wycofać, a broniąc cudzego pomysłu, stawał się poniekąd jego wyznawcą. Czuł się jak w pułapce, dlatego usiłował ratować swój honor żartem oraz wdziękiem osobistym, jak jego ojciec, i wzmacniał

swoją rolę, podobnie jak poparcie dla jego koncepcji, aż wreszcie zaczęło mu się wydawać, że to jednak on, Stanley, jest jej autorem.

– Takie ubezpieczenie można wykupić za jakieś dwie stówy miesięcznie. Ceny polis na życie dla dzieci i młodzieży są naprawdę niskie. A trzepanie kasy polega na umiejętności przewidywania, nie? Jeśli więc ci się uda i możesz coś na tym ugrać... Jeżeli potrafisz wytypować ucznia, który ma największe szanse przenieść się na tamten świat...

Rozłożył ręce i wzruszył ramionami, jak gdyby logika tego wywodu była oczywista.

– I ty uważasz, że ta kasa powinna trafić do tego, kto wykupi polisę? – chciał się upewnić jeden z chłopaków. – Czyli że powinna dostać się szkole w nagrodę za to, że trafnie wytypowała ucznia, który umarł?

– Co to w ogóle znaczy: „mieć największe szanse, żeby przenieść się na tamten świat”? – warknęła dziewczyna. – Co za idiotyzm. Skąd możesz wiedzieć, kto umrze wcześniej, a kto później?

Stanleya wkurzyły te słowa. Zaczął odczuwać niechęć – nie wobec ojca, którego instynktownie starał się bronić, ale wobec tej oburzonej widowni, przypatrującej mu się groźnie znad lśniącej niczym lustro ceraty na stole, jakby powiedział coś naprawdę strasznego. Zapomniał już, że sam zareagował z lekkim niesmakiem na ten ubezpieczeniowy pomysł; że rozmyślnie ojcowskie prowokacje często wywoływały u niego skurcze w piersi i bezsilny, dławiący gniew, który zostawał w nim potem jeszcze na długie dni i tygodnie. Zrewanżował się kolegom naburmuszonym spojrzeniem.

– A kto powiedział, że ze śmierci nie może przyjść nic dobrego? Kto powiedział, że to źle znaleźć coś dobrego w czymś tak okropnym jak śmierć? Wypatrzeć to coś zawczasu i skorzystać z okazji?

Niezbyt dokładnie parafrazował argumentację ojca, którego przekręcone słowa brzmiały w ustach Stanleya mało prawdopodobnie.

– Coś dobrego... Masz na myśli milion dolarów za dzieciaka, który, powiedzmy, zginął na skateboardzie, wracając do domu ze szkoły?

– Może – powiedział Stanley. – Tak, może i tak.

– To najgłupszy pomysł, o jakim w życiu słyszałem – odparł jeden z chłopaków. – W ubezpieczeniu na życie chodzi o to, żeby dostać wsparcie finansowe, kiedy umrze ktoś, od kogo jesteś zależny. Znaczący na przykład gdyby umarł mój tata, to mama miałaby przesrane, bo jego pensja jest jej potrzebna na życie: żeby spłacać raty za dom, rachunki i tak dalej. Czyli pieniądze z ubezpieczenia, gdyby tata umarł, poszłyby po prostu na to, żeby przez kilka najbliższych lat nie było kichy, dopóki mama nie znajdzie nowego męża. Dlaczego firma ubezpieczeniowa miałaby ci pozwolić wykupić ubezpieczenie na życie dla ucznia? To bez sensu. Od razu by zwąchali, że coś kombinujesz.

– Mówię czysto hipotetycznie – odpowiedział Stanley, jednak wchodząc w rolę autora pomysłu. – Chodzi mi o to, że to jest teoretycznie możliwe. To coś, nad czym warto się zastanowić. Znaczący, czy dałoby się wykręcić taki numer.

Nagle przypomniał sobie scenę, która rozegrała się dwa spotkania temu w restauracji La Vista; sylwetki ich obu rysowały się na tle ściany z matowego szkła, pnączy i przemysłnej fontanny, która przypominała kapiący bez końca kran. Ojciec otarł usta zmiętą w garści serwetką i zapytał:

– Opowiedzieć ci najokropniejszy sprośny kawał, jaki kiedykolwiek słyszałem? Na pewno go nie znasz.

W restauracji było cicho. Siedzące naprzeciwko nich małżeństwo jadło, wyglądając przez okno. Stanley dotknął swoich ust.

– No – odpowiedział.

– Ale ostrzegam cię, jest naprawdę okropny. Opowiedzieć?

– No.

– Dobrze. Co będziesz miał, jak wysmarujesz sześciolatkę masłem orzechowym?

– Nie wiem.

– Erekcję.

Przez dłuższą chwilę milczeli, a ojciec Stanleya szczyrzył zęby w uśmiechu, unosząc brwi, nie poruszając się; wyglądał jak klaun. Siedząca naprzeciwko nich kobieta bez skrępowania zerknęła na Stanleya, spojrzała mu w oczy, a potem leniwie odwróciła wzrok i powróciła do milczącej sekcji zwłok swojego posiłku. Stanley nie był pewien, czy ich słyszała. Przeniósł spojrzenie z powrotem na ojca – na swojego uśmiechniętego od ucha do ucha, patrzącego na niego wyczekująco ojca – i uruchomił uśmiech. Wyglądał na niesamowicie fałszywy, jakby ktoś spiął mu kąciki ust spinaczami do bielizny albo wbił w nie haczyki wędkarskie, i przez chwilę obaj milczeli i siedzieli w bezruchu. W końcu ojciec powiedział:

– Nieprawdopodobne, co?

– No.

– Nie słyszałeś chyba nic gorszego?

Ojciec figlarnie przechylił głowę na bok, kołysząc się wesoło na krześle.

– Tak – odpowiedział Stanley. – Ten kawał chyba rzeczywiście jest najgorszy.

To wspomnienie przyszło mu do głowy nieproszone i teraz jeszcze bardziej zmarszczył brwi, bo poczuł się tak, jak gdyby go właśnie zdradzono. Jego obecna publiczność odpowiadała mu nachmurzonymi spojrzeniami nad lustrzaną głębią ceratowego blatu, w którym studenci odbijali się woskowo i w skrócie perspektywicznym.

– Nikt nie wyrazi zgody na to, żebyś mógł czerpać korzyści ze śmierci jakiegoś dzieciaka – odezwał się jeden z chłopców. – To po prostu niemożliwe. Nikt na to nie pozwoli.

Stanley wzruszył ramionami i odwrócił się, spoglądając na pozostałe stoliki w kafeterii, jak gdyby ich rozmowa była skończona i nic go to wszystko już nie obchodziło.

– Niewłaściwie do tego podchodzicie – powiedział, nie patrząc na nikogo z nich. Podrapał się beztrąsko w policzek, tocząc wzrokiem po sali, po czym wydał usta i nieznacznie uśmiechnął się szyderczo niczym krnąbrne, naburmuszone dziecko. – Bierzecie to zbyt dosłownie. To miał być tylko żart.

Lipiec

– Co to jest tabu? – zapytał dziekan wydziału aktorskiego, a jego głos zabrzmiał donośnie w wielkiej sali. Studenci siedzieli po turecku, w koło, trzymając się za zimne, pokryte białym pyłem palce u stóp. W rozproszonym świetle mieli ziemiste i upiorne twarze.

– Tabu to coś, czego człowiek chce, ale nie może mieć – odpowiedział ktoś.

– Tabu to coś, co jest zakazane, ponieważ jest obrzydliwe.

– Albo święte.

– O czym nie wolno rozmawiać.

- Przez co czujemy się zakłopotani.
- Tabu to coś, na co nie jesteśmy przygotowani.

Tę ostatnią odpowiedź rzuciła dziewczyna, siedząca po prawej ręce dziekana wydziału aktorskiego. Kiedy się odezwała, dziekan drgnął i odszukał ją swoimi błyszczącymi, bladymi oczami, a po chwili się uśmiechnął, co rzadko mu się zdarzało.

- Coś, na co nie jesteśmy przygotowani – powtórzył. – Dobrze.

Przez kilka minut rozmawiali o magii, rytuałach i składaniu ofiar, a potem dziekan zapytał:

– Czy śmierć jest tabu? – Przyglądał się badawczo każdemu z nich. – Bo kiedyś była bardzo wielkim tabu. Czy nadal tak jest?

Stanley wpatrywał się w podłogę spod zmarszczonych brwi. Bał się bladego, szybkiego spojrzenia dziekana. Każde pytanie zadawał zawsze dostojnie i mocno zdystansowany, podkreślając tym wagę analizowanych problemów i przypominając studentom, że właściwie nikt z nich nie potrafi mu udzielić właściwej odpowiedzi. Zimna prostota, z którą przemawiał, sprawiała, że Stanley odczuwał drżenie w okolicach podbrzusza, jakby rezerwa wykładowcy wzmacniała wszelkie zakazy. Pomyślał, że dziekan celowo zachowuje się swobodnie, niczym stary łajdak, który częstuje dziecko papierosem i udaje, że nie widzi, jak malec się rumieni, jąka i wzrusza ramionami.

W tej ich rozmowie w ogóle pobrzmiewało coś dziwnego, jak gdyby samo tabu również było tematem zakazanych. Stanley miał niewyraźne poczucie, że dziekan wodzi ich na pokuszenie, chociaż nikt ze studentów nie rozumiał do końca, w jaki sposób. Wiercił się i czekał, aż dreszcze w podbrzuszu przeminą. Większość studentów, jak on, wyglądała na zakłopotanych: siedzieli ze spuszczonej głowami i czekali, aż wykładowca rzuci się na któregoś z nich niczym drapieżny ptak na swoją ofiarę.

– Stanley – powiedział dziekan, rzucając się właśnie na niego. – Czy śmierć jest wielkim tabu?

Stanley zacisnął pięści, przyciskając je do podłogi.

– Nie – odparł wreszcie. – Już nie.

– Dlaczego?

– Bo ludzie ciągle udają, że umierają. Widzę to za każdym razem, gdy włączam telewizor.

– No i co? – spytał dziekan, który mimo wszystko wyglądał na zainteresowanego i miał ściągnięte wargi.

– Gdyby śmierć rzeczywiście była dla nas takim wielkim tabu, to udawanie, że się nie żyje, musiałyby mieć swoje konsekwencje.

Dziekan energicznie skinął głową i zwrócił się do grupy. Stanley wciągnął powietrze do płuc. Oblewał się potem.

– Pozwólcie, że opowiem wam o śmierci mojego ojca – powiedział wykładowca. – Zmarł we własnym łóżku, a po jego śmierci moja rodzina czuwała przy jego zwłokach przez cały wieczór, zanim je zabrano. Słyszałem o stężeniu pośmiertnym. Wydało mi się to ciekawe, byłem też jednak trochę podejrzliwy, że to tylko przesąd, babskie gadanie albo coś anachronicznego, co już się dzisiaj nie zdarza. Siedziałem przy łóżku, czuwałem przy zwłokach ojca i mniej więcej co godzinę podchodziłem ukradkiem i delikatnie dotykałem palcem fałdy na jego policzku, gdzie miał obwisłą, miękką skórę. Powtarzałem tę czynność co pewien czas, czekając, aż zacznie sztywnieć. No i w końcu jego policzek zrobił się twardy jak

deska. Wydało mi się to przerażające – ciągnął dziekan. – Długo był miękki, a potem zeszywniał tak nagle, jak za pstryknięciem jakiegoś przełącznika. Powolny upływ czasu dzielący dwa symptomy śmierci, jakimi są stężenie pośmiertne i ustanie pracy serca, napęlił mnie strachem. Nieoczekiwanie zobaczyłem śmierć nie jako coś samotnego i ostatecznego, ale jako rozwijający się proces, nieśpieszne nagromadzenie objawów, stopniowe odchodzenie. Wcześniej nie myślałem o śmierci w taki sposób.

Przyglądali mu się bojaźliwie.

– To dla mnie bardzo osobiste wspomnienie – odezwał się znów dziekan – bo zawsze sobie wyobrażałem, że kiedy mój ojciec umrze, ogarnie mnie wielki smutek, a nawet histeria; będę ciągle płakał jak moje siostry, bardzo zatęsknię za tym, co było w moim ojcu nie do zastąpienia i że będę musiał mocno się starać, by odbudować swoje normalne życie. Myślałem, że kiedy to się stanie, znajdę czas, by zastanowić się nad swoją śmiertelnością, ale już z nowo nabytym uznaniem i szacunkiem dla przemijania.

Głos dziekana nie łamał się, był jednak bardzo cichy, choć w pewnym sensie wzmocniony przez tę cichość niczym okrutny jasnoniebieski płomień palnika gazowego, nastawionego na najmniejszą moc.

– Tak się jednak nie stało – mówił dalej. – Nie płakałem. Nie odczuwałem wielkiego smutku i szybko zastąpiłem wszystko, czego mi brakowało po jego śmierci i czego potrzebowałem. Własną śmiertelność traktowałem jak zawsze i tyle. Wydawało mi się, że wiem, jak zareaguję na śmierć ojca, ale się omyliłem. Podobnie jak Stanley – dodał, przyspieszając i wrzucając jakby nowy, wyższy bieg – każdy z was może włączyć telewizor i patrzeć, kiedy ktoś udaje, że umiera. Wszyscy widzieliście tysiące udawanych śmierci. Gdybym teraz powiedział: „Pif-paf, zabity!”, zaczęlibyście więc się na podłodze, trzymać za brzuchy, skręcać i jęczeć, tworząc w ten sposób jedynie kopię kopii, nic więcej. Chciałbym was prosić, żebyście w ramach pracy domowej przygotowali nie tyle przedstawienie śmierci, bo większość z was nie wie, co znaczy prawdziwa śmierć, ile przedstawienie jakiegoś najbardziej dla was intymnego przeżycia. Zdacie się w ten sposób na łaskę i niełaskę grupy, bo jej je pokażecie. Celem tego ćwiczenia jest sprawdzenie, jak można wykorzystywać bardzo osobiste doświadczenia niczym zastępniki emocjonalne, jeśli przyjdzie wam zagrać w jakiejś scenie czy też sytuacji, której nie rozumiecie.

Zapadła krępująca cisza. Studenci usiłowali nie patrzeć na siebie. Starali się szybko przypomnieć sobie wszystkie stosunkowo niebolesne chwile w swoim życiu, które byliby gotowi odtworzyć na oczach koleżanek i kolegów, udając, że są to ich najbardziej intymne przeżycia.

Dziekan przez chwilę pozwolił tej ciszy gęstnieć. A co by się stało, gdyby jedno z nich odegrało scenę z którychś z moich zajęć? – pomyślał leniwie. – Co, jeśli najintymniejszą chwilą w życiu któregoś z nich jest związek ze mną, jakiś bezcenny dla nich moment, w którym miałem swój udział? I co by było, gdyby taki student miał śmiałość odegrać to na oczach grupy? – Zacisnął usta, rozważając taką możliwość, doszedł jednak do wniosku, że nigdy do tego nie dojdzie. Żadne z nich się na coś takiego nie ośmieli.

– Wielokrotnie wykorzystywałem wspomnienie śmierci ojca w mojej karierze aktorskiej – zauważył w końcu dziekan. – Przywoływałem je, wyobrażałem sobie na nowo i często odgrywałem, aż wreszcie moja pamięć została wyssana z wszystkich odżywczych soków

i czegoś się nauczyłem. Wykorzystywałem to wspomnienie jako Løvborg. Jako Kent. Jako Pierwszy Aktor. Jako Algie.

Stanleyowi przyszedł na myśl jego ojciec – widzi go tu i teraz wśród nich, jak opiera się o poręcz, stojąc z rękami w kieszeniach, i mruga uroczyście do syna, dostrzegłszy go ponad głowami studentów, którzy siedzieli na podłodze w sali. Dziekan na pewno bardzo by mu się nie spodobał, pomyślał Stanley, i usłyszał słowa, które mógłby wypowiedzieć ojciec: „Tak jest, oddawaj religijną cześć temu, co może cię złamać. Oddawaj cześć śmierci, rozstaniom, i naucz się słuchać własnego cierpienia ponad wszelkimi innymi odgłosami. Wtedy ujrysz wszystko z ładnej, zdrowej perspektywy. Tego ci potrzeba”. Stanley wyobrażał sobie, jak ojciec kręci głową i śmieje się z niesmakiem, może nawet trochę bezsilnie, wruszając przy tym ramionami, okrytymi szarą, wystrzępioną kurtką sportową, którą zawsze wkładał na sesje z pacjentami.

Ale może wcale by tego nie powiedział. Może podniósłby tylko kciuk, patrząc na dziekana, i oświadczył: „Muszę mu oddać sprawiedliwość. Bo to przecież tacy ludzie jak on dają pracę takim ludziom jak ja. Niech wam popieprzy w głowach, z wolna, ale skutecznie. A kiedy już sami siebie okradniecie ze wszystkiego, co spontaniczne i dobre w waszym życiu, to przybędzie mi aż dwadzieścioro nowych pacjentów, których ścieżki będę musiał wyprostować. Zatem do dzieła. Jestem z tobą, synu. Jestem z wami wszystkimi. Wgryźcie się w siebie głęboko”.

– Jeśli przywołacie wspomnienie jakiegoś grzechu – mówił dziekan wydziału aktorskiego, a jego głos rozbrzmiewał teraz dźwięcznie, jakby cytował ulubiony tekst – to potem się od niego uwolnicie. To będzie coś w rodzaju odkupienia.

Stanley zastanawiał się, czy zrobił w życiu coś, co wymagałoby odkupienia, i wstydził się, że nic takiego nie przychodzi mu do głowy. Chciał mieć tajemnicę, mroczną, rozkwitającą niczym plama atramentu, nad którą mógłby dumać i której mógłby się pozbyć wzruszeniem ramion.

W końcu, kiedy wskazówka minutowa znalazła się na dwunastej, dziekan powiedział:

– Mam jeszcze ostatnie pytanie, zanim skończymy. Jakie tabu jest poważniejsze i świętsze niż wszystkie inne?

– Seks – odezwał się ktoś. Odpowiedź zabrzmiała tandetnie, niektórzy studenci marszczyli brwi, wiercili się, znowu wbijali wzrok w podłogę i popadali w głębokie zamyślenie. Stanley ponownie poczuł dreszcz w kroczu i zeszywniał, bo bardzo chciał już wyjść z sali i zniknąć. Potem dziewczyna, która siedziała po prawej ręce dziekana, wyprostowała się i powiedziała:

– Najświętsze tabu w naszej kulturze to kazirodztwo.

Zabrzmiał dzwonek. Dziekan odezwał się:

– Możecie iść.

Sierpień

Dwadzieścioro studentów pracowało prawie przez cały ranek, żeby odegrać najintymniejszą scenę ze swojego życia. Większość wybrała dramatyczny moment rozvodu rodziców. Niektórzy próbowali pokazać swoje zbliżenie erotyczne albo jakieś publiczne upokorzenie. Jedna z dziewczyn wniosła na scenę stos pudełek z pizzą. Odgryzała z każdej kawałek, żuła go na papkę i wypluwała do białej miski, którą trzymała pod pachą. Ciągle przy tym płakała. Zdążyła przeżuć aż trzy zimne pizze, nim dziekan wydziału aktorskiego w końcu

klasnął w dłonie i powiedział:

– Dobrze. Dziękuję. Można już na tym pracować.

W miarę upływu czasu studenci popadali w przygnębienie. Stanley był jednym z ostatnich występujących. Ścisnął w ręce papierową torebkę z rekwizytami, patrząc, jak jeden po drugim zmieniają się aktorzy, i wszyscy płaczą, krzyczą albo gładzą wyimaginowanych kochanków grzbietami drżących dłoni.

– Jak miałam szesnaście lat – mówiła właśnie jedna dziewczyna – szukałam w biurku taty cyrkla, który był mi potrzebny na matematykę. I znalazłam zdjęcie ojca w kąpielu z jakimś dzieciakiem. Nie znałam tej wanny ani tego dzieciaka. Na odwrocie nie było nic napisane. Pokazałam fotografię mamie.

Pociągnęła za rączkę starej zwijanej mapy, przymocowanej do poplamionej, białej tablicy na kółkach. Gdy mapa się rozwinęła, okazało się, że dziewczyna nakleiła na nią ogromną, malowaną reprodukcję zdjęcia, o którym wcześniej mówiła. Brodaty ojciec studentki był roześmiany, a głowę miał odchyłoną do tyłu tak daleko, że było widać tajemniczy szkarłat jego krtani. Dziewczyna zaczęła rączkę mapy o haczyk pod tablicą, żeby się nie zwinęła, i zrobiła krok w tył.

– Okazało się, że tata miał dwie rodziny – powiedziała. – Dowiedzieliśmy się o tym dzięki tej fotografii. Wiele lat wcześniej wdał się w romans z pewną kobietą, która zaszła dwukrotnie w ciążę, i nagle miał dwie rodziny, dwie gromadki dzieciaków. I chyba dzielił swój czas między nie. Gdy sprawa wyszła na jaw, nie próbował się tłumaczyć ani nic. Po prostu wstał i wyszedł z domu. Nie widziałam go od tamtej pory. Nie chciałabym go zobaczyć. Mama zniszczyła zdjęcie, musiałam je więc namalować z pamięci. Jest na nim właśnie on ze swoim trzecim dzieckiem z tamtej drugiej rodziny.

Stanley wpatrywał się w wielkiego, korpulentnego i obrzydliwie nieproporcjonalnie zbudowanego ojca w wannie, który zaciskał serdelkowate, różowe palce na ciałku niemowlaka, śmiejącego się w bladej mydlanej lagunie między jego nogami. Dziekan kiwał głową i pisał coś zawzięcie w notesie, a Stanley przyglądał się, jak dziewczyna roluje swój wielki malunek i cicho schodzi ze sceny.

Potem jeden z chłopaków zaczął opisywać najgorszą kłótnię, do jakiej doszło między jego rodzicami. Należał do pierwszorocznych komedianów, potrafił śmiać się z samego siebie, był błyskotliwy i miał powodzenie u dziewczyn, a kiedy zaczął przemawiać, grupa wyraźnie się rozluźniła i rozpromieniła – studenci znowu nabrali ochoty do śmiechu. Dziekan przewrócił kartkę i spojrzał na chłopaka znad okularów, przechylając głowę na bok i opierając dłoń na stojącym przed nim biurku.

– I wtedy – mówił chłopak – tata wykrzyczał: „Jesteś neurotyczną, nienormalną kobietą, i pewnego dnia będziesz się musiała do tego przyznać!”. Przez chwilę zrobiło się naprawdę strasznie, bo mój ojciec to na co dzień bardzo spokojny i cierpliwy człowiek. A potem coś się stało. Mama uciekła, po prostu od niego uciekła, wybiegła na korytarz, do swojego gabinetu, i zatrzasnęła drzwi. Myśleliśmy, że to już koniec kłótni, ale mniej więcej dziesięć minut później znów otworzyła drzwi i wyszła z pokoju dumna, z wysoko podniesioną głową, o tak... – pokazał, unosząc ręce niczym baletnica – ...trzymając w ramionach kupę kartek, bo wypisała to wykrzyczane przez ojca zdanie wielkimi literami na komputerze i wydrukowała je w pięćdziesięciu egzemplarzach. Porozkładała je wszędzie. Powkładała ojcu do teczki

i kieszeni wszystkich ubrań, a jedną przypięła na tablicy korkowej w kuchni. Dlatego kartki ze słowami: „Jesteś neurotyczną, nienormalną kobietą, i pewnego dnia będziesz się musiała do tego przyznać” walały się po całym domu.

Wszyscy się zaśmiali. Chłopak podziękował im szybkim gestem i zrobił taki ruch, jak gdyby zamierzał wrócić na swoje miejsce na podłodze.

– Zostań na chwilę, Oliverze – powiedział dziekan. Nie uśmiechał się. – Dlaczego właśnie to wspomnienie wydaje ci się czymś najbardziej intymnym w twoim życiu?

Chłopak wzruszył ramionami i wcisnął ręce w kieszenie.

– Pewnie dlatego, że tego dnia zrozumiałem, co to jest zemsta – odparł i wszyscy wybuchnęli śmiechem raz jeszcze.

– Naprawdę? – spytał dziekan. – A może dlatego, że rozśmieszyć kolegów to dla ciebie najłatwiejsza rzecz na świecie? To dlatego wybrałeś najłatwiejszą opcję, najłatwiejsze wyjście, zamiast podzielić się z nami sobą szczerze i uczciwie?

W sali znów zapadła cisza. Studenci dłubali paznokciami w deskach podłogowych, starając się nie patrzeć na Olivera, komika, komedianta, który wciąż stał na scenie z rękami w kieszeniach, szurając nogami. Stanley przyglądał się jego obronnemu uśmiechowi, migoczącemu w kącikach ust jak płomyczek.

– Wszyscy musieli się z nami czymś podzielić – zauważył dziekan. – Z własnej woli ujawnili swoje największe słabości. Na nowo przeżyli najboleśniejsze i najświętsze chwile w swoim życiu, i pokazali je nam bez ogródek. Do tego potrzeba odwagi. Dziś rano było na tej sali sporo zaufania, ale ja go w tobie nie widzę za dużo, Oliverze. Wykorzystywanie swoich silnych stron nie wymaga odwagi. Wiedziałaś, że wszyscy będą się śmiać, wielkie rzeczy.

Oliver kiwał głową, zasmucony, i najwyraźniej chciał już wtopić się w grupę studentów, siedzących na podłodze, żeby porozmyślać nad swoją hańbą w spokoju. Wiedział, że go to czeka. Wszyscy pierwszorocznicy musieli przejść przez tego rodzaju szkolenie, zaznać przymusowego złamania swojego „ja”, aby odrodzić się później w bardziej wieloaspektowej postaci. Spotkało to dotąd mniej więcej połowę studentów, a reszta ponuro czekała na swoją kolej.

– Masz dziewczynę, Oliverze? – zapytał dziekan.

– Tak. – Była z pierwszego roku i Oliver przez chwilę szukał jej wzrokiem w grupie.

– A czy jest coś takiego w waszym związku, czego nie chciałbyś pokazać reszcie koleżanek i kolegów?

Chłopak zwrócił się do dziekana. Znieruchomiał i przez chwilę podejrzliwie patrzył na swojego wykładowcę.

– Tak – powtórzył, a Stanley pomyślał, że właściwie nie bardzo mógł powiedzieć „nie”. Dziewczyna wyglądała na lekko przestraszoną, jakby spodziewała się jakiejś wymuszonej rewelacji, która postawi ją w moralnie niekorzystnym świetle albo zniszczy, ale odpowiedź chłopaka mimo wszystko sprawiła jej wielką przyjemność i niemal się uśmiechnęła, zerkając na koleżanki, żeby zobaczyć, czy są zazdrosne.

– Na tym właśnie polega intymność – powiedział dziekan. – Intymność obejmuje bowiem wszystkie te chwile, którymi nie chcielibyście się z nikim podzielić.

Patrzył na Olivera, z dezaprobatą stukając piórem w biurko.

– Możesz zejść ze sceny – powiedział w końcu. – Ale jeszcze z tobą nie skończyłem.

Dziekan siedział za studentami, bokiem, przy małym biurku, krzyżując swoje długie nogi, i jedną ręką gładził się po łydce, a drugą pisał. Przyglądał się, jak zawstydzony Oliver wraca na miejsce koło swojej dziewczyny, po czym energicznie wsunął nasadkę na pióro.

– Stanley – powiedział. – Na scenę.

Rozdział DZIEWIĄTY

Piątek

Fiszki Julii były lekko pogrubione na brzegach od jej wilgotnych palców.

– Dziewczyny są jak figury woskowe w żywych obrazach: zawsze odgrywają tę samą scenę i zawsze w tym samym układzie – mówi Julia. – Najbardziej napalona działa jak pułapka, która znajduje się niezmiennie w centrum. Dziewczyna pułapka nie może zajmować pozycji na rubieżach, bo stałaby się nazbyt łatwym celem.

Ostre światło reflektora unieruchamia Julię i przyciska ją do ściany.

– Dziewczyna pułapka nie musi być najpiękniejsza – ciągnie Julia – ale powinna być najbardziej prowokująca. Czasami robi coś, co zawstydza albo wprawia w zakłopotanie inne postaci, najczęściej dlatego, że przyjmuje bezdennie głupią albo celowo skandaliczną postawę. To normalna część jej roli. Najpiękniejsza dziewczyna, zwana nagrodą, siedzi obok dziewczyny pułapki. Dziewczyny nagrody nie wolno dotykać. To często jedyna postać w tym żywym obrazie, pozostająca w stabilnym i długotrwałym związku uczuciowym, co podkreśla jej nietykalność. Dziewczyna nagroda jest na ogół niewinna, niepojęta i ma wzięcie. Za dziewczyną pułapką i dziewczyną nagrodą stoi orkiestrująca wszystkie ruchy w obrazie kierowniczką. Często trudno ją dostrzec, a metody jej działania oczywiście różnią się w każdej grupie. Do powszechnie stosowanych sposobów potajemnej orkiestracji należą dowcip i okrucieństwo, chociaż czasem dziewczyny przyjmują też postawę matczyną, opiekuńczą. Wszystkie pozostałe postaci to ambitne służki tego głównego tria, wykorzystywane jako tło, kozły ofiarne albo klakierki.

Julia ma czasem specyficzny, monotony sposób podawania tekstu, jak gdyby ktoś ją zmuszał, żeby go czytała, chce się więc wytłumaczyć z tkwiącego w niej głęboko uczucia pogardy.

– Przygnębiający bezruch tego obrazu – mówi na koniec – wyjaśnia, dlaczego dziewczęta najwyżej cenią sobie nowe wcielenia i metamorfozy.

Poniedziałek

Spotkania z psychologiem, na których mógłby porozmawiać z dziewczętami o śmierci Bridget, nie odbywają się. Flaga, która wcześniej zalegała w magazynku sportowym, zostaje wyprasowana i wciągnięta do połowy masztu, gdzie spędza ponury tydzień, objając się o zardzewiałe żelastwo. Dziewczęta krążą po kampusie wielką, upiorną falą. Wstydzą się, że nic nie czują, i z szacunkiem starają się jak najbardziej wzruszyć. Wstydliwie kontemplują własną śmiertelność, przyglądając się spływającym po szybie kroplom deszczu. Wzdychają, nie przesiadują zbyt długo w toalecie i mówią jedna do drugiej: „Chyba muszę na chwilę zostać sama”.

– Drobiazgi – Julia słyszy jakąś dziewczynę, która rozmawia z koleżanką w kolejce do szkolnego sklepiku. – Pamięta się drobiazgi.

A na apelu psycholog mówi do nich:

– Bridget była osobą wyjątkową. – Wypowiada „wyjątkową” w taki sam sposób, w jaki powiedziała „ważną”, składając usta w ciup, jak gdyby usiłował wyssać żołądz z łupiny, lecz nieświadomie nadaje temu słowu przeciwstawne znaczenie. Dziewczyny na sali, które nie

znały Bridget, z drzeniem kiwają głowami i pociągają siedzące obok koleżanki za rękawy, jakby szukając poparcia.

W pokoju nauczycielskim nauczyciele rozmawiają o tym, jak upamiętnić Bridget. Ktoś sugeruje mural, ktoś inny tablicę pamiątkową w korytarzu skrzydła muzycznego, by uczcić jej zaangażowanie w grę w big-bandzie. Mijają kolejne tygodnie.

Tymczasem Victoria, siostra Isolde, wraca do szkoły.

Piątek

– Wygląda na to, że ty i Julia dobrze się dogadujecie – mówi nauczycielka gry na saksofonie, gdy Isolde przydreptała na zajęcia, a potem zdjęła szalik i mitenki.

– No – odpowiada, wymachując rękami. – Boże, jak zimno!

– Często spotykasz ją w szkole?

– Chyba tak – mówi Isolde. – Siódmoklasiści mają swoją świetlicę, salę do wspólnej nauki i tak dalej. Nam tam nie wolno wchodzić. A wie pani, znalazłam kilka nagrań tego faceta, na którego koncercie byliśmy... Mają ich całkiem sporo w naszej bibliotece.

– To dobrze – odpowiada nauczycielka. – I?

– Są niesamowite – emocjonuje się Isolde. – Nabrałam ochoty, żeby zacząć grać w zespole, czyli jak należy.

– Mogłabyś dołączyć do tej undergroundowej grupy Julii.

– Ona byłaby o wiele lepsza ode mnie – mówi Isolde. – Uczy się grać już strasznie długo, no nie?

– Dostanie w tym roku medal za wyniki w nauce – odpowiada nauczycielka. – Muszę przyznać, że byłam bardzo zadowolona, że tak dobrze się dogadujecie. Czy Julia przyjaźni się z twoją siostrą?

– Boże, nie – prycha Isolde. – Koleżanki Victorii są... Chciałam powiedzieć, że mają martwicę mózgu. Ale nie. One są po prostu... bardziej dziecinne.

– A Julia nie?

– Absolutnie nie.

– A co jest przeciwieństwem dziecinnej dziewczęcości? – pyta nauczycielka, myśląc, że podobną pewność jej uczennice wykazują tylko w kwestiach hierarchii towarzyskiej albo kiedy chcą kogoś napiętnować.

Isolde zastanawia się przez chwilę, owijając łańcuszek wokół palca.

– Hardkor – rzuca w końcu, wymawiając to słowo zdecydowanie, jakby tym samym zaprzeczała wszystkim innym możliwościom.

– Więc Julia jest hardkorowa – stwierdza nauczycielka.

– Ach, miałam panią o coś zapytać w związku z taką jedną płytą, którą wypożyczyłam – mówi Isolde, grzebiąc w torebce. – Przyniosłam ją ze sobą.

Nauczycielka się nachmurza. Chce przedstawienia, żeby światła zmieniły się na tylne światła auta pana Saladina, i przez chwilę pragnie zobaczyć Isolde całą oświetloną na czerwono, zanim pan Saladin wyłączy silnik i światła zgasną, bo potem dziewczyna będzie siedzieć w półmroku latarni w ciemnym samochodzie. I chce, żeby Isolde powiedziała...

– Chodzi mi o wokalizę w tym kawałku – mówi Isolde, wyciągając płytę i odwracając ją, by znaleźć tytuł utworu. – Nie ma pani nic przeciwko temu, żebyśmy go puściła?

– Oczywiście, że nie, włączaj – mówi nauczycielka, siadając z wdziękiem i przyglądając

się, jak Isolde wciska palcem odpowiedni klawisz, po czym wkłada płytę do odtwarzacza. By ukryć rozczarowanie, sięga po filiżankę stygnącej herbaty i patrzy, jak dziewczyna szuka uruchamiającego wzmacniacz przycisku, przesuwając palcami po guzikach i pokrętkach niczym niewidoma.

Isolde reguluje głośność, rozbrzmiewa muzyka i wtedy zmieniają się światła – żarówka nad ich głowami blednie i gaśnie, kiedy narastają dźwięki saksofonu. Nauczycielka i jej uczennica przez chwilę toną w całkowitej ciemności, a potem światła powoli się zapalają. Są teraz czerwone, ciepłe i dyskretne, jak gdyby rzucane przez stojące tu i ówdzie lampki na stołach albo w boksach w jakimś ustronnym barze. Muzyka jest chromatyczna i powolna. Nauczycielka wydaje ciche, zadowolone westchnienie, rozsiadając się wygodnie.

– Kiedy panią zostawiłyśmy – mówi Isolde – usłyszałyśmy właśnie ten kawałek. Sączył się z jednego z tych małych, zadymionych nocnych barów w zaułku koło ratusza. To był jakiś koncert, ale nie taki, na którym wszyscy się poca, przepychają, biją i walczą ze sobą łokciami; po prostu jakiś trzyosobowy zespół urządził sobie jam session w spokojnej knajpie, żeby zabić czas. Julia zwróciła się do mnie i zapytała: „Chcesz się czegoś napić?”, a ja najwidoczniej skinęłam głową, bo nie minęła chwila, a już otwierałyśmy zasnutę dymem drzwi i wchodziłyśmy do ciepłej, czynnej do późna kafejki...

Isolde podkręca gałkę wzmacniacza jeszcze bardziej i muzyka nabrzmiwa, jakby ktoś otworzył właśnie drzwi...

– ...grają perkusja, kontrabas i pianino, wszyscy są bosy i radośni, a perkusista pochyła się i rozmawia z barmanem, nie przerywając gry.

Nauczycielka kiwa głową, wyobrażając sobie tę scenę. Zna ten bar doskonale: poplamiona tapeta w romby, ciemna boazeria kończąca się elegancką listwą na wysokości ramienia, czerwone, mosiężne kinkiety na ścianach i pięknie krwawiące palce rdzy, widoczne w skierowanych w dół promieniach. To ulubione miejsce Patsy, lubi tu siedzieć i pić, a nauczycielka przez długie lata spędziła wiele godzin w tym pełnym wspomnień kącie. Widzi ozdobną, gipsową ramę lustra za barem, złotą, pękniętą i kruszącą się, a także mosiężne, poszarzałe ze starości tabliczki na drzwiach toalet.

– Wchodzimy – ciągnie dalej Isolde – i Julia prosi, żebym usiadła, a ona zamówi dla nas drinki, no to idę i wsuwam się w kąt gabinetu, zdejmuję płaszcz, szalik, a później przeglądam się w ciemnej szybie okna przy drzwiach. Patrzę, jak Julia pochyła się nad barem i mówi coś do barmana, potem bierze resztę i dwa kieliszki, a on macha do niej przepołowioną cytryną i rzuca: „Odejdź ode mnie!”. Śmieją się oboje. Julia wsuwa się w kąt i mówi: „Przepraszam, nawet cię nie zapytałam... Może być czerwone?”. A ja nie chcę jej powiedzieć, że pijam głównie wódkę albo rum z syropem owocowym, by zabić smak alkoholu, i że czerwone wino piłam tylko raz, kiedy ukradłyśmy flaszkę mamie takiej jednej koleżanki i przelałyśmy zawartość do pustej do połowy butelki po coca-coli, żeby nie było widać, że jest w niej wino.

Isolde zasycha w ustach. Oblizuje wargi.

– Pociągam łyk – mówi – i smakuje paskudnie, jeszcze gorzej niż tamto wino z colą, które wypiliśmy pod ławkami dla publiczności na boisku do rugby. Pytam Julię, czy skończyła już osiemnaście lat, a ona wygląda na trochę zdenerwowaną, jak gdyby wolała rozmawiać o czymś innym. Odpowiada jednak, że tak, w zeszłym tygodniu. Obchodziła urodziny. Mówię, że wino jest smaczne. Potem zaczynamy rozmawiać o pani, o tym, co o pani myślimy, pewnie

dlatego, że w gruncie rzeczy jedynie pani nas łączy.

Muzyka jest jękliwa i nieskomplikowana. Nauczycielka widzi wszystko: zespół złożony z trzech starzejących się, pogodnych mężczyzn, deptających bosymi stopami po żółtych kablach przedłużaczy, kontrabasistę, który kiwa głową i uśmiecha się nad lśniącym, drewnianym ramieniem swojego jednonogiego, przypominającego kształtem kobietę instrumentu, pianistę, wychylającego się co chwila z kręgu światła, oraz perkusistę, który gra przez chwilę jedną ręką, sięgając drugą po zroszoną szklanekę piwa, złocistą w świetle rzucanym przez lampę spod frędzli klosza.

– Potem – mówi Isolde – jak już wypiliśmy wino, to idziemy w stronę jej samochodu, a mnie się trochę kręci w głowie. Za dużo się śmieję. A później Julia mówi: „Większość dziewczyn w szkole trochę się mnie boi. Fajnie, że ty nie”.

Isolde urywa. Stoi teraz w żółtym świetle latarni ulicznej, ma szeroko otwarte oczy, brakuje jej tchu i konwulsyjnie szarpie palcami rękawy swojej bluzy. Muzyka wchodzi w kolejną, szybszą fazę, staje się bardziej natarczywa i rozstrojona. Isolde sztywnieje.

– Popatrzyłam na nią i powiedziałam, że trochę tak. Że trochę się boję. Ale gdybym się nie bała, to nasza znajomość nie byłaby wiele warta.

Isolde wydaje cichy okrzyk, zduszony, mimowolny szloch; nauczycielka nie będzie potem pamiętać nic poza nim.

– A Julia patrzy mi w oczy – mówi dziewczyna – chwyta mnie za rękawy płaszcza i przyciąga do siebie naprawdę z całej siły. I wydaje mi się, że pamiętam tylko jedną króciutką chwilę, zanim na siebie wpadamy, bo w ostatnim momencie jakby się hamujemy, czuję jej oddech na swojej górnej wardze, słodki, gorący, szybki i zdyszany. W dzielącej nas przestrzeni wyczułam też czarną woń wina, a potem Julia mnie pocałowała.

Isolde nie patrzy na nauczycielkę, tylko dalej, za okno, na omszałe dachy, kępy anten i nieustannie kołujące na tle nieba gołębie.

– Tylko że to nie był taki pocałunek, jakiego się spodziewałam – mówi. – Bo ona wzięła moją dolną wargę w usta i ugryzła mnie. Ugryzła mnie w dolną wargę, ale nie tak, żeby mnie bolało, raczej tylko bardzo delikatnie ją rozciągała, szarpała zębami. Odsunęłam chyba głowę do tyłu, westchnęłam, nieznacznie rozchyliłam usta, a Julia ciągle przytrzymywała moją wargę zębami, ale nic mnie nie bolało, robiła to naprawdę delikatnie, jakby ją tylko złapała i nie chciała puścić. Potem oparłyśmy się o ścianę; pamiętam, że miałam zamknięte oczy, wciskałam zaciśnięte pięści w ścianę nad swoją głową, i czułam, jak Julia na mnie napiera, jej dłonie wpychają się coraz dalej, żeby znaleźć moje ciało pod bluzą, a wreszcie gładzi mnie zimnymi rękami po plecach i szepcze mi do ucha, słona i napalona: „Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Nie mogę w to uwierzyć. I nie wiem, czy to jest moja konfabulacja, czy twoja”.

Światła znowu bledną, gdy utwór na płycie zamyka się akordem. Isolde podchodzi do wieży i wysuwa płytę, żeby nie zaczął się kolejny utwór. Nauczycielka ociera twarz i zsuwa dłoń na podbródek, na chwilę rozciągając delikatną skórę swoich policzków, przez co wygląda niczym smutny klaun.

Wtorek

– Rozumiem, że to jest coś, na co absolutnie nie była pani przygotowana – mówi nauczycielka gry na saksofonie do mamy Bridget. – Sama jestem w szoku. Po części dlatego,

że Bridget była taka nudna. Zawsze mi się wydaje, że ci, którzy umierają, są interesujący, bo skrzywdzeni, tragiczni, i że ich śmierć powinna być straszną, naprawdę straszną stratą. Zawsze widzę takie przypadki jako tragedię, ale śmierć Bridget nie bardzo mi pasuje do tego schematu.

Mama Bridget bawi się guzikiem poduszki. Ma ziemistą twarz. Na serdecznym palcu pulchnej lewej dłoni nosi wielki jak komin złoty pierścionek z jakimś drogim kamieniem, uwięziony pomiędzy dwiema spuchniętymi kostkami i odciskający się na skórze jak tatuaż albo piętno. Kobieta niecierpliwie zsuwa poduszkę z kolan i zdesperowana kręci głową.

– Gdyby Bridget była bardziej interesująca – mówi – byłoby nam łatwiej ją wypatrzyć. Rozumie pani, bo gdyby była ciekawsza, to może byśmy się bali, że pewnego dnia popełni samobójstwo. Wtedy przynajmniej bralibyśmy jej śmierć pod uwagę. Moglibyśmy się na nią przygotować, po prostu ją sobie wyobrażając. Ale ktoś tak nieciekawym jak Bridget nigdy nie pomyślałby o samobójstwie. Ona zwyczajnie nie była dość inteligentna, żeby w ogóle rozważyć takie wyjście.

– Tak – odpowiada nauczycielka. – Ja też to zauważyłam. Bridget nie była dość inteligentna, żeby odczuwać rozpacz.

Siedzą przez chwilę w milczeniu. Na dziedzińcu walczą między sobą gołębie.

– A jak można się przygotować na wypadek? – pyta niemrawo mama Bridget, bardziej sama siebie niż nauczycielkę. – Jak można się przygotować na pędzący w ciemnościach samochód?

Po chwili nauczycielka zadaje inne pytanie:

– Ma pani więcej dzieci?

– Chłopaka. Starszego. Już z nami nie mieszka.

– Pewnie pani do niego telefonowała.

– Tak – odpowiada mama Bridget.

– Przypuszczam, że przyjedzie na pogrzeb.

– Och, pogrzeb. – Mama Bridget znowu popada w milczenie, a potem mówi: – Ja po prostu nie sądziłam, że do tego dojdzie. Nie byłam na to przygotowana. Nadal nie jestem. To niesprawiedliwe.

Piątek

– Czy wiesz – mówi Patsy rozmarzonym głosem i kołysze się nad stołem, wsparłszy podbródek na pięści – że najbardziej nieszczera wobec Briana jestem zwykle wtedy, kiedy jemu się wydaje, że zdradzam mu swoje najintymniejsze myśli?

– Jak to? – pyta nauczycielka gry na saksofonie. Siedzi sztywno, trzymając swój instrument pionowo na kolanach. Ta scena rozgrywa się dawno temu. Nauczycielka trzyma saksofon z pełnym uwagi szacunkiem, wręcz ostrożnie, obiema rękami, niczym świeżo poślubioną żonę, jakby nie było jeszcze na nim odcisków palców, a on sam jej jeszcze nie spowszedniał.

– Na przykład siedzę i myślę, jak bardzo mnie irytuje – odpowiada Patsy – kiedy pociąga nosem, czytając, bo Brian zawsze wtedy pociąga nosem, co pół strony. Potem podnosi wzrok, uśmiecha się do mnie, a ja się zmuszam, żeby coś powiedzieć, bo może w jakiś sposób odgadł, o czym myślałam. Wpadam więc w panikę, czuję się winna i mówię: „To cudownie, że możemy tak sobie siedzieć w milczeniu i czytać. Jest nam tak spokojnie. Uwielbiam robić z tobą takie rzeczy”. Ale właściwie myślę coś całkiem przeciwnego. I to się zdarza często. Na przykład myślę, że Brian jednak tyje, a potem dopada mnie poczucie winy, że pomyślałam

o nim coś tak niemiłego, ogarnia mnie strach i wypalam: „Kocham cię”. Kieruję się najdziwniejszymi motywacjami.

– Ale ty przecież naprawdę kochasz Briana – mówi nauczycielka, głównie dlatego, że wydaje się jej, że tak trzeba. Widziała go jak dotąd tylko raz, na jakimś recitalu w starej kaplicy uniwersyteckiej. Uścisnęła jej dłoń, pochwalił ją za to, jak grała, i opowiadał grzmiącym głosem o odnowionych gobelinach i boazerii, patrząc na nią z wysoka i mrugając powiekami, najwyraźniej bardzo ucieszony jej brakiem zainteresowania. Patsy wpadała do kaplicy i wybiegała na zewnątrz, poklepywała Briana i ciągle powtarzała: „Daj spokój, Niedźwiedziu, ona nie chce tego słuchać”.

– Och, Boże, tak, kocham go – mówi teraz Patsy. – Prawie przez cały czas. W każdym razie dość często. Tak często, jak jeszcze nikogo.

Śmieje się i nieznacznie wzrusza ramionami, zapraszając nauczycielkę, by do niej dołączyła i pośmiała się też z jej głupoty oraz z głupoty wszystkich obłudnych kobiet, które mówią coś innego, niż naprawdę myślą. Nauczycielka zaciska wargi, posyła jej uśmiech i patrzy, jak śmiech Patsy więdnie, przechodząc w kręcenie głową i westchnienie. Ma ochotę pocałować ją w usta. Chce, żeby tamta troszeczkę się wtedy cofnęła, zaskoczona, i by się niemal wzdrygnęła przed czymś tak niezwykłym i zakazanym, ale żeby po chwili oddała jej pocałunek – choćby wbrew swojej woli. Zwłaszcza wbrew swojej woli.

Gdyby nie Brian... Nauczycielka gry na saksofonie często od tego rozpoczyna swoje rozmyślenia. Jak by to było, gdyby nie Brian? Czy Brian jest tylko jednostkowym, przygodnym, przypadkowym mężczyzną, czy symbolizuje wszystkich mężczyzn? Albo jakieś ich ogólne preferencje, tendencje? I czy gdyby nie Brian, to byłby ktoś inny, jakiś Mickey, Hamish albo Bob? Nauczycielka czasami boi się, że solidność Briana i jego wygląd fizyczny od dawna zmieniają Patsy, która pochyła się i garbi coraz bardziej, aż w końcu zostanie z niej tylko jakaś antyprzestrzeń, opakowanie dla mężczyzny: on określa ją, a ona jego. Boi się, że Patsy zawsze będzie już teraz istnieć w ten sposób, z Brianem albo bez, celowo wygięta tak, żeby się dookreślić, owinięta wokół jakiegoś mężczyzny, zawsze właśnie mężczyzny, niczym jin wyciągające się ku kontrapunktowi jang, z jedną ręką wiecznie podkuloną, a drugą wygiętą, na wieczność.

Patsy znów kręci głową, jakby nie mogła uwierzyć w swoją głupotę, i podnosi otwarte dłonie do skroni, żeby odgarnąć włosy ze starzejącej się twarzy. Ma delikatne nadgarstki. Nauczycielka gry na saksofonie śledzi wzrokiem jej ruchy.

Środa

– Podobno bierze prozak – mówią wszyscy na początku drugiego tygodnia, albo: – Podobno musieli nafaszerować Victorię ritalinem, kiedy ją nakryli, taka była rozbita. – Victoria została teraz naznaczona, skazana na przyjęcie jednej z dwóch całkowicie odmiennych możliwości. – Albo skończy jako kobieta skrajnie rozwiązła i pozostanie taka już do końca życia, a jej ciało zmieni się w broń, na której będzie polegać, chociaż nie do końca umie się nią posługiwać – szepczą dziewczyny – albo stanie się jakby emocjonalną skorupą, pustą, apatyczną i nijaką. Jedno albo drugie. Zobaczycie. Victoria jest porąbana. Jedno albo drugie. – Przyglądają się jej ciekawie, żeby zobaczyć, którą drogą pójdzie, wyciągają szyje, kiedy Victoria wchodzi do klasy, a potem rozluźniają się, rozczarowane, ale jednak z ulgą, kiedy wychodzi.

Nie widać po niej, na którą możliwą wersję siebie ostatecznie się zdecydowała. Jest

przygnębiona, ale grzeczna wobec wszystkich nauczycieli, a na boisku szkolnym z ograniczonym powodzeniem próbuje jakoś połączyć wszystkie przyjaźnie, które zniszczyła jej nielojalność. Dziewczęta przyglądają się jej krzywo, zwłaszcza te, które kiedyś były z nią najbliżej i z którymi powinna była podzielić się swoją tajemnicą, lecz tego nie zrobiła. Uprzejmie pyta o to, co się działo przez tych kilka miesięcy, kiedy nie było jej w szkole, a koleżanki udzielają odpowiedzi zgodnych z prawdą, chociaż przez cały czas patrzą na Victorię trochę z oddali, rozdarte pomiędzy litością i obrzydzeniem.

– Czy twoi rodzice znają pana Saladina? – pyta jedna z dziewczyn w czasie lunchu. – To znaczy czy go poznali, kiedy przestałaś chodzić do szkoły? Spotkali się z nim czy coś?

– No – mówi Victoria. – Spotkaliśmy się we czworo.

Zapada nagła, pełna fascynacji cisza. Wszystkie uczennice nieruchomieją i patrzą na Victorię.

– On jest o wiele młodszy od mojego taty – mówi Victoria – więc spotkanie przebiegało trochę na zasadzie my kontra oni. – Nie dodaje nic więcej. Kończy jeść jabłko i idzie przez całe boisko wyrzucić ogryzek do kosza. Gdy wraca, odzywa się dzwonek i dziewczęta się rozchodzą, popatrując na nią tęsknie, szukając swoich torebek i chowając serwetki.

„Zdajesz sobie sprawę z tego, że możesz nam wynagrodzić swoją zdradę – chcę powiedzieć – tylko jeśli opowiesz nam absolutnie wszystko, ze wszystkimi szczegółami”.

„Zostałabyś naszą celebrytką – chcę powiedzieć – jeśli tylko dałabyś nam wszystko; gdybyś nam o wszystkim opowiedziała, gdybyś dopuściła nas do tajemnicy”.

Chcę powiedzieć: „To nie fair, że masz nad nami taką przewagę. Jesteś samolubna, skoro tak cenną i niebezpieczną wiedzę zachowujesz dla siebie”.

Mijają kolejne tygodnie.

Poniedziałek

– Podobał mi się twój występ w zeszłym tygodniu – mówi do Julii nauczycielka gry na saksofonie. – I to, jak odegrałaś wasz powrót do domu po koncercie, kiedy siedziałyście razem w samochodzie. To, co wtedy czułaś. I co widziałaś. Podobało mi się.

– Dzięki – mówi Julia.

– Ćwiczyłaś? – pyta skwapliwie nauczycielka. – Tak jak cię prosiłam?

– Trochę.

– Na czym się skupiałaś?

– Chyba na perspektywie ogólnej. Na tym, jak to się dzieje, że jedna dziewczyna uwodzi drugą.

– No to zacznijmy od perspektywy ogólnej – mówi nauczycielka i gestem dłoni pokazuje Julii, żeby zaczęła.

– Przyjrzałam się wszystkim normalnym elementom flirtu – mówi Julia – jak przygryzanie wargi, odwracanie wzroku o ułamek sekundy za późno, częste wybuchy śmiechu, poszukiwanie pretekstu, żeby dotknąć partnerki i leciutko musnąć palcami jej przedramię albo udo, co zresztą śmiech miałby podkreślać i podbijać. Myślałam, że takie podręcznikowe metody są bardzo wygodne, właśnie dlatego, że nie wymagają żadnego dekodowania ani tłumaczenia. Kiedyś, dawno temu, mogłabym zagryźć wargę i to by znaczyło: „Pragnę cię tak bardzo, że prawie nie mogę wytrzymać”. Ale kiedy przygryzam wargę dzisiaj, to znaczy: „Chcę, żebyś wiedziała, że pragnę cię tak, że prawie nie mogę wytrzymać, i dlatego używam

najzwyczajniejszego i najpowszechniej akceptowanego sygnału, jaki tylko przychodzi mi do głowy, żebyś zrozumiała, o co mi chodzi”. Dzisiaj to oznacza też: „Obie wiemy, jakie są implikacje tego, że przygryzam wargę, i co ci próbuję przez to powiedzieć. Obie mówimy pewnym językiem, który nie my wymyśliłyśmy i którego zastosowanie nie ogranicza się do nas. Posługujemy się cudzymi kwestiami. To wygodne”.

Saksofon Julii leży na boku w poprzek kremowego fotela, ustnik jest lekko oparty na podłokietniku, a kielich wciśnięty w szew, w miejscu, gdzie poduszka siedziska styka się ze stromym, tapicerowanym wybrzuszeniem oparcia. Pozycja instrumentu przywodzi nauczycielce na myśl dziewczynę, która siedzi z podkulonymi, podciągniętymi aż do piersi nogami i głową wspartą na poręczy, samotnie oglądając telewizję w ciemności.

– Nie wiem, jak ją uwieść – mówi Julia, która też koncentruje się na saksofonie, wodząc po nim spojrzeniem. – Czasami wydaje mi się, że gdybym spróbowała się do niej uśmiechnąć, przygryźć wargę i spuścić oczy, wyglądać bezbrinnie i bojaźliwie, to byłoby tak, jak gdybym próbowała rzucić na nią zaklęcie, które ona sama wymyśliła. Czy coś takiego w ogóle by zadziało? Na samą myśl o tym czuję się rozbrojona, oblewam się potem i wydaje mi się, że już jest po mnie. Ale czy istnieje inne wyjście? Czy mam się zachowywać jak chłopak, to znaczy odgrywać rolę chłopaka i robić takie rzeczy, których ona mogłaby oczekiwać od chłopaka? Czy właśnie tak to wygląda? – pyta retorycznie Julia, popadając w zamyślenie. Wciąż patrzy na saksofon, leżący bokiem na fotelu. – Jak wielka gra w udawanie? Jak odgrywanie roli? Wydaje mi się, że to jest scena dialogowa o dziewczynie i chłopaku, którzy się w sobie zakochują. I może obie postaci grają dziewczyny, ale w tej sztuce występuje tylko dwoje bohaterów, więc jedna z naszych aktorek musi się przebrać: powinna mieć wąsy, spłaszczony biust i szeroko rozstawiać nogi oraz wypinać pierś, żeby zagrać chłopaka. Jeśli patrzymy po prostu na kostiumy, tekst, kurtynę i światła, na całą tę maszynę teatralną, to widzimy wyłącznie dwoje młodych ludzi, którzy wdają się w romans. Ale jeśli przyjrzeć się skrytym pod postaciami aktorom, jeśli zdecydujemy nie dać się zwieść przedstawieniu, to zauważymy, że mamy do czynienia z dwiema dziewczynami. Może tak właśnie musi być zawsze, gdy zejdą się dwie dziewczyny: jedna będzie odgrywać rolę chłopaka, ale udają obie.

– Och, ale dlaczego dwie dziewczyny nie mogą po prostu odegrać sceny dialogowej o sobie? – pyta z zadowoleniem nauczycielka. – Zagrać w sztuce napisanej dla dwóch dziewczyn?

– Bo nie ma takich sztuk – odpowiada Julia. – Nie ma żadnych dramatów o dwóch dziewczynach, nie ma więc takich ról i dlatego trzeba udawać.

– Na pewno się mylisz, Julio – mówi nauczycielka. – Na pewno nie masz racji.

Dziewczyna wzrusza ramionami, patrzy na błyszczące pianino i swoje zamazane w nim odbicie.

– Mimo wszystko jest w tym coś, co mnie rajcuje. Niebezpieczeństwo. Pokusa. Chyba będę musiała zagrać tą kartą. Podkreślę jeszcze silniej, że chodzi o coś objętego stanowczym zakazem, i niebezpieczeństwo, które niesie taki związek, nie zostało dotąd ujęte w żadnym tekście, jest więc bez precedensu. A właśnie niebezpieczeństwo zmieni każdy radosny trzepot serca w piersi bohaterki w potężny, dudniący strach. I to mnie w tym rajcuje: siła jej uczucia, to wielkie drżenie, które ją obejmie, kiedy wreszcie ustąpi i zacznie reagować. Jeśli ustąpi. Cokolwiek przeżyje na końcu, przynajmniej nie będzie to nic ambiwalentnego. Odczuje albo

pełne przerażenia falowanie swojego pożądanego, potężne i rozpadające się jak tama, która pęka, albo potężną, odpychającą siłę wstrętu, sprzeciwu i niechęci wobec mnie. Tak czy inaczej sprawię, że będzie musiała coś odczuć. Cokolwiek będzie potem.

Piątek

Dziewczyny z Folwarku Opata ciągle mówią o swoich koleżankach, czule, okrutnie, a czasami złośliwie. Pod koniec ich piątego i ostatniego roku nauki ta sztuka obmowy zostanie wyostrzona jak brzytwa. To najmroczniejsza i najbardziej zabójcza z kobiecych umiejętności, dzięki której każda z dziewcząt może stworzyć lub zniszczyć wizerunek swojej koleżanki.

Pytają: „Jak myślicie, która z nas najszybciej wyjdzie za męża?”, „Która będzie miała najwięcej chłopaków?”, „Która będzie zdradzać?” i „Która będzie najlepsza w łóżku?”, a potem, co nieuniknione: „Która z dziewczyn z naszej klasy najprawdopodobniej zostanie lesbijką?”.

Odpowiedzią na to ostatnie pytanie zawsze są wrzaski, klapsy i raptowne, wesołe sapnięcia. Dziewczyny porównują w myślach koleżanki mające na swoim koncie najmniej podbojów miłosnych, koleżanki, które aktualnie wypadły z ich łask i te, które są nieco mniej atrakcyjne od innych. Brak powodzenia, milczenie, typowa dla moli książkowych introwersja i jakakolwiek niechęć do stadnych zachowań – dziewczęta zbijają się w stadko, po czym diagnozując sytuację, zgadzają się między sobą, że wszystko to są charakterystyczne symptomy lesbijstwa. Wykrzykują nazwiska i śmieją się jak na sabacie pijanych czarownic rzucających jakąś straszną klątwę.

Jeśli jednak któraś wspomina Julię, marszczą brwi, machają rękami i mówią: „Tak, ale nie licząc Julii”. Analiza jej charakteru nie wypada zabawnie. Julia w jakimś sensie nie istnieje w tym zdyszonym, rozwrzeszczonym świecie towarzyskiej i seksualnej hierarchizacji, w którym nazwiska dziewcząt wymienia się bez ich wiedzy, skazując i potępiając ich nosicielki. Koleżanki nie mogą zmienić losu koleżanki, mówiąc: „Wydaje mi się, że to Julia najprawdopodobniej jest lesbijką”. Ich moc nie ma dla niej znaczenia. Dziewczyna jest jak naładowany pistolet, który ktoś podrzucił im do pudełka z zabawkami i częściowo zagrzebał go pod plastikowymi karabinami, rewolwerami, armatkami i kapiszonami. Boją się jego błysku.

Kilka z nich pocałowało się, żeby sprawić przyjemność chłopakom od Świętego Sylwestra; może po to, żeby zasłużyć na przejażdżkę w jakimś nisko zawieszonym aucie albo w zamian za skradzioną butelkę czy skrzynkę piwa. Niektóre dziewczyny całowały się ze sobą na imprezach w pokojach swoich chłopaków, kiedy reszta towarzystwa wymiotowała przed domem do doniczek z kwiatami. Nie całowały się namiętnie – mogą tak mówić, żeby się jakoś bronić – tylko od niechcenia, eksperymentalnie, nie szukając czułości, zapowiedzi powtórki pocałunku albo całej ich serii. Nie są to żadne romanse, tylko egoistyczne podboje, które dziewczyny zaznaczają na karbownicy i wykorzystają później jako symbol swojego liberalizmu oraz wolnego ducha, typowego dla ludzi o szerokich horyzontach: pocałunek staje się ubezpieczeniem, dowodem do wykorzystania, kiedy się rzuca po latach: „No pewnie, że całowałam się z dziewczyną”.

Nie rozmawiając o Julii, uczennice osiągają pewną subtelną korzyść: redukują zagrożenie z jej strony niemal do zera. Kiedy mijają ją na korytarzu, odwracają głowy i po prostu idą dalej.

Piątek

Na nauczycielkę gry na saksofonie po zajęciach z Julią czeka wiadomość nagrana na automatyczną sekretarkę. Rozmówczyni szybko i z wdziękiem przedstawia się jako zwykła matka – jedna z tych zachłannych, zaborczych mam, które wolałyby przycisnąć swoje córki mocno do piersi i je udusić, niż popuścić im smyczy i patrzeć, jak od nich odchodzą.

Nauczycielka zatrzymuje nagranie czubkiem paznokcia i stoi przez chwilę z palcem na klawiaturze telefonu.

– Matki zawsze sądzą, że powinnam być wobec nich lojalna – mówi na głos – bo łączy nas dorosłość, powinniśmy więc występować wspólnie przeciwko córce, dziecku. Wyobrażają sobie, że córka to po prostu nasz wspólny cel pościgu, w który wypuszczamy się z przyjemnością, niczym do klubu książki albo na tenisa. Córka to po prostu medium naszej przyjaźni, sposobność, żeby być razem, wspólny interes, który pozwala nam badać nasze dorosłe osobowości i zastanawiać się nad nimi. Matki wyobrażają sobie, że jestem ich sojuszniczką przeciwko córce i że są moje: myślą, że muszę pracować tak ciężko jak one, żeby symulować związek z dziewczyną, przewracają oczami, kiedy na mnie patrzą, kręcą głowami i śmieją się, że niby ich córki są takie niemożliwe i obie to wiemy. Proszą mnie, żebym była czuła dla ich córek, martwiła się o nie, a nawet rozpaczała nad nimi, ale nade wszystko, żebym traktowała je jak przedmiot, jako zwyczajny pretekst do nawiązania wzajemnych kontaktów ze mną, jednej dorosłej kobiety z drugą, dwóch kobiet podobnych do siebie.

Urywa i znów naciska klawisz na sekretarce, ożywiając głos telefonującej i sprowadzając ją z powrotem do pokoju:

– A zatem czekam na jakiś kontakt od pani. Stella ukończyła czternasty rok życia, uczy się gry na klarncie niemal od trzech lat, a na pianinie od sześciu. Ostatnio bardzo chce przejść do saksofonu. W klarncie, jak pani wie, jest coś okropnie niegustownego i niemodnego, wydaje mi się zatem, że córka chce zająć się czymś nieco bardziej seksownym i odrobinę bardziej agresywnym, co dodałoby jej troszkę atrakcyjności. Prawdę mówiąc, witamy tę zmianę z radością. Obawialiśmy się, że Stella nie interesuje się takimi sprawami, że niewiele ją to obchodzi. Nie interesuje się chłopcami, ładnymi ciuchami i tak dalej. Martwiliśmy się o nią przez pewien czas, nie wstydzę się, że teraz to pani mówię. Nie chodzi mi o to, że miała problemy z zawieraniem przyjaźni; właściwie wręcz przeciwnie, związki Stelli były bardzo bliskie. Nie można było jej rozdzielić z koleżankami. To znaczy z tą koleżanką, która aktualnie była jej ulubienicą. Zmieniały się jedna po drugiej, zawsze miała jakąś swoją faworytkę, aż do końca. Wozilał je tu i tam, do kina i z powrotem, i zawsze siedziały razem na tylnym siedzeniu ze starym kocem narzuconym na głowę, żeby spokojnie rozmawiać i żebym ich nie widziała. Obserwowałam je w lusterku wstecznym, ten kraciasty wzgórek, dotykały się głowami i szeptały coś do siebie jak szalone. Wydawało mi się nawet, że się całują. Niepokoiło mnie to. Nie wstydzę się pani o tym powiedzieć. Może zechciałaby pani oddzwonić do mnie na ten numer – mówi na koniec kobieta, po czym rozlega się ciche „piiip”, oznaczające koniec rozmowy.

Sobota

Bridget umrze za trzydzieści pięć minut, ale teraz tkwi wciąż na wysokim stołku w sklepie wypożyczalni z kasetami i płytami wideo. Kasa już jest zrobiona, a pieniądze czekają pod ladą w brudnej, płóciennej koszulce. Parking samochodowy jest pusty i czysty; dziewczyna widzi

smugę żółtych świateł latarni, odsuwających się od niej w czerni.

Przypomina sobie dwie koleżanki z podstawówki, które przez jakiś czas miały obsesję na punkcie zbierania informacji o seksie. O akcie seksualnym zawsze mówiły „to” i godzinami siedziały pogrążone w poważnej, sumiennej rozmowie, kiedy przepracowywały i poszerzały swoją wspólną wiedzę, od czasu do czasu zamykając oczy w długim, pełnym cierpienia przerażeniu i mówiąc coś w rodzaju: „Ich dwóch, ona jedna, i robią «to». To po prostu wstrętne”. Były tajemnicze, miały się na baczności i z nikim nie chciały dzielić się swoją mądrością niczym dumne i ostrożne sfinksy, pilnujące drzwi do świata, na zrozumienie którego inni nie mogli nawet mieć nadziei.

Bridget przypomina sobie też zajęcia z WF-u z tamtych lat i te dwie dziewczyny stojące koło siebie z niedbale złączonymi dłońmi i przyglądające się nauczycielce z minami wyrażającymi wyrozumiałą powagę, wynikającą z ich badań nad „tym”. Nauczycielka zawołała: „Dzisiaj poćwiczmy sprint ze startu kucznego!”, a niższa z tych dziewczynek natychmiast szepnęła: „«To» ze startu kucznego”. Wymieniły ponure, znamionujące niesmak spojrzenia, jak gdyby przywołany obraz sprawiał im ból. Bridget była trochę zazdrosna, patrząc, jak jej koleżanki dzielą się wspólnym, nabożnym obrzydzeniem. Fascynował ją jakby wystudiowany wstręt niższej z nich. „«To» ze startu kucznego”, powiedziała. Temat był zbyt bolesny, by mogły mówić więcej. Wyższa koleżanka spojrzała na nią ze współczuciem i pokręciła głową, poniekąd przyznając, że te sprawy są zarazem ohydne i nieuniknione. Seks otaczał je z wszystkich stron.

Ośmioletnia Bridget nie mogła zrozumieć tego straszego związku, który tamta lekcja WF-u miała z „tym”, i teraz, kiedy myśli o tej scenie, zdaje sobie sprawę, że nadal nie ma pojęcia, jak rozpoznać albo wykonać „to” ze startu kucznego. Zadaje sobie pełne zwątpienia pytanie, czy coś takiego w ogóle jest możliwe, ale potem jeszcze raz przypomina sobie minę i absolutną pewność siebie tamtej dziesięciolatki, która dzisiaj ma szesnaście lat i pewnie doskonale opanowała takie sztuczki, jakich Bridget nawet nie potrafi sobie wyobrazić. Zastanawia się nad tym, jak niewiele wie. Krople deszczu dosięgają parapetu i drżą. Bridget jest zawstydzona.

Wtorek

Nauczycielka gry na saksofonie wygląda gazetę i jeszcze raz spogląda na artykuł. Nie jest nowy, a poza nim były jeszcze inne, późniejsze teksty, podsumowujące ten pierwszy, poświęcone śledztwom, przesłuchaniom świadków i dywagacjom o tym, kto za to wszystko odpowiada, ale to właśnie ta zwiędła i poszarzała gazeta, zawierająca stare wiadomości, wygląda najbardziej przygnębiająco ze wszystkich. Nagłówek głosi: *Śmierć dziewczyny „straszna stratą”*, a artykuł jest krótki. Bridget nie jest wymieniona z imienia i nazwiska, i nie ma w tym nic dziwnego, myśli nauczycielka, bo ona była przecież zupełnie nijaka. „Dziewczyna o nieustalonej dotąd tożsamości wracała do domu z pracy na rowerze – czyta raz za razem – i kiedy skręcała w prawo z parkingu pod sklepem z kasetami wideo, potracił ją czerwony sedan. Kierowca zbiegł z miejsca wypadku”.

Poszłaby z nami na koncert tamtego wieczoru, gdybym tylko lubiła ją na tyle, żeby ją zaprosić, myśli nauczycielka. Ta świadomość doskwiera jej przez chwilę, choć tylko jako niezrealizowana możliwość, niczym nowa bluzka, którą mogła przymierzyć, ale tego nie zrobiła. W końcu wzrusza ramionami i pozbywa się tej myśli. Słyszy dobiegające niewyraźnie

z dziedzińca rozmowy studentów ze szkoły aktorskiej, którzy podśpiewują i tupią. Odkłada gazetę i podchodzi do okna.

Na cienkiej kwadratowej karimacie pod miłorzębem sześcioro studentów utworzyło ludzką piramidę, przed którą krąży większa grupa młodzieży. W zwyczajowych strojach studentów Instytutu wyglądają jak stado czarnych wron, chociaż mają białe, blade stopy, odcinające się od ciemnego chodnika. Z miejsca, z którego przygląda im się nauczycielka, piramida przypomina trochę domek z kart i chwieje się nieznacznie, stoi jednak stabilnie, rozrasta się wszerek i w górę, bo coraz więcej aktorów, grających pod piramidą, dołącza do kolegów i rozbudowuje tę ludzką konstrukcję.

Nauczycielka długo przygląda się czarnemu zamieszaniu na pierwszym planie. Gdy wraca wzrokiem do solidnej piramidy pod miłorzębem, z zaskoczeniem stwierdza, że przygląda się jej jeden z chłopaków w pierwszym rzędzie, klęczący na asfalcie z szeroko rozpostartymi ramionami. Głowę ma odrzuconą do tyłu, a pod rozpiętym kołnierzykiem jego koszuli widać białą szyję. W pierwszym odruchu nauczycielka chce odejść od okna, zostaje jednak i wydaje się jej, że widzi, jak chłopak się do niej uśmiecha. Odwraca wzrok.

Próba dobiega końca. Jedna z siedzących tyłem do nauczycielki dziewcząt nagle wstaje, po czym woła dźwięcznym, czystym głosem, który wypełnia dziedziniec: „Wyobrażam sobie różne rzeczy, kiedy się komuś przyglądam!”.

Wspaniały dźwięk jej głosu załamuje się, tupanie i bębnienie nagle i przerażająco ustają, po czym dziedziniec wypełnia cisza niczym nagły przypływ, a domek z kart za plecami aktorki zaczyna się walić. Rozpada się stateczną i choreograficznie opracowaną kaskadą, rozpląwa się powoli. Aktorzy lekko zsuwają się na pięty i kolana, na karimatę, skąd uciekają w podskokach, aż wreszcie piramida znika całkowicie, roztopiając się w kałużę nicości czarnego bezruchu; studenci przestają gestykulować i tylko siedzą albo leżą w milczeniu.

Stoi jedynie tamta dziewczyna z przodu. Rozkłada ramiona i mówi: „Wyobrażam sobie...”.

Zapada króciutka cisza, a aktorka – spęczniała od wstrzymanego oddechu, który wypełnia ją tak, jakby zaraz miały jej pęknąć żebra – wyciąga ręce. Potem ktoś zdejmuje z nich wszystkie zakłęcia, niewidzialna kurtyna opada, scenę otula niewidzialny mrok, a wszystkie upadłe postaci zaczynają się ruszać. Zrywają się, otrzepują i zaczynają rozmawiać, a nauczycielka gry na saksofonie słyszy: „Upadek wyszedł nam teraz o wiele lepiej, równo weszłaś w rytm” i: „Ludzie, możemy to jeszcze poprawić”, i: „Powtarzamy”.

Rozdział DZIESIĄTY

Czerwiec

– A zatem wszyscy się zgadzamy, że seksualność to temat, którym jesteśmy przynajmniej zainteresowani – powiedział głośno student Felix, kiedy pierwszorocznicy spotkali się po raz pierwszy, żeby omówić swoje przedstawienie. Mieli je zbudować wokół króla karo, a Felix się szarogęsił, był zuchwały i nie rozumiał, jak zabawnie zabrzmiała jego wypowiedź. Spojrzał nieprzychylnie na dwóch kolegów, siedzących na przeciwległym łuku koła, którzy parsknęli z cicha.

– Podobał mi się ten pomysł, żeby wykorzystywać opowieści znalezione – powiedziała któraś z dziewcząt. – Znalezione w mediach, w naszym gronie i tak dalej. Żeby po nie sięgnąć, żeby ich użyć i je uteatralnić. Podobała mi się ta propozycja.

– W porządku – powiedział dobrotliwie Felix, rysując grubym flamastrem strzępiastą chmurkę wokół słowa SEKSUALNOŚĆ. Studenci obserwowali go uważnie. Na początku roku postarał się o objęcie roli wodzireja w grupie, ku irytacji większości swoich kolegów, którzy patrzyli teraz na jego wysunięty leciutko czubek języka, gdy pisał, i uważali, że pełniliby tę funkcję lepiej od niego.

– W takim razie co z tą historią, którą przyniosła Grace? – spytał Felix, gdy skończył rysować dymek. – Mam na myśli sprawę nauczyciel–uczennica w Pycie Opata.

Użył tej drwiącej nazwy, żeby im pokazać, że chociaż jest wodzirejem, to kolegom nie wolno darzyć go niechęcią ani traktować jak kogoś, kto im zastępuje wykładowcę.

– Moja siostra chodzi do tej szkoły – odparł jeden z chłopaków. – Do szóstej klasy. Jej zdaniem o tej sprawie jeszcze niewiele wiadomo. Słyszała, że kiedy koleżanki tej dziewczyny dowiedziały się o wszystkim, to tamten nauczyciel przez kilka miesięcy płacił im za milczenie. Podobno najczęściej po prostu kupował im alkohol, bo były jeszcze nieletnie.

– Ale czy ta dziewczyna nie była z siódmej klasy? Jeżeli tak, to większość jej koleżanek miałaby już osiemnaście lat.

– Powtarzam to, co słyszałem – odparł chłopak, wzruszając ramionami.

– A jak to się w końcu wydało? – spytał ktoś.

– Podobno przyłapała ich jedna nauczycielka – odpowiedział chłopak. – Ten facet z nią chodził, a potem zerwali ze sobą, i to ona jakoś się dowiedziała, że on kręci z tą dziewczyną. Tak mi mówiła Polly.

– A ja myślałam, że to jej koleżanki – odezwała się jedna ze studentek. – Zwąchały, co się święci, poszły do dyrektora i zakapowały tamtą.

– Zdaje się, że nie tylko ona była molestowana – powiedział ktoś inny. – Rzekomo było więcej takich dziewczyn, a ten facet kręcił z nimi wszystkimi jednocześnie. Po prostu tylko ją z nim przyłapano.

– A czy rzeczywiście do czegoś między nimi doszło? – wtrąciła jedna ze studentek. – Bo może wcale nic się tam nie stało.

– Mieli dowody. Znaczący znaleźli w jego domu jakieś jej ciuchy. I szczoteczkę do zębów.

– Szczoteczka do zębów nie dowodzi gwałtu – odpowiedziała, tłumiąc krótki, ostry śmiech. – Wręcz przeciwnie. Nie oznacza spotkania na jedną noc. Szczoteczka do zębów

wskazuje na to, że wszystko było z góry zaplanowane. To tak jakby znaleźli u niego w domu piżamę, pastelowy róż, flanelową dziewczęcą piżamkę w chmurki. Coś takiego nie jest żadnym dowodem. To inwestycja. Tak jak szczoteczka do zębów.

Zapadła cisza, bo wszyscy próbowali teraz przyswoić sobie tę nową hipotezę.

Potem jakiś student zapytał:

– Czy on nie miał coś około sześćdziesiątki?

– Taki stary to nie był. W zeszłym tygodniu wydrukowali jego zdjęcie w gazecie. Jest brunetem.

– Czyli że właściwie niewiele wiemy – powiedział ze złością Felix, odgarniając grzywkę z czoła. Odczuwał bezradną, wściekłą irytację natręta, który stara się zapanować nad zbyt liczną i za inteligentną dla niego grupą. Zdjął skuwkę z długopisu i na górze wielkiej płachty brystolu napisał: PROBLEMY.

– Naprawdę musimy wykorzystać tego króla karo jakoś niesamowicie – powiedziała któraś z dziewczyn. – Gra w karty powinna stać się integralną częścią przedstawienia, nie tylko uboczną scenką na doczepkę.

– Wydaje mi się, że to jest oczywiste – odpowiedział Felix. – No dobrze, ale pogadajmy o tym królu i o różnych sposobach, na jakie moglibyśmy go użyć. – Podkreślił słowo PROBLEMY, starannie wsunął skuwkę z powrotem na długopis i wyczekująco spojrzał na kolegów.

– Użyjemy tylko tej jednej karty czy całej talii?

– Myślę, że całej talii – odezwał się ktoś. – Karty świetnie nam zbudują kostiumy pod względem estetycznym i możemy ich użyć do ukształtowania jakby całej sztuki. Na przykład jeśli są cztery akty, to każdy nosiłby nazwę jednego koloru, albo jeżeli trzynaście scen, to tytuł każdej z nich mógłby pochodzić od danej karty w takim czy innym kolorze.

– Dobry pomysł.

– Jasne! Możemy zrobić sobie kostiumy figur, nosić ich broń i tak dalej. Czy nie wszystkie figury mają broń?

– A gdybyśmy wymyślili jakąś nową grę? Karciana, którą wykorzystalibyśmy jako centralny punkt sztuki. Na przykład jeżeli ktoś wyciągnie czerwoną kartę, to będzie odczuwał pociąg do kobiet. Jeśli czarną, to do mężczyzn.

– No, a każda karta w talii mogłaby symbolizować coś konkretnego... Nie wiem. Jakiś zwyczaj, cechę albo coś w tym rodzaju. Powiedzmy, że coś związanego z seksualnością.

– Na przykład jak wyciągniesz Waźniaka, to uciekniesz przed świtem? – powiedział jeden z chłopaków i wszyscy się zaśmiali.

– Kto to jest Waźniak?

– Walet w grze w cribbage.

– Wolniej – poprosił Felix, pisząc. – Idziemy za szybko.

– Idziemy w dobrym tempie – stwierdził jakiś student. – To ty za wolno notujesz.

Felix poczuł, że jego autorytet słabnie. Nachmurzył się i zaczął żałować, że nie wyznaczył kogoś do pisania.

– A co, jeżeli zrobimy całą sztukę w stylu fantasy? Chodzi mi o to, żeby to się działo w jakimś fantastycznym świecie. W świecie, w którym kiedy osiągniesz określony wiek, to musisz wyciągnąć z talii swoją kartę.

– Wysyłają cię do wróżki albo coś...

– Na przykład do kogoś, kto stawia tarota.

– Jasne! Może to być coś jak rytuał wejścia w dorosłość. Rytuał inicjacyjny.

– I ta karta staje się czymś w rodzaju dowodu osobistego. Nosisz ją zawsze przy sobie.

– Nie możesz jej nikomu pokazywać.

– A królowe mogą oznaczać przebieranki, więc jeśli wyciągniesz królową, to musisz się przebrać za kobietę.

– Królowa... Czyli drag queen.

– O to mi chodziło.

– Tylko czy my naprawdę w to wierzymy? – spytał Stanley. – To znaczy czy naprawdę uważamy, że tak jest? Że tożsamość się rozdaje, dostajemy ją, kiedy dorastamy, i że ona od tej chwili staje się twoim... jak gdyby twoim logo? Odznaką?

– No – odrzekł pierwszy chłopak. – A ty w to nie wierzysz?

Stanley otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Nie był pewien.

– Czy jednak to nie znaczy, że człowiek przez całe życie będzie miał tylko jedną kartę? – spytał ktoś.

– Tak – odpowiedział egzaltowany student. – Chyba że ją przegra. W jakiejś grze hazardowej na wysokie stawki. W rozgrywce o życie, odbywającej się w nielegalnym kasynie, gdzie ryzykujesz, że zostaniesz z niczym.

– Moglibyśmy to naprawdę dobrze zrobić.

– Coś takiego można fajnie udramatyzować.

– W stylu *steampunk*.

– Tak myślę.

– Mniejsza o to – rzuca impulsywnie jedna z dziewczyn – w co właściwie wierzymy. To doskonały pomysł. Dziekan wydziału aktorskiego zwariowałby ze szczęścia, gdyby się o nim dowiedział. To taka krzyżówka faktu i fikcji, jaką on uwielbia.

– Jaka znowu krzyżówka?

– Chodzi mi o tę historię z nauczycielem i uczennicą. O wykorzystywanie informacji z mediów. Czy ktoś z was widział parę lat temu takie przedstawienie o polowaniu na czarownice? Na widowni siedzieli aktorzy, którzy udawali zwykłych widzów.

– No, ja widziałem.

– Nie było wiadomo, kto z tych ludzi naokoło gra, a kto nie. Właściwie to nawet dawało nieco przerażający efekt. Wszystkie bilety wyprzedane na rok z góry. Musieli przedłużyć sezon o cały tydzień.

Zapadła krótka cisza, kiedy wszyscy zaczęli sobie wyobrażać, że muszą przedłużyć swój pierwszy sezon teatralny o tydzień. Felix przestał pisać i rozglądał się wokół, trzymając bezsilnie długopis w dłoni.

– Podoba mi się pomysł z Folwarkiem Opata – powiedział ktoś.

– Mnie też.

– Ale na czym będziemy bazować? Na tych kilku artykułach w lokalnej gazecie? To za mało.

– Trzeba będzie zrobić jakiś research. Dowiedzieć się czegoś więcej.

– A na końcu wszystko się zawali – podsumowała jedna z dziewczyn. – Znaczący dla tej molestowanej uczennicy, ofiary. Wszystko wokół niej rozpadnie się jak domek z kart.

Lipiec

Żaluzje od strony korytarza były otwarte, kiedy przechodzili nim Stanley i dziewczyna, niosąc swoje kostiumy na wydział plastyczny. Usłyszeli jakiś hałas i odwrócili się, a potem przystanęli i podeszli do szyby, żeby popatrzeć.

Jakiś chłopak przeraźliwie krzyczał, wił się i zginał niemal wpół, trzymając się rękami za krocze. Pani dziekan wydziału emisji głosu siedziała nad nim w kucki, okrakiem, pochylona, mocno wbiwszy nogi w podłogę, z policzkiem przytkniętym do policzka studenta i mocno obejmując go pulchnymi rękami. Szeptła mu coś natarczywie i niedosłyszalnie do ucha, a on wył. Niepiskliwie i niemiarowo, w nieustannie zmieniający się sposób, tak że jego głos przechodził w zduszony szmer, gardłowe gulgotanie, a czasem nawet jakby krzyk nietoperza, zbyt wysoki i cichy, żeby dał się słyszeć. Wyglądało na to, że chłopak próbuje się wyrwać pani dziekan, która jednak przywierała mocno do jego pleców, toteż student mógł się jedynie wiercić i szamotać.

– Co mu jest? – szepnął Stanley.

– To Głos Terapeutyczny – wyszeptła dziewczyna w odpowiedzi. – Pewnie ten student próbuje pozbyć się różnych wspomnień, zaczynając od wczesnego dzieciństwa. Złych wspomnień, które w nim siedzą.

Chłopak miał zwiędłą twarz, otwarte usta. Po jego minie nie było widać bólu, ale jego krzyki brzmiały surowo, brutalnie i wyrażały cierpienie. Straszliwe odgłosy, wyrrywające się ze spokojnej, nienaznaczonej lękiem krtani studenta, wzbudzały grozę. Gdyby nie jego poruszające się w górę i dół jabłko Adama, Stanley pomyślałby, że wrzaski są nagrane.

– To okropne – powiedział.

Dziewczyna posłała mu pogardliwe spojrzenie, jak gdyby Stanley nie mógł mieć nadziei na to, że zrozumie, co się tutaj dzieje.

– Tak jest najlepiej wyrzucić z siebie całe zło – odparła. – Lepiej niż usmażyć kocięta w mikrofali albo coś w tym rodzaju.

– Czy on to właśnie robi? Wyrzuca z siebie zło?

– No pewnie – odpowiedziała dziewczyna, przechylając głowę na bok. – To jest jej specjalność. Pani dziekan. Wynajmują ją też ludzie spoza Instytutu; przyjeżdża do pacjentów do domu i tak dalej. To jakby terapia. Jest w tym naprawdę dobra.

Przez pewien czas przyglądali się wyjącemu chłopakowi, który rzucał się, sztywno wyprostowany, wraz z przygniatającą go siłą bezwładu do ziemi, przyklejoną do niego panią dziekan. Wyraz twarzy studenta zmienił się. Rozchylił wargi, obnażając zęby, nos miał pomarszczony jak węzełek, a rozdygotany i wyprężony język rósł mu w ustach jak garb. Kłapał zębami, wydając krótkie, zdyszane, gardłowe szczeknięcia przypominające kaszel. Pani dziekan zaczęła teraz mówić mu coś pieszczotliwie do ucha, nucić jakąś łagodną kołysankę, która wznosiła się ponad jego oszalałe szczekanie, każąc chłopakowi zwiotczeć i westchnąć. Stanley nagle się zawstydził.

– Chodź. Powinniśmy już iść – powiedział, odrywając wzrok od sceny w pokoju, ale koleżanki już przy nim nie było.

Wrzesień

Pewnego wiosennego, sobotniego popołudnia Stanley wcisnął się do jednego z boksów na pustym wydziale plastycznym, próbując bezskutecznie rozplątać nici ze szpulki w maszynie do

szycia. Już prawie kończył swój kostium Królowej Pik i wszywał właśnie duży, woskowany kawałek tektury zastępujący wzorzysty przód sukni na piersiach, żeby nadać im bardziej kanciasty kształt. Przez cały ranek męczył się z drucianą aureolą, którą miał nosić na głowie, najężoną kolcami, podnoszącymi wyżej kwadratowy kwef. Po prawie pięciu godzinach mrużenia oczu nad szwami, poraniwszy sobie opuszki palców w trakcie wyginania ostrych końcówek drutów, uznał wreszcie z zadowoleniem, że efekt jego starań jest dosyć dobry. Kiedy się pochylał nad maszyną, miał na głowie kwef i pozostawał niewidoczny dla ewentualnych obserwatorów, bo zasłaniały go kolonialne meble, które właśnie schły po pomalowaniu. Wszędzie dokoła unosił się słodki zapach farby akrylowej – jak zawsze w Instytucie, z dodatkiem detergentu, by łatwo można było ją usunąć po zejściu sztuki z afisza.

Stanley, przygotowując się do przedstawienia, zapoznał się bardzo dokładnie ze swoją kartą: wiedział, że w klasycznej talii francuskiej królowa pik to Joanna d’Arc, natomiast w grze w kierki przynosi takiego pecha, że nazywa się ją Czarną Suką. Wiedział też, że to jedyna królowa trzymająca berło, a także stokrotkę, i że tę figurę nazywa się też czasami Królową Łoża z Baldachimem. W domu ślęczał nad figurami w swojej talii tak długo, że kiedy późnym wieczorem zamykał oczy, widział czerwone i czarne plamy pod powiekami. W końcu udało mu się wyplątać szpulkę z kłęбка pod nogą i poodcinać niepotrzebne końcówki. Ujął koniuszek nitki, by przewlec ją przez uchwyt i usłyszał, że szpulka rozwija się już swobodnie.

Otworzyły się drzwi i dobiegł go słaby dźwięk muzyki z sali tanecznej w pobliżu foyer, gdzie grupka uczniów odbywała właśnie sobotnie zajęcia jazzowe.

– W takim razie tutaj – usłyszał czyjś głos. – Tu nikt nie powinien nam przeszkadzać. Szkoda, że zajęli nam sekretariat, cholera. Usiądź, jeżeli chcesz.

Głos należał do dziekana wydziału ruchu scenicznego.

Trzymając w ustach nitkę, Stanley nadal w skupieniu wkładał szpulkę w maleńkie, ruchome wgłębienie u podnóża maszyny, i nie od razu się zza niej wyłonił. Pokręcił umieszczonym z boku kółkiem, patrzył, jak igła nurkuje w dół, by ponownie złowić ze szpulki nić, po czym podnosi ją w niewielkiej, szkarłatnej pętli, którą podciągnął czubkiem nożyczek i delikatnie wyprowadził na zewnątrz. Był tak zajęty pracą, że kiedy skończył, dziekan i jego gość pograżyli się już w rozmowie, prowadzonej swobodnie i z ogromną ulgą, niczym dwaj mężczyźni, którzy od dawna pragnęli pogadać w cztery oczy.

– Wszyscy tego chcą – mówił dziekan. – Nie tylko pierwszorocznicy, dosłownie wszyscy, i to do ostatniego dnia w Instytucie.

– No to dlaczego szkoła nie proponuje im takich rzeczy? Dodatkowych zajęć mistrz–uczeń, czy czegoś w tym rodzaju. Studenci by tego chcieli.

Najwolniej jak mógł, Stanley wychylił się bokiem ze swojego boksu i przez maleńką szparę pomiędzy ścianką, przewróconym fotelem i komodą zobaczył główną postać z tamtego ćwiczenia z Teatru Okrucieństwa – zamaskowanego studenta drugiego roku, który bił, szarpał i o mało nie utopił swojej ofiary na scenie. Przez chwilę przyglądał się jego gładkiej twarzy, teraz nie skrywanej już pod maską. Sądząc po minie chłopaka, słuchał słów dziekana ze skwapliwym napięciem i skupieniem.

– Jeżeli chodzi o ciebie – mówił dziekan – to wydaje mi się, że nasz Instytut z kilku powodów jednak ci nie wystarczy. To właśnie chciałem ci powiedzieć wczoraj... Powinieneś podjąć jakieś studia podyplomowe, a może nawet praktyki. Idź do szkoły dla mimów. Inaczej

pod koniec przyszłego roku będziesz odczuwał niedosyt. Niedosyt i głód.

Dziekan mówił szczerze, ale nie w taki lakoniczny, teatralny sposób jak zwykle. Stanley przyglądał im się z zazdrością przez szparę. Chłopak siedział na podwiniętej nodze i gładził palcami wystrzępione obicie, uważnie kiwając głową w takt przemowy swojego wykładowcy, i Stanley nagle zrozumiał, co jest w tej sytuacji takiego dziwnego: Oni są przyjaciółmi, pomyślał ze zdumieniem.

– Cenię sobie twoją opinię bez żadnych zastrzeżeń – odparł chłopak bez maski, pochylając się bliżej, i w tym momencie Stanley przypomniał sobie tamtego instytutowego prymusa o wypomadowanych włosach, połyskliwych niczym sztuczne danie, spryskane lakierem do zdjęcia dla jakiegoś czasopisma kulinarnego. Prymus promieniał wtedy, tak jak teraz ten student.

Stanley przełknął ślinę i poczuł w ustach smak gorzkiej niesprawiedliwości. Dobrze pamiętał, jak w gabinecie dziekana wydziału ruchu scenicznego powstrzymywał łzy, skarżąc się krzykliwie na chłopaka w masce. Nawet w tej chwili pojawiło się w jego sercu ukłucie samozadowolenia z tego, że zareagował na przemoc towarzyszącą ćwiczeniu z Teatru Okrucieństwa. Ale w takim razie dlaczego nie zrobił żadnego wrażenia na dziekanie? Dlaczego dziekan się nie wyluzował i nie nawiązał z nim nagle takich niezwykłych, poufanych stosunków, zachęcony kruchą gotowością Stanleya do przyznania się do własnej słabości? Dlaczego wybrał właśnie tego chłopaka – myślał Stanley – teraz niezamaskowanego, o gładkiej twarzy, który nie jest ani lepszy, ani gorszy od innych?

– To zabawne – mówił dziekan wydziału ruchu scenicznego – ale ty naprawdę pod wieloma względami... No... Chyba mnie obudziłeś.

– „To, co jest moim wzrastaniem, rzutowane na niego czy też raczej odnajdywane w nim samym, umożliwia nasz wspólny wzrost i staje się rodzajem objawienia” – zacytował niezamaskowany chłopak. Stanley zobaczył, że obaj się uśmiechają.

– „W pracy z aktorem jest możliwy szczególny, dwuosobowy fenomen «narodzenia»” – odpowiedział dziekan. – „To już nie jest uczenie kogoś; raczej ostateczne wychodzenie komuś naprzeciw”^[2]. – Przez chwilę panowała cisza, a potem dziekan dodał: – Dobrze to zapamiętałeś.

Siedzieli, wpatrując się w swoje buty i ciesząc się płytką ciszą na sali. Stanley przyglądał im się z za chłodnej, wyblakłej ścianki boksu i był rozgoryczony. Czekał dwie długie godziny, złapał go skurcz w kolanach, a jego brzuchem targał straszliwy głód, aż wreszcie chłopak oraz dziekan wydziału ruchu scenicznego skończyli rozmawiać i wyszli.

Lipiec

– Improvizujmy – zaproponował jeden z pierwszoroczników. – Zaczniemy od tego, co omówiliśmy w zeszłym tygodniu i sprawdzimy, dokąd nas to zaprowadzi. Naprawdę podobało mi się to, co się dzieje z tymi dwiema postaciami: że mówią różne rzeczy, właściwie nie słysząc się nawzajem, jak gdyby żadna z nich nie była w pełni obecna dla tej drugiej.

– To zaczynamy z marszu – powiedziała jedna z dziewcząt. – Najpierw pan Saladin, a potem dziewczyna, na zmianę. Każdy z was może wstać, kiedy tylko zechce. Każdy może zagrać któreś z nich, obojętne kogo. Spróbujemy po prostu pchać tę scenę do przodu i zobaczymy, co nam z tego wyjdzie.

– Zrobimy prawdziwy dialog.

– Tak jest.

Nastała chwila ciszy, w której wszyscy przyswajali sobie reguły gry i szybko zaczęli przygotowywać to, co mieliby później powiedzieć. Potem jeden ze studentów wstał i zmienił się w kogoś innego – powstał niczym feniks z białych popiołów, którymi był jako chłopak. Kiedy już się podniósł, przyjął nową pozycję, stając boso w mocnym rozkroku, z rękami na biodrach i cofniętą szczęką. Nikt nie miał wątpliwości, w kogo się przeobraził.

– Dziewczeta mówiły, że poszli ze sobą „na całość i do końca”, jakby to była podróż, wędrówka, jakieś rytualne pierwsze przejście nienaniesionego jeszcze na mapę pustkowie – powiedział mężczyzna. – Victoria mi tak powiedziała: „Do końca”. Zadała mi jedno pytanie. „Chcesz pójść ze mną na całość, do końca?”, jak gdyby data jej wędrówki była już wyznaczona. Jak gdyby ruszyła już w drogę, a ja mógłbym po prostu zdecydować, czy iść razem z nią, dołączyć do niej, odejść stąd i zniknąć. „Do końca”, powiedziała. Do ostatniego cala. Do ostatniego cala tego targanego wiatrem, suchego, pofałdowanego i niebezpiecznego pustkowie. Do ostatniego cala.

Usiadł. Znowu nastąpiła króciuteńka pauza, a potem wstał Stanley. Oparł ciężar ciała na jednej nodze, jak dziewczyna, jedną rękę przełożył sobie przez pierś i trzymał się za biodro, a drugą, zgiętą w łokciu, gestykulował, otworzywszy dłoń.

– Długo nie odpowiadał na to pytanie – stwierdził Stanley. – Najpierw tylko krzyknął lekko ze śmiechem, wziął mnie w ramiona i pocałował w głowę. Czasami kiedy mnie całował, wydawał gardłowy, płaczliwy dźwięk, prawie jak mały piesek; taki upiorny, jakby podwodny głos, wyrażający tkwiące w nim głęboko uczucie. Pewnego razu wtulił głowę w zmechaconą niebieską wełnę pod moją pachą, jęknął głośno i powiedział: „Czuję się taki szczęśliwy, Victorio. Czuję się tak niewiarygodnie, absolutnie szczęśliwy”. Siedzieliśmy na kremowej skórzanej kanapie w jego salonie i zapytałam: „Chcesz pójść ze mną na całość, do końca?”. A on odpowiedział: „Och, ty cudowna, moja cudowna dziewczynko. Jeszcze nie. Już niedługo, ale na razie nie. Cieszymy się przez chwilę niewinnością, zanim się rozwieje i już nigdy nie będziemy mogli jej odzyskać. Wykorzystajmy tę chwilę, żeby się cieszyć tym, co dopiero nastąpi”.

Stanley usiadł. Otaczający go studenci mieli surowe miny i szkliste oczy. Słuchali jego występu tylko jednym uchem, wszyscy zajęci prowadzoną już w myślach próbą własnego wystąpienia przed kolegami, zastanawiając się, jak sprawić, żeby ich słowa brzmiały spontanicznie, improwizacyjnie i czysto.

Wstała jedna ze studentek. Jak każda dziewczyna, która próbuje grać dorosłego mężczyznę, przejawiała swój występ, wprawiając widzów w lekkie zażenowanie. Zniżyła głos, stanęła w rozkroku, po czym zrobiła przesadnie szczerą i arogancką minę. Uniosła głowę, a potem powiedziała:

– Czy gdyby nie odważyła się na to ta dziewczyna, znalazłaby się zamiast niej jakaś inna? Czy równie łatwo mogłaby to być jej koleżanka z lewej lub prawej strony, inna saksofonistka z pierwszego rzędu big-bandu, dziewczyna o mniejszych piersiach, ostrzejszym spojrzeniu, bardziej kwadratowych i brzydszych paznokciach, której bluza pruje się na szwie? Wszystkie uśmiechały się do mnie, mierzyły mnie niewzruszonym wzrokiem, śmiały się ze mną. Kiedy wygraliśmy szkolny festiwal jazzowy w naszej kategorii, niektóre koleżanki nawet mnie uściskały. Czy z którąś z nich byłoby inaczej?

Kiedy ten pan Saladin wracał na swoje miejsce na podłodze, wstała następna dziewczyna. Rozpostarła ramiona i powiedziała:

– To zabawne, kiedy pomyślę o tym, że nigdy nie widziałam, jak on się budzi. Nigdy nie przewróciłam się na drugi bok, żeby zobaczyć, jak śpi, nigdy nie widziałam jego zaropiałych i nieruchomych powiek w bladym świetle poranka, nigdy nie wtulałam głowy w słodkie, gorące tchnienie łóżka, nie czułam, jak się porusza i podnosi swoje ciężkie, rozespane ramiona, żeby mnie przygarnąć. Nie spędzaliśmy razem poranków. Nie spędzaliśmy nocy, długich, nieprzerwanych nocy, kiedy mogliśmy wciąż tylko spać, spać i spać. Nie mieliśmy ciszy. Nigdy nie zjedliśmy razem śniadania. Nie pływaliśmy razem, nie chodziliśmy wspólnie po zakupy ani do kina; nigdy nie dzwoniłam do niego do pracy, żeby sprawdzić, kiedy wróci do domu; nigdy nie wieształam jego prania na sznurze do bielizny. Nie znałam jego matki, siostrzeńców i nie wiedziałam nic o jego życiu. To wszystko są sprawy dorosłych, a ja tych spraw z nim nigdy nie dzieliłam. Ludzie mówią teraz, że byłam dzieckiem, krzywdząco zmuszonym do zagrania roli dorosłej kobiety. Mówią, że to był związek dwojga dorosłych, zakazany, niestosowny i przedwczesny. A prawda wyglądała zupełnie inaczej. To pan Saladin wdał się w niedojrzały związek, w szeptę za plecami, w nieporadność w drzwiach, w powroty do domu przed północą, czekanie, aż rodzice pójdą spać albo wyjdą z domu, w przesyłanie sobie zaszyfrowanych, potajemnych wiadomości. To nie ja grałam dorosłą. To pan Saladin grał dziecko.

Sierpień

Premiera zbliżała się wielkimi krokami, ale pozbawione klasycznego scenariusza przedstawienie zdawało się nie dochodzić do stanu gotowości, do końca, lecz raczej rozkwitało i puchło w dziwnych miejscach niczym stary, pomarszczony po jakimś przyjęciu balonik, który ktoś usiłował na nowo nadmuchać. W grupie panowało duże zdenerwowanie, a wokół najsilniejszych osobowości zaczynały się tworzyć frakcje, bo niezadowoleni studenci spotykali się zbuntowanymi dwójkami w bramach wokół Instytutu.

– Na widok Andy’ego, który puszy się jak paw w tym kostiumie, robi mi się niedobrze – tak brzmiały niektóre szeptę. – Wydaje mu się, że jest darem od Boga dla teatru. Za każdym razem, jak przechodzi koło mnie, mam chęć podstawić mu nogę.

– Wiecie, jak ciężko jest grać z Oliverem, kiedy Esther jest w pobliżu? Dzisiaj właściwie ocierała się o jego nogę.

– Jeżeli Felix jeszcze raz tak odchrząknie, to przysięgam, że go zdzielę.

– Co to ma być, dwugodzinny hołd dla jednego faceta? Dlaczego Sam dostaje tyle czasu na scenie? Nie jest najlepszy z najlepszych ani nic takiego.

Prawdziwe ryzyko polegało na tym, że niezadowoleni studenci, ci szeptacze, rozżłoszczeni względną nieistotnością swoich ról i niemogący ścierpieć natarczywego popędzania ze strony kolegów z grupy, mogli tak bardzo chcieć się odsunąć od przedstawienia, aby premierowego wieczoru celowo zagrać słabo, rozmyślnie zwracając uwagę marnym aktorstwem na dystans dzielący aktora od roli. Powstało z tego milczące zagrożenie i wisiało w powietrzu wokół nich, a aktorzy stali się ostrożni, nieufni i mocniej przygarniali swoje kostiumy do piersi, jak gdyby mogli w ten sposób wzmocnić swą nadwątloną ambicję.

Pewnego dnia, wychodząc z Instytutu po próbie, Stanley wsunął pod ramię zawiniątko z rekwizytami, które studenci mogli zabierać do domu, i na chwilę odchylił głowę do tyłu, by

cieszyć się bladym, popołudniowym słońcem. Wszedł cicho, przez kulisy i dalej, drzwiami dla aktorów na uliczkę, uciekając od swoich nachmurzonych kolegów o pomalowanych cieniem powiekach, którzy wciąż się spierali, odstawiając krzesła i porządkując salę prób na rano.

Skręcił za róg i wszedł na dziedziniec północny, gdzie ku swojemu zdumieniu stanął twarzą w twarz z tamtą dziewczyną, która tak dziwnie i niespodziewanie pojawiła się w kulisach sceny w audytorium – z tą dziewczyną o wielkich oczach, która wpadła wtedy na niego w aksamitnej ciemności. Zatrzymał się na chwilę, rozpoznawszy ją, znowu przypominając sobie tamto krótkie, zdyszane zderzenie w mroku, kiedy sapała, zaskoczona, i przyglądała mu się, przepaszając go milcząco, gdy upadł.

Stanley po występie wrócił wtedy za kulisy, by znaleźć nieznaną, ale ona już zniknęła.

– Ktoś nas podglądał – powiedział później Felixowi, kiedy zdejmowali kostiumy w garderobie i odkładali peruki na pozbawione twarzy, polistyrenowe głowy, stojące w szeregu na komodzie. – Zza kulis. Jakaś dziewczyna, weszła pewnie drzwiami dla aktorów. Widocznie były otwarte.

– Kazałeś jej wyjść? – spytał Felix, właściwie bez zainteresowania. Tak wojowniczo rozwiązywał gorset, że Stanley usłyszał, jak pękają stare, brudne tasiemki.

– Zniknęła – odparł Stanley, przyglądając się koledze, który zorientował się, co zrobił, i zaklął pod nosem. – Po prostu wydaje mi się to trochę niesamowite, że ktoś nas podgląda zza kulis, a my nic o tym nie wiemy. To tak, jakby ten ktoś miał nad nami niezasłużoną przewagę. Bo gdyby ktoś zakradł się przez foyer i przypatrywał się nam z widowni, nic by mnie to nie obchodziło.

Isolde siedziała na pozbawionej oparcia ławce pod miłorzębem. Miała na sobie szkolny mundurak Folwarku Opata i lekko machała nogami, przewracając stronicę podniszczonej powieści, nad którą się garbiła, dlatego włosy opadały jej luźno wokół twarzy. Gdy Stanley podszedł bliżej, zobaczył już wyraźnie, że jest bardzo ładna: ma pełne policzki, nieznacznie wydęte wargi i szczupły, zadarty nosek, który gładziła palcem w zamyśleniu. Podniosła głowę i odłożyła książkę, kiedy chłopak się zbliżył; drgnęła, zaskoczona, bo rozpoznała, kim jest.

– To ty – powiedział Stanley. – Dziewczyna zza kulis.

– Ach tak – odrzekła Isolde, przygryzając dolną wargę. Spojrzała na niego niepewnie niczym mały piesek, którego zaraz skarżą.

– Przez ciebie przegapiłem moment, kiedy miałem wejść na scenę – powiedział Stanley, po czym oboje zarumienili się z powodu tej jego impertynencji.

– Przepraszam. Usłyszałam bęben i poszłam zobaczyć, skąd dochodzi ten dźwięk. Po prostu zabłąkałam się przypadkiem za kulisy.

Nastąpiła krótka cisza.

– To była tylko próba – odezwał się w końcu Stanley, a Isolde uprzejmie skinęła głową i zacisnęła usta w czymś w rodzaju przepaszającego uśmiechu. Chcąc zmienić temat, Stanley wskazał jej futerał. – Na czym grasz?

– Na saksofonie altowym. Moja nauczycielka ma tutaj swoją pracownię.

– Widocznie jest bogata, skoro stać ją na pracownię w takim miejscu – powiedział Stanley. – Wiem coś o tym, bo nasz Instytut chciał tu wykupić o wiele więcej nieruchomości, ale były za drogie. – Zaczął się tak wstydić, że zrobiło mu się gorąco, a zakłopotanie

zalewało mu pierś niczym plama szkarłatnego atramentu, sięgając pomarszczonego dołeczka pod szyją. Wiedział, że ponieważ ma rozpięty kołnierzyk, będzie widać rumieniec, który dojdzie mu aż do podbródka, gdzie zacznie przypominać staroświecką krezę. Żałował, że podszedł do tej dziewczyny, zamiast przejść obok bez słowa, może najwyżej pozdrawiając ją spokojnym, ukradkowym skinieniem głowy.

– Nie wiem, czy ona jest bogata – odpowiedziała Isolde.

– Dobrze grasz?

Od razu zrobiło mu się głupio, że zadał tej okrągłolicej, mrużącej oczy dziewczynie pytanie, na które właściwie nie było odpowiedzi. Miał nadzieję, że nie zrewanżuje mu się w podobny sposób, ale Isolde odpowiedziała tylko:

– Właśnie robię ósmą kategorię. – I wzruszyła ramionami, żeby pokazać, że to nie ma dla niej większego znaczenia.

– Czasami was słyszę – powiedział Stanley. – No, może nie was konkretnie, ale tam gdzie mamy zajęcia, dociera jakaś muzyka.

– No, ja też was czasem słyszę – odpowiedziała Isolde. Teraz to ona się zaczerwieniła z niewiadomego powodu. – Najczęściej bębny i okrzyki.

– Przerażliwe wrzaski – rzucił Stanley, starając się zażartować, ale Isolde uśmiechnęła się tylko przelotnie i odparła:

– Nie, przeraźliwych wrzasków nigdy nie słyszałam.

– No dobra – stwierdził Stanley, machając rękami. – To na razie, pewnie jeszcze gdzieś się zobaczymy. – Chciał, żeby to zabrzmiało protekcyjnie, ale jego słowa okazały się raczej pełne nadziei, jak gdyby pragnął, żeby kiedyś znów złączył ich przypadek. Odwrócił jednak wzrok, aby w ten sposób pokazać, że właściwie nic go to nie obchodzi, po czym popatrzył na gołębie na bruku i wstęgę śmieci, okalających dziedziniec srebrzysto-białą skorupką.

– Jasne – odpowiedziała Isolde, rzucając mu zaciekawione spojrzenie. Nie ruszyła się, by sięgnąć z powrotem po książkę, i odprowadziła go wzrokiem, patrząc, jak odchodzi chwiejnie przez dziedziniec, a zawiniątko z rekwizytami wysuwa mu się spod pachy.

Czerwiec

– Stanley – powiedział dziekan wydziału aktorskiego. – Chcę, żebyś zmienił się w swojego ojca.

Stanley niezdecydowanie pokiwał głową. Stał lekko rozkraczony, z rękami na plecach, a reszta studentów siedziała na podłodze i patrzyła na niego, mocno przyciągając kolana do piersi.

– Odbędziemy dzisiaj sesję pytań i odpowiedzi – oznajmił dziekan, spokojnie wyglądając kartkę otwartą dłonią. Siedział bokiem przy biurku z nogą założoną na nogę i kręcił bosą stopą, by rozluźnić staw skokowy. – Zaczniemy zadawać ci pytania, zwracając się do ciebie tak, jakbyś naprawdę był swoim ojcem. Chcę, żebyś grał go przez pół godziny. Jeżeli nie będziesz znał odpowiedzi na niektóre pytania, to zmyślaj. Nie przejmuj się, jeśli będziesz musiał kłamać, bylebyś nie wypadł z roli.

Stanley znów kiwnął głową. Przez chwilę patrzył na podłogę, wciągnął powietrze do płuc, po czym wyprostował się, a na jego twarz wystąpił wymuszony, drżący uśmiech jego ojca. Rozłożył ręce.

– Walcie – powiedział, robiąc nagle niewinną, niepokorną i filuterną minę.

– Jak dobrze zna pan swojego syna, Stanleya? – dziekan zadał mu pytanie jako pierwszy. Stanley uniósł brwi i uśmiechnął się.

– To dobry chłopak. Opowiadamy sobie wulgarne dowcipy, to nasza specjalność. Dobrze się dogadujemy.

– Jakie dowcipy?

– Och, zawsze próbujemy się nawzajem zaszokować. To taka nasza zabawa. – Stanley znów się uśmiechnął i spojrzał chłodno na dziekana, jakby przejrzał go na wylot, a wszystkie jego pragnienia, lęki, nadzieje i wady były dla niego oczywiste. Dziekan odpowiedział mu obojętnym spojrzeniem.

– Niech pan nam opowie któryś z tych kawałów, którymi dzieli się pan z synem.

– Co jest najlepszego w sypianiu z nieletnią?

– Nie wiem – odpowiedział uprzejmie dziekan.

– To, że dostaje się jeszcze osiem dolarów na godzinę za opiekę nad dzieckiem.

Jeden ze studentów wydał stłumiony chichot, a Stanley odwrócił się, żeby mu posłać uśmiech.

– Dobrze, co? – powiedział, kręcąc dłońmi w nadgarstkach jak jego tata, aby wyprostować mankiety koszuli. – Ostatnio jednak coraz trudniej znaleźć coś oryginalnego. Każę szukać dowcipów swojej sekretarce, a ona mówi, że to najfajniejsza robota, jaką miała w życiu.

Wśród widzów znów rozległ się śmiech. Rozpromieniony Stanley wyprostował się jeszcze bardziej, kładąc ręce na brzuchu i gładząc co chwila koszulę. Niemal udało mu się sprawić wrażenie, że robi to bezwiednie.

– A teraz niech pan nam opowie jakiś kawał, którym kiedyś podzielił się z panem syn.

Stanley znieruchomiał i zastanawiał się przez chwilę.

– Przykro mi, nie pamiętam – odpowiedział w końcu.

– Powiedziałyby pan, że ma dobre stosunki z synem?

– Nie widzujemy się za często, ale to dobry chłopak. Ma poczucie humoru. Jest może trochę za wrażliwy, ale to go w niczym nie krępuje. Dogadujemy się.

– Jakimi zdolnościami się odznacza?

– Stanley? – zapytał Stanley, żeby zyskać na czasie, jak robił to jego tata. – Właściwie to wszyscy go lubią, tak mi się wydaje. Dobrze zrobił, że poszedł do szkoły aktorskiej. A czy jest dobrym aktorem? Nie wiem. Pewnie pan mógłby mi odpowiedzieć na to pytanie.

– Jakiego pana zdaniem Stanley ma zdolności?

– Artystyczne – odparł niepewnie Stanley, dobrze się zastanawiając nad tą odpowiedzią. – Jest romantykiem. Ma to po mnie. Przecież na pewno, do cholery, nie po Rogerze.

– Roger to jego ojczym?

– Tak.

– A jaki on jest?

– Łagodny – odparł Stanley. – Śmieje się nawet wtedy, kiedy dowcip nie wydaje mu się zabawny. A kiedy nie ma nic do powiedzenia, ogarnia go strach i usiłuje uciec. Choć oczywiście jest sympatycznym facetem. Nie wyszedłbym za niego za męża, gdybym był kobietą, mimo że to w sumie fajny gość.

– Jest dobrym ojcem dla pańskiego syna?

– Jest dobrym ojczymem.

– W porządku – stwierdził dziekan, odwracając się, żeby zaangażować w zajęcia resztę grupy, zbitej w stadko u stóp Stanleya. – Otwórzmy się na widownię. Każdy z was może teraz zadać pytanie Stanleyowi jako ojcu. Co tylko chcecie.

– Widzi pan w synu jakieś swoje cechy? – zawołała dziewczyna z pierwszego rzędu.

– Jest chyba trochę ostrożniejszy ode mnie. To naiwny i niewinny chłopak. Ja nie byłem taki w jego wieku.

– Przypuszcza pan, że nadal jest prawiczkim? – Pytanie to zadał jeden z rozczochranych studentów, siedzących z tyłu. Dziekan powiódł wokół ostrym spojrzeniem, ale Stanley nawet nie mrugnął okiem, tylko wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Jest w nim coś dziwnego – odparł. – Coś czystego. Nie wiem. Nie chciałbym się wypowiadać w tej kwestii.

– A co jest w nim najgorszego? Jaka jest jego największa wada?

Stanley wbił wzrok w podłogę i przygryzł wargi, żeby się zastanowić.

– Za bardzo ufa ludziom – odpowiedział w końcu. – Tym, którym nie warto ufać.

– Powiedział mu pan o tym?

– Nie. – Zdenerwowany Stanley machnął ręką. – Po co miałbym to robić? Musi popełniać błędy, inaczej nic z niego nie będzie. A poza tym ja nie jestem tego rodzaju ojcem. – Niecierpliwie rzucił głową na bok i znowu rozprostował mankiety koszuli.

– Jak pan sądzi, co Stanley myśli o panu?

– Uważam, że wbrew pozorom jest mną zawiedziony. Zawiedziony i zły na mnie, bo z jednej strony naprawdę chciałby się zbuntować. Pragnie zburzyć wszystko, co reprezentuję, zmusić mnie, żebym zobaczył się takim, jakim jestem, ale nie potrafi. Bo ja nie jestem w jego życiu kimś ważnym. Przeciwnie mnie nie musi się buntować, bo to nie ja ustalam dla niego reguły gry. Jestem kimś z zewnątrz, kto zjawia się w jego życiu tylko od czasu do czasu. Gdyby naprawdę spróbował się zbuntować, po prostu bym go wyśmiał. Uważam natomiast, że darzy mnie niechęcią. Z jego punktu widzenia sprawiam mu zawód.

– I naprawdę dostrzega pan to wszystko? – spytał jeden z chłopaków z kąśliwym sceptycyzmem, poniekąd sugerując, że Stanley nie całkiem pamięta zasady tego ćwiczenia. Dziekan siedział rozparty z założonymi na piersiach rękami i przyglądał się bacznie Stanleyowi spod przymrużonych powiek.

– Tak – odrzekł po prostu Stanley i znowu rozłożył ręce. – Jestem psychologiem. Dostrzegać takie rzeczy to mój zawód.

Sierpień

– Mamy sporo materiałów źródłowych! – wykrzyknął student Marcus, kiedy Stanley wślizgnął się do sali prób i zajął swoje miejsce na podłodze. – Polly zna jedną dziewczynę, koleżankę takiej uczennicy, która była najbliższą przyjaciółką tej molestowanej i właściwie wszystko wiedziała o sprawie. Zrobiliśmy z nią wywiad i spisaliśmy go! – Machnął notesikiem, czerwieniąc się na myśl o swoim triumfie.

– Więc czego się dowiedzieliście?! Na przykład? – zawołał ktoś z grupy.

– No wiesz, on uczył ją muzyki – powiedział Marcus, kartkując z podnieceniem notes – a ona chodziła do niego prywatnie na dodatkowe zajęcia, na saksofon altowy. Kiedy wyjeżdżali gdzieś samochodem, kładła się na tylnym siedzeniu i przykrywała dywanikiem. Poza tym wiemy jeszcze, że pan Saladin w wolnym czasie malował, takie miał hobby, ale

nigdy nie zrobił jej portretu, bo byłby to dowód w sprawie, a taki głupi to on przecież nie był. Co prawda mówił, że chciał ją namalować, Boże, nawet bardzo, bo kiedy miała orgazm, to na jej mostku i szyi pokazywała się mapka błękitnych żyłek, normalnie wszystkie jej wychodziły na wierzch, a on zawsze powtarzał, że gdyby udało mu się uchwycić ją w takiej chwili, to byłby jego najlepszy obraz w życiu. Tak podpowiadał mu instykt. Powtarzali sobie z Victorią taki żart, że mógłby zrobić z tego całą serię obrazów, wystawę. Twierdził, że jeszcze nigdy nie widział nic takiego, znaczy kogoś, kto tak bardzo zmieniałby się w tym ułamku sekundy, w momencie orgazmu. Właśnie to najbardziej mu się w niej podobało.

Marcus przewracał kolejne kartki w notesie.

– Och, ile tu tego mamy! – powiedział, kołysząc się na palcach. – Możemy wykorzystać wszystko. To kapitalny materiał, i jest go mnóstwo. Powinniśmy kupić tej dziewczynie jakiś prezent, żeby jej podziękować. Polly ją zna, bo grają razem w orkiestrze.

– Na pewno będziemy pamiętać, żeby dać jej bilety na premierę – odpowiedział Felix, od razu zapisując to w swoim notatniku. – I voucher na przegryzki.

– Przeczytaj resztę! – zawołał ktoś. – Przeczytaj wszystko.

Sierpień

W rozkładzie zajęć dla pierwszego roku jedną z ostatnich propozycji był podkreślony, tajemniczy punkt, określony tylko jako „Wycieczka”, ale pieczołowicie zaplanowany, jeżeli chodzi o czas, bo studenci pierwszego, drugiego i trzeciego roku mieli wziąć w niej udział razem. Aktorzy zebrali się w sali gimnastycznej – studenci z drugiego i trzeciego roku byli pewni siebie i wyniośli, uczestniczyli już bowiem wcześniej w tym ćwiczeniu.

Dziekan wydziału aktorskiego przydzielił role postaci z różnych dramatów ponad sześćdziesięciorgu studentom. Wyselekcjonował je starannie, dobierając aktorów wedle ich charakterologicznego albo fizycznego podobieństwa do doskonale sobie znanych bohaterów i uśmiechał się, wycytując nazwiska z długiej listy, którą sporządził w notesie.

– Henry, chciałbym, żebyś zagrał Torvalda – powiedział. – Z przyjemnością obejrzę go w twoim wykonaniu. Podejrzewam, że będzie to bardzo interesujące połączenie, jak gdyby Henry i Torvald byli przezroczystymi, konturowymi planszami, które po nałożeniu jedna na drugą stworzą swoistą mieszankę, nowy, jaśniejszy obraz, lepszy i żywszy niż ten, który ten chłopak i ten mężczyzna mogliby wykreować w pojedynkę.

– Claire – powiedział dziekan, zwracając się do jednej ze studentek trzeciego roku, która przycupnęła z boku. – Dla ciebie wybrałem Susan z *A Bed Among the Lentils*. Grasz trochę poza swoim emploi, ale myślę, że pięknie sobie poradzisz.

Zasady ćwiczenia były względnie proste. Studenci mieli opuścić teren Instytutu i rozejść się po pobliskich ulicach, wcielając się na dwie godziny w przydzielone im role. Dziekan wypuszczał ich małymi grupkami, kolejno, przez trzy dni, przy czym następna grupka wyruszała w teren, kiedy wracała poprzednia. Wykładowcy i aktorzy nieuczestniczący w ćwiczeniu patrolowali ulice, udając zwyczajnych przechodniów, którzy robią zakupy, zamawiają kawę, uprawiają jogging, spotykają się w mieście i gawędzą, ale przez cały czas obserwują także grę swoich kolegów.

Dora. Septimus. Martha. Bo. Lista ciągnęła się dalej. Stanley wyglądał przez okno, pozwolił błędzić swoim myślom i wkrótce się okazało, że nie potrafi już odróżnić nazw bohaterów od imion i nazwisk studentów, którzy ich mieli grać.

– Stanley! – zawołał dziekan, wyrrywając go z zadumy. Chłopak spojrzał na wykładowcę, który jednak nie zwracał się do niego. – Chodzi mi o Stanleya z *Tramwaju zwanego pożądaniem* – wyjaśnił dziekan, a jeden ze studentów na podłodze zapisał sobie imię tej postaci w zeszycie, na marginesie, energicznie kiwając przy tym głową.

Stanley westchnął i przyjrzał się swoim dłoniom.

– Wiem, że jedne z tych ról są łatwiejsze niż inne – oświadczył dziekan – a niektóre postaci trudno sobie wyobrazić poza kontekstem sztuki, z jakiej pochodzą. Pamiętajcie jednak, że każdy występ jest interpretacją. Możecie grać tak twórczo, jak tylko macie ochotę. To wy decydujecie, w co się ubrać, czy mówić, na przykład, z akcentem, i czy zmienić swój wygląd, by lepiej pasował do roli.

Spojrzenie Stanleya przesunęło się na dziekana wydziału ruchu scenicznego, który niczym cierpliwy cień stał za swoim kolegą, kierującym wydziałem aktorskim, złączył nogi w kostkach i dotykał teraz piętami ściany. Uśmiechał się słabo i kiwał głową, ale jakby niechcący, bo ten jego ruch przypominał obciążone wahadło, łaskawie odmierzające czas za szybko. Widział, jak dziekan wydziału ruchu scenicznego puszcza oko do jednego ze studentów i szybko odwrócił głowę, aby podążyć za jego spojrzeniem i wyszukać adresata mrugnięcia. Spóźnił się jednak i nie domyślił się, o kogo chodziło. Znowu popatrzył na dziekana wydziału ruchu scenicznego, zobaczył, że się uśmiecha i starannie wbija wzrok w podłogę.

Dziekan wydziału aktorskiego doszedł już do studentów pierwszego roku i wywoływał kolejno wszystkich kolegów i koleżanki Stanleya. Harry Bagley. George. Moss. Irene.

Stanley dostał rolę Joego Pitta.

– Przeczytaj najpierw sztukę – poradził mu dziekan wydziału aktorskiego i uśmiechnął się nieznacznie, zanim wrócił do listy. Ktoś ze studentów zachichotał cicho, a Stanley się zarumienił, zastanawiając się, jakim człowiekiem może być ów Joe Pitt. Zapisał sobie jego nazwisko na nowej stronie w organizerze i wcisnął go do torby.

Sierpień

– Jak długo zostaniesz w mieście? – spytał Stanley, kiedy już złożyli zamówienie. Tata skrobał coś w notesie elektronicznym i nie odpowiedział od razu. Po chwili zamknął notes i rozprostował mankiety koszuli.

– Sorki, mistrzu – powiedział. – O co pytałeś?

– Jak długo będziesz w mieście?

– Tylko przez weekend. Jutro wygłaszam referat na konferencji i zaraz odlatujemy. Mam dla ciebie kawał. Jaka jest różnica między trądzikiem i księdzem katolickim?

– Nie wiem.

– Trądzik wytryskuje dzieciom na twarz dopiero, kiedy wchodzą w okres dojrzewania.

– To obrzydliwe, tato – odpowiedział Stanley i pomyślał: Tabu to coś, co zostało zakazane, ponieważ jest święte.

Jego ojciec podniósł ręce w geście kapitulacji.

– Za mocne?

– Tak. – Albo dlatego, że jest obrzydliwe. Stanley mimo woli nachmurzył się i łyknął trochę wody.

– W takim razie powiedz, co u ciebie słychać. Opowiedz o swojej szkole aktorskiej. Och! Zapomniałem... Przyniosłem ci coś. Wyciąłem to sobie rano z gazety. – Ojciec przeszukał

teczkę, aż znalazł złożoną kartkę. Podsunął ją Stanleyowi, nucąc wesoło, i czekał, aż syn przeczyta.

Nagłówek głosił: *Śmierć dziewczyny „straszną stratą”*. Artykuł był krótki.

– Znasz ją? – zapytał ojciec, kiedy Stanley skończył. Był pełen nadziei, a jego oczy przypominały wesołe półksiężycy roześmianej maski Komedii, zdobiącej instytutowe foyer.

Stanley ponownie zerknął na artykuł i przełknął ślinę.

– Chcesz mi powiedzieć, że była to dziewczyna warta milion dolarów.

Tata roześmiał się.

– Tak, to była ona. Znałeś ją?

– A jeżeli tak, to co? To co? A może dowiedziałem się o tym wypadku dopiero teraz, od ciebie, a ty przed chwilą zachowałeś się strasznie gruboskórnie wobec nas obojga?

Tata Stanleya wyciągnął rękę, by wyrwać synowi kartkę.

– To był zwyczajny żart – powiedział, składając ją i wciskając z powrotem do teczki. – Myślałem, że się uśmiejesz. Nie patrz na mnie w ten sposób.

Żartobliwie pogroził Stanleyowi palcem i sięgnął po kieliszek.

– W każdym razie jeśli faktycznie ją znałeś, to bym ci pogratulował, bo to właśnie ją od razu byś wskazał i na nią wykupił polisę.

– Ta dziewczyna jest dla kogoś prawdziwa – odpowiedział Stanley.

– Ta dziewczyna jest dla kogoś trupem – poprawił go tata. Zmierzył Stanleya surowym, krytycznym spojrzeniem, jak gdyby był bardzo rozczarowany i po raz pierwszy zobaczył syna takim, jakim jest. – Naprawdę myślałem, że będziesz się śmiał.

Rozdział JEDENASTY Poniedziałek

Rejon, z którego wywodzą się uczennice Folwarku Opata, jest rozległy i niejednorodny, jeśli chodzi o majątność mieszkańców. Leży na tyle blisko centrum miasta, że sięga bogatszych dzielnic, choć obejmuje też kilka niezbyt zamożnych przedmieść, a w dolnej strefie także duże, senne ulice o szerokich rynsztokach i przylegające do nich niestrzyżone trawniki, których właściwe miejsce powinno być gdzieś na cichych peryferiach.

Uboższe dziewczęta, pracujące na pół czy ćwierć etatu w barach szybkiej obsługi albo sieciówkach odzieżowych, świętują czasami coś w rodzaju moralnego zwycięstwa nad koleżankami, które dostają kieszonkowe od rodziców i nie muszą pracować dla pieniędzy. Kiedy biedniejsze dziewczyny odwiedzają białe, lśniące domy bogaczy, zawsze przychodzą uzbrojone w silne poczucie prawa do panoszenia się na nie swoich śmieciach, dlatego zaglądną do lodówki, bez pytania zmieniają kanały w telewizorze, rano biorą długie, rozkoszne prysznice, a wszystko to z niewinnym, a nawet nabożnym przeświadczeniem, że naprawiają w ten sposób jakieś straszliwe nierówności społeczne. Wydębić albo zwędzić pół torebki czipsów jakiejś dziewczyny, której spiżarnię oświetlają pochyłe halogeny na chromowanym pręcie, to niemal coś szlachetnego: nie jest to żadne przestępstwo, tylko rodzaj redystrybucji dóbr, przywrócenie równowagi na świecie. Dlatego biedniejsze dziewczęta, zaciskając słone palce na kolejnej porcji czipsów, mówią sobie i powtarzają na głos, że dzisiaj wieczorem według rozpiski dyżurów będą musiały zostać na nocną zmianę w kawiarni.

Wskutek stosowania takich subtelnych i przebiegłych metod dziewczęta bogatsze zaczynają się wstydzic zamożności rodziców i przesadnie bronić swoich zwiększających się z biegiem lat życiowych luksusów, każdy przejaw zbytku usprawiedliwiając wyłącznie koniecznością. „Musimy kupować świeże owoce pestkowe ze względu na dietę mamy”, „Muszę mieć własny samochód, bo tata bardzo często wyjeżdża w interesach” albo: „Byliśmy też w spa, ale tylko dlatego, że tata ma chory kręgosłup”. Te często powtarzane uzasadnienia stają się ich mantrą i nie mija wiele czasu, a bogatsze dziewczyny zaczynają ze wstydu wierzyć w to, co mówią. Zaczynają wierzyć, że ich potrzeby są po prostu silniejsze, bardziej specyficzne i pilniejsze niż potrzeby tych ich koleżanek, które stoją w kolejce przed barem po rybę z frytkami, a w drodze powrotnej wsuwają zatłuszczone zawiniątko pod bluzkę. Nie sądzą, żeby były uprzywilejowane albo miały szczęście. Uważają się za osoby, których potrzeby są dobrze i zasłużenie zaspokajane, a gdybyście nazwali je bogaczkami, podniosłyby brwi, zmrużyły oczy i powiedziały: „No owszem, nie głodujemy ani nic takiego, ale na pewno nie jesteśmy bogaci”.

Ten uporczywy taniec prawa własności, agresywny i defensywny zarazem, jest wyrazem prawdziwego strachu w zbiorowej świadomości dziewczyn z Folwarku Opata, które spędzają kolejne lata licealnej nauki w jednym, niezmiennym swoim składzie stadzie. Boją się nieustannie, że jedna z nich może w każdej chwili niespodziewanie rozkwitnąć i przyćmić pozostałe, że grupa nieoczekiwanie i nieodwracalnie znajdzie się w jej cieniu, że milcząca wierność sprawiedliwości i uśrednionej równości, wyznawana przez nie wszystkie, może w końcu przestać cokolwiek znaczyć. Dzielące je różnice majątkowe znoszą się w grupie

i tworzą zwykłą średnią, a wspólna przeciętność staje się czymś w rodzaju narzędzia władzy, którą każda z dziewcząt sprawuje, pełniąc określoną funkcję, wyznaczającą jej terytorium w świecie koleżanek. Gdyby jednak któraś z nich rozkwitła i zabłysła, to reszta by zwiędła. Pamiętają o tym zagrożeniu, wciąż chodzą ze sobą pod rękę, zbijają się w smutną grupkę na korytarzu i przywołują do porządku każdą koleżankę, która mogłaby stanowić niebezpieczeństwo dla ich niezależności – każdą, która sprawia wrażenie, że pewnego dnia mogłaby się od nich oderwać i przestać ich potrzebować.

Taką właśnie grupę rozerwała i zniszczyła Victoria, kiedy odeszła, aby egoistycznie i po kryjomu kontynuować romans z nauczycielem. Chłopców zazwyczaj poznaje się i kieruje nimi na osobności, choć zawsze pozostają wspólną własnością grupy – możliwe, że potem dziewczyna rozmawia o nich tylko ze swoją najlepszą przyjaciółką albo może z kilkoma bliskimi koleżankami, wybieranymi zgodnie z własnym układem sojuszków i konfliktów – przyjmuje się jednak przynajmniej, że zwierzy się chociażby jednej osobie, że jej chłopak nie stanie się kolejną z niezliczonych tajemnic i będzie kimś, o kim się mówi, ale komu się nie zwierza i nigdy nie ufa. Victoria boleśnie naruszyła wszystkie te zasady. Jej związek przez cały czas pozostawał tajemnicą; wciskała koleżankom kit, że niby ma różne obowiązki i spotkania, ale chodziło o to, że nade wszystko ufała panu Saladinowi bardziej niż swojej okaleczonej frakcji dziewcząt, które tak bez reszty polegają na wspólnocie: dlatego jej zdrada osłabia kalejdoskopową twierdzę koleżanek, z wszystkiego wysysa radość i znaczenie, przekłuwając każdą iluzję jedności i potęgi. Dziewczyny zaczynają się od siebie odsuwać. Nawet chłopcy od Świętego Sylwestra wydają się im teraz jacyś oswojeni i głupkowaci, jak żołnierze przebierańcy, którzy wymachują tekturowymi szablami.

To nie fair, myślą wszystkie te porzucone i przyćmione dziewczyny, które kryją się i kiszą w cieniu Victorii. Ona nas z czegoś okradła. To nie fair.

Poniedziałek

Isolde zastanawia się, czy to, co czuje, to tylko coś w rodzaju czci, pełnego fascynacji podziwu dla starszej dziewczyny, jakim darzyła kiedyś Victorię i świętą jej wyniosłych przyjaciółek: zawsze rozpaczliwie starała się im przypodobać, wisiła u ich nóg niczym skrócony perspektywicznie popołudniowy cień i brakowało jej tchu, kiedy ogarniała ją niemożliwa nadzieja, że pewnego dnia może i ona zostanie zaliczona do grona najbliższych koleżanek tych dziewcząt. Czy Julia naprawdę jest tylko lustrzanym odbiciem osoby, którą Isolde chce się stać – obytej, starszej, zamyślanej, czarującej? Czy jej pociąg do niej nie jest niczym więcej niż narcystycznymi gratulacjami dla samej siebie, dziewczyny oczarowanej wizerunkiem swojej koleżanki? Czy miłość do Julii w pewnym stopniu wymaga od Isolde, by zakochała się także w samej sobie?

Wszystko, co ma, to tylko jeden niepewny wieczór zawracania głowy, strzępów spojrzeń i oddaleń, samotną flarę jasności, od której łomotało jej serce, a cienka skóra piersi pokryła się rumieńcem, potem zaś nastaly dni i tygodnie samotnych zaklęć i czarów i wpadła w paraliżujący czyściec zwątpienia, który kurczy ją do rozmiarów niemożliwości, dziwadła, marzenia na jawie, oddalającego się w lusterku wstecznym pełnych zwątpienia myśli Isolde.

Zastanawia się niewyraźnie, czy fajnie byłoby być prześladowaną. Zastanawia się, jak by to było, gdyby prowokująco paradowały razem z Julią na oczach jej rodziców, może nawet trzymając się za ręce. Wyobraża sobie, że przygląda się ojcu, który skrobie palcem po swojej

zacerwienionej szyi, kręci głową i mówi: „Issie, nie zamykaj sobie innych możliwości, kochanie. Nigdy nic nie wiadomo, może to tylko chwilowe”. Zastanawia się nad swoją mamą – nad tym, jak wzrusza ramionami, jak się starannie uśmiecha. Zastanawia się nad siostrą, która milkłaby, patrzyła na nie i przyglądała się Julii bardzo uważnie – Julii, która właściwie jest jej rówieśniczką, koleżanką z klasy, dziewczyną, którą upokorzyła kiedyś w czasie naboru do drużyny netballu, dziewczyną, o której szepnęła: „Czy ona nie wie, co my o niej myślimy? Na pewno wie”.

Fajnie byłoby wiedzieć, myśli Isolde, że człowiek staje się obrazem, który dla siebie stworzył. Fajnie byłoby mieć jakiś powód do zadumy i zachowywać się jak osoba oczerniona.

Każdy z wyborów Isolde jest właściwie tylko przeformułowaną i zamaskowaną wersją pytania: Kim jestem?

I tak będzie jeszcze przez długie lata.

Wtorek

Czasami Julię ogarnia coś w rodzaju wściekłości na myśl o swoim ciele, żyznym obrzmieniu bioder, zimnych, piegowatych piersiach i podwójnie złożonej, wewnętrznej kieszeni łona. Nie chce być mężczyzną, nie pożąda fallusa, wąsów ani pary wielkich, żyłastych dłoni z odciskami i o krótkich paznokciach – jest tylko rozgoryczona, że jej aparatura anatomiczna wytwarza tak źle ulokowane i bezużyteczne zalety. Jeśli wywołujące rumieniec, pełne wahania skłonności tamtej dziewczyny skierują się w inną stronę, jeśli Isolde nie będzie szukać kochanki, będącej jej lustrzanym odbiciem, lecz kogoś wręcz przeciwnego, jak gdyby swojego rewersowego dopełnienia, to Julia jest zgubiona.

Uwiedzenie Isolde – myśli Julia – nie polega tylko na tym, by zachowywać się jak najatrakcyjniej i jak najbardziej kusząco, i mieć nadzieję, że ona połknie przynętę. Gdyby Julia zamiast Isolde miała uwieść chłopaka, to wtedy taka prosta taktyka zapewne by zadziałała. Wystarczyłaby do tego po prostu budowa jej ciała. Już sama Julia byłaby pokusą – jej anatomia, Julia jako taka. Lecz uwiedzenie Isolde wymaga, by ona, Isolde, inaczej na siebie spojrzała: bo dopiero wtedy, kiedy zacznie szanować nową siebie i doceni wklęsły jin swojej kobiecości, Julia będzie mogła mieć nadzieję. Isolde musi nauczyć się cenić samą siebie, to jest warunek pierwszy i najważniejszy. Jej uwiedzenie musi przybrać formę perswazji, stopniowego zdobywania jej umysłu.

Julia myśli o wszystkich typowych prezentach zalotników, jak kwiaty przynoszone do klasy albo kamyki, którymi jakiś chłopak mógłby rzucać w jej okno o północy. Cierpliwy adorator stałby też pewnie pod szkołą, czekając z rowerem, by piechotą odprowadzić dziewczynę do domu. Wszyscy oni wydają się jej groteskowi. Wyobraża sobie, że przysyła Isolde kwiaty do klasy i potrafi myśleć tylko o jej przerażonej twarzy, kiedy obdarowana zagląda za czerwoną folię, wyrwawszy ze wstydem bilecik, który zgmiotła w kulkę. Wyobraża sobie, że bukiet jest za wielki i za delikatny, żeby Isolde mogła wcisnąć go na spód swojej torby, i że piękne dziewczęta śmieją się i wołają: „Od kogo je dostałaś?!”.

Julię ogarnia teraz melancholia, przez co tak gwałtownie przeciąga długopisem po marginesie kartki z zadaniem domowym, że aż rozdziera papier. Jakie jest prawdopodobieństwo – myśli – że jedyna dziewczyna, na której widok szybciej bije mi serce, będzie tą jedyną, która mnie zechce? Że jej pożądanie jakimś zbiegiem okoliczności odpowiada mojemu? Czy mogę zaufać jakiejś chemii, zapachowi albo feromonowi, który

uniesie się z prądem moich kroków i wzbije w górę, żebym mogła ją pocałować, kiedy będzie przechodziła obok?

Julia nie wierzy w tę chemię, w niewidzialną wielką falę, wsysającą brzegi jej rzeki w wodę. Myśli: Nie mogę polegać na chemii. Nie mogę polegać na przypadkowości pożądania Isolde. Muszę ją uwieść, uganiać się za nią i przekonywać ją. Muszę się odwołać do wątpliwej autonomii nastolatki, której myśli wciąż jeszcze, i bardzo dobrze, nie są jej własnością.

Wtorek

– Hej, chcesz zagrać? – woła jakaś dziewczyna i Isolde podnosi wzrok. Wraca ze sklepiku szkolnego, ściskając w każdej ręce po brązowej torebce. Lukier powoli przesiąka przez papier, a jasny brąz ciemnieje od tłustych, szarych plam.

– Nie, dzięki – mówi Isolde i na swoje usprawiedliwienie podnosi obie torebki.

Dziewczyna, która ją zagadnęła, uśmiecha się i wraca do gry. Isolde przygląda się koleżankom, przechodząc obok: cztery czy pięć z nich próbuje grać w zośkę w szkolnych butach na grubej podeszwie i opadających szarych skarpetach, podciągając szkolne spódnice, żeby pokazać zimową bladość swoich kolan i zdobiących je dołeczków. Isolde skręca za bibliotekę i idzie dalej.

Lawiruje pośród grupki dziewcząt, siedzących w zamkniętych kręgach wokół dziedzińca, a potem ku swemu zdumieniu dostrzega na trawie Julię w jednej z niewielu plam słońca po drugiej stronie chodnika. Ma na uszach słuchawki i mruży oczy jakby ze złości, czytając jakąś powieść w miękkiej oprawie. Isolde podchodzi nieśmiało. Serce zaczyna walić jej jak młotem.

Julia podnosi głowę, widzi, że Isolde się zbliża, i wyciąga słuchawki z uszu.

– Cześć, stara – mówi, a Isolde macha swoimi torebkami i odpowiada: – Cześć.

– Co tam masz? – pyta Julia.

– Tylko bułkę i pączka.

– Jak chcesz, to siadaj.

Isolde krzyżuje nogi w kostkach i przyjmuje pozycję siedzącą, składając się płynnie jak nożyczki wzorem dziewcząt, które od dawna ćwiczą siadanie ze skrzyżowanymi nogami, i wolną ręką obciąga podwójną fałdę pod srebrną szpilą spódnicy, żeby zasłonić nagie kolano. Julia podciąga nogi, chcąc zrobić dla niej miejsce. Rozcięcie biegnące wzdłuż bułki jest różowe od buraczków. Isolde, by zebrać majonez, przesuwa po nim palcem, który po chwili starannie oblizuje.

– Wiesz, co moim zdaniem jest do dupy? – pyta nagle Julia, wyginając plecy i wyciągając rękę, aby wyciągnąć z ziemi kępkę trawy i porwać ją na strzępy. – Że każą nam chodzić na te zajęcia z psychologiem na temat samoobrony, molestowania ze strony nauczycieli i tego rodzaju rzeczy.

– Ale ja się tyle nauczyłam – mówi Isolde, mrużąc oczy. – Na przykład że moje ciało to świątynia. A pewnie wszyscy byliśmy molestowani w dzieciństwie, musimy się tylko wysilić, żeby to sobie przypomnieć.

Julia śmieje się i rwie źdźbła trawy na jeszcze mniejsze kawałki.

– W każdym razie byłaś wspaniała – mówi Isolde. – Że tak mu się postawiłaś. A postawiłaś się.

– Teraz się mnie boi.

– Jak wszyscy, po tym, co powiedziałaś – zauważa żartem Isolde, Julia jednak marszczy brwi i kręci głową.

– Tak czy owak, to była parafraza. Znaczy ja sama tego nie wymyśliłam. Głupie gówniary... Oczywiście nie chodzi mi o ciebie.

– Och, nie – odpowiada szybko Isolde. Jej zdenerwowanie ustąpiło zawrotom głowy i straceńczemu, elektryzującemu poczuciu, które sprawia, że serce podchodzi jej do gardła i widzi wszystko ostrzej ze względu na bliskość Julii, jej włosy opadające wokół twarzy i każdy ruch dłoni, dłubiących w łysiejącym, pożółkłym trawniku. Ręce Julii są szczupłe i czerwone, a na środku jej płaskich paznokci widnieją łuszczące się plamki ciemnego lakieru. Na kościstym nadgarstku nosi kilka zwojów brudnego sznurka, natomiast na grzbiecie jej dłoni widnieją notatki do samej siebie, napisane niebieskim tuszem i liczące już kilka dni, tusz zdążył więc powciskać się w mikroskopijne pory jej skóry. Nawet samo patrzenie na te dłonie wydaje się Isolde nieznośnie zmysłowe, odwraca więc szybko wzrok i spogląda na dziedziniec, gdzie kilka dziewcząt wyklaskuje rytm, przygotowując układ na szkolny konkurs taneczny.

– Nasza jest moc i władza – mówi Julia. – I to jest prawdziwa nauka z całej tej historii z panem Saladinem. Nauka, którą nauczyciele nie chcą się z nami dzielić.

– Aha – zgadza się Isolde, znów patrząc na dłonie Julii.

– Co wynika z miejsca, które zajmujemy w hierarchii władzy. Nas można skrzywdzić, ale my nie możemy skrzywdzić innych. No, to znaczy owszem, możemy się krzywdzić nawzajem, ale nie nauczycieli, rodziców i tak dalej. A oni mogą nas krzywdzić. Co oznacza, że wszystko zależy od nas.

– Jak to? – pyta Isolde.

Julia potrząsa głową w zamyśleniu.

– Wszyscy czczą ofiarę – odpowiada. – Właściwie tylko tego się tu nauczyłam, czci dla ofiar. Jak byłam w czwartej klasie, to wiosłowałam w czwórce ze sternikiem na zawodach krajowych, wiesz? Na miejscu okazało się, że jesteśmy chyba najgorszą osadą. Po prostu nie miałyśmy dobrego sprzętu, nasz kajak był stary i ciężki i za mało trenowałyśmy. Ale właśnie dlatego, że nie byłyśmy faworytkami, uwierzyłyśmy, że wygramy. Bo tak często bywa. W ostatnich dziesięciu sekundach słabeusze wychodzą na prowadzenie i wygrywają o włos, dobro zwycięża zło, a zwycięstwo przestaje wreszcie zależeć od pieniędzy. Pamiętam, jak siedziałam w kajaku przed tym wyścigiem, z wiosłami w pogotowiu, czekałam na brzęczyk do startu i myślałam: Ale im pokażemy, jeżeli wygramy.

– Jednak nie wygrałyście.

– Jasne, że nie. Wygrała jakaś szkoła na szpanerskim kajaku z włókna szklanego, wyprzedzając inne osady tak mniej więcej o milę. Przyszłyśmy ostatnie ze stratą co najmniej czterdziestu pięciu sekund. Ale ja chcę tu tylko uwypuklić problem ofiary. Jeżeli jesteś ofiarą, to naprawdę wierzysz, że w końcu zatriumfujesz. Tego się tutaj uczymy. Czci dla ofiary. Że wygra przegrywający.

Isolde wygląda na zakłopotaną. To, w jaki sposób Julia wypływa swoje komentarze, krótkie, przygotowane zawczasu wypowiedzi, które podaje z błyszczącymi oczami i przechyłoną na bok głową, napawa ją lekkim strachem. Jej opinia stanowi raczej wyzwanie

niż tylko punkt widzenia.

– Wiesz – mówi Julia – kiedyś w szkołach były osobne ławki dla najlepszych uczennic w klasie. Ale dziś tych najlepszych już się nie izoluje. Mamy za to warsztaty terapeutyczne, specjalne, gmach porad i doradztwa zawodowego. Izoluje się tych, którzy tam chodzą.

– Uważasz, że ludzie oddają cześć mojej siostrze... – mówi Isolde.

– No, owszem.

Isolde zerka z ukosa na starszą koleżankę i stwierdza, że nie ma nic do powiedzenia. Wyciąga palcami z bułki bladą drzazgę szynki i gryzie ją ostrożnie.

– No to jak to było – pyta Julia – z Victorią? – Rozpakowała pełnoziarnisty baton i zjada go powoli, wyrywając grube ziarna i kolejno rolując je w palcach w tłuste kulki. Dziewczęta często jedzą w taki afektowany sposób w towarzystwie, kiedy wokół panuje nerwowa atmosfera.

– O co ci chodzi? – pyta Isolde.

– No wiesz... Przecież to twoja siostra. Rozmawiała z tobą o tym potem czy coś? Domyślałaś się czegoś, kiedy to trwało? Czy ona dojdzie do siebie po tym wszystkim?

Serce Julii bije szybko. Instynkt podpowiada jej, że powinna udawać twardszą, niż jest, nie iść na żadne ustępstwa, uwodzić Isolde czymś w rodzaju ryzykanckiej śmiałości, zuchwałymi, niepokornymi, surowymi opiniami, dzięki którym młodsza koleżanka będzie ją podziwiać z lekkim przestachem. Jednocześnie Julia kryje w sobie dudniące poczucie samotnej wrażliwości, proste, dziecinne pragnienie, żeby Isolde jej dotknęła, by wzięła ją w ramiona, pocałowała i czule do niej mówiła. Nawet gdy wyraża się agresywnie, kiedy wypowiada swoje zdanie, wzrusza ramionami i patrzy spode łba, jak gdyby nic jej nie obchodziło, to coś każe jej pokazać Isolde, że w gruncie rzeczy potrafi być czuła; słodka, delikatna i spragniona – że nie całkiem straciła zwierzęce cechy swojej kobiecej natury. Dziwnie jest zachowywać równowagę między jednym i drugim: między pozorną twardością i udawaną łagodnością. Czuje się osłabiona wskutek tego wysiłku, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem, tu, na tym trawniku.

Isolde skubie półksiężyc plasterka ogórka i oblizuje jego rosisty brzeg, zastanawiając się nad tym pytaniem. Już, już ma odpowiedzieć, kiedy na dziewczyny pada cień i obie podnoszą głowy.

Przyszły szkolne piękności, uśmiechnięte co do jednej, a ich nieznaczące, krzywe uśmieszki i mocno przy tym zaciśnięte usta stanowią okrutne przeciwieństwo min, jakie zazwyczaj przybierają, gdy wydymają lekko obwisłe wargi.

– Więc wreszcie znalazłaś sobie dziewczynę, Julio? – pyta najpiękniejsza z nich. – A czy zaprosisz ją do domu i przedstawiś mamie?

Julia patrzy na nią i nie odpowiada. Isolde przenosi wzrok z jednej twarzy na drugą, starając się zdecydować, czy ma się uśmiechnąć, choćby troszeczkę.

– To dzięki niej nie będziesz się już tak nudzić? – pyta znów szkolna piękność. – Ogoli cię trochę z kasy? O to chodzi?

Chichoczą. Półuśmieszek Isolde gaśnie.

– Urobiłaś ją? Podsunęłaś jej trochę gotówki za przywilej zadawania się z tobą?

– O ja pierdolę, co wy, macie po dwanaście lat czy jak? – rzuca Julia. Sięga po słuchawki i książkę, po czym zaczyna pakować swoje rzeczy.

– My nie – odpowiada przyjaciółka elokwentnej ślicznotki, wysuwając się naprzód w blasku chwały, do czego ma rzadko okazję. – Ale ona tak, prawda?

Wskazuje Isolde, która czuje, że robi się czerwona jak piwonia. Zastanawia się, czy powinna zauważyć, że przecież ma już piętnaście lat, czy może raczej taka odpowiedź dałaby im amunicję do kolejnego żartu. Szkolne piękności śmieją się, a Julia sprawia wrażenie porządnie zirytowanej swoim błędem i dalej pakuje pozostałości lunchu do torby.

– Pewnie nie mogłaś znaleźć żadnej dziewczyny w twoim wieku, która miałaby ochotę na taki związek – mówi przyjaciółka ślicznotki.

– Odpierdol się ode mnie, Tiffany. Cokolwiek chcesz osiągnąć, to ci się nie uda. Odpierdol się.

– Jeśli ona jest twardzielką – mówi ślicznotka, odwracając się do Isolde – to kim to czyni ciebie? Ty jesteś ta bardziej kobieta? Czy to nie działa w ten sposób? Że w takich związkach jedna z was odgrywa rolę kobiety, a druga faceta? Że to taka wielka gra pozorów?

Isolde, zdenerwowana, rozdarta między publicznym zaprzeczeniem i obroną czegoś, czego jeszcze nie rozumie, próbuje się tylko uśmiechnąć i, mocno zaciskając wargi, przywołuje na nie nerwowy uśmiezek, który szkolne piękności uważają najwyraźniej za potwierdzenie trafności swoich szyderstw. Przywódczyni grupy rozgląda się wokół, szukając czegoś więcej do powiedzenia, w końcu mówi jednak tylko: „Lesby!”, żeby postawić kropkę nad i w tej scenie, po czym z gestem oburzenia odchodzi, ciągnąc za sobą swą świtę. Suną przez dziedziniec niczym mała błękitna kometa o jasnym, pięknym jądrze i postrzępionym ogonie, który staje się tym bardziej matowy i nieciekawym, im bardziej się oddala.

– Pizdy – mówi pod nosem Julia, wściekle szarpiąc zamek błyskawiczny swojej torby.

– Przepraszam – mówi Isolde.

– To ja przepraszam – odpowiada Julia.

Rozbrzmiewa pierwszy dzwonek, ale Julia i Isolde nie ruszają się, by wstać. Siedzą obok siebie na końcu trawnika i nadal rwą trawę na strzępy.

– W każdym razie słyszałam, że ona przeszła operację plastyczną nosa – mówi Isolde. – Ta ważniaczka. Rok temu.

– Możesz mi dać gryza swojego pączka? – pyta Julia, bo jednak w gruncie rzeczy prawo do podkradania jedzenia zamożniejszym koleżankom wciąż pozostaje w mocy.

Wtorek

Rola pani Bly wymaga kostiumu grubaski i specjalnych lateksowych kieszeni, które wsuwa się w policzki, żeby powiększyć twarz. Kostium jest bez zarzutu. Wykonany głównie z silikonu, dopasowany specjalnie do damskiej figury i dość ciężki, aby aktorka chwiała się na nogach w czasie chodzenia. Pani Bly ma na sobie ołówkową, dzinsową, zapinaną z przodu spódnicę i złoty łańcuszek ze smukłą, złotą przywieszką, pokryte różem policzki, a włosy spryskane wodą perfumowaną. Kołysząc się w biodrach, wchodzi z wdziękiem do pokoju i siada na fotelu, wzdychając i wyciągając rękę, żeby się podrapać w sztucznie pogrubioną łydkę. W ogóle nie widać, że jest w przebraniu. Nauczycielka gry na saksofonie podziwiała przemianę aktorki w takim skupieniu, że omal zaniemówiła z wrażenia.

– Poleciła mi panią jedna z tych mam, która sprzedaje pojemniki Tupperware – odzywa się pani Bly. – Mówiła, że jej córka przeszła na lekcje do pani po tym skandalu w szkole i jest z tego bardzo zadowolona.

– Cieszę się – odpowiada nauczycielka. – Owszem, w tym roku odnotowałam znaczny napływ uczennic z Folwarku Opata.

– Cała ta historia była po prostu straszna – mówi pani Bly, wydymając wargi, mrużąc oczy i chichocząc wesoło.

– Katalityczna – odpowiada nauczycielka z udaną aprobatą, domyślając się, że pani Bly nie będzie milczeć zbyt długo, by zastanawiać się nad znaczeniem tego słowa. I rzeczywiście, nie milczy.

– Naprawdę straszna – powtarza. – Ta dziewczyna jest skończona. Teraz to już wybrakowany towar. A koleżanki oczywiście trzymają się od niej z daleka.

– I bardzo dobrze – mówi nauczycielka.

– Bo to jest zaraźliwe jak wirus, tak powiedziałam swoim dziewczynkom – mówi pani Bly, obciążając płachtę dzinsu na kolanie i wydymając usta, żeby przywołać na nie ukradkowy uśmiešek, ściągający wszystkie otaczające je zmarszczki jak gdyby w jedną bryłkę na środku twarzy. – To jest plama, która nie zejdzie w praniu.

Nauczycielka odczuwa nagłe znużenie. Siada.

– Pani Bly – mówi – proszę pamiętać, że te lata życia pani córki są jedynie próbą przed tym wszystkim, co nastąpi później. Niech pani pamięta, że w jej najlepiej pojętym interesie jest to, aby wszystko poszło teraz jak najgorzej. W jej najlepiej pojętym interesie jest to, aby noga powinęła się jej teraz, kiedy wciąż jest bezpieczna w garderobie, gdzie stoją meble w pokrowcach, szeregi polistyrenowych głów bez twarzy i popękane, zakurzone lusterka, a na podłodze walają się stare gazety. Niech pani nie czeka, aż córka wyjdzie na okrutne, białe światło reflektorów, gdzie wszyscy będą mogli ją zobaczyć. Niech sobie wszystko przećwiczy w bezpiecznym otoczeniu, w kasku ochronnym, w nakolannikach i z drugim śniadaniem w torbie, a pani niech stoi na końcu korytarza, uchyliwszy odrobinę drzwi na wypadek, gdyby nad ranem rozległ się jakiś okrzyk.

Pajęczynowate lasso fałdek wokół ust grubej pani Bly nieznacznie się rozluźnia.

– Dobra wiadomość – mówi rażno nauczycielka, zaglądając do swojego notatnika – jest taka, że mam okienko w środę po południu, jeśli nie kolidowałoby to z rozkładem zajęć pani córki. Jedną z moich uczennic potrącił samochód.

– Och, rower jest niebezpieczny – mówi pani Bly. – Nie pozwalam, żeby Rebecca jeździła na rowerze. Absolutnie nie wyrażam na to zgody, nieważne, dokąd chce jechać. Środa po południu byłaby idealna.

– O szesnastej.

– O szesnastej. – Pani Bly znów chichocze. – Rebecca bardzo się ucieszy. Tak ciężko pracowała, żeby przyzwyciężyć grać na klarncie, i bardzo tego chciała. To tak, jakby w jej życiu po raz pierwszy zaczęło coś rozkwitać.

Piątek

– Pewnie nie znałaś Bridget – nauczycielka gry na saksofonie zwraca się któregoś dnia do Isolde.

– Tej dziewczyny, która zginęła w wypadku? Była o rok starsza ode mnie, chodziła do szóstej klasy.

– To moja uczennica.

– Aha – mówi Isolde. – Nie, nie znałam jej. – Urywa na chwilę. Wygląda niezdarnie, buja

się w przód i w tył na piętach. – Nic pani nie jest? – pyta w końcu, krzywiąc się, co ma wyrażać coś w rodzaju zatroskania.

– To był dla nas wielki wstrząs – mówi nauczycielka.

– No.

– Wszyscy są na pewno okropnie zdenerwowani. W szkole i w ogóle.

– Aha – mówi Isolde. – No, zrobili nam apel.

– Tylko tyle?

– I opuścili flagę do połowy masztu.

– Przypuszczam, że wszyscy w szkole są jeszcze strasznie rozbici – mówi nauczycielka. – Dziewczeta chyba opuszczają lekcje, popłakują i wspominają wszystko, co sprawiało, że Bridget była jedyna w swoim rodzaju.

– Pewnie tak. Ale ona była o rok starsza. Nie znam nikogo z jej klasy. – Isolde wygląda na nieco przejętą, jak ktoś, od kogo się oczekuje, żeby wystąpił z kondolencjami albo jakąś poradą na temat śmierci, chociaż nie ma po temu odpowiednich kompetencji. Dziewczyna z zakłopotaniem szura nogami i wbija wzrok w podłogę.

– Bridget – odzywa się nieoczekiwanie nauczycielka, zmieniając taktykę – należała do najmniej lubianych przeze mnie uczennic. Kiedy grała, zawsze się tak jakoś wierciła i kręciła biodrami, co uważałam za nieco niesmaczne. Wyginała się do tyłu, zginała kolana i zamykała oczy, wyprężając się i przygotowując do przerwania ciężaru ciała na palce stóp, a jej saksofon jak gdyby stawał dęba niczym słup złotej piany, który lada moment miał się załamać i runąć. Napinała mięśnie twarzy. Nachylałam się nad notesem Bridget, żeby na nią nie patrzeć, i zaznaczałam na marginesach punktory, by pamiętać o odpowiednich miejscach w czasie prób. „Brzmienie”, pisałam, a pod spodem „Dźwięczność”.

Nieśmiało, niemal z szacunkiem, Isolde zrzuca swoją skórę i zmienia się w Bridget – ale nie w prawdziwą Bridget, tylko w kogoś, kto zajmuje jej miejsce, w środek tarczy, w który może celować nauczycielka, w postać, do której mogłaby się zwracać. Stoi przygnębiona na środku klasy z saksofonem przyciśniętym do biodra i opadającymi na twarz włosami. Nie odzywa się.

– Wtedy widziałam Bridget po raz ostatni – mówi nauczycielka. – Skończyła grać *The Old Castle*, odsunęła saksofon i kilka razy poruszyła ustami, jakby właśnie włożyła sztuczną szczękę i usiłowała ją dobrze dopasować. Ćwiczyła. Nieustannie. Między innymi dlatego nie za bardzo ją lubiłam. Pytałam: „Czego się dzisiaj dowiedziałaś na zajęciach z psychologiem?”, a ona odpowiadała: „W tym tygodniu rozmawiamy o poczuciu winy. O tym, jak poczucie winy może nas oświecić. Odgrywamy psychodramy, oparte na koncepcji poczucia winy”. „Poczucie winy”, mówiłam. A Bridget na to, spiesząc się z tym rzadkim u niej rumieńcem przyjemności, wynikającym z przekonania, że znajduje się w centrum zainteresowania, a głos, którym przemawia, chociaż raz jest jej własny i zasługuje na wysłuchanie: „Poczucie winy jest naprawdę ważne. To pierwszy krok na drodze do czegoś lepszego”.

Stopy Isolde są leciuteńko wyprężone, kolana skierowane do środka, a biodra dziwnie wychylone do przodu. Dziewczyna pociera palcem kielich saksofonu i spogląda na buty nauczycielki.

– Odpowiedziałam jej wtedy tak – mówi nauczycielka. – „Moim zdaniem ktoś cię

wprowadza w błąd, Bridget. Poczucie winy to przede wszystkim odwrócenie uwagi od głębszych, prawdziwszych uczuć. Pozwól, że dam ci przykład. Możesz mieć wyrzuty sumienia, jeśli spodoba ci się ktoś, kto jest ci zakazany. Odczuwasz pociąg do tej osoby, a potem przypominasz sobie, że nie wolno ci się do niej zbliżać. Jak myślisz, co jest wcześniejsze, pociąg erotyczny czy poczucie winy?” Bridget odparła „Chyba pociąg erotyczny. Bo był pierwszy”, a ja na to: „Dobrze. Poczucie winy jest drugorzędne. Powierzchowne”.

Isolde ledwo dostrzegalnie kiwa głową, żeby pokazać, że słucha. Nauczycielka gry na saksofonie ma teraz szklisty wzrok: wspomnienie wypełnia jej oczy niczym połyskliwa katarakta.

– Powiedziałam tak – dodaje – bo ze wszystkich moich uczennic najmniej lubiłam Bridget. Powiedziałam tak, bo Bridget nie za bardzo mnie obchodziła.

Wspomnienie rozwiewa się i wzrok nauczycielki znów odzyskuje ostrość.

– A czego ty się dzisiaj nauczyłaś na zajęciach z psychologiem? – pyta, mierząc Isolde okrutnym świdrującym spojrzeniem.

Dziewczyna mruży oczy, prostuje się i niezauważalnie odzyskuje równowagę. Nie jest pewna, jakiej odpowiedzi powinna udzielić. Kiedy się waha i z zakłopotaniem obmacuje wiszący na jej szyi saksofon, myśli o zmarłej koleżance, apelu i opuszczonej do połowy maszty fladze, o zajęciach z psychologiem na temat śmierci Bridget, które się nie odbyły, i o papierowych opaskach żałobnych, które kilka starszych dziewczyn nosiło przez tydzień albo i dłużej tylko po to, żeby dostać pół godziny wolności i pozwolenie na wyjście z lekcji do gabinetu szkolnej pielęgniarki.

Nauczycielka gry na saksofonie wciąż surowo przygląda się Isolde, czekając na odpowiedź.

Zawstydzona dziewczyna mówi cicho:

– Na zajęciach z psychologiem oplakujemy teraz to, co było wyjątkowe w mojej siostrze. Oplakujemy wszystko, co było związane z Victorią, a co straciłyśmy.

Poniedziałek

Julia idzie po południu na lekcję prosto ze szkoły, gdzie została za karę. O mało się nie spóźnia i kiedy nauczycielka gry na saksofonie otwiera drzwi, dziewczyna jest wciąż czerwona i trochę spocona. Na rękę ma zawieszony kask rowerowy.

– Moja nauczycielka to pinda – mówi podsumowująco, kiedy jest już w pokoju. – Pani Paul jest pindą. Na zaświadczeniu o zatrzymaniu za karę w szkole trzeba podać powód, więc powiedziałam: „A może niech pani napisze, że zostałam po lekcjach za to, że powiedziałam głośno to, co i tak wszyscy myślą”. No to zwiększyła mi karę. Kurwa, jak ja nienawidzę tej szkoły. I wszystkiego, co jest z nią związane.

– Ale tak konkretnie dlaczego cię zatrzymali? – pyta niejako z podziwem nauczycielka, Julia jednak tylko kręci głową i patrzy na nią chmurnie. Rozbiera się i przez chwilę szuka nut, a nauczycielka miesza herbatę, przechyla głowę i czeka.

– Kiedy odejdiesz z tej szkoły i to wszystko się skończy, już zawsze będziesz pamiętać co najmniej jednego nauczyciela. Tego, który zmienił twoje życie.

– Nie będę – mówi Julia. – Nigdy nie miałam takiego nauczyciela.

– Ale będziesz mieć. Gdy minie kilka lat i spojrzysz na przeszłość spokojnie, okaże się, że jest jakaś panna... Panna Hammond, panna Gillespie albo jakaś inna nauczycielka czy nauczyciel, którego pamiętasz lepiej niż innych i który przerasta pozostałych o głowę.

Julia nadal ma sceptyczną minę. Nauczycielka macha ręką i ciągnie dalej:

– A ilu nauczycieli ma to szczęście, żeby spotkać choć jednego ucznia, który coś w nich i ich życiu zmienił? Pozwól sobie powiedzieć taką rzecz: to się nie zdarza. W tych relacjach wpływy działają tylko w jedną stronę. Zawsze wyłącznie w jedną. Ludzie oczekują od nauczycieli, że będą pracować, bo kochają ten zawód, że będą inspirować uczniów, obudzą ich i wzniecą w nich zapał, ale nie spodziewają się ani przez chwilę, że uczniowie w rewanżu będą budzić i inspirować nauczycieli. Uważają, że największą i jedyną radością dla nich byłby, powiedzmy, uczeń, który po dziesięciu albo dwudziestu latach odwiedziłby jakiegoś nauczyciela, wpadłby pewnego ranka, żeby powiedzieć mu, jak ten nauczyciel silnie na niego wpłynął, a potem zniknąłby z powrotem wśród swoich sukcesów życiowych. To wszystko. Oczekujemy od nauczycieli, że co roku będą zaczynać od nowa, zapomną o postępach swoich dawnych uczniów i fałszywych związkach z nimi, rozplączą wszystko to, co zbudowali i cofną się, żeby rozpocząć pracę z następnym dzieckiem. Nauczyciele co roku na nowo zasiewają pole i opiekują się kolejnymi niewdzięcznymi plonami, których sami nigdy, ale to nigdy nie zbiorą.

– Nie jestem dzieckiem – mówi Julia.

– No to młodą kobietą. Jak wolisz.

– Nigdy nikt mnie do niczego nie zainspirował ani nie wzniecił we mnie żadnego zapału.

– Mimo to rozumiesz, o co mi chodzi – mówi nauczycielka.

– Nie, nie za bardzo – odpowiada kwaśno Julia. – Płacą wam za to. To taka sama praca jak każda inna.

Nauczycielka pochyła się i zakłada nogę na nogę.

– Mama chce, żebym złożyła jej sprawozdanie z twoich postępów w nauce. Życzy sobie, żebym ją poinformowała, jak cię zainspirowałam, rozbudziłam, jak wepchnęłam cię na tę wspaniałą ścieżkę, wiodącą ku doskonałości, pracowitości i powszechnemu szacunkowi. W tajemnicy chce też, żebym jej opowiedziała, jak bardzo ty mnie zainspirowałaś... Nie bezpośrednio, ale pośrednio, subtelnie, jakbyś mnie trochę peszyła i raniła zarazem, jak gdybyśmy rozmawiały o czymś objętym jakimś straszliwym tabu. Chce, żebym kłamała. Trochę.

– No to niech pani kłamie.

– Chce – ciągnie nauczycielka – tego, co wszystkie matki. Żebym jej powiedziała, że ty i ja mamy jakiś wyjątkowy kontakt i że mówisz mi rzeczy, którymi nie dzielisz się z nikim innym. Czeka, aż jej powiem, że widzę w tobie coś, Julio, czego nie widziałam już od wielu lat. Że nasz związek przypomina jak gdyby jednoczesne czy podwójne narodziny... Że nie jest to po prostu praca pedagogiczna z uczennicą, ale totalne otwarcie się jednej osoby na drugą.

– No to niech jej pani da to, czego chce. – Julia jest dzisiaj uparta i krnąbrna; wciąż się obnosi z niesprawiedliwością swojej zwiększonej kary niczym z zasłoną na naburmuszonej twarzy. Stoi z saksofonem zawieszonym na szyi, gotowa do gry.

– No dobrze, zaczynajmy – mówi nie bez irytacji nauczycielka. – Zagraj mi coś porywającego.

Czwartek

– Wydaje mi się, że moje dwie uczennice wplątały się w romans – powiedziałyby nauczycielka gry na saksofonie do Patsy, gdyby Patsy tu była. Poszłyby na brunch, jak zawsze,

i byłyby to czwartek, a słońce wpadałoby ukośnie przez wysokie okna, wypełniając mieszkanie leniwym, pełnym pyłków kurzu światłem.

– Znaczy ze sobą? – zapytałaby Patsy, pochylając się, opierając łokciami o stół i wsuwając dłonie pod podbródek.

– Tak – mówi nauczycielka. – Poznałam je ze sobą na koncercie. Jedna z tych dziewczyn jest o dwa lata starsza od drugiej, ale chodzą do tej samej szkoły.

– Ach tak – mówi Patsy – kiedy coś takiego się zaczyna, to najpierw musi być różnica wieku. W związkach tej samej płci. To przypomina rytuał inicjacyjny. Potrzebna jest niesymetryczność życiowego doświadczenia, inaczej nic z tego nie wyjdzie.

– Naprawdę?

– Bez wątpienia – odpowiada Patsy. – Jeżeli nie mamy ról płciowych, na których możemy się oprzeć, to potrzebujemy władzy, żeby jakoś to wszystko zorganizować. Potrzebujemy struktury. Nauczycielki i uczniacy. Drapieznika i ofiary. Czegoś w tym rodzaju. – Odchyła głowę w tył i nagle śmieje się czystym, rozkosznym śmiechem, który rozbrzmiewa w maleńkim mieszkanku jak dzwon.

– Wiedziałam, że będziesz się śmiać. – Nauczycielka jest dzisiaj rozdrażniona i zła na Patsy za to, w jaki sposób ta odrzuca włosy na ramiona, ssie ubrudzony masłem czubek palca i prawie przez cały czas zachowuje się jak ktoś, kto bez reszty uwielbia być obiektem pożądania.

– Powiedziały ci o tym? – pyta Patsy.

– Nie wprost, ale... No wiesz.

– Widać wszystkie objawy.

– Tak, dokładnie.

Patsy zastanawia się nad tym przez chwilę, w pewnym sensie z zadowoleniem, a potem pyta:

– Czy to ta dziewczyna, o której siostrze pisały gazety?

– Tak... Ta młodsza, Isolde. Jej starsza siostra była molestowana.

– W takim razie romans jest jeszcze bardziej prawdopodobny.

– Naprawdę?

– Jak najbardziej. Z najróżniejszych powodów.

Przez chwilę siedzą w milczeniu. Znad słoiczka z dżemem i butelki syropu zwisa ze stołu rozłożona, wymięta i poplamiona marmoladą i oliwą gazeta. Na dnie cienkiego, plastikowego koszyczka pozostała pojedyncza truskawka, spłaszczona niczym końcówka zimnego dłuta i zmrożona bielą niedojrzałości.

– Po prostu chcę dotrzeć do prawdy. To wszystko. Do tego ziarna prawdy, które się kryje we wszystkim – mówi nagle w nicość nauczycielka gry na saksofonie.

Piątek

– Tata usiłuje nawiązać z nami kontakt – mówi Isolde z pewnym szczególnym znużeniem, które zachowuje na rozmowy o rodzicielskich wysiłkach zbliżenia się do dzieci. – To część tych działań, które nazywa odbudowywaniem relacji rodzinnych. Chce wiedzieć o nas więcej. O nas obu.

– Czy to dobrze? – pyta nauczycielka gry na saksofonie.

– Wchodzi wczoraj wieczorem, jak oglądam telewizję, i pyta: „Hej, Isolde, masz

chłopaka?”. – Isolde prycha niemiło. – A ja się tylko zaśmiałam z tego „Hej”. Rzucił je tak wesoło i swobodnie, jakby wcześniej ćwiczył to przed lustrem czy coś. Odpowiedziałam, że mam, a on klasnął w dłonie i powiedział: „No to świetnie, w takim razie niech twój facet przyjdzie do nas na obiad”.

– Zgodziłaś się? – pyta nauczycielka. Znieruchomiała, patrzy na uczennicę, przekrzywiając głowę i z bezwładnie zwisającą dłonią; wygląda niczym karykatura przestraszonego pieska.

– No – odpowiada podejrzliwie Isolde, zawijając włosy za ucho. – Chodzimy ze sobą dopiero od kilku tygodni, ale tak.

Nauczycielka robi nieznaczny gest rozedrganą ręką, pokazując Isolde, by kontynuowała. Dziewczyna wysuwa język na dolną wargę i przygląda się przez chwilę nauczycielce, zanim wznawia opowieść.

– Wszystko rozgrywa się teraz wokół wspólnego spożywania posiłków. Że niby rodzina rozwiązuje problemy, siedząc razem przy stole. U nas to jest teraz jak rytuał... Nikomu nie wolno tknąć jedzenia, dopóki wszyscy nie usiądą, a potem dziękujemy mamie, przekazujemy sobie sos pieczeniowy i tak dalej. Tata mówi, że wspólne posiłki rozwiązują wszystko. Gdybyśmy od początku jedli razem, to Victoria nigdy nie wpadłaby przypadkiem ani rozmyślnie na pana Saladina w korytarzu i nie ocierałaby się piersiami o jego pierś przez ułamek sekundy, a potem nie cofnęłaby się i nie powiedziała: „Och, przepraszam, ale ze mnie niezłoda”. Gdybyśmy od początku jedli razem, to pan Saladin nigdy nie zagryzałby warg i nie pochylał głowy, ilekroć Victoria na niego patrzyła... Stosował ten flirciarski sposób „na nieśmiałego uczniaka” już od końca lat osiemdziesiątych, ale czar wciąż działał. Gdybyśmy spożywali wspólne posiłki, Victoria nigdy nie ssałaby opuszków jego palców i nie wsuwałaby panu Saladinowi języka w szparę pomiędzy palcem wskazującym i środkowym, a on by wtedy nie wzdychał. Nie doszłoby do żadnej z tych rzeczy.

– Nie wiedziałam, że chodzisz z jakimś chłopakiem – mówi nauczycielka.

– Szkoda tylko, że żadne z nas nigdy nie ma nic do powiedzenia przy stole – mówi Isolde. – Nawet tata. Zawsze w końcu głądzi o swojej pracy, więc wszyscy się wyłączają i starają jeść jak najszybciej.

– Jak się poznaliście? – pyta nauczycielka.

– Przypadkowo – mówi Isolde. – Tak jakoś wyszło...

– Twój chłopak powinien przyjść na ten recital w przyszłym miesiącu – mówi nauczycielka, wciąż patrząc na Isolde z niespodziewanym dla niej, surowym wyrazem twarzy. – Zobaczycie cię, jak grasz.

– No – odpowiada Isolde, wyginając to słówko niczym zassany dźwięk harmonijki ustnej, dzięki czemu udaje się jej zabrzmieć obojętnie i wyniośle.

– Jest twoim rówieśnikiem?

– Ach, nie – odpowiada z zadowoleniem Isolde. – Jest już po maturze. Studiuje aktorstwo. W Instytucie Dramatu. – Lekko macha ręką przez zasłonięte okno, wskazując zabudowania po drugiej stronie dziedzińca.

Światła zmieniają się nagle i nauczycielka widzi tę scenę, rozgrywającą się przed nią jak na czymś domowym nagraniu wideo; obraz jest jakby kudłaty i w paski z ziarnistej czerni.

– To aktor – stwierdza ojciec Isolde.

– Tak powiedziałam – odpowiada Isolde.

– Student w Instytucie Dramatu.
– Tak powiedziałam.
– Ile ma lat?
– Jest dopiero na pierwszym roku, tato – mówi Isolde, starając się wyglądać czarująco.
– Mam ogromną nadzieję, że nie spodziewa się, że będziesz uprawiać z nim seks.
– Tato...
– Bo przecież ty skończyłaś dopiero piętnaście lat – mówi tata głośno i wyraźnie, jak gdyby jego córka była przygłucha. – Gdybyś się z nim przespała, to byłoby przestępstwo.
– Tato!
– Zapytam cię o to od razu... – mówi ojciec Isolde z szeroko otwartymi oczami. – Od razu i chcę, żebyś mi odpowiedziała wprost. Spałaś z nim?
– Tato, przestań, to obrzydliwe. – Isolde doznaje olśnienia, co rzadko się jej zdarza, a potem mówi: – To tak, jak gdybyś chciał teraz wszystko wyrównać, grać fair, traktować mnie tak, jak traktowałeś Victorię. Tu przestępstwo, tam przestępstwo. Przestań.
– Dlaczego nie odpowiadasz na moje pytanie?
– A dlaczego rozmawiasz ze mną w ten sposób? Czy nie mogłabym porozmawiać z mamą?
– Spałaś z nim?
– Cudownie. Ty przecież już wiesz, że tak, i teraz już mi nigdy nie uwierzysz, bez względu na to, co bym powiedziała.
– Masz dopiero piętnaście lat.
– Czy nie mogłabym porozmawiać z mamą?
– Isolde... – odpowiada ze smutkiem tata – Ja nie miałem sióstr. Ustąp mi.
Zapala się zwykłe światło, do pracowni powraca żółtawe popołudnie, a nauczycielka gry na saksofonie mruga powiekami, jak gdyby się przed chwilą obudziła.
– Instytut – mówi. – Tam podobno bardzo trudno się dostać, nie? Ten chłopak musi być naprawdę dobry.

Rozdział DWUNASTY

Wrzesień

Czy powinien ją rozebrać, czy lepiej poczekać, aż ona rozbierze jego? Nie spodobała mu się myśl, że miałyby ją rozebrać – wydawało mu się to oznaką pazerności, a poza tym nie wiadomo dlaczego bał się sam zostać w ubraniu, kiedy będzie rozbierał dziewczynę do naga; przyszło mu do głowy, że ktoś może wejść i co sobie wtedy pomyśli? A może będą się rozbierać stopniowo, naprzemiennie, odbywając jakby grzecznościowy pojedynek: najpierw jej bluzka, potem jego koszula, stanik, podkoszulek, i tak aż do końca? Czy może raczej powinni się rozebrać osobno, a obściskiwać potem, już po tej przemianie? Serce mocno waliło Stanleyowi, kiedy zaprowadził ją do łóżka i usiadł na jego brzeжку, jednocześnie zsuwając buty i przesuwając się na bok, żeby móc się objąć i położyć.

Wyobrażał sobie tę chwilę wiele razy wcześniej, ale teraz zrozumiał, że zawsze widział ją w filmowym zbliżeniu: wygięte w łuk plecy, wierzgające nogi, ciężki oddech i nagość. A teraz, co dalej? Spróbował się położyć na dziewczynie tak, żeby nie wbijać jej kolana w krocze. Wydawało mu się, że zachowuje się jak automat, jak ktoś, kto wykonuje polecenia reżysera, odpowiada na sygnał do wejścia na scenę albo do wypowiedzenia swojej kwestii. Szło mu nieudolnie; przerzucił cały ciężar swojego ciała na bok, a później z powrotem, i nagle w wyobraźni zobaczył się z góry, lecz nie był to dla niego pochlebny widok: klęczał, wymachując ręką za plecami, żeby znaleźć zsuwającą się kołdrę i naciągnąć ją sobie na ramiona, bo w pokoju był przeciąg. Ogarnęła go złość na własną nieporadność i niemal wściekle wsunął jej rękę pod bluzkę, choćby po to, żeby udowodnić, że sobie poradzi. Poczuł, jak żebra dziewczyny raptownie unoszą się pod jego dłonią.

Żałował, że nie jest starszy. Że jest chłopcem, nie mężczyzną, który czułby się swobodnie, umiałby rozebrać partnerkę, śmiałby się i wiedział, że robi to, co trzeba. Żałował, że nie jest mężczyzną, który położyłby palec na ustach dziewczyny i powiedział: „A teraz doprowadzę cię do orgazmu”. Żałował, że nie jest mężczyzną, który potrafi używać słowa „pizda”, który umiałby wypowiedzieć je na głos i z łatwością, i to w taki sposób, żeby dziewczyna zaczęła go podziwiać i czcić. Żałował, że nie jest mężczyzną, który dobrze się czuje w swoim ciele, który umiałby powiedzieć: „Jesteś piękna” i miałby świadomość, że te słowa mają jakieś znaczenie, bo wypowiedziałyby je mężczyzna, nie chłopak.

Zsunął dłoń na jej brzuch, poniżej maleńkiej, wezbranej szparki pępka, osłoniętego fałdą skóry, która skurczyła się w twarde, mały guzek, kiedy podniósł ramiona partnerki nad głowę. Wyciągnęła ręce, żeby przyciągnąć go bliżej i przysunęła się do pocałunku w usta. Palce Stanleya manipulowały przy guziku ponad rozporkiem jej spodni. Wstydział się, że tak bardzo mu się spieszy, ale popędzało go bezradne pragnienie samozagłady i chęć, żeby ta scena trwała dalej bez niego i żeby mógł się z niej wycofać. Sztruks mocno i płasko opinał biodra dziewczyny i Stanley musiał bezlitośnie wykręcić dziurkę nad rozporkiem, żeby wyciągnąć guzik. Udało się. Rozpiął zamek i wyczuł pod palcami cienką bawełnę majtek, podniesioną przez krzaczasty kłębek włosów łonowych. Ogarnęło go zdziwienie. Czyżby sobie wyobrażał, że jest nieowłosiona jak plastikowa lalka?

Oddychała coraz szybciej. Wsunął jej rękę pod majtki i nakrył palcami owłosiony wzgórek

łonowy, wyginając dłoń w nadgarstku, żeby rozsunąć spodnie. Rozchylił je ostrożnie na szwie rozporka, pod chłodnymi palcami wyczuwając żar. Chciał się odezwać, wyszeptać coś, co zakłóciłoby tę straszliwą, niezdarną, zdyszana ciszę, wypełniającą pokój, jeżeli nie liczyć mysiego szmeru jego ręki.

Zorientował się, że ogląda tę scenę z punktu widzenia kamery i zaczął się zbytnio martwić, jak może się prezentować z góry albo z boku – starał się wyglądać szczuplej, mniej się szamotać, delikatnie odgarniać włosy z twarzy dziewczyny, przesuwać palcami wokół jej kości policzkowych i dotykać miękkiej, puchatej kieszonki płátka ucha, jak to tyle razy widział w kinie. Wydawało się jednak, że to, co robi, nie działa na partnerkę.

– Przepraszam, zdrętwiała mi ręka – szepnęła i wyswobodziła ramię.

– O kurde! – powiedział Stanley.

– Co się stało? – spytała ze zdziwieniem, podciągając kołdrę, wciskając ją szczelnie pod pachy i wycofując się.

– Ja nie...

– Nie wiesz, co robić?

– Tak – odrzekł Stanley, trochę za opryskliwie. – Nie wiem, co robić.

– Nieważne – odpowiedziała dziewczyna, odgarniając mu włosy z twarzy szorstką, otwartą dłonią. Jej gest był jednocześnie gburowaty i czuły, a Stanley poczuł się upokorzony, bo partnerka z łatwością dosięgnęła prawdy tej sceny, chociaż dla niego było to takie trudne. – Przytul mnie po prostu. Chodź tutaj.

Wpełzł dalej na łóżko, a ona podniosła kołdrę, żeby mógł pod nią wejść. Leżeli tak przez chwilę, serce waliło mu mocno, a ręce dziewczyny przesuwały się w górę i w dół po jego łopatce, dosięgając cienkich włosków na karku.

– Nie myślałem, że tak to będzie wyglądać – powiedział Stanley bez zastanowienia.

Dźwignęła się na łokciu i zapytała:

– Co?

Uświadomił sobie, że jego słowa zabrzmiały nieelegancko, dodał więc pośpiesznie:

– Chodziło mi o mnie. Nie myślałem, że tak to będzie wyglądać.

To zabrzmiało jeszcze gorzej i Stanley przez chwilę aż kipiał rozgoryczeniem i pogardą dla samego siebie. Chciał powiedzieć, że wszystkie filmy i programy telewizyjne, które w życiu widział i które mogły go przygotować na tę chwilę, postawiły go w roli outsidera, ukrytego i pewnego siebie podglądacza, który umie wyobrazić sobie siebie na miejscu bohatera, ale od którego nigdy się nie wymaga, aby go zagrał. Poczuł, że nie ma żadnego scenariusza, jest pozostawiony sam sobie i rozpaczliwie pragnie, żeby to dziewczyna zrobiła pierwszy ruch, bo wtedy ona by go prowadziła, a ciężar decyzji nie spoczywałby na jego barkach.

– To jest twój pierwszy raz – powiedziała, zmieniając ton, który stał się łagodniejszy, a nawet matczyne. Przygarnęła go bliżej, a on się w nią wtulił. – Niemądry, kochany niezgrabiasz – dodała, gładząc go kostkami palców po czubku głowy. – Wszystko będzie dobrze.

Leżeli tak przez chwilę, nasłuchując, jak na ulicę wjeżdża furgonetka z lodami, grająca melodyjkę, która miała zwabić dzieci. Potem auto odjechało z jękiem i znów zapadła cisza.

– To było to – powiedział, po raz pierwszy patrząc w światła sceny.

– Co, Stanley? – spytała dziewczyna, przekręcając się i delikatnie dotykając czubkami

palców zagłębienia w jego plecach nad krzyżem. – Co to było?

– Najintymniejsza scena z mojego życia – odpowiedział Stanley. – Właśnie tak. To było to.

Sierpień

– Pan Saladin na scenę! – zawołał jakiś student. – Król Pik! Gdzie ty się podziewasz, do cholery, Connor?

Za kulisami powstało niewidoczne z widowni zamieszanie, a potem na deskach pojawił się czerwony na twarzy Król Pik; wypadł biegiem ze szpary w kurtynie jak wystrzelony z armaty.

– Sorki! – krzyknął obłąkańczo w stronę parteru i zaczął się miotać w poszukiwaniu znaku na deskach, wskazującego, gdzie ma stanąć, czyli dwóch kawałków taśmy klejącej skrzyżowanych w blady X, niczym komiksowy plaster opatrunkowy.

– Zaczynajcie już, do cholery! – wrzasnął ktoś.

Przyglądali się z pogardą i satysfakcją, jak Król Pik znajduje swoje miejsce, prostuje plecy i głęboko oddycha. Sztywny, woskowy napierśnik kostiumu rozwiązał się Stanleyowi na ramieniu i zwisał mu przez pierś pod dziwnym kątem. Zapomniał rękawic i miecza, było już jednak za późno.

Studenci na scenie westchnęli i zagrali, jak to się mówi, do tyłu, żeby chłopak mógł wejść ze swoją kwestią. Powiedzieli: „Ale spójrzcie na to z innego punktu widzenia. Straciła dziewictwo i to w samą porę, zanim zaczęło ją niemodnie oblepiać niczym nocny ragtime. Usidliła starszego faceta. Osiągnęła status celebrytki. I teraz skrywa tajemnicę, którą wszyscy pragną poznać: tajemnicę seksualną, najlepszą, jest w wirze tej tajemnicy, który ciągle nią targa, tak że Victoria nigdy nie ma pełnego kontaktu z rzeczywistością. Och, nie litujcie się nad nią. Litujcie się nad nieszczęsnym, samotnym panem Saladinem, który posmakował kolorowego, dojrzałego owocu młodości i dziewictwa i odtąd nie zadowolili się już niczym innym”.

W kanale dla orkiestry rozległo się rytmiczne uderzenie w kocioł. Król Pik zareagował dramatycznie. Zapadł się w sobie jak uderzony pałką między łopatki i w jednej chwili zmienił się w starego, wątłego kalekę. Kiedy zaczął mówić, a mniej ważne postaci przegrupowały się u jego kolan jak dzieci, jeden z chłopaków na widowni wychylił się i szepnął:

– On ciągle gra dla śmiechu. Nie osiągniemy pożądanego efektu, jeżeli będzie tak robił.

Król Pik powiedział:

– Na samym początku było w tym coś bardzo urokliwego. Zagrała swoją rolę wprost podręcznikowo, robiła wielkie oczy i rozpiniała kołnierzyk, a jej spódnica unosiła się powyżej kolan. To było tak wzruszająco amatorskie jak dziecięca malowanka, niedoskonała, nieforemna i kiepsko wykonana, ale wołająca o uznanie, o to, żeby ją powiesić na lodówce, komplementować, unosić się nad nią i oddawać jej cześć.

Pociągnął nogą, wbił wzrok w podłogę i uśmiechnął się do siebie po kryjomu, jakby przypomniawszy sobie coś bardzo, ale to bardzo osobistego. Zespół w kanale dla orkiestry zagrał jazzowy rytm: perkusja, kontrabas i gardłowy pomruk saksofonu tenorowego.

– Za dziesięć lat – powiedział – będzie mogła spojrzeć chłodno na mężczyznę i pomyśleć: „Pasujemy do siebie. Biorąc pod uwagę twoją wielkoduszność, zdolność zapewnienia mi uczuciowego bezpieczeństwa, którego potrzebuję, twoje szczególnie kostyczne i skierowane czasem przeciwko tobie samemu poczucie humoru, zainteresowanie niemym kinem, gotowaniem, skłonność do pedanterii oraz to, co robisz, żeby zabić czas, dochodzę do

wniosku, że pasujemy do siebie”. Przez resztę życia będzie stopniowo powiększać tę ponurą listę wymagań i warunków, i z roku na rok sprowadzać ziejącą otchłań swojego pożądania do takich drobiazgów, jak wolna posada dozorca, strażnika albo trutnia. Jej ogłoszenie będzie głosić: „Poszukiwany”. To wszystko.

Król Pik wzruszył ramionami.

– Na mnie nie miała jednak żadnej recepty – kontynuował. – Nie znała swoich apetytów, nie wiedziała, co oznacza gwałtowne pulsowanie, szamoczące się w szkarłatnym zagłębieniu pod jej szyją. Za każdym razem, kiedy się dotykaliśmy, dowiadywała się czegoś nowego, nie o mnie, ale o sobie, o swoich wzlotach i upadkach, reakcjach, przewróconym wazonie pustki, który zawsze nosiła w sobie jak coś niedokończonego albo rozbitego.

Za Królem Pik, za kraciastymi ekranami wyginały się i zaciskały szponiaste palce cieni. Ostro oświetlone, ale mroczne sylwetki na tle białej płachty – najzgrabniejsi studenci pierwszego roku, wytypowani ze względu na swoje kształty, profil. Wybierali ich osobiście koledzy, którzy patrzyli na nich spod przymrużonych powiek tak długo, aż wreszcie widzieli już tylko ich zarysy i mogli ocenić masywny kontur sylwetki niezależnie od wszelkich innych czynników.

Zespół jazzowy spokojnie przeszedł w motyw przewodni, a rojny tłum na scenie znowu się przegrupował, zmieniając kształt i szykując się do nowej sceny. Zmieniły się także światła i muzyka, a Król Pik zniknął w tłumie.

– Zapomniałeś kawałek – zauważył jeden z inspicjentów, kiedy Król Pik usłyszał w końcu kwestię, na której miał wyjść, i uklonił się przy prawej kulisie. Inspicjent trzymał w ręku spięty wielkim spinaczem plik papierów, którym potrząsnął przed nosem pozostającego w cieniu Króla Pik. – Zapomniałeś powiedzieć cały taki dłuższy fragment, w którym on pyta: „Jak ja mogę chronić te dziewczęta i jednocześnie rozbudzać je erotycznie?”.

Wrzesień

– Czy kiedyś coś poszło nie tak? – spytał Stanley. – W takim zaimprovizowanym przedstawieniu? Na przykład pistolet był naładowany, a nikt nie wiedział, że to prawdziwa broń. Komuś odpięła się uprząż akrobatyczna albo ktoś runął przez zapadnię i gruchnął na środek sceny w czasie przedstawienia. Może zdarzyła się jakaś tragiczna historia, tylko tak dawno, że prawie nikt już jej dzisiaj nie pamięta.

– Jesteś zdenerwowany – powiedział Oliver, wślizgując się na miejsce naprzeciwko Stanleya. Wyciągnął jabłko z plecaka i zaczął przerzucać owoc z ręki do ręki.

– Bo w byciu puszczonej samopas jest normalnie coś przerażającego – ciągnął Stanley. – Nie przyglądają się nam wykładowcy ani nic, jesteśmy tylko my, zdani sami na siebie od miesiący. Po prostu jestem ciekaw, czy kiedyś na takim przedstawieniu nie stało się coś przeraźliwie strasznego. Jak we *Władcy much*.

– Boisz się, że ktoś cię nadzieje na druty tego barbetu – odparł Oliver, radośnie wgrzyzając się w jabłko i już z pełnymi ustami uśmiechając się szeroko do Stanleya. – Że udusi cię ta twoja wielka czarna suknia. Śmierć przez przebieranki.

– Więc jak dotąd nic nigdy nie poszło źle?

– No, jeżeli nie, to może pójdzie w tym roku. – Oliver jeszcze przez chwilę cieszył się narastającym strachem marszczącego czoło kolegi, a potem wyciągnął rękę i klepnął go w ramię. – Hej, stary, jesteś niesamowity w tej roli. Wszyscy zawsze tak mówią, jak tylko

wychodzisz z sali.

– Nie o to mi chodziło – odpowiedział Stanley. Zabębnił rękami po stole i westchnął.

Sierpień

Opuścił Instytut różnym truchtem, owijając się długim, wełnianym paltem. Pod spodem miał garnitur i krawat, a jego wypucowane, czarne buty lśniły. Zeskakiwał po dwa stopnie naraz, oderwał się od reszty grupy i ruszył przez dziedziniec z przechyloną głową, lekko przygarbiony, trzymając zaciśnięte ręce w kieszeniach płaszcza. Szedł szybko, wkrótce pozostawił kolegów za sobą i już samotnie podążał dalej bulwarem.

Za jego plecami przez chwilę kłębiła się pstrokata grupka postaci ze sztuk Tennessee Williamsa, Stevena Berkoffa, Eugène’a Ionesco i Davida Hare’a, i dopiero uzgodniwszy, co i gdzie będą robić, studenci rozeszli się po mieście wedle ustaleń. Jedna z dziewcząt włożyła rozciętą nad kolanem suknię z tafty; miała niepewną minę, bo była za lekko ubrana na chłodne popołudnie. Jej gołe nogi pokrywały plamki krwi, a cieniutkie włoski na ramionach podnosiły się z zimna.

Stanley postanowił obejść park, nadkładając drogi, żeby trzymać się z dala od placu zabaw dla dzieci, a potem ruszyć wokół jeziora i wrócić na uczelnię z drugiej strony. Ukrył twarz głębiej w kołnierzyku koszuli i wydłużył krok. Przypuszczał, że ktoś go śledzi: dziekani wydziału aktorskiego, wydziału ruchu scenicznego, improwizacji i emisji głosu wyszli tego ranka wcześniej z Instytutu, żeby zająć pozycje na pobliskich ulicach.

– Nie wolno wam wychodzić poza wyznaczone granice – powtarzał w kółko dziekan wydziału aktorskiego, postukując palcem w podświetlony na mapie obszar i spoglądając ponad stalowym ramieniem projektora na wiercący się na swoich miejscach tłum wyteżających słuch i wzrok studentów. Był w płóciennych spodniach i rozpiętej pod szyją koszuli i wyglądał tylko trochę bardziej fircykowato niż zwykle, chociaż i jemu udzielał się przyprowadzający o zawrót głowy dreszczyk emocji, który odczuwali przebrani już studenci – część z nich niemal nie do poznania w pospinanych szpilkami i agrafkami kostiumach i fryzurach z epoki, z której pochodziła odtwarzana przez nich postać.

Stanley skręcił z bulwaru i przeszedł przez zakończoną tępymi prętami żelazną bramę ogrodu botanicznego. Na żwirowej ścieżce minął go jakiś facet w garniturze, obrzucając chłopaka przeciągłym spojrzeniem. Stanley o mało nie odwrócił wzroku, ale przypomniał sobie, że jest Joem Pittem i jak najdłużej surowo przyglądał się nieznanemu, nie odrywając od niego oczu, dopóki go nie minął. Dopadły go nieprzyjemne wyrzuty sumienia – bo przecież udawał – które nie ustąpiły, nawet kiedy nieznanomy skręcił za cieplarnię i zniknął. Stanleyowi wydawało się, że kątem oka dostrzeże panią dziekan wydziału improwizacji, siedzącą na ławce parkowej w plamie słońca i trzymającą na kolanach gazetę. Owinął się ciaśniej płaszczem i poszedł dalej.

Udawanie, że jest kimś innym, zapewniało mu w duchu niecodzienną intymność. Myśli i odczucia postaci, widoczne tylko wtedy, kiedy postanawiał uzewnętrznić je na twarzy, w układzie dłoni i lekko zgarbionej postawie, spowijały jego prywatne myśli niczym atmosfera ziemię i opakowywały prawdziwego Stanleya pod podwójną błonką, dzieląc go na wewnętrznego i zewnętrznego Joego Pitta. Miał wrażenie, że siedzi w ukryciu, jakby ciasno zwinięty w łupinie orzecha, bezpieczny, ponieważ wiedział, że nikt naprawdę nie zdoła go zobaczyć pod taką podwójną zasłoną przebrania.

– Cześć – rozległ się cichy głos i nagle pojawiła się przed nim dziewczyna zza kulis, dziewczyna uczęszczająca na lekcje muzyki, idąca wprost na niego z futerałem od saksofonu przewieszonym przez ramię niczym kołczan. Uśmiechnęła się szeroko (był to pierwszy nieocenzurowany uśmiech, jaki widział dotąd na jej twarzy), po czym zapytała: – Śledzisz mnie?

– Czy gdybym cię śledził, nie szedłbym raczej za tobą?

– Chodziło mi o to, że mi nie dajesz spokoju. – Wciąż się uśmiechała, patrząc na trochę za duże palto Stanleya: rękawy wisiały mu nad czubkami palców jak małemu chłopcu przebranemu w ojcowskie ciuchy.

– Aha. Nie, mam ćwiczenie aktorskie w ramach zajęć w szkole – odpowiedział bez zastanowienia.

Gdy tylko zamilkł, zaczął czekać na przygnębiający ciężar na żołądku; nie zaliczył tych zajęć, ktoś go tu na pewno zauważył i zapamiętał. „Jeśli powiecie komuś, że wykonujecie ćwiczenie aktorskie albo w jakikolwiek sposób wspomnicie o Instytucie czy o swoich studiach – zapowiedział dziekan wydziału aktorskiego – to tym samym automatycznie nie zaliczycie, co do tego nie może być wątpliwości”.

– Przez cały ranek muszę grać pewną postać – wyjaśnił Stanley, pogrążając się jeszcze bardziej. – Takie są zasady tego ćwiczenia. – Przygnębiający ciężar jakoś się nie pojawił. Stanley poczuł się nawet dziwnie lżejszy, stojąc w parku z tą ładną, przypadkowo spotkaną dziewczyną. Zatrzepotał połamami za dużego płaszcza i roześmiał się.

– Masz ochotę później pójść na kawę? – zapytał. – Jak już nie będę Joem Pittem.

– Dobrze – odpowiedziała nieśmiało Isolde. – A kto to jest?

– No... On właśnie tak się ubiera – odpowiedział Stanley. – Poza tym właściwie nie wiem o nim zbyt wiele.

– W takim razie nie grasz go zbyt dobrze – zauważyła Isolde.

– Chyba nie.

Stanley zlokalizował siedlisko swojego poczucia lekkości: czuł się autentyczny. Tak autentyczny nie czuł się od dawna.

– A skąd ja mogę wiedzieć, że nie grasz przede mną w tej chwili? – spytała Isolde, zachowując się niemal banalnie, ale wybaczył jej ze względu na swoje poczucie lekkości i ponieważ wyglądała tak ładnie z różówionymi uszami, w wełnianym płaszczu i mitenkach, splatając dłonie dla ochrony przed chłodem.

– A skąd ja mogę wiedzieć, że to ty nie grasz przede mną?

Uśmiechnęła się i stając na palcach, odwróciła ręce, co miało znaczyć, że nie wie. Wykonała ten zabawny gest jakby całą sobą. Stanley poczuł ogarniającą go niczym przypływ falę szczęścia.

– W takim razie oboje będziemy musieli zaryzykować – powiedział.

Kątem oka zobaczył zbliżającą się do nich panią dziekan wydziału improwizacji.

– Muszę już iść i skończyć ten swój obchód. Ale będę na ciebie czekał pod miłorzębem.

– Kończę o piątej – odpowiedziała Isolde.

– Wiem. Obserwowałam cię.

Lipiec

– Musicie wygrać tę scenę do ostatka! – zawołał gniewnie dziekan wydziału ruchu

scenicznego. Jego zmęczona dłoń co chwila wygładzała włosy na ciemieniu. – W tej chwili jest oczywiste, że oboje wiecie, że ta scena zaraz się zakończy, więc rozluźniacie się, zanim przygasną światła. To ledwie ułamek sekundy, ale ma znaczenie. A wy powinniście stworzyć wrażenie, że scena będzie trwała dalej za kulisami. Musicie ją wygrać do samego końca. Powtarzamy.

Stanley i dziewczyna znowu zajęli swoje miejsca. Na wpół otwartą dłonią dotykał policzka dziewczyny, wsuwając palec do ciasnego pączka jej ucha. Powtórzyli swoje kwestie, starając się nie odprężyć i nie rozluźnić mięśni, dopóki scena nie weszła w niewidzialną fazę finału.

– Tego chcę. Właśnie tego. – Tak brzmiała ostatnia kwestia Stanleya, który dla podkreślenia tych słów krótko i delikatnie potrząsnął głową dziewczyny, na poły zaciskając palce. Partnerka spojrzała na niego. Koniec sceny.

Twarz Stanleya była tuż przy jej twarzy, dotykał jej policzka. Wygrał scenę do końca: pochylił się i pocałował partnerkę tak, jak zamierzał.

– Och, na litość boską! – wybuchnął dziekan. Oboje pospiesznie odskoczyli od siebie. – Czy powiedziałem, żebyś ją pocałował? Przecież mówiłem, że masz wygrać tę scenę do końca.

– Myślałem, że właśnie o to panu chodzi – odpowiedział nagle zawstydzony Stanley, patrząc poza światła. Dziewczyna wytarła usta i wbiła wzrok w podłogę.

– Nie będziemy opuszczać kurtyny w chwili, kiedy roznamiętniacie się jak dzieciaki! Myśl o tej scenie, człowieku!

Dziekan wydziału ruchu scenicznego raczej nie krzyczał. Na ogół nie był okrutniejszy od dziekana wydziału aktorskiego, mniej chętnie zawstydział czy krzywdził swoich studentów i rzadziej dawał upust krótkim wybuchom złości albo zimnej pogardy. Dzisiaj przyszedł jednak do Instytutu rozdrażniony, zgryźliwy i spięty, wydawało się, że brakuje mu tchu, a kiedy spoglądał gniewnie na studentów ze swojego miejsca na widowni, dusiła go jakby gigantyczna rękawica złości i zarzutów.

– Co to ma znaczyć? – powiedział. – Pewnie po prostu skorzystałeś z okazji, co?

Stanley zrobił urażoną minę. Bardziej się spodziewał się gratulacji, pochwały za swoje fizyczne zaangażowanie w scenę, gotowość do odłożenia na bok osobistych przemyśleń w imię sztuki – został jednak upokorzony, i to w obecności dziewczyny. Być może dziekan wydziału ruchu scenicznego właśnie zniszczył szansę na związek między nimi, zawstydzając ich publicznie tak, że się zarumienili i odskoczyli od siebie. Dziekan nagle strasznie się na nich zirytował, na tego chłopaka o jasnych rzęsach i znamionującym wrażliwość nadąsanym obliczu, i na dziewczynę z wyćwiczonym wyrazem nerwowej naiwności na twarzy, w tej chwili już raczej nieprzekonującym.

– Po prostu wydawało mi się, że o to panu chodzi – powtórzył Stanley. – Przepraszam.

Dziekan przez chwilę się nie odzywał. Pomyślał, że patrzą teraz na niego z lekkim żalem, jak każdy nastolatek na dorosłego, który ich zdaniem jest absolutnie niezdolny do tego, by okazać pożądanie. Patrzyli na niego tak, jakby sądzili, że jest zazdrosny o ich nieporadną samotność w fałdach kurtyny; to, że tak na siebie wpadli, kazało mu zatęsknić za jakąś utraconą, młodzieńczą spontanicznością dotyku, jego wybuch zaś był jedynie oznaką niezadowolenia, przyznaniem się do niepowetowanej straty. Dziekana ogarnęło obrzydzenie. Miał ochotę się odwrócić i splunąć na podłogę. Wejść po tych siedmiu stopniach

prowadzących na scenę i wyrwać ich z kokonu egotyizmu i zarozumiałości. Krzyknąć i przekonać ich, że nie jest zazdrosny, że nie może być zazdrosny o żałosny pocałunek w gorącym świetle reflektorów, który wymienia dwoje źle dobranych gówniarzy, i że jeżeli w ogóle cokolwiek w tej chwili odczuwa, to straszliwe mdłości, wywołane tym, na co musiał patrzeć.

– Powtarzamy – polecił kwaśno, padając z powrotem na krzesło.

Wrzesień

Kiedy Isolde wyszła ze szkoły, Stanley czekał na nią pod miłorzębem. Zbiegła po rozsypujących się kamiennych schodkach i przecięła dziedziniec; uściskała chłopaka, a potem złożyła szybki pocałunek na jego ustach.

– Spójrz tylko na siebie, wyglądasz jak mała Cyganka – powiedział Stanley, cofając się o krok. – Nosisz tyle tych torebek i w ogóle.

– Piątki są straszne. Po południu mam saks, wychowanie fizyczne i plastykę, jedno po drugim.

– Cyganka.

Isolde wypuściła powietrze z płuc, zatrzepotała ramionami i rozjarzyła się od szerokiego, szczerego uśmiechu. Była w niej ta sama bezwstydną otwartość, która pociągała pana Saladina w Victorii, przeniesiona teraz na jej siostrę – identyczny uśmiech na innej twarzy. Stanley pochylił się i pocałował ją w koniuszek nosa.

– To kiedy będę mógł posłuchać, jak grasz? – zapytał.

– Myślałam, że mnie słyszałeś na dziedzińcu.

– Tylko że ja nigdy nie wiem, który saks jest twój, a który nauczycielki – odpowiedział Stanley z uśmiechem. – Dlatego mógłbym pomyśleć, że jesteś o wiele lepsza niż w rzeczywistości.

– Nasze saksofony właściwie brzmią inaczej. Jeżeli ktoś umie rozróżnić takie rzeczy. Ja mam ustnik z wulkanizowanej gumy, a ona metalowy. Który naprawdę daje zupełnie inny dźwięk.

– Tak jak różnią się od siebie ludzkie głosy.

– No właśnie. To jak różnica między kobietą i dziewczyną.

Kamienny gmach za ich plecami zrobił się ciemny, wszystkie zasłony zostały zaciągnięte, a światła wygaszone. Zamykano klasy i gabinety, stygnące w nadchodzącym zmierzchu. Okna nauczycielki gry na saksofonie, na poddaszu, też były ciemne, jak gdyby nauczycielka zamknęła pracownię po wyjściu Isolde i wyszła ze szkoły na noc – ale jeśli ktoś popatrzyłby w górę przez gałęzie miłorzębu, zobaczyłby atramentową postać, stojącą przy zasłonie i przyglądającą się chłopcu i dziewczynie. Stali pod drzewem i nie patrzyli w górę. Stanley objął Isolde mocno jedną ręką i odeszli razem, dotykając się głowami i rozmawiając cicho, dopóki nie przesłoniły ich krużganki i gałęzie. Po chwili zniknęli.

Wrzesień

– Wiesz, dlaczego tu jesteś? – spytał dziekan wydziału ruchu scenicznego, kiedy Stanley usiadł.

– Pewnie z powodu Wycieczki – odparł chłopak, decydując się na ryzykowny domysł.

Dziekan podniósł brwi, a jego podbródek drgnął gwałtownie.

– Wycieczki? – spytał.

– Chyba nie zaliczyłem tego ćwiczenia – powiedział Stanley, nagle zdając sobie sprawę, że powinien być ostrożniejszy, postarał się więc przybrać bardziej niewinną i oszołomioną minę.

– Nie wydaje mi się. Dostałem sprawozdanie od pani dziekan wydziału improwizacji, która twierdzi, że zrobiłeś na niej duże wrażenie. Grałeś Joego Pitta.

– No – odrzekł Stanley.

– Jeżeli się nie mylę, to była pełna podziwu.

– Aha.

Stanley usiłował wzruszyć ramionami i uśmiechnąć się, ale zdołał tylko drgnąć i się skrzywić.

– Myślałeś, że nie zaliczysz? – spytał dziekan, patrząc na niego uważnie.

– Nie – odparł szybko Stanley. – W takim razie nie wiem, dlaczego tu jestem.

Dziekan rozparł się w fotelu i oparł dłonie na biurku. Przybrał ćwiczony od lat wyraz twarzy, znamionujący poważne rozczarowanie, i Stanleyowi zaczęło walić serce.

– Ktoś się na ciebie poskarżył. Złożył na ciebie bardzo poważną skargę. Wiesz, o co może chodzić?

Stanley wyglądał na zaskoczonego.

– Nie. Kto? O co mu chodziło?

Dziekan nie od razu odpowiedział. Spoglądał na Stanleya na poły z politowaniem, na poły z obrzydzeniem, i chłopak poczuł, że chce się zapaść pod ziemię.

– Nauczycielka muzyki, która uczy w pracowni na dziedzińcu północnym, złożyła do nas skargę, z której wynika, że napastujesz jej uczennice.

– Co takiego? – Stanley mimo woli zaczął się czerwienić.

– Napastujesz uczennice – powtórzył dziekan. – Zwłaszcza taką jedną młodszą dziewczynkę z piątej klasy. Czy to ci coś mówi?

Stanley przez chwilę siedział w milczeniu.

– Nic? – spytał dziekan.

Starannie rozciągał zalegające pomiędzy nimi milczenie niczym mierzony oddech, a Stanley poczuł okropny, przygnębiający ciężar na żołądku. Siedział, nie odzywał się i nie mógł oderwać wzroku od połyskliwego blatu pod dłońmi dziekana.

– Oczywiście normalnie – powiedział dziekan – nie interweniowalibyśmy w takiej sprawie. Potraktowalibyśmy cię jak dorosłego, oczekując, że sam rozwiążesz problem. Ale ponieważ ta nauczycielka zwróciła się bezpośrednio do nas, to chyba sam rozumiesz, że musimy z tobą o tym porozmawiać. A rozumiesz?

– Tak – odpowiedział machinalnie Stanley, kiwając głową.

– Ona się bardzo martwi o bezpieczeństwo uczennic, bo jej pracownia znajduje się w pobliżu Instytutu.

Stanley znów skinął głową.

– Co się stało, Stanley? – spytał dziekan. – O co w tym wszystkim chodzi?

Napotkał spojrzenie dziekana, po czym odwrócił wzrok na oprawione plakaty i programy teatralne, wiszące nad szafką w porządku chronologicznym, w szeregu, niczym prosty przepis na życie wykładowcy, przypominając ścieżkę wiodącą do miejsca, w którym teraz siedział, przy pustym biurku, ze zsuniętymi razem bosymi stopami i zmarszczonym czołem.

– Nie wiem – odparł w końcu Stanley. – Nie znam żadnej nauczycielki gry na saksofonie.

– Nie powiedziałem, że ona uczy gry na saksofonie.

Stanley głęboko wciągnął powietrze do płuc i znowu zerknął na dziekana, tym razem jeszcze szybciej, jakby wymizerowana twarz wykładowcy była bardzo gorąca albo jaśniejąca i przez to oczy chłopaka nie mogły się na niej dłużej zatrzymać.

– Ale ja wiem, że ona chodzi na saksofon – odpowiedział cicho chłopak i te słowa stały się czymś w rodzaju straszliwego wyznania, przyznania się do winy. Krótki, gardłowy kaszel rozerwał jego ostatnie słowo na dwoje.

– Rozumiem, że nic nie mówisz, aby się nie pograżać – odrzekł zimno dziekan po kolejnej fatalnej chwili ciszy.

– Ja tylko...

Prawdę mówiąc, Stanley po prostu nie miał nic do powiedzenia. Wzruszył ramionami raczej po to, żeby pokazać, że jest bezsilny, a nie bezczelny, ale oczy dziekana zabłyśły i Stanley zorientował się, że jego gest go rozzłościł. Chłód wykładowcy narastał i dziekan mocniej przycisnął dłonie do blatu.

– Dziewczyna, o której mówimy, chodzi do piątej klasy, więc zdajesz sobie sprawę, że nie skończyła jeszcze szesnastu lat.

Stanley wciąż kiwał głową.

– A ponieważ nadal jest nieletnia – ciągnął dziekan – to rozumiesz, że jakakolwiek forma kontaktu seksualnego, który jakiś dorosły mógłby mieć albo miał z tą dziewczyną, byłaby przestępstwem. Rozmawiam z tobą o tym jako twój wykładowca.

Stanley niewyraźnie zdawał sobie sprawę, że zbladł, do ust zaczęła napływać mu ślina i jak gdyby kurczy mu się język, co było straszne, bo oznaczało, że zaraz zwymiotuje. Ogarnęły go mdłości i nagle wydało mu się, że jego zmysł powonienia bardzo się wyostrzył: czuł zapach wilgotnej wełny marynarki dziekana wiszącej na drzwiach, papierową nutę orzechów leżących na komódce i kałużę wystygłej kawy na dnie zimnego kubka. Kręciło mu się w głowie.

Dziekan wydziału ruchu scenicznego przez chwilę przypatrywał mu się badawczo. Miał wielkie oczy, może nawet z wysiłku, co sugerowało, że najgorsze ma dopiero nadejść. Pochylił się, wydymając nieco usta jak do pocałunku i starannie dobierając słowa.

– Stanley, chcę, żebyś się nad czymś dobrze zastanowił. Nie musisz odpowiadać, proszę cię tylko, żebyś trochę pomyślał. Czy gdyby rodzice tej dziewczyny znaleźli się na widowni, kiedy pierwszy rok będzie wystawiał swoją sztukę pod koniec tego tygodnia, to coś by to zmieniło? Gdyby jej rodzice byli wśród publiczności?

Było to dziwne pytanie i Stanley go nie zrozumiał. Wpatrywał się tępo w dziekana, po czym odpowiedział:

– Nie rozumiem, o co panu chodzi.

– Ta dziewczyna, z którą ty...

– Isolde.

– Tak. Ona ma siostrę, nie mylę się, prawda?

– Nie wiem – odparł Stanley. – A bo co?

Dziekan przyglądał mu się z nieskrywanym obrzydzeniem.

– Daj spokój, nie udawaj. To idiotyczne.

Stanley przełknął ślinę i podniósł rękę, żeby wytrzeć kropelki potu z górnej wargi.

– Przykro mi – powiedział. – Czegoś tu nie rozumiem.

– Siostra Isolde ma na imię Victoria – warknął dziekan. – Nic ci to nie mówi?

Stanley wpatrywał się w niego zaledwie przez ułamek sekundy, zanim uświadomił sobie, w czym rzecz – i to olśnienie spadło na niego niczym straszliwe uderzenie ostrza gilotyny. Victoria!, krzyczał przeraźliwie w myślach, Victoria, sławna bohaterka ich sztuki, wycięta z gazety, porwana, ukradziona i przeszczepiona na wszystkie czarno-czerwone plakaty *Królowej łoża z baldachimem*. A dziekan pytał o to, czy coś się zmieni, jeśli na przedstawienie przyjdą jej rodzice.

Potem spadło drugie ostrze, jeszcze straszniejsze niż pierwsze, jeśli tylko było to możliwe. Wydaje im się, że Isolde jest pionkiem, pomyślał Stanley, pionkiem, którym się posłużyłem, by zdobyć materiał do sztuki. Moim pionkiem.

– Oczywiście nie powinienem wiedzieć, o czym będzie traktować sztuka pierwszego roku – mówił dalej dziekan – i naprawdę wiem bardzo niewiele o tym, co dzieje się na próbach i nad czym pracujecie. Ale nie mogę nic poradzić na to, że tak często przechodzę koło otwartych drzwi do sali albo słyszę strzępy waszych rozmów na korytarzu. Rozumiesz?

Stanley siedział, kuląc się w sobie na swoim lepkim już od potu miejscu, z trudem starając się połknąć mdłości, stojące mu w gardle jak kamień.

– Czy Isolde wie? – zapytał głupio.

– O czym? – odpowiedział pytaniem dziekan.

– O naszej sztuce. O czym to jest i co robimy na próbach.

– Nie mam pojęcia. Rozmawiałem tylko z nauczycielką. Przedyskutowaliśmy problem i wytłumaczyła mi, że rodzice Victorii mieli ciężki rok, biorąc pod uwagę skandal, jaki wybuchł po gwałcie na ich starszej córce. Przypomniałem sobie nazwisko dziewczyny i potem dodałem już tylko dwa do dwóch.

Stanley zawzięcie usiłował wrócić pamięcią do rozmów, które prowadził z Isolde – czy kiedykolwiek wspomniął coś na ten temat? Czy chociaż raz wymienił imię Victorii?

– Zamierza im pan powiedzieć? – zapytał. – Zadzwoń pan do jej rodziców?

– Uważam, że to ty powinieneś się nad tym zastanowić, Stanley. Powtarzam, jesteś już dorosły i możesz sam sobie poradzić z tą sprawą.

– No a co z tą nauczycielką muzyki? Co, jeżeli to ona już do nich zadzwoniła? – spytał. Nigdy nie widział nauczycielki Isolde, ale wyobrażał ją sobie w postaci okrutnego, oleistego cienia, stojącego przy okiennej zasłonie i spoglądającego poprzez gałęzie miłorzębu na dziedziniec.

– Nie wiem – odpowiedział dziekan, patrząc na Stanleya dziwnym wzrokiem. – Czyli twierdzisz, że nie wiedziałeś? Że to jest jej siostra?

– Nie – odrzekł Stanley i poczuł, że jeszcze bardziej kuli się w sobie. Naprawdę jest taki głupi? Przecież nigdy nawet nie zapytał Isolde o nazwisko. O nic jej nie pytał – o rodziców, o codzienne życie, o dom, w którym każdego ranka budziła się ze snu, brała prysznic, jadła śniadanie i ćwiczyła grę na saksofonie pośród butwiejących kartek z nutami, porzrzucanych na podłodze: takich scen nigdy sobie nie wyobrażał. Nie wyobrażał sobie, jaka ona jest i co robi wtedy, kiedy nie jest z nim: była dla niego po prostu... Czym? Być może funkcją jego samego. Po prostu obsadziła go w roli, którą miał zagrać.

– Nawiązałeś jednak znajomość z tą młodą uczennicą – powiedział dziekan. Starannie wymawiał słowa, delikatnie podkreślając zwłaszcza przymiotnik „młodą”, jakby pozostawiał

na nim odcisk palca.

– Nie... To znaczy... To nie było... Ona się zgodziła – odpowiedział Stanley. – Owszem, spotykaliśmy się.

– Zgoda niewiele znaczy, dopóki dziewczyna nie skończy szesnastu lat – zauważył dziekan. Odsunął się od biurka i spojrział Stanleyowi prosto w oczy. Widać było, że zamierza umyć ręce i nie wtrącać się więcej w całą sprawę.

– Oni nie mogą tu przyjść – powiedział Stanley. – Znaczą jej rodzice. Nie może ich być na widowni. Nie mogą się o tym dowiedzieć.

– Tak – odrzekł dziekan. – Nie mogą.

– No to co mamy zrobić? – spytał Stanley. – Odwołać przedstawienie?

– To nie ja odpowiadam za tę sztukę – odparł dziekan. – Za sprzedaż biletów. Ani za tę dziewczynę. Moim obowiązkiem jest tylko poinformować cię o tym, o czym powinienes wiedzieć. Nie obchodzą mnie cudze decyzje. Nie chcę wiedzieć, co robiłeś z tą dziewczyną, choć jeśli w jakiś sposób mogłoby to zaszkodzić Instytutowi, to będę musiał podjąć odpowiednie kroki.

Stanley głupkowato i bez słowa skinął głową.

– Naprawdę, Stanley – odezwał się w końcu dziekan, po raz pierwszy okazując prawdziwe zniecierpliwienie na widok swojej bladej, drżącej ofiary siedzącej przed nim w małym gabinecie. – No wiesz? Jak mogłeś nie wiedzieć, że ktoś się wam przygląda? Na litość boską! Musiałeś być cholernie nieostrożny, bo przez cały czas ktoś was obserwował.

Wrzesień

– Chciałbyś kiedyś pójść ze mną na całość, Stanley? – spytała Isolde. – Za jakiś czas?

Przesunął palcem po jej policzku. W głębi duszy zirytował się, że dziewczyna w ogóle o tym mówi, że nadaje tej ewentualności kształt i głos. Wydawało mu się to nieprzyzwoite. Sam wolałby o tym nie mówić, dopóki nie będzie po wszystkim. Wolałby w ogóle o tym nie wspominać, unieruchomić jej usta w swoich, szarpać ją za rękawy i pasek i szybko zdjąć z niej skórkę jak z dojrzałego owocu. Jej pytanie było logistyczne, organizacyjne, redukcyjne. Stanley by go nie zadał. Był romantykiem.

– Sądziś, że jesteśmy już na to gotowi? – spytał, sprytnie odpowiadając pytaniem na pytanie, ale patrząc na Isolde z bardzo poważnym i skruszonym wyrazem twarzy, pragnąc ją przekonać, że to, o czym mówią, naprawdę go obchodzi.

– No – odpowiedziała. Zaczęła się uśmiechać, jeszcze nim wybrzmiał jej głos, a chłopak po chwili odwzajemnił uśmiech i przysunął się bliżej, żeby ją pocałować i śmiać się razem z nią albo przeciwko niej, nos w nos.

– Ja też – odrzekł Stanley. – Myślę, że tak.

– Chcesz tego? – spytała nieśmiało.

– Oczywiście, że tak – odpowiedział. – Czekałem tylko, żebyś ty była pewna, że także tego chcesz. W żaden sposób nie chciałem na ciebie naciskać. Wolałem, żebyś to ty mnie o to zapytała.

Właściwie nie była to prawda, ale wydźwięk tych słów sprawiał mu przyjemność.

Październik

Drzwi do gabinetu dziekana wydziału ruchu scenicznego były otwarte i Stanley nie zapukał. Stał cicho w progu, zawahał się i dopiero po chwili zaczął mówić.

– Nie powinienem był zaliczyć tych zajęć. To wszystko, co chciałem powiedzieć. Nie powinienem był zaliczyć Wycieczki. Od razu się komuś przyznałem, że robię ćwiczenie aktorskie. Powiedziałem nawet, że gram Joego Pitta.

Dziekan spojrział na niego, a zapalona lampa na biurku ściągała cienie na jego oczy i usta.

– Dlaczego? – zapytał, nie wykonując żadnego gestu, żeby zaprosić Stanleya do gabinetu; chłopak wciąż stał więc w drzwiach, szarpiąc paski plecaka i przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

– Bo inaczej mogłaby pomyśleć, że Joe Pitt to tak naprawdę ja – odparł Stanley. – A tego nie chciałem.

Dziekan westchnął i potarł dłońmi twarz.

– Stanley – powiedział – po co ty mi to mówisz? Chyba nie chcesz dostać dwójki do indeksu? Taki stopień świadczyłby przeciw tobie. Jeżeli ta sprawa ciążyła ci na sumieniu, to dlaczego po prostu nie postanowiłeś, że poprawisz się następnym razem? Dlaczego wolisz sam sobie podstawić nogę?

– Żeby mnie pan szanował – odpowiedział Stanley.

– Żebym cię szanował – powtórzył dziekan.

Chłopak szybko oddychał.

– Żeby mnie pan zauważył. Żeby mnie pan widział, gdy patrzy pan na studentów.

Dziekan spojrział na niego, zastanawiając się, czy powinien się ugiąć. Emocje ścisnęły Stanleya za gardło i drżał, kiedy mówił, ale za jego zdenerwowaniem nawet w takiej chwili ciągnęła się uparta nić samozadowolenia. Dziekana przeszył krótki błysk gniewu. Nawet teraz, pomyślał, nawet w tej chwili ten chłopak gra i zachwyca się swoim występem; sobą.

– Co roku mamy tu kogoś takiego jak ty – odpowiedział. – I po tobie też przyjdzie jakiś student wypełnić puste miejsce, które pozostawisz, odchodząc z Instytutu. Każde słowo padające z twoich ust to po prostu kwestia dialogowa. Nauczyłeś się tekstu bardzo starannie, tak starannie, że przekonałeś sam siebie, że jest twój, ale to są po prostu wypowiedzi sceniczne. Słyszałem je już wiele razy wcześniej. – Dziekan odrzucił nagle głowę w tył i warknął: – A dlaczego ty nie widzisz mnie, kiedy się rozglądasz? Mógłbym zadać to pytanie każdemu ze swoich studentów. Każdemu z moich samolubnych studentów, jednakowych niczym z jednej sztancy, którzy przychodzą i odchodzą co roku jak przypływ stojącej wody.

– A ten chłopak, z którym pan rozmawiał na wydziale plastycznym? Czy on też jest z tej samej sztancy? – zapytał kwaśno Stanley.

Nastąpiła cisza. Dziekan uniósł brwi.

– Chłopak, z którym rozmawiałem na wydziale plastycznym?

– Zamaskowany, z Teatru Okrucieństwa – mruknął Stanley. – Nick.

– Co chcesz o nim wiedzieć?

– Czy on też jest z tej samej sztancy co my? – Stanley był już teraz mocno zmieszany.

Dziekan spojrział na niego uważnie i omal się nie roześmiał.

– Może i tak – odrzekł. – Ale Nick jest podobny do mnie. Byłem taki jak on. Słucham go, jak mówi, i patrzę, jak się porusza, bo dla mnie to jest coś w rodzaju odrodzenia. Dzięki niemu mogę na nowo przeżyć młodość. Odrodzić się, po prostu patrząc na niego.

Stanley milczał ze zwieszoną głową.

– Dziękuję, że mnie dzisiaj odwiedziłeś – odezwał się po chwili dziekan. Miał oziębły ton,

a jego twarz jak gdyby się zamknęła. – W tej sytuacji zmienimy ocenę w twoich papierach i wstawimy ci dwóję.

Rozdział TRZYNASTY

Piątek

– Jesteś blisko ze swoją siostrą, Isolde? – pyta łagodnie nauczycielka gry na saksofonie któregoś popołudnia, już po lekcji, kiedy dziewczyna pakuje instrument do futerału.

– Właściwie to nie – odpowiada Isolde.

– Spędzacie razem dużo czasu w szkole?

– Nie. Dziwnie wygląda, kiedy młodsze uczennice zadają się ze starszymi. A ona ma koleżanki ze swojego rocznika. Nie lubią, jak się przy nich kręczę.

– Czy to właśnie do niej byś się zwróciła, gdybyś chciała z kimś pogadać?

Isolde natychmiast oblewa się szkarłatnym rumieńcem. Odwraca się od nauczycielki i pochyla, żeby coś poprawić przy zapince torebki.

– Chyba nie – mówi.

– W porządku – odpowiada z sympatią nauczycielka, przyglądając się dziewczynie.

– Nie wiem, z kim rozmawiać – mruczy Isolde.

– Ale z koleżankami nie chcesz?

– Nie.

Nauczycielka gry na saksofonie czeka, aż Isolde zbierze nuty i wsunie je do plecaka.

– To dosyć dziwne, że Victoria jest tak lubiana w szkole – mówi dziewczyna, odzyskując spokój – bo koleżanki przecież ją zniszczyły. Trzy lata temu, w czwartej klasie. Uznały, że właściwie jej nie lubią i urządziły naradę, na której miały zdecydować, co z nią zrobić. W końcu po prostu zebrały się któregoś popołudnia w czasie przerwy na lunch i powiedziały jej, że nie ma prawa więcej z nimi siedzieć ani rozmawiać. A potem uciekły.

– Przypuszczam, że Victoria po prostu znalazła sobie potem nowe towarzystwo – mówi nauczycielka.

– Właściwie to nie dałoby się tego zrobić – odpowiada Isolde. – Jak już raz odrzuciła panią jedna grupa, to inne dziewczyny stają się podejrzliwe. Nie można nic na to poradzić, najwyżej siedzieć w bibliotece i przychodzić do klasy w ostatnim momencie, żeby nie wyglądało na to, że jest pani sama i czeka na koleżanki. Ale większość dziewczyn zawiera bliskie przyjaźnie, żeby się zabezpieczyć – dodaje. – W ten sposób zawsze ma się jakąś sojuszniczkę i jest mniej prawdopodobne, że grupa panią odrzuci.

– W takim razie jak twojej siostrze udało się wspiąć z powrotem na szczyt popularności? – pyta nauczycielka. – Jeśli koleżanki naprawdę ją zniszczyły, jak mówisz.

– Zaczęła się zadawać z chłopakami – odpowiada Isolde. – W czasie przerwy na lunch przechodziła na drugą stronę ulicy i szła nad rzekę z chłopakami od Świętego Sylwestra. Tylko ona i chłopcy. To była jakby jej broń. A potem dziewczyny zaczęły do niej wracać, znowu się z nią przyjaźnić.

– A ty zostałeś kiedyś odrzucony? – pyta nauczycielka. – Chodzi mi o grupę rówieśniczą.

– W życiu – odpowiada Isolde. Ma już na sobie płaszcz i szalik i bez żadnego widocznego powodu bezradnie wzrusza ramionami, żeby pokazać, że rozmowa dobiegła końca. – Do zobaczenia za tydzień.

Nauczycielka gry na saksofonie przez krótką chwilę odczuwa ukłucie czegoś w rodzaju

smutku i bardzo chce poprosić Isolde, żeby została. Te cotygodniowe półgodzinne migawki z życia jej podopiecznej są dla niej tylko oświetlonymi kwadratami kuchennych okien na ciemnej ulicy, na moment ukazujących wewnątrz żółtawej gardzieli domu, ale niczym więcej.

Po lekcji Isolde zmieniała się we wcieloną uprzejmość, kiedy stała przy drzwiach z futerałem w ręce. Bezcenna, przyspieszona intymność tych zajęć gdzieś się zagubiła i w tej chwili nauczycielka potrafi tylko się uśmiechnąć, pomachać uczennicy i powiedzieć:

– Do zobaczenia w poniedziałek. Trzymaj się.

Czwartek

Patsy przyniosła francuskie rogaliki z szynką i miękki żółty ser, uginający się pod tępych nożem do masła. Rozmawiały już prawie godzinę, a nauczycielka przyglądała się Patsy dziwnym, jakby eksplodującym rozpaczą spojrzeniem, pełnym napięcia i zbolałym niczym wzrok sarny, która wpadła w sidła. Wygląda tak, jakby miała za chwilę zalać się łzami. Patsy chyba tego nie widzi.

– Patsy – odzywa się w końcu nauczycielka gry na saksofonie. – Wiesz co? Ilekroć jestem sam na sam z kimś, kogo dobrze znam, kiedy jestem rozluźniona, rozśmieszam kogoś, całuję się z kimś albo sprawiam, że ktoś czuje się naprawdę dobrze... Ilekroć wydaje mi się, że naprawdę mam szczęście jako kochanka i że dobrze to robię... to zawsze w takich chwilach chciałabym, żebyś na mnie patrzyła.

– To jest dziwne – odpowiada Patsy, rzucając nauczycielce pytające spojrzenie spod na wpół zmarszczonych brwi. Wycofuje się już w głąb siebie, opada na oparcie krzesła i podnosi rękę, żeby odgarnąć niesforny kosmyk z twarzy, na której szybko pojawia się nieprzenikniony wyraz, bo właśnie postanowiła, że niewłaściwie zinterpretuje to, co powie nauczycielka. Staje się kamienna i wyniosła, w jednej chwili.

– Nie chodzi mi o to, że chciałabym, żebyś tam była – mówi nauczycielka. – Chcę raczej powiedzieć, że wszystko, co robię z kimś innym, staje się dla mnie czymś w rodzaju dowodu. Jak gdybym ci coś niedostrzegalnie udowadniała. I mówiła: „Tego we mnie nie widziałas. To mogłaś mieć. A tamto ci umknęło”.

– Chcesz, żebym była zazdrosna – mówi Patsy.

– Nie – odpowiada nauczycielka. – Nie chodzi mi o to, żebyś była zazdrosna. Tylko żebyś widziała mnie w najlepszej formie. A czasami żeby coś udowodnić samej sobie, zachowuję się tak, jak gdybyś naprawdę mnie obserwowała. Zdarza się, że w najbardziej intymnych sytuacjach mówię coś, co nie znaczy nic nie tylko dla mnie, ale i dla tej osoby, z którą akurat jestem. Tylko ty mogłabyś mnie zrozumieć. Gdybyś na mnie patrzyła.

– Kochanie – mówi cicho Patsy.

Zapada cisza.

– Oczywiście przećwiczę to wszystko przed lustrem – w końcu odzywa się nauczycielka. – Zanim powiem to tobie. Będę stale ćwiczyć, dopóki nie nabiorę takiej pewności siebie, żeby ci to powiedzieć otwarcie.

Poniedziałek

– Opowiedz mi o Isolde – prosi bez ogródek nauczycielka gry na saksofonie, gdy Julia przyjeżdża w poniedziałek po południu na lekcję.

Jej uczennica unosi brwi, wyslizgując się z kurtki i wieszając ją na oparciu fotela. Od Julii wciąż bije chłodne, zimowe powietrze, które wniosła ze sobą do pokoju, a nauczycielka

chwyta ten krótki powiew, wdychając go niczym nieznanym wcześniej zapach.

– A pani niech opowie mi o Patsy – mówi Julia.

– O kim? – pyta głupio nauczycielka, zwieszając ręce wzdłuż bioder i z irytacją pociąga rękaw swetra. – To znaczy wiem, kim jest Patsy. Chodziło mi o to, dlaczego chcesz, żeby coś ci o niej opowiedzieć.

Julia wzrusza ramionami.

– W mojej klasie wisi taka tabliczka z napisem: „Kto tu zadaje pytania?”.

Nauczycielka mruży powieki.

– A skąd ty wiesz, kim jest Patsy?

– Wszystkie pani listy są zaadresowane na nią – mówi Julia, wskazując palcem koperty. – To pani kochanka?

Nauczycielka oblewa się rumieńcem.

– To jest jej pracownia – odpowiada z godnością i unosi głowę. – Zostawiła mi ją.

– Znaczy w testamencie?

– Nie, Patsy żyje. I w sensie prawnym pracownia należy do niej. Dlatego listy adresowane są na nią.

– Czyli że Patsy nie jest pani kochanką.

Nauczycielka postukuje palcami w blat biurka.

– Opowiedz mi o Isolde.

Julia przesuwając czubkiem języka po swojej dolnej wardze, a potem mówi:

– Poznałyśmy się w szkolnym magazynku z kostiumami. Nikogo tam nigdy nie ma, ale my i tak ryglujemy drzwi. Wijemy sobie gniazdko z habitów zakonnych, hitlerowskich mundurów i krynolin, a kiedy rozbrzmiewa dzwonek, najpierw wychodzi jedna, a po dłuższej chwili druga, więc nikt niczego nie widzi.

– I?

– I co?

– To za mało – mówi nauczycielka. – Wiedzieć, że siedzicie w tym schowku, to dla mnie za mało. Jak tam trafiłyście? Jak to się zaczęło?

– A po co to pani wiedzieć? – pyta Julia. – I tak zawsze będzie pani tylko outsiderką. Nawet jeśli dowie się pani wszystkiego, co powinno pozostać tajemnicą, to i tak nie zostanie pani jedną z nas. Dlaczego Patsy oddała pani tę pracownię?

Nauczycielka i Julia są spięte niczym dwa psy na osobnych łańcuchach.

– W dowód zaufania do mojej muzyki. Uczyła mnie kiedyś gry na saksofonie, ale w młodości zachorowała na reumatyzm, który zaatakował najpierw jej kciuki, a potem niczym powolny, bolesny kleks rozprzestrzenił się na dłonie. Musiała przestać uczyć. Wróciła na uniwersytet, a ja po prostu przejęłam jej pracownię. Jak gdyby ją zastąpiłam. Płacę jej teraz czynsz.

– Ona była pani nauczycielką?

– Kiedyś, tak. – Kobieta się waha, chwyta dłońmi za łokcie, ale zaraz bierze głęboki wdech i pyta szybko: – Co wy robicie w tym schowku?

– Tak głównie to rozmawiamy. Schowek i salę ćwiczeń dzieli tylko płyta gipsowa, więc musimy być cicho. Isolde mi powiedziała, że właśnie w ten sposób nakryto pana Saladina i Victorię. Siedzieli w schowku i ktoś ich usłyszał przez ścianę. Zawsze jest tam ciemno choć

oko wykol. Nie mamy odwagi, żeby zapalić światło, bo byłoby je widać w szparze pod drzwiami. Najbardziej lubię, kiedy Isolde wyciąga palce jak cyrkiel i sprawdza, czy się uśmiecham. Głaszczę moją twarz w ciemności, kładzie się na podłodze, a opuszkami bardzo delikatnie dotyka kącików moich ust. To lubię najbardziej.

– A co mówicie? Kiedy rozmawiacie. Co mówi jedna do drugiej?

– Rozmawiamy o tym, jakie to wszystko jest bezcenne – odpowiada Julia. – Jak się nam poszczęściło. Jakie mamy szczęście, że przez przypadek się sobie spodobałyśmy. Po prostu leżymy i zachwycamy się, dotykamy swojej nagości, a ja w głębi duszy czuję się o wiele, wiele starsza... Nie chodzi mi o to, że już zmęczona życiem, mądra albo coś; raczej że moje uczucie jest tak wielkie, że łączy mnie z czymś jeszcze większym, nieskończonym, z jakimś masywnym sklepieniem najpiękniejszej niewiedzy, większej niż jakakolwiek mikroskopijna pułapka czasu czy przestrzeni, w którą w innym wypadku mogłabym się dać złapać. Wydaje mi się, że istnieje tylko ta jedna chwila, jakby maleńka drzazga teraźniejszości, krótki i doskonały moment, kiedy dotykam jej nagości, smakuję język i czuję się omotana i zniewolona tak bez reszty, że wydaje mi się, że ta chwila mi abosolutnie wystarczy i już do końca życia będę się mogła karmić tylko nią.

Nauczycielka drżącą ręką szuka krawędzi biurka i słabo się o nie opiera.

– Choć to poczucie jest jednocześnie przeniknięte smutkiem – mówi Julia – takim słodkogorzkiem, który dławi mnie jak klucha w gardle i którego nie jestem w stanie przełknąć. Wydaje mi się, że coś tracę, i to coś wycieka ze mnie niczym woda w piasek. Potem przychodzi mi do głowy taka dziwaczna myśl, że ta strata, jej potężny, szarpiący, rwący głód, nie rozpoczyna się wraz z zakończeniem naszego związku, czyli kiedy Isolde rozpułynie się i zniknie, a ja zrozumieję, że już nigdy nie zdołam jej odzyskać. Bo poczucie straty pojawia się u mnie już na samym początku, z chwilą kiedy wpadamy na siebie w ciemności i dotykamy się po raz pierwszy. Myślę wtedy, że nigdy nie stracę nic prócz niewinności tego kontaktu, jego słodczy, czystości i nieśmiałej, niezdecydowanej tkliwości.

Julia robi krok w stronę nauczycielki.

– Czy pani też się tak czuła? – pyta. – Przy Patsy?

– Julio – odpowiada nauczycielka i milknie na dłuższą chwilę. Przesuwa ręką po twarzy na wysokości oczu. – Patsy... – zaczyna, ale potem ogarniają ją wątpliwości i popada w zadumę. – Pozwól, że coś ci powiem – odzywa się jednak w końcu. – Ta chwila, o której mówisz, ten jeden idealny pocałunek: to jest wszystko, co jest. Poczynając od tego punktu, później wszystko będzie już tylko kliszą, kochanie. Będiesz próbowała odtworzyć ten pocałunek ze wszystkimi swoimi kochankami, będziesz starała się go ciągle odtwarzać; będzie tkwił przed twoimi oczami jak grająca w kółko kaseta wideo na ekranie telewizora, a ty się nachylisz, żeby dotknąć czołem jego chłodnego, szklanego wybrzuszenia. Poczujesz pod palcami i na policzku, jaki jest naelektryzowany, aż włoski na całym ciele staną ci dęba, i zostaniesz oświetlona, rozjaśniona niebiesko-czarnym blaskiem, wybuchami światła, lecz ostatecznie nie będziesz mogła go naprawdę dotknąć, tego idealnego wspomnienia, samotnej chwili niewiedzy, kiedy zwyczajnie i niewinnie nie wiedziałaś, kim jesteś i kim się możesz stać. Nigdy już nie zaznasz tego uczucia, Julio. Nigdy więcej.

– Czy tak właśnie jest z panią? – pyta Julia. – I z Patsy?

Nauczycielka wypuszcza powietrze z płuc i nie odpowiada.

– Co się z nią teraz dzieje? – pyta Julia.
– Och, ciągle mieszka w tym mieście. – Nauczycielka macha ręką w nieokreślonym geście, wskazując jak gdyby północ, północny zachód. – Jesteśmy już po prostu przyjaciółkami, Julio. Patsy wyszła za mąż. Jesteśmy tylko starymi przyjaciółkami.

– Za mąż?

– Tak, ma męża.

– Ale przecież byliście kochankami.

– Nie.

– Nie kochałyście się ani razu?

– Nie.

– Pani kłamie.

– A w ogóle co to za różnica, jak było? – rzuca nauczycielka. – Mogłam ci o tym opowiedzieć tylko tak, jak to zapamiętałam, a nie, jak było. Pomarszczona serwetka mojej pamięci jest pognieciona, nadgryziona przez mole i prześwieca przez nią słońce. A ty skłamałaś, mówiąc o tym, co najbardziej lubisz. Ukradłaś komuś tę historię i wykorzystałaś ją jako własną.

Julia, nachmurzona, milczy. Po chwili odrzuca głowę w tył i odpowiada:

– Pani i tak zapewne słyszała już to wszystko od kogoś innego.

Piątek

Stanley czeka na Isolde po lekcjach. Słyszy dobiegające z gmachu strzępy melodii, granej przez dwa saksofony na raz: pierwszy chyba prowadzi, a drugi brzmi bardziej matowo, nieśmiało i zwyczajnie. Stanley się denerwuje. Żałuje, że nie przygotował sobie kwestii dialogowej, bo wtedy wiedziałby, co powiedzieć.

W końcu saksofon milknie i Stanleyowi wydaje się, że przez otwarte okno słyszy słaby pomruk głosu nauczycielki i śmiech Isolde. Chłopak szura nogami.

Po kilku minutach dziewczyna wychodzi i zbiega po schodach na dziedziniec z futerałem od saksofonu w rękę. Wygląda dziwnie: uśmiecha się zbyt ochoczo i wesoło, chociaż ma smutne oczy. Stanley tego nie zauważa. Szarpie się za kołnierzyk i za włosy, a kiedy na nią spogląda, nie patrzy jej dłużej w oczy.

– Hej – mówi Isolde. – Słyszałeś mnie tym razem

– No. Niezła jesteś.

– Chcesz przyjść na mój recital? Oczywiście nie musisz. Może być nudno.

– Jasne – odpowiada z zakłopotaniem Stanley.

Rusza obok Isolde noga w nogę, a kiedy wychodzą na dziedziniec, ogląda się przez ramię i patrzy w okno nauczycielki gry na saksofonie. Czy stoi za zasłoną i patrzy na nich? Czy w korytarzu czeka cierpliwie następna studentka, aż nauczycielka przestanie ich obserwować, przyglądnie sobie włosy, otworzy drzwi i zaprosi ją do środka? Stąd nie widać, a okno wkrótce znika za gałęziami miłorzębu.

– Przyjdą moi rodzice – mówi Isolde. – Normalnie aż się palą, żeby cię poznać. Zwłaszcza tata. Mojej siostrze zdarzyło się w tym roku coś dziwnego, wiesz, bo przespała się ze swoim nauczycielem, i tacie naprawdę zależy, żeby wszystko się u nas unormowało i tak dalej. Po prostu skacze ze szczęścia, że nie masz trzydziestu lat, nie łysiejesz i nie jesteś moim nauczycielem.

Stanley gwałtownie wypuszcza z płuc powietrze i niemal się od niej odsuwa. Oto są: wszystkie najważniejsze informacje, których potrzebował, wyszły właśnie z jej ust w jednym małym, beztróskim wyznaniu. Za późno.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? – pyta.

– Och – mówi lekceważąco Isolde. – Nie wiem. Po prostu mam chyba dosyć. Wszyscy gadają ostatnio wyłącznie o Victorii, o tym gwałcie i tak dalej. I o tym, jak było nam ciężko. Po prostu nie chciałam z tobą rozmawiać na ten temat.

Bierze go za rękę i przyciąga bliżej, nie zatrzymując się i okazując mu więcej czułości niż kiedykolwiek przedtem.

– Właściwie nic takiego się nie stało – mówi.

– Jak to, przespała się ze swoim nauczycielem? – pyta Stanley.

– No, teraz wychodzi na to, że wcale z nim jednak nie spała – oświadcza Isolde. – Nie wiem. Kolejne wersje tej historii się zmieniają, a Victoria robi się ostrożna i podejrzliwa.

– Ty musisz wiedzieć, jak było – mówi Stanley. – Victoria jest twoją siostrą.

Isolde rzuca mu dziwne spojrzenie.

– Nie wiem – odpowiada. – Ja nic nie wiem.

Przez chwilę idą w milczeniu.

– Rozmawiasz o mnie z tą swoją nauczycielką? – pyta Stanley wysokim, pełnym napięcia głosem.

– Chyba tak. To znaczy wspominałam jej o tobie. Nauczyciele muzyki są trochę jak terapeuci. Spotykasz się z nimi raz w tygodniu i mówisz to, co chcesz wyznać, a potem znowu znikasz. To trochę jak chodzenie na terapię. – Głos Isolde też jest piskliwy, jakby nie wierzyła w swoje kwestie.

– A co jej o mnie mówisz? – pyta Stanley.

– Och, wiesz, no... – Isolde wygląda na zmieszaną.

Stanley podejmuje szybką decyzję, żeby powiedzieć jej pół prawdy. Zatrzymuje się i odwraca do dziewczyny.

– Złożyła na mnie skargę – mówi. – Ta twoja nauczycielka. Pewnie obserwowała nas przez okno. Naskarżyła, że cię napastowałam... Chyba dlatego, że jesteś taka młoda, a ja już nie. Nie jestem taki młody. Myślę, że to dlatego. – Oddycha ciężko i przygląda się Isolde.

Nieznacznie otwiera usta, ale się nie odzywa. Z trudem odrywa oczy od twarzy Stanleya i przygląda się reklamie wiszącej na ścianie za jego plecami.

– No więc, co o mnie mówisz? – pyta Stanley, już zniecierpliwiony. – W czasie lekcji.

– Nic – odpowiada szybko Isolde.

– Powiedziałaś, że wspominałaś o mnie.

– Tylko w kilku słowach.

– No to dlaczego miałyby się skarżyć? Co ma przeciwko mnie?

Isolde rzuca mu wyrachowane spojrzenie.

– Jej skarga przysporzyła ci problemów?

– Po prostu chcę wiedzieć, co jej o mnie mówisz – rzuca głośno Stanley. Jest rozgoryczony i zapomina, że ostatecznie przecież mówi tylko pół prawdy. Zaczyna mieć do pretensje do Isolde. Dziewczyna wpatruje się w niego z otwartymi ustami i to go irytuje, podobnie jak pulchna elipsa jej wydętej wargi, przez co Isolde wydaje mu się strasznie dziecinna.

– Chodzi o tę historię z moją siostrą. Victoria pewnie wie, jak silnie to na mnie wpłynęło. Wie, jaka jestem wrażliwa, jak łatwo ulegam wpływom, jak bardzo jest możliwe, że się zachowam głupio, zrobię coś kretyńskiego albo zacznę się puszczać, choćby po to, by zwrócić na siebie uwagę. Takie rzeczy się zdarzają, kiedy dochodzi do jakiejś traumy w rodzinie. Moja pani od gry na saksofonie chyba chce mnie ochronić.

– Przede mną?

– No. Tak. To znaczy chyba.

– Wiedziałaś o tym. – Teraz Stanley jest naprawdę zły.

– Nie. Nie wiedziałam. Zrobiła to za moimi plecami jak zaborcza matka, która kieruje życiem swojego dziecka.

– Gówno prawda. Rozmawiasz o mnie ze swoją nauczycielką, gadacie na mój temat. Gówno prawda.

– O co ci chodzi?

– Na pewno przedstawiłaś mnie jako gwałciciela.

– Nie!

– Idzie o moją opinię. Na szali leży moja opinia w szkole. Cokolwiek powiedziałaś swojej nauczycielce muzyki, to przez ciebie tak się zachowała. I przez ciebie złożyła na mnie skargę.

– Wcale nie!

– Na pewno tak! – krzyczy Stanley. – Przez ciebie. Musiałaś jej coś powiedzieć.

Obok przejeżdżają samochody. Pasażerowie przyciskają twarze do szyb, żeby popatrzeć, jak Stanley i Isolde się kłóca. Chłopak szeroko rozrzuca ramiona, a Isolde trzyma ręce skrzyżowane na brzuchu. W końcu Stanley otwartą dłoń robi taki gest, jak gdyby coś przecinał nożyczkami, co ma znaczyć: „dosyć”. I to on jako pierwszy odwraca się i odchodzi.

Poniedziałek

– Jak by się pani zachowała – pyta Julia – gdybym powiedziała, że robiła mi pani różne rzeczy, kiedy byliśmy tu ze sobą sam na sam? Nieprzyzwoite rzeczy. Gdybym to komuś wyznała. Gdybym się załamała.

Nad dachem zbiera się południowy wiatr, który nadaje niebu czarno-fioletową barwę siniaka i wydaje się je ściągać w dół. Nauczycielka gry na saksofonie przechodzi przez pokój i włącza lampę, potrącając zasłonę, zwieszającą się na tle coraz bardziej zniżającego się nieba.

– Nie wiem – odpowiada, nie patrząc na Julię.

– Ja bym skłamała – mówi Julia, która mruży oczy, goniąc za tą myślą. – Wymyśliłabym jakieś srebrzyste kłamstwa, usiane zadrami doskonale obmyślonych szczegółów, przypominających wieczne i ostre mozaikowe drzazgi. Zadrami maciupeńkich, bezwinnych szczegółów, które upewniłyby wszystkich, że to, co mówię, jest prawdą. Miałabym alibi. Wciągnęłabym w to jakichś innych ludzi, nauczyłabym ich swojej opowieści, a odbyłabym z nimi tyle prób i ćwiczyłabym tak długo, że wszyscy zaczęliby wierzyć, że mówią samą prawdę.

– Wygląda na to, że miałabyś sporo roboty – spokojnie odpowiada nauczycielka, której ręce i oczy pozostają nieruchome. Obserwuje Julię bardzo uważnie. – Co by ci z tego przyszło?

– Zmieniłoby się to, co wszyscy opowiadają o mnie w szkole.

– A co opowiadają?...

– Że interesują mnie dziewczyny – odpowiada głośno Julia. Ma rozpięty kołnierzyk szkolnej bluzki, a jej płaski dekolt w kształcie litery V pokrywa się gniewnym, nakrapianym rumieńcem.

– Jak to?

– Bo gdyby za tym wszystkim kryła się jakaś dramatyczna historia – mówi Julia – to byłby to od razu jakiś powód albo przyczyna. Jak w przypadku Victorii.

– Siostry Isolde.

– Taak – odpowiada z ogniem Julia. – Jej siostry. Cokolwiek teraz zrobi, nawet jeśli się wykolei, nawet jeżeli skończy, śpiąc z miliardem facetów, zacznie pić jak smok i obleje wszystkie egzaminy, to ludzie i tak nie pomyślą, że przegrała życie albo że jest dziwką. Będą uważać, że to dlatego, że została skrzywdzona, bo za wszystkim kryje się jakaś przyczyna, czyli w jej wypadku to, że została zgwałcona. Cokolwiek Victoria zrobi od tej pory, będzie jedynie potwierdzeniem tej tezy. Więc Victoria jest właściwie wolna. Może robić, co chce, i nie będzie za nic odpowiedzialna. Ma powód, żeby zachowywać się tak, a nie inaczej.

– To bardzo ciekawy pogląd – mówi nauczycielka.

– Też chcę mieć taki powód – mówi Julia. – Gdyby się okazało, że zostałam skrzywdzona, to także nie byłaby już moja wina. Nie byłoby to nic obrzydliwego, tylko coś tragicznego. To byłby skutek... Efekt czegoś, co pozostaje poza moją kontrolą. Po prostu byłabym ofiarą.

– Wy wszystkie, moje uczennice, chcecie być skrzywdzone – mówi nagle nauczycielka. – Co do jednej. To jest wasz wspólny motyw oraz jego wariacje: za wszelką cenę pragniecie być ofiarami. Waszym zdaniem to jedyny możliwy sposób, żeby zdobyć przewagę nad koleżankami, i co do tego macie rację. Gdybym naprawdę cię molestowała, Julio, oddałabym ci niewiarygodną przysługę. Bo dałabym ci prawo do najbardziej bezwstydnego uzalania się nad sobą, do autoadoracji i autopogardy, i żadna z twoich koleżanek nie mogłaby nawet mieć nadziei na to, by móc się z tobą porównać.

– Tak, dokładnie o to mi chodzi – mówi Julia.

Przez chwilę obie patrzą na siebie w milczeniu.

– A jakie szczegóły zdecydowałabyś się ujawnić? – pyta nauczycielka. – Spośród tych ostrych jak mozaikowe drzazgi, które otoczyłyby twoje alibi niczym wąskie, skośne oczka ażurowej kamizelki.

– Na początku nie mówiłabym o żadnym kontakcie fizycznym. To za oczywiste. Takie kłamstwo byłoby zbyt jawne i zostałabym zdemaskowana. Zaczęłabym od czegoś psychologicznego. Od czegoś podstępnego i konwencjonalnego. Od jakiejś powolnej erozji, która w końcu stałaby się o wiele gorsza, subtelniejsza i bardziej krzywdząca niż pospieszne macanki za kulisami albo prowokujące klepnięcie.

– Ale to i tak nieprawda, Julio – mówi nauczycielka. – W gruncie rzeczy. I nie da ci satysfakcji. Bo w istocie to wszystko będzie kłamstwo.

– A skąd pani wie? – pyta Julia. – Skąd pani wie, jaki pani miała na mnie wpływ? A może pani mnie skrzywdziła? Skąd pani wie, że nie noszę w sobie jakiejś krytycznej, rzuconej niedbale uwagi, o której pani już zapomniała, ale do której ja wracam za każdym razem, kiedy się potykam albo ponoszę porażkę? Jakiegoś drobiazgu, który wciska się we mnie coraz głębiej i głębiej, niczym okruch szkła, wędrujący z mojego palca do serca? Drobiazgu, który zmieni mnie na zawsze? Skąd pani może to wiedzieć?

Nauczycielka chociaż raz nie ma nic do powiedzenia. Wygląda przez okno na ptaki.

Środa

Sekcja saksofonowa szkolnego big-bandu zrobiła się niekompletna: najpierw zabrakło Victorii, która postanowiła do niej nie wracać, a potem Bridget, która już wrócić nie może. Ubytki zostały wypełnione mniej uzdolnionymi uczennicami, których krzesła zsunięto nieco bliżej, aby zacieśnić półkole.

– Bridget naprawdę by się to podobało – powtarza od czasu do czasu pierwszy puzon, który wie, że umarli zawsze są niezwykle sentymentalni, pełni radości i uznania dla wszystkiego co proste. Niektóre dziewczęta wciąż płaczą. Nie nad Bridget, którą trudno było zapamiętać, ale nad sobą, wyobrażając sobie, że to one nie żyją, a są niezastąpione.

Fracja chrześcijańska w szkole trzymała buzię na kłódkę i nie komentowała zwolnienia pana Saladina ani tego, co nastąpiło potem; karmiła się śmiercią Bridget. Potężny i bezsensowny pociąg nauczyciela do dziewczyny, którą miał obowiązek się opiekować, to ludzka tajemnica – bardziej rynkowy jest jednak boski sekret nudnej dziewczyny, którą wilgotną nocą pochłonęła ciemność nieistnienia. Taka tajemnica jak najbardziej leży w sferze ich zainteresowań, frakcja chrześcijańska tym więc właśnie żyje. W szkole pojawiają się ogłoszenia o grupach modlitewnych i jeszcze nigdy nie było tylu chętnych na obozy młodzieżowe. Na dziedzińcu w czasie lunchu pojawia się chrześcijańskie stoisko z naleśnikami, obsługiwane przez kilka gorliwych uczennic, obtaczających naleśniki w cytrynie i cukrze i jasno świecących jakimś wewnętrznym światłem. Nie rozdają broszurek ani mądrych słów i nie wzywają nikogo, żeby zaczął prowadzić lepsze życie. Rozdają naleśniki. To wystarczy. Nie mija dużo czasu, a wiele dziewcząt wymienia bransoletki „Zerznij mnie” na nylonowe opaski, mające im przypominać, co mógłby im zrobić dorosły mężczyzna, gdyby był jedną z nich, gdyby musiał dokonywać tych samych wyborów co one, i gdyby mieszały mu w głowie te same pragnienia co im. Bridget też należała kiedyś do takiej grupy i nosiła opaskę, będącą symbolem ślubów czystości – dziewczęta zgadzają się, że kiedy niemo błagają o zbawienie i wyciągają ramiona, aby wziąć się za ręce, stanowi to dla nich pociechę.

W porze lunchu grupa młodzieżowa przechodzi z klasy do szkolnej jadalni i walczy tam o powiększenie swoich szeregów, a ponieważ psycholog dawno wrócił już do swojego boksu z mlecznego szkła pomiędzy bursą i gabinetem pielęgniarki, przywódczyni powstają, by zająć jego miejsce. Dochodzą do wniosku, że najprawdopodobniej zrobiłby to samo, będąc na ich miejscu, a kiedy oglądają swoje bransoletki, przebiega je dreszcz satysfakcji, albowiem mają jedyną prawidłową odpowiedź na wypisane na opasce retoryczne pytanie.

W pewnym sensie Bridget przyćmiewa Victorię, której wątpliwa krzywda – zbyt widoczny ślad odwzajemnionego przez nią uczucia – nie może ostatecznie równać się z niewątpliwą ofiarą kraksy na poboczu. Jednak Bridget po śmierci nie zaczęła cieszyć się złą sławą, ani jako ktoś wyjątkowy, ani jako uniwersalny symbol; nie unoszono się nad nią, tak jak nad Victorią, będącą zarówno symbolem, jak i źródłem własnej sławy. Nie, Bridget jest narzędziem, subtelniejszym, bardziej elastycznym i o wiele bardziej wszechstronnym. W życiu nie mogłaby liczyć na nic więcej.

„Do mojej szkoły chodziła jedna dziewczyna, która zginęła tragicznie – będą powtarzać wiele lat później uczennice. – Potracił ją samochód, kiedy wracała z pracy do domu. Boże,

jakie to tragiczne. Naprawdę bardzo nas to poruszyło, wiecie? Wszystkie. Ja prawie jej nie znałam, ale mimo to. To było bardzo smutne”.

Wtorek

– No to już koniec – powiedziała Patsy, kiedy nauczycielka gry na saksofonie otrzymała dyplom. Popatrzyły na niego: był ozdobiony niebieskim znakiem wodnym, posrebrzany, wypisany tuszem i lśnił pod szybą w ramkach. – Koniec – powtórzyła Patsy – jesteś przeklęta. Świat przez całe życie domniemywał, że jesteś zamkniętą w sobie, pracowitą starą panną, która leży nocami w łóżku jak otumaniona, cierpiąc na szczękościsk, nie zna jednak miłości ani rozkoszy, które rozświetliłyby jej pokój. To jedyna prawda o nauczycielkach muzyki i każdy o tym wie: są samotne, wiecznie samotne i siwieją, bezsilne w zimnych pracowniach, czekając w ciemności na następną studentkę jak żebrak na posiłek. Moje gratulacje!

Stuknęły się lekko kieliszkami i wypily.

– Przecież ty nie jesteś starą panną – powiedziała nauczycielka, wciąż przyglądając się swojemu błyszczącemu dyplomowi i czytając to, zostało na nim napisane.

– Ale wszyscy uważają, że jestem. Albo że jestem lesbijką. Chociaż tak myślą o mnie tylko ci wielkoduszni.

– To dlatego prosiła o ten pierścionek – powiedział Brian, wskazując serdeczny palec na lewej ręce Patsy. – Powiedziała: „Niech to będzie największy, najgrubszy, najcudowniejszy brylant, jaki uda ci się znaleźć. To nie jest po prostu symbol, a cała kampania reklamowa, do cholery”.

– A ty mi kupiłeś coś takiego – powiedziała Patsy, machając ręką i krzywiąc się z obrzydzeniem, jak gdyby jej pierścionek nie był nic wart. Roześmiali się.

– W każdym razie dobrze się spisałaś, dziewczyno – powiedział Brian, wyciągając ręce i nakrywając nimi dłonie nauczycielki. – Dla ciebie życie dopiero się zaczyna.

Piątek

Kiedy Isolde otwiera futerał, nauczycielka gry na saksofonie opowiada z entuzjazmem o zbliżającym się recitalu, czyli gdzie się odbędzie, jacy poza nią wystąpią wykonawcy i że każdy będzie miał okazję wysłuchać każdego. Isolde ją ignoruje. Zamierza wspomnieć nauczycielce o jej skardze na Stanleya. Na samą myśl, że ma o tym powiedzieć, serce Isolde bije jak oszalałe, a wypowiedź, którą układa sobie w myślach, paraliżuje ją i kompletnie obezwładnia. Wyczuwa, że temat jest niebezpieczny, że w jakimś sensie została z tyłu już na starcie: że niechcący zrobiła coś złego i przegra.

Słysząc pukanie do drzwi.

– Zaczekaj chwilę – mówi pogodnie nauczycielka. – To chyba Julia.

– Co? – pyta Isolde.

– Pomyślałam, że mogłybyście spróbować zagrać razem ten duet Raschèra. Obie uczyłyście się po jednej części i przyszło mi do głowy, że fajnie byłoby je połączyć jak należy.

Isolde oblewa się rumieńcem. Przez chwilę patrzy w milczeniu na nauczycielkę, a potem mówi:

– Nie wiedziałam, że będę to grała w duecie.

– No – mówi nauczycielka – nie byłam pewna, czy Julia zmieści się w moje piątkowe okienko między jednymi i drugimi zajęciami. Ten pomysł przyszedł mi do głowy w ostatniej chwili. Naprawdę warto grać przeciwko komuś, wiesz. Z grania z partnerem czerpie się

zupełnie inną przyjemność. – Nie podchodzi do drzwi, tylko krąży wokół Isolde, trzymając ręce na biodrach i przygląda się jej.

– Poćwiczyłabym – mówi Isolde. – Gdybym o tym wiedziała. – Nagle zasycha jej w ustach.

– Pamiętasz Julię, prawda? – pyta nauczycielka.

– Tak.

– Cudownie. – Nauczycielka szybko podchodzi do drzwi, żeby je otworzyć. – Witaj – zwraca się do starszej dziewczyny.

– Cześć, kochanie – mówi Julia, wpadając do środka, i Isolde w jednej chwili wie, że starsza koleżanka porzuciła swoją starą skórę i stała się kimś całkowicie innym: że gra, więc ona, Isolde, też musi teraz grać.

– Skarbie – odpowiada, po czym całują się w policzki jak stare, trzydziestokilkuletnie przyjaciółki, z których jedna była kiedyś nauczycielką drugiej, dawno temu. Nauczycielka gry na saksofonie wtapia się w cień pod ścianą.

– Wiem, że to próba, Patsy, i że mamy robotę – mówi Julia – ale ja naprawdę muszę z tobą pogadać. Po tym, co się między nami stało. Przepraszam, że zwałam to na ciebie tak niespodziewanie. Układałam sobie w myślach, co chcę ci powiedzieć, powtarzałam to w kółko, tam, na korytarzu, i wydaje mi się, że po prostu muszę to z siebie wyrzucić, zanim zacznę się bać o tym mówić. To wszystko. Czy to jest dziwne?

– Nie – odpowiada cicho Isolde, ale robi kilka kroków do tyłu, oddalając się od tej drugiej kobiety. W ręce trzyma saksofon. Swojego instrumentu Julia nie wyjęła jeszcze z futerału, siły są więc nierówne: Isolde trzyma jasne ramię instrumentu przyciśnięte do piersi, a Julia jest bezbronna i zwraca blade, otwarte dłonie ku niebu.

– Po prostu wydaje mi się to nieprawdopodobnie niesprawiedliwe – mówi Julia – że zostałam tak nieodwołalnie, nieuchronnie wytatuowana i naznaczona atramentem twojego imienia, wypisanego na moim sercu, pomimo że ten atrament jest zmywalny, Patsy. Zawsze taki był, i zawsze o tym wiedziałas.

– Daj spokój, kochanie – odpowiada Isolde. – Mówisz raptem o jednym pocałunku o smaku czerwonego wina, wymienionym w mrocznej ciemności pewnego późnego wieczoru i niesionym odurzającym dreszczem koncertu, po którym serce zaczęło ci bić jak oszalałe.

– Tak – odpowiada porywczo Julia.

– O jednym, jedynym pocałunku.

– Tak – powtarza Julia.

– Daj spokój – ponownie protestuje Isolde, ale już słabiej. – Na pewno przesadzamy. Zachowujemy się jak nastolatki.

Zapada cisza; dziewczęta mierzą się wzrokiem.

– Wydaje mi się, że to jest gorsze niż jakiegokolwiek inne upokorzenie – mówi Julia. – Zostać odtrąconym nie ze względu na okoliczności, na jakieś powody doraźne albo wynikające z wcześniejszego prawa własności, tylko z tej jednej i wszechogarniającej przyczyny, że ja jestem i zawsze będę niechciana. Czuję się jak oświetlona punktówka, przypięta do jasnego pustkowiata gołej sceny, gdzie nie ma nic, za czym mogłabym się schować, ani na co mogłabym rzucić winę. – Śmieje się cicho, twardo i okrutnie, nieswoim głosem. Po chwili dodaje: – Nie możesz mi po prostu powiedzieć, dlaczego? Dlaczego wybrałaś Briana, a nie mnie?

Julia podchodzi. Tamta się nie cofa. Stoją teraz bliżej siebie, a Isolde przez dłuższą chwilę

patrzy jej w oczy, zanim się odzywa.

– Zawsze sobie wyobrażałam – mówi – że kiedy kobieta decyduje się być z drugą kobietą, to dokonuje wyboru instynktownego, określonego głównie negatywnie przez pewne wzorce, których pragnie uniknąć. Wcześniej myślałam, że kobieta musi najpierw zdecydować, że nie chce mężczyzn, a dopiero potem może dojść do wniosku, że pragnie żyć z kobietą. To stanowisko publiczne, coś w rodzaju aktywizmu. Skarga, oznaczająca niezadowolenie. Tego rodzaju postawa charakteryzuje jedynie niektóre kobiety: impulsywne, walczące, radykalne, gotowe bojkotować takie czy inne firmy z powodów moralnych; kobiety, które urządzają demonstracje przed wejściem do fabryki. Dostrzegam w tobie cień tego rodzaju postawy: niezłomność twoich sądów, sceptycyzm i zaczepność, kryjące się w każdej twojej wypowiedzi. Ale masz też jeszcze jedną cechę, która, o dziwo, przychodzi mi teraz do głowy, a mianowicie dziecinną, bezradną wrażliwość, potrzebę. To właśnie ona wskazała mi nowy sposób rozumienia świata: istnieje bowiem taka ewentualność, że kiedy kobieta wybiera drugą kobietę, to może być jej swobodna decyzja w sobie i dla siebie, nie żaden kaleki wybór namiastki albo niby-wyбір resztek, pozostałych już po ocenowaniu i usunięciu mężczyzn z kobiecego świata. Tylko że taka pozytywna definicja, głosząca, że kobieta może kochać kobietę dla niej samej, trochę mnie denerwuje.

– Tak? A to dlaczego? – pyta Julia, przybliżając się do niej jeszcze o krok. Instynktownie wyciąga szczupłą, czerwoną dłoń i chwyta Isolde za czubki palców. Isolde się nie wrywa. Patrzy w dół, przez chwilę przygląda się dłoniom ich obu, a wtedy kościsty, poplamiony atramentem kciuk Julii przesuwa się w lekkim, pieszczotliwym geście po palcach Isolde. Julia ma zimne ręce.

– Chcesz, żebym ci wyjaśniła, na czym polega to rozkwitające „coś” z Brianem – odpowiada Isolde, podnosząc głowę – i co może, chociaż nie musi, wydać jakieś owoce. Nie wydaje mi się jednak, żebym świadomie dokonywała wyboru pomiędzy tobą, przedstawicielką kobiet, a Brianem, reprezentantem mężczyzn. Postawiłam się w sytuacji, w której nie musiałam wybierać. Pozwoliłam sobie być dla niego pokusą; zachowywałam się tak biernie, jak mogłam, i nie robiłam nic, kiedy mnie podrywał. Zdenerwowała mnie ta twoja bagienka, otoczona mgłą, nienaniesiona na żadną mapę głębia, kochanie. Chciałam czegoś bezpiecznego, pewnego. Uczucia standardowego, nie nerwowego, niepewnego i zakazanego, w którym dominuje strach, czy nawet poczucie winy. Nie chcę, by ktoś mnie uwiódł. Tego po prostu nie chcę. Chcę, żeby mi było dobrze.

– Jak to możliwe, że ty pragniesz... czegoś takiego? – pyta Julia. – Jak to jest możliwe?

– Okazuje się, że jest – mówi Isolde. – W ostatecznym rozrachunku. Po prostu.

Julia robi kolejny krok naprzód, całuje ją w usta i nagle wracają do dymnego zaduchu baru, gdzie właśnie rozbrzmiewa pożegnalny kawałek, pożegnalna piosenka. Stoją w kącie, bo przed chwilą wstały, żeby wyjść, okryć się szalami i płaszczami i zwrócić uśmiechnięte twarze w stronę orkiestry w ostatnim geście uznania, jakby na do widzenia. Patsy odwraca się do nauczycielki, żeby coś powiedzieć, ale cokolwiek to jest, zamiera jej na ustach. Trzepocząc powiekami, spogląda w dół na usta nauczycielki, która po chwili nachyliła się ku niej i całuje ją, palcami w rękawiczce dotykając policzka drugiej kobiety.

Patsy nie wyciąga rąk i nie chwyta jej płaszcza. Nie przesuwa dłoni i nie podciąga rąbka bluzy nauczycielki, by wsunąć ręce pod spód i dotknąć jej nagich pleców. Nie podchodzi

bliżej, żeby dotknęły się piersiami albo biodrami, by mocno do siebie przylgnęły. Nie podnosi ręki, żeby nakryć nią twarz partnerki: po prostu stoi i przyjmuje pocałunek z zamkniętymi oczami. Kiedy nauczycielka się cofa, Patsy otwiera oczy, uśmiecha się smutno, kiwa głową i odchodzi.

Rozdział CZTERNASTY

Październik

– Masz wstępne przemyślenia? – pyta dziekan wydziału aktorskiego w foyer, kiedy postukują odcinkami biletów o swoje nadgarstki i przyglądają się tłumowi, kłębiącemu się wokół stołu z napojami. – A może i obawy?

– Wyłącznie obawy – odpowiada dziekan wydziału ruchu scenicznego, nie uśmiechając się.

– Dostaliśmy w tym roku niezłą zbieraninę – oświadcza dziekan wydziału aktorskiego w swój gwałtowny, roztargniony sposób. – Jestem całkowicie gotów na niespodzianki.

– Jaki im dali rekwizyt? Kartę do gry – odzywa się dziekan wydziału ruchu scenicznego, odpowiadając sam sobie na pytanie i pocierając ręką kark. – To za łatwe. W teatrze improwizowanym kwestie estetyczne to połowa problemu, co najwyżej.

– Mimo wszystko dalej jestem gotowy na niespodzianki. Chodźmy.

Ciężkie drzwi do audytorium otwierają się wreszcie, a mocujące je w podłodze bolce wyciąga chudy portier, techniczny pracownik teatru od wszystkiego, czyli As Pik. Wygląda jak żywa reklama, na piersiach i plecach nosi pomalowane duże tablice i ma starannie ucharakteryzowaną twarz; schyla się właśnie, by zablokować drzwi, po czym prostuje plecy i poprawia nakrycie głowy: ciasny, czarny czepiec, opinający jego głowę niczym czepiek kąpielowy. Uśmiecha się nieśmiało. Wykładowcy podają mu bilety o różowych krawędziach i jeden za drugim wchodzi na widownię.

Sobota

– Bardzo wam wszystkim dziękuję, że przyszliście – przemawia w ciemność nauczycielka gry na saksofonie. Jej głos brzmi piskliwiej niż zwykle i nienormalnie drży, chociaż nie wygląda na zdenerwowaną, a jej zwieszające się po bokach ramiona pozostają w bezruchu. – To naprawdę cudownie, że udało się wam znaleźć czas, żeby do nas zajrzeć. – Spogląda w dół, bierze oddech i uzupełnia: – Podobnie jak wszystkie spragnione matki na tej sali, każdy zobaczy dokładnie to, co chce, i nic więcej. Na pewno wolelibyście, żebym już zeszła z mównicy, żeby na scenę mogły wejść wasze córki i żebyście mogły kolejno zaznać wielkiej pociechy, zaraz ujrzyście bowiem potwierdzenie własnych poglądów i postaw.

Ktoś kaszle w mroku, dodając pewności siebie innemu widzowi, chrząkającemu w pełnym ulgi echu po tantym pierwszym kaszlnięciu.

– Chciałabym zachęcić wszystkich rodziców do potraktowania naszego recitalu jako publicznej demonstracji uczuć (z pewnością wszyscy znacie to określenie), w tym sensie, że żaden występ nigdy nie może być niczym więcej niż tylko symbolem uczuć albo aluzją do nich. Muszę jednak zwrócić paniom uwagę, że byłoby czymś zaborczym i niewłaściwym, gdybyście na scenie widziały rzeczywiście swoje córki. Jako matkom nie wolno wam dzielić z nimi intymności i prywatności występu.

Pasek od saksofonu zaczepia się o wyłóg kołnierzyka nauczycielki, odsłaniając cienką, mleczną skórę na jej piersi.

– Gdybyście nie były matkami tych uczennic, może udałoby się wam zobaczyć je inaczej, zarówno jako osoby, jak i tylko pewien rodzaj osób. Gdybyście nie były ich matkami i patrzyły wyjątkowo uważnie, to może zobaczyłybyście rolę, postać, ale również osobę, walczącą o to,

żeby zachować ową postać, czyli taką osobę, która jako pierwsza postanowiła, że będzie właśnie tą, a nie inną postacią. Niektórzy ludzie widzą wyłącznie role, które gramy, a inni jedynie grających je aktorów. Umiejętność widzenia tych dwóch aspektów naraz jest czymś niezwykle rzadkim i bardzo niecodziennym: takie podwójne widzenie to prawdziwy dar. Jeżeli wasze córki zaczynają was napawać strachem, to dlatego, że nabieracie już tej umiejętności. Zwracam się głównie do tej z was, która kryje się za panią Winter, panią Sibley, panią Odets i innymi postaciami, czyli do aktorki, której niby nie zauważam, jak również do kobiety, grającej wszystkie kobiety... Kobiety, lecz nigdy dziewczęta, nigdy córki. Jak same panie wiecie, rola córek jest już dla was stracona.

Gestykuje lekko zgiętymi palcami, zwraca rękę ku górze. Matki kiwają głowami.

– Pozwólcie, że przedstawię wam teraz swoją pierwszą uczennicę, studentkę z college'u Świętej Małgorzaty, którą uczę grać od blisko czterech lat. Proszę o oklaski. Powitajcie na scenie Briony-Rose.

Październik

– Stanley? – Felix zatrzymuje się przy drzwiach do garderoby i zagląda do środka z teatralną troską. – Nic ci nie jest?

– Chyba rzucę ręcznik – mówi Stanley do lustra. Jest blady. – Nie mogę tego zagrać. Na widowni siedzą rodzice tej dziewczyny. Nie zagram. Spadam stąd. Już nie chcę być aktorem. Nie wygram tej sceny do końca. Wiem, że w ten sposób rozpierniczę całe przedstawienie, ale nie jestem w stanie tego zagrać. Przykro mi. Nie mogę.

– Jesteś stuknięty – mówi Felix głosem, który wydaje mu się kojący. – Pomyśl o forsie, którą wydaliśmy. Jeżeli nie sprzedamy biletów, przyjdzie nam zapłacić za spektakl z własnej kieszeni. Wszyscy cię znienawidzą. Nie możesz się teraz wycofać.

– Wyprowadzę się stąd. Wyjadę na jakiś czas z miasta, aż wszyscy o tym zapomną. – Stanley chce ukryć twarz w dłoniach, ale wie, że rozmaże sobie szminkę i puder. Z jego ust niespodziewanie wydobywa się wycie, a po chwili chłopak wali rękami w stolik. – Dlaczego oni tu przyszli? Po co? Czy istnieją rodzice tak sadystyczni, że chcieliby obejrzeć sztukę, w której ktoś wykorzystuje ich córkę?

– Co takiego? – pyta Felix, dopiero teraz słuchając go uważnie. – Chodzi ci o rodziców tej dziewczyny? Victorii?

Stanley jęczy w odpowiedzi, z całej siły kopie kaloryfer i z wdzięcznością wita dźgnięcie bólu, który rozchodzi się po jego łydce, pozostając tam na dłużej.

– Bzdura – mówi Felix. – Skąd rodzice Victorii mogliby wiedzieć, o czym jest nasza sztuka? Nikt tego nie wie. Mamy dopiero premierę. Nawet nasi wykładowcy nie wiedzą. Od kogo o tym słyszałeś?

Stanley zwraca na niego zbolale oczy, a potem kręci głową.

– Widziałem ich. W foyer. Z młodszą siostrą Victorii.

Zapada cisza. Po chwili Felix mówi:

– Czy istnieją rodzice tak sadystyczni...

– Przyszła zobaczyć, jak gram. Na mnie. Chciała mi zrobić niespodziankę.

– Kto? – pyta Felix, teraz już kompletnie ogłupiały.

– Isolde – mówi Stanley. – O Boże. I przyprowadziła swoich rodziców. Nie wie, o czym jest to przedstawienie, nie wie o Victorii, ani trochę nie zna treści sztuki, ale za chwilę razem

z rodzicami... Och, Boże. Nie mogę tego zagrać. Nie kiedy oni siedzą na widowni.

W oczach Felixa pojawia się iskra paniki, gdy dociera do niego, że Stanley naprawdę może spełnić swoją groźbę i uciec. Felix wygląda szybko przez ramię na korytarz przed garderobą, a potem pyta:

– A twoi rodzice też przyjdą?

Z ust Stanleya znów wydobywa się wycie.

– Ojciec. Co tylko, kurwa, jeszcze bardziej pogarsza sytuację. Mój ojciec.

– Mój też – odpowiada Felix. Po chwili dodaje z wahaniem: – Jeśli jej rodzice naprawdę tutaj są, to muszą przygotować się na wstrząs. Nie można kupić biletów na takie przedstawienie, jak nasze, i mieć nadzieję, że się zachowa... niewinność. Nie można. Murowane, że wiedzą, co ich czeka. A przecież nie są już dziećmi.

– Skąd, oni nie mają pojęcia, o czym to jest. Dzisiaj premiera. Kurwa jego mać, czy gdzieś w naszym programie stoi napisane, że to ma być sztuka o ich córce? Nie. Przyszli zobaczyć mnie, zrobić mi niespodziankę. – Znów patrzy na siebie w lustrze. Charakteryzator dobrze się spisał, bo zapudrował jasne brwi chłopaka, a wyżej narysował czarne, ostrzejsze łuki. Stanley ma czerwone, lekko wydęte wargi; wszystkie naturalne cienie na jego twarzy: zmarszczki wokół ust, dołeczki na policzkach i pod brodą pokrywa szarość. Oczy obwiedziono czarną kreską.

Felix nadal wygląda na kompletnie oszołomionego.

– Na szczęście – mówi, bardzo starając się odzyskać kontrolę nad sytuacją – w tym kostiumie i w ogóle jesteś absolutnie nie do poznania. Jeżeli o to się martwisz. Że rodzice tej dziewczyny cię rozpoznają.

– No – odpowiada Stanley. Pomimo charakteryzacji widać, że zaciska szczęki, oczy ma czerwone, a twarz bladą, ale w lustrze karykatura o wydętych ustach, czyli odbicie Stanleya, przechyla głowę i zdaje się nawet uśmiechać.

Sobota

Isolde i jej rodzice są już na scenie, gdy zapalają się światła. Dziewczyna siedzi na drugim końcu kanapy i jeszcze wychyla się na bok, nad poręczą, by całym ciałem odsunąć się jak najdalej od dwóch innych postaci: pękatego, wąsatego ojca i kościstej matki, która nosi bluzkę zapiętą na wszystkie guziki.

– Musisz zrozumieć – mówi mama Isolde – że znasz już przedsmak tego, co może się wydarzyć. Połknęłaś go jak cukierek z papierowej torebki.

– Musisz zrozumieć – mówi ojciec Isolde – że teraz, kiedy się o tym dowiedzieliśmy, to się już więcej nie zdarzy.

– Pamiętaj, że jedyna różnica pomiędzy tobą a innymi dziewczętami – mówi mama Isolde – polega na tym, za jaką cenę i w jakich okolicznościach jesteś gotowa ulec.

Przez drzwi z mlecznego szkła, umieszczone pośrodku dekoracji, wchodzi Stanley i jego ojciec, poprzedzani przez Victorię, która wyciąga rękę, jak gdyby wskazując im drogę.

– Już przyszedł – mówi niepotrzebnie, wygrywając te słowa bardziej, niż powinna, bo to jej jedyna kwestia dialogowa, a Victoria chce się pokazać widowni. Matka macha ręką i skępowana dziewczyna schodzi drobnymi kroczkami ze sceny niczym aktor, który dostał za małą rolę i odgrywał ją na próbach aż do przesady.

Przez chwilę wszyscy stoją nieruchomo, a Stanley i Isolde patrzą na siebie gniewnym,

zacięty, iskrzącym się wzrokiem, niewidocznym dla widzów siedzących na balkonie i na tych krzesłach parteru, z których jest tylko ograniczona widoczność.

Po chwili ojciec Isolde mówi oficjalnym tonem:

– Właśnie miałem powiedzieć, skoro już się wszyscy zebraliśmy, że powinniśmy rozwiązać tę sprawę w cywilizowany sposób, jak dorośli. Ale kiedy miałem te słowa na końcu języka, zdałem sobie sprawę, że biorąc pod uwagę cały kontekst, określenie „dorośli” nie jest zupełnie trafne.

Zapada cisza. Tata Stanleya siada jako pierwszy.

Sobota

– Celem tego recitalu – mówi nauczycielka gry na saksofonie – jest w gruncie rzeczy wyrażenie zgody na to, by uczennice mówiły niejako we własnym imieniu. To tylko środek do tego, żeby pozwolić im wyrazić, jak dorastają i budzą się do życia, aby mogły się pokazać jak panna przed ołtarzem, wystawić na widok publiczny. Oglądając ich dzisiejszy występ, może powinniście zadać sobie kilka ciekawych pytań: Co mówi mi o artystce? Jaki to nagi kształt wyłania się z rzędnej mgiełki muzyki tej albo tamtej dziewczyny? Co osobistego nam się tu oferuje i zarazem zdradza?

Julia siedzi w drugim rzędzie, niedbale trzyma saksofon na kolanach i czeka na sygnał, by wstać i wejść na scenę.

– Wspominam o tym – ciągnie nauczycielka – bo uczennica, którą za chwilę przedstawię, ma za sobą wyjątkowo trudny rok. Wiele zdarzeń skomplikowało jej w tym roku życie, ale jeżeli będziemy mieli szczęście, niektóre z tych tragicznych, choć pięknych epizodów obejrzymy w trakcie jej występu. Ponieważ jest nieszczęśliwa, każda nuta, którą dla was zagra, stanie się wierszem, a ona wyczaruje z niej znacznie więcej niż tylko poczucie tęsknoty i utraty. Jeśli natomiast będziemy mieli dużo szczęścia, na co mam nadzieję, to zobaczymy cały ogrom przeciwności losu, z którymi borykała się w tym roku: ujrzymy niesłychany, kazirodczy związek dwóch kobiet, odtworzony przed wami niczym stare nagranie, ukradzione z piwnicy. Musicie uważnie słuchać.

Dłonie Julii są zimne i spocone, wyciera je więc mocno w spodnie na kolanach.

– A zanim powitam na tej scenie Julię, chciałabym jeszcze tylko podziękować wszystkim matkom, które się tu zebrały dzisiejszego dnia, za to, że dały mi tę osobliwą satysfakcję, jakiej doznajemy wtedy, kiedy mówimy coś, czego nikt nie słucha.

Październik

– Nie powiedziałaś, że on odtwarza główną rolę, Issie – mówi ojciec Isolde, wskazując na program. – Spójrz, jego nazwisko widnieje na samej górze.

– Nic mi o tym nie wspominał. Powiedział nawet, żebym nie zawracała sobie głowy, że nie muszę przychodzić na przedstawienie. Pewnie miał tremę. – Isolde patrzy na scenę, spięta, bo denerwuje się niejako za aktorów przed premierą. W kanale dla orkiestry palą się światła i dziewczyna widzi muzyków wchodzących przez drzwiczki w ścianie, żeby zająć miejsca przy swoich instrumentach. Siadają, a wtedy już nie widać ich z widowni.

– Królowa Pik – odczytuje na głos ojciec Isolde, po czym zdejmuje okulary do czytania i mówi: – I co wy na to, co? – a potem żartobliwie trąca Isolde łokciem.

– Może nie powinniśmy byli przychodzić na premierę – odzywa się mama Isolde, przesuając kolana w bok, żeby przepuścić dwoje młodych ludzi. – Jeżeli on ma tremę.

– Już wam mówiłam, że Stanley w ogóle nie wie, że jestem na widowni – odpowiada Isolde.

Wyciąga szyję, żeby rozejrzeć się wśród publiczności. Obserwuje tłum studentów starszych lat z Instytutu, którzy zajmują trójkąt miejsc w tylnych rzędach, i nagle robi jej się głupio, że przyprowadziła tu rodziców. Studenci, którzy dziś grają, obejmują się, ściskają i gestykują wściekle, rozmawiając ze sobą. Isolde widzi, jak się przeciska za kulisy, by zrobić Stanleyowi niespodziankę na koniec wieczoru, zapukać do drzwi jego garderoby i pomachać mu nieśmiało, stanąwszy na progu, gdy pozostali aktorzy będą wrzeszczeć i krzyczeć, biegnąc po korytarzu. Nieoczekiwanie ogarnia ją straszliwe przerażenie.

– Nie musimy iść po przedstawieniu za kulisy – mówi, żeby dodać sobie otuchy. – Mogę po prostu później do niego zadzwonić.

Nie rozmawiała ze Stanleyem od czasu tamtej awantury na ulicy.

– Jakie to eleganckie – odzywa się jej ojciec. – Spójrzcie na te sztukaterie na sklepieniu. Piękna robota.

Zespół muzyczny stroi instrumenty, a światła na widowni przygasają.

– Teraz żałuję, że nie kupiłam miętówek – mówi mama Isolde. – Mam nadzieję, że będzie przerwa.

Październik

– To jest zawsze i tylko uczucie zastępcze – mówi dziekan wydziału ruchu scenicznego, niecierpliwie bębniąc palcami po programie, który położył sobie na kolanie. Lśniaca okładka przedstawia karykaturę dziewczyny z mysimi warkoczykami i w szkolnym mundurku, a także tytuł: *Królowa łoża z baldachimem*. Dziekan wydziału aktorskiego wyciąga szyję, aby rozejrzeć się wśród publiczności, i właściwie nie słucha swojego kolegi, ale dziekan wydziału ruchu scenicznego mówi z dziwną natarczywością, która nie może czekać na publiczność, chociaż i tak przemawia głównie do siebie. – Nigdy nie potrafisz sobie poradzić z tym aspektem gry. Nawet kiedy jesteś wyjątkowo skuteczny, ożywiony i natchniony, to zawsze tylko... patrzysz.

Wrzesień

– Wiesz co? – mówi ojciec Stanleya, pochylając się nad kanapą ku Isolde. Dziewczyna odwraca głowę, ich profile są więc dobrze widoczne na kremowym tle: jej delikatne, zwrócone ku górze, lekko wydęte usta, i jego zapadłe policzki oraz kanciasta niczym latarnia szczęka.

– Kiedy prowadzę w pracy grupową sesję terapeutyczną – ciągnie ojciec Stanleya – czyli mam, powiedzmy, sześcioro, siedmioro albo nawet więcej pacjentów w pokoju, może i całą rodzinę, jeżeli tak się składa, że pracuję z rodziną, przyjmuję taką strategię, że na początku nie mówię absolutnie nic. Zadaję pytania, zachęcam ludzi do mówienia, podnoszę różne kwestie, ale nie mówię nic o tym, co sam myślę. Nawet tego nie sugeruję. Postępuję tak na pierwszej i drugiej sesji. Pod koniec drugiej wszystkich już aż świerzbi: chcą wiedzieć, kim jest ten facet, ten psycholog, który wyłącznie słucha, siedzi i słucha, i tylko czasami zadaje jakieś pytanie, choć zawsze delikatne, nigdy prowokacyjne albo ostre. Jestem przecież za drogi i zbyt sławny, żeby wyłącznie słuchać. No więc pacjenci zaczynają się mnie bać. Kłócą się między sobą, a potem popatrują na mnie z ukosa, żeby mnie sprowokować do działania. Zawsze wychodzę wcześniej. Nigdy nie zostaję po zajęciach i nie zachęcam ich do tego, żeby mnie

lepiej poznali. Trzymam ich na dystans, z dala od siebie, a kiedy wkraczam do pokoju w czasie trzeciej sesji, wszyscy siedzą cichutko jak myszy pod miotłą. Cały ich opór znika i koncentrują się wyłącznie na mnie, bez reszty. A potem... – Ojciec Stanleya zaciska palce, a po chwili rozwiera je i wypuszcza z uścisku jak kłęb dymu. – Potem mogę już powiedzieć wszystko. Trzecia sesja jest taka, jak trzeba. Słuchają wszystkiego, co mówię. Słuchają mnie.

– Czy ta historia ma jakiś morał związany z dziewictwem? – pyta trochę nerwowo Isolde.

– Ona nie ma morału – odpowiada ojciec Stanleya. – To nie jest moja specjalność. Moją specjalnością są wulgarne żarty. A dla zabicia czasu snuję czasem różne opowieści.

– To dobrze – mówi Isolde. Odwraca się i cienie na jej twarzy rozpraszają się, kiedy połyka ją groźna mgła wokół reflektorów i sięgająca dalej.

Ojciec Stanleya spogląda litościwie na dziewczynę, po czym oznajmia:

– Nawiasem mówiąc, dziewictwo to mit. Nie ma żadnego włącznika i wyłącznika, żadnego punktu bez powrotu. To po prostu takie samo pierwsze doświadczenie jak każde inne. Wszystko wokół niego, wszystkie te światła, zasłony i efekty specjalne, to tylko część tego mitu.

Isolde odwraca się, chcąc na niego spojrzeć, i cienie wracają, wlewają się z powrotem, przesłaniając ciemną część jej twarzy, która zostaje znów przepołowiona jak ubywający księżyc.

Ojciec Stanleya uśmiecha się.

– Przestań wierzyć w mity – mówi.

Sobota

– Ciągłe jednak odbywały się spotkania z psychologiem – mówi Julia – przyklepione do rozkładu zajęć szkolnych jak zapieczony tłuszcz, którego nikt nie chciał zeszkrobać. Wciąż się spotykałyśmy, żeby rozmawiać o wątpliwym gwałcie na dziewczynie, która rozpięła kiedyś bluzkę aż po ozdobną białą różyczkę między miseczkami swojego stanika. Siedziałyśmy razem i rozmawiałyśmy o niej, ssącej czerwonego lizaka w czasie próby, która odbywała się w przerwie na lunch, i leciuteńko odciągającej jego słodką kulka swoją dolną wargę, aż było widać, jak w ustach porusza się jej wilgotny język. No i był jeszcze pan Saladin – ciągnie bezlitośnie Julia. – Który mógł po prostu poczekać, aż pięć miesięcy później wybije północ, a Victoria z dziecka zmieni się w dorosłą kobietę, niezawodnie, jak żaba w księżniczkę albo osiodłany koń w brudną, pospolitą mysz kuchenną. Mógłby to być prezent urodzinowy dla niego, gdyby tylko uzbroił się w cierpliwość. Na sesjach z psychologiem dowiedziałyśmy się, że pierwszym i najważniejszym przestępstwem pana Saladina był jej brak. Dowiedziałyśmy się, że morał z tej historii brzmi: Co nagle, to po diable.

Mamy są oczarowane.

– Nie, wcale nie – mówi Julia. – Wcale nie tego się dowiedziałyśmy.

Przemawia jak iluzjonista albo konferansjer w cyrku.

– Dowiedziałyśmy się, że wszystko na świecie dzieli się na dwoje: istnieje dobro i zło, mężczyzna i kobieta, prawda i fałsz, dziecko i dorosły, rozkosz i ból. Dowiedziałyśmy się, że psycholog ma taką specjalną mapę, dzięki której wszystko nabiera sensu. Klucz. Jak program teatralny, w którym z jednej strony mamy nazwiska aktorów, a z drugiej spis postaci; taki ładny podział na fikcję i rzeczywistość. Dowiedziałyśmy się, że zawsze istnieje różnica pomiędzy przedstawieniem i aktorem, rzeczywistością i kłamstwem. Że nie ma nic pośrodku.

Julia przygląda się badawczo swojej publiczności.

– Są tylko ci, którzy patrzą – mówi – i ci, którzy cierpią, kiedy się ich ogląda.

Mamy nie śmiać nawet zaszeleścić.

– Ale psycholog kłamał – ciągnie Julia. – Wy kłamałyście. Kłamałyście o bólu, o tej wcale nieprostej aferze, nieskończenie bardziej ciernistej, żalostnej i bolesnej, niż możecie ją pamiętać, bo każdy mijający rok kładzie się wam na oczach cieniutką zasłoną, ich warstwa staje się więc stopniowo coraz grubsza, aż wreszcie nawet wasze dzieciństwo rozplywa się we mgle.

Nauczycielka gry na saksofonie przygląda się Julii, stojąc z boku sceny. Ma kluczę w gardle, a w klatce piersiowej ściska ją ostry ból. Może to duma.

– Pomyślcie – mówi Julia – Victoria zapewne jest dzisiaj, w tej chwili, z panem Saladinem, i oblewa ją rumieniec rozkoszy nastolatki, podczas gdy jej siostra i rodzice siedzą w bolesnej ciemności na widowni po drugiej stronie miasta. Victoria zapewne jest naga, pojękuje czule i leży na tym mężczyźnie, a jej ciało jest bezwładne i śliskie jak masło. Pan Saladin z ustami w jej włosach szeptem odlicza zmniejszającą się ciągle liczbę dni dzielącą ją od chwili, kiedy Victoria stanie się sobą, gdy jej ciało zacznie wreszcie należeć do niej... i do niego. Zapewne gładzi ją szorstką, pełną odcisków ręką dorosłego.

Julia przygląda się mamom.

– A wy chciałybyście przy tym być – mówi cicho. – Chciałybyście tam być.

Sobota

Isolde i Julia stoją samotnie na tle czarnej tkaniny sceny. Nie ma dekoracji ani scenografii. Obie są w szkolnych mundurkach, choć strój Isolde jest czysty i wyprasowany, a Julii wymięty, pocerowany, brudny i nieprawdziwy. Dziewczyny patrzą na siebie.

– Nie nauczyłam się kochać samej siebie – mówi Isolde. – Czy to dlatego postanowiłam się zatopić w krzepiącej obcości ciała, pozbawionego tego zasadniczego podobieństwa, które kazałoby mi się z kimś porównywać? Przy tobie zostałabym podwojona, byłoby mnie jak gdyby dwa razy więcej, odbijałabym się w tobie jak w lustrze. Ale ponieważ pojawił się on, to te różnice się zniosły.

– Tak – mówi Julia. – Tylko że to nie wszystko.

– W takim razie czy zrobiłam to dlatego, że się przestraszyłam? Dlatego, że nie było na to wzorca, szablonu, a nieoczekiwany ogrom mojej niewinności, wielka i straszna otchłań mojej niewiedzy były zbyt obce i przerażające? Po prostu mnie to przerastało, nie mogłam ukrywać w sobie czegoś tak wielkiego, tak jak nie mogłabym ukryć czegoś doskonałego, tragicznego albo wzniosłego.

– Tak – mówi Julia.

– Nigdy wcześniej nie czułam się w ten sposób – mówi Isolde. – Nigdy się tak nie bałam.

– Nie martw się. Już nigdy więcej nie będziesz się tak bać.

Zmiana światła.

– Pamiętam, jak siedziałyśmy w twoim samochodzie przed moim domem – mówi Isolde – w bladym blasku ulicznych latarni. Krępowwały nas skrzyżowane na piersiach pasy bezpieczeństwa. Byłyśmy przypięte do foteli obitych imitacją krokodylej skóry, unieruchomione. Odwróciłaś się do mnie i się zaśmiałaś, jakbyś była naprawdę zdenerwowana, przygryzłaś wargę i wtedy włosy opadły ci na twarz, ale ich nie odgarnęłaś.

Potem powiedziałaś: „Czy mogę tylko?...”, pozwoliłaś temu pytaniu zgasnąć, podniosłaś rękę, żeby mnie ująć pod brodę i wyciągnęłaś się do mnie, szamocząc się z pasem, który odciągał cię w przeciwną stronę, trzymał w ryzach, pętał. Bardzo się wtedy bałam. Pamiętam, że oblizalam wargi. Że zaschło mi w ustach. I że mnie pocałowałaś.

– Ten jeden jedyny raz – mówi Julia.

– Mój grzech.

Julia też mówi:

– Mój grzech.

– Co teraz z tobą będzie? – pyta Isolde.

Julia odrywa od niej spojrzenie i przypatruje się widmowym twarzom widzów. Przez chwilę milczy, a potem odpowiada:

– Chyba nic poza tym, czego mogę się spodziewać. Powolne wyciemnienie.

Październik

– To jest za łatwe – mówi tata Stanleya, wysiadając z taksówki. – Och, Stanley, to za łatwe, ale i tak to powiem.

Robi krok nad studzienką ściekową i rozpościera ramiona do uścisku. Mocno obejmuje syna, który wyczuwa znajomy zapach wody kolońskiej na ojcowskiej koszuli.

– Co jest za łatwe? – pyta Stanley, kiedy się od siebie odsuwają, a taksówka skręca za róg i znika.

– Udoskonalileś moje metody – mówi tata. – Przejąłeś moje pomysły i uciekłeś z nimi, zmieniłeś je w coś, co mnie by się nie śniło. Pochlebia mi to i imponuje, chociaż trochę się wstydzę, że nie jesteś mądrzejszy.

– Mówisz o tym pomysle ubezpieczeniowym?

– Jak najbardziej.

– Ale ja telefonowałem do kilku firm ubezpieczeniowych – mówi Stanley. – Pytałem o ten twój pomysł na zarobienie miliona i okazało się, że nic by z tego nie wyszło.

– Oczywiście, że nie. Ja się tylko w ten sposób z tobą drażniłem i tak, nawiasem mówiąc, powinno ci być wstyd, że chciałeś go wygrać do końca – mówi tata. – Ale to...

Śmieje się i szeroko rozkłada ramiona. Wiszący nad podwójnymi drzwiami do foyer ogromny, lśniący baner z napisem „Premiera!” trzaska na wietrze i wybrzusza się, napinając przewleczone przez oczka linki, mocujące płachtę do poręczy balkonu. Na obu skrzydłach drzwi przyklejono taśmą plakaty, przedstawiające dziewczynę w stroju szkolnym, która nieśmiało wsuwa kartę do gry do kieszeni sukienki.

– Genialne – mówi tata Stanleya. – I bardzo śmieszne. Zdziwiłbym się jednak, gdyby wasza sztuka wytrzymała na afiszu choć tydzień. Pewnie już jutro zakażą wam występów.

– Może nie byłoby to takie złe – odpowiada Stanley.

– Masz jakieś kłopoty?

– Tak.

– Potrzebujesz pomocy? – pyta ojciec, chociaż raz rezygnując z postawy terapeuty i patrząc na Stanleya z dziwnym półuśmiechem, jakby był z niego dumny.

– Tak – odpowiada ciszej Stanley. – Ktoś mnie o coś oskarżył.

– Doskonale. Opowiesz mi przy obiedzie. Chodźmy na chińszczyznę.

Październik

– W twoim organizerze – mówi Isolde – tym czarnym ze złotym paskiem, znalazłam wycinek z gazety. Nagłówek głosił: „Nauczyciel zaprzecza oskarżeniom o seks z uczennicą”. Tylko że to nie był zwykły wycinek, a ksero artykułu, właściwie kserokopia kserokopii, i śródtytuły w tekście ktoś podkreślił na żółto. Prawdopodobnie ty.

Stanley siedzi trochę z boku, kryjąc głowę w dłoniach.

– Znałam połowę tego tekstu – mówi Isolde – tę drugą, która przykleiła się do grzbietu złożonej gazety, kiedy moja mama skoczyła, by wyrwać pierwszą stronę, powiedziała: „Sępy, sępy” i zgmiotła ten wyrwany kawałek w kulkę. Gdy wyszła z pokoju, przeczytałam drugi kawałek, ten, który został, z nagłówkiem głoszącym już tylko „Nauczyciel seks”, słowa nie przystawały więc do siebie, rozchodziły się jakby, ale fragment po fragmencie starałam się złożyć je w całość, te skrawki tekstu opowiadającego o miłości mojej siostry.

Stanley nie rusza się, ściska dłońmi skronie i przykuca jak bokser, który pogodził się z tym, że przegrał walkę.

– No więc przeczytałam ten artykuł – mówi Isolde – to ksero i tak dalej, z podkreślonymi śródtytułami, jak: „Uczęszczała na specjalne zajęcia” albo: „Tymczasowo usunięta ze szkoły”. Zastanawiałam się, dlaczego ten artykuł znalazł się w twoim organizerze, dlaczego wsunąłś go pomiędzy migawkę autobusową, rewersy z biblioteki i twoje ulubione, ręcznie przepisane sonety. Uznałam, że pewnie chodzi o jakieś ćwiczenie studenckie, tylko o ćwiczenie, chociaż związane w pewien sposób z tym skandalem, o którym zrobiło się tak głośno w mediach.

Dziewczyna wstaje nagłym, ale płynnym ruchem, przyciskając łokcie do boków.

– Teraz jednak – mówi – już wiem, o co chodziło. Wiem, że mnie wykorzystałaś. Wiem, że jestem tylko lśniącym pionkiem, zmierzającym na skraj pokrytej mezbekiem tekturowej szachownicy, żeby stać się królową... Królową dla ciebie, dla twojego występu, przedstawienia i kariery. Że było we mnie coś, co jednak przypominało ci ją we mnie, że była jakaś podobna albo znajoma cecha, która kazała ci widzieć we mnie ją, gdy odwracałam głowę, przygryzałam wargę i odgarniałam włosy, a ty wtedy nagle dostrzegałaś wszystko, co mogłaś wykorzystać. Wiem, że myślałaś: „To, że ona jako jej siostra jest z nią blisko, ma dla mnie ogromne znaczenie”.

Isolde prostuje się jeszcze bardziej, jak gdyby składała się z nitek i teraz zgarniała je wszystkie – wszystkie wystrzępione kawałki siebie – by zwinąć się jak najciaśniej i mówić dalej. Jej głos jest nieco stłumiony niemym bólem, na który Stanleyowi mocniej bije serce i który każe mu odwrócić wzrok.

– Dla ciebie spełniam podwójną rolę – mówi Isolde. – Jest pewna nieświadomiona podwójność, która przepoławia mnie wzdłuż i rozcina na dwoje: na korzyść i przydatność. Chcesz ujarzmić moją bliskość, wycisnąć ze mnie wszystko do ostatniej kropli, zebrać wszystkie maleńkie, popękane witrażyki faktów dotyczących Victorii, które składają się na to, co o niej wiem. Chcesz mieć tę historię na własność. Chcesz mojej siostry, ale nie w całości: pragniesz jej cienia, odbicia, wizerunku, który wykrwawia się drukiem na pierwszej stronie gazety. Chcesz powietrza wokół niej i przestrzeni, w której się porusza, i tych przedmiotów, o które się ociera, kiedy koło nich przechodzi. Właśnie dlatego chcesz mnie.

– Isolde – mówi Stanley niskim głosem, stłumionym przez przytknięte do twarzy dłonie. – Nikt cię nie wykorzystuje. Nic, co ma związek z tobą, nie zostało wykorzystane ani użyte.

– Ale ja wykorzystałam ciebie – odpowiada Isolde dźwięcznym, czystym, jasnym głosem,

bijąc Stanleya swoją kartą atutową. – Wykorzystałam cię tak, jak ty mnie. Właśnie to przyszłam ci powiedzieć. Jesteś dla mnie czymś w rodzaju tarczy, to wszystko. Kimś w rodzaju świadectwa albo dowodu.

Sobota

– Zanim skończymy, chciałabym powiedzieć jeszcze jedno – oświadcza nauczycielka gry na saksofonie, kiedy ostatnia z dziewcząt zbiega ze sceny i wraca na swoje miejsce na widowni. Na pustej scenie nauczycielka wydaje się bardzo mała. Stojący za nią w pokrowcu fortepian Steinwaya przypomina olbrzymi, okryty brezentem nagrobek, przewrócony na bok i pozostawiony swojemu losowi.

– Chciałabym oddać hołd jednej z moich uczennic – mówi nauczycielka. – Wymizerowanej, wątłej dziewczynie, która zginęła w tym roku, potrącona przez samochód, kiedy wracała na rowerze z pracy, z nocnej zmiany.

W sali natychmiast zapada martwa cisza.

– Od dawna bezskutecznie starałam się widzieć śmierć Bridget jako tragedię – mówi nauczycielka. – I teraz wreszcie chyba jednak mogę ją tak traktować.

Spuszcza głowę, wpatrując się w podłogę, żeby zebrać myśli.

– Gdyby Bridget pojawiła się w środę na zajęciach z big-bandem – mówi – w następną środę, która nigdy dla niej nie nadeszła, w środę, której Bridget już nie doczekała, byłaby celebrytką. Okazałoby się, że blada, cherlawa Bridget, dziewczyna małej wiedzy i pomysłowości, rzucająca cień na swoją prawą, dumnie kroczącą w pantoflach na płaskim obcasie, natrętą matkę, rozumiejąca wszystkie dowcipy dopiero z kilkusekundowym opóźnieniem, została wreszcie uzbrojona w coś do zaferowania i powiedzenia. Wszyscy by ją otoczyli, głaskali i poszturchiwali, kiedy na nowo przeżywałaby swoje krótkie sześć minut z panem Saladinem w sklepie wideo po to, żeby wszyscy mogli o tym usłyszeć. I wszyscy by słuchali. W sali zapanowałaby absolutna cisza, a Bridget grzałaby się w pierwszym cienkim promieniu świetlistej przyjemności, jakiej zaznała. Na chwilę stałaby się popularna, bo po raz pierwszy w swoim krótkim, nieszczęśliwym życiu dysponowałaby jakąś interesującą innych wiedzą. Została jednak okradziona z tej drobnej przyjemności i właśnie dlatego możemy widzieć w jej śmierci tragedię.

Mamy kiwają głowami.

– Biedna Bridget – mówi cicho nauczycielka gry na saksofonie. – To okrutne.

Listopad

Julia i Victoria są wśród sennej garstki rozchełstanych siódmoklasistek, siedzących w świetlicy bez sił w liżącym je wszystkie upale nadchodzącego lata. Dzierzawa ich czasu w liceum już prawie wygasła, rozglądają się więc teraz po świecie, który wkrótce opuszczą, z czymś w rodzaju pełnej czułości nostalgii. Do środka przez okno wpadają śmiechy i krzyki dziewcząt na boisku.

Świetlica powoli pustoszeje, uczennice wychodzą jedna po drugiej, aż wreszcie drzwi zatraskują się za ostatnią z nich i w środku zostają tylko Julia i Victoria. Julia pochyła się nad swoją kartą obiegową abiturientki, a Victoria przygląda się przez chwilę koleżance spod przeciwległej ściany.

– Miałaś coś z moją siostrą? – nieoczekiwanie pyta wysokim głosem. – Znaczy wcześniej w tym roku. Chodziłyście ze sobą czy coś w tym rodzaju?

Julia podnosi wzrok i przypatruje się jej obojętnym wzrokiem.

– Czy właśnie tak wszyscy myślą?

– No – odpowiada zmieszana Victoria. – Tak.

Sprawia wrażenie jeszcze bardziej niepozornej niż zwykle. Wysuwa dolną wargę do przodu i przez ułamek sekundy trochę przypomina swoją siostrę. Wygląda to tak, jak gdyby obraz młodszej od niej Isolde na moment przemknął przez jej twarz niczym promień słońca przez chmurę.

Julia przygląda się, jak wizerunek Isolde pojawia się i znika, a potem mówi:

– Dlaczego po prostu nie spytasz o to jej? Jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć. Dlaczego nie spytasz Isolde?

Jej imię – imię Isolde – brzmi w ustach Julii zbyt intymnie. Obie zwracają na to uwagę i rumienią się.

– Pewnie czekałam, aż sama z tym do mnie przyjdzie – mówi Victoria. – Czekałam, aż sama mi opowie o tym wszystkim. Zanim poczułabym się zmuszona, żeby ją o to zapytać.

– Ale nie przyszła.

– Nie.

Julia się odwraca.

– No i co mówią dziewczyny? – pyta z twarzą zwróconą w stronę okna i ściany.

– Tylko tyle, że ją pocałowałaś. Raz.

– I to wszystko?

– I że któraś znalazła w schowku teatralnym bransoletkę „Zerznij mnie”. Która była rozerwana.

– I to wszystko?

– Tak. To wszystko. A jak było naprawdę?

Julia nie odpowiada. Victoria siedzi i czeka. Robi zachęcającą, przymilną minę i lekko się pochyła, co wygląda tak, jakby czekała na odpowiedź całym ciałem. Unosi brwi.

Julia wciąż wygląda przez okno. Dziewczęta na boisku do hokeja na trawie nadal krzyczą radośnie.

W końcu Victoria wzdycha i mówi:

– Byłabym szczęśliwa, Julio, jeśli opowiedziałabyś mi o tym tak szczegółowo, żebym mogła to sobie wyobrazić. Żebym mogła to dla siebie odtworzyć. I wyobrazić sobie, że naprawdę brałam w tym wszystkim udział.

Podziękowania

Wielkie dzięki dla Denisa i Verny Adams.

Dziękuję także Damienowi Wilkinsowi, Jane Parkin i Fergusowi Barrowmanowi za rady, zachętę do pracy i mądrość.

Stephen Pike: dziękuję ci za figła, którego mi spłatałeś, i za ten niedorzeczny pomysł z ubezpieczeniem na życie. Dziękuję również Lolo Pike i Emily Nyberg za miłość i gościnność.

Charlotte Bradley, Tane Upjohn-Beatson, James Christmas, Jane Groufsky, Jemimah Walker, Claire Bramley, Nathan McLoughlin i Gemma McCabe: dziękuję wam za pomysły i za to, że słuchaliście, co miałam do powiedzenia. Moje podziękowania zechcą przyjąć również wszyscy z Tennyson St Studio – Chloe Lane, Lawrence Patchett, Joan Fleming, Sarah Barnett, Amy Brown, Pip Adam i Asha Scott-Morris. Wasz entuzjazm wiele dla mnie znaczy.

Serdeczności i podziękowania dla Felicity, Jonathana i Sebastiana: dziękuję wam, że gościliście mnie w swoim domu i złagodziliście gorączkę, która mnie opanowała.

Ze szczerego serca dziękuję też Caroline Dawnay, Olivii Hunt, Jessice Craig i Lettie Ransley, za wszystko, co działa się poza Nową Zelandią. Wasza bystrość, cierpliwość i liczne uprzejmości nadal mnie zdumiewają.

Dziękuję wszystkim z wydawnictwa Granta za to, że zaryzykowaliście wydanie mojej książki. Sara Holloway i Philip Gwyn Jones sprawili, że poczułam się członkiem waszej wydawniczej rodziny, jeszcze zanim poznaliśmy się osobiście. Wielkie dzięki dla Amber Dowell, Pru Rowlandsona i Dana Mogforda, grafika.

Serdeczności i podziękowania dla Mamy, Taty i Willa.

Największy dług zaciągnęłam jednak u Johnny'ego Frasera-Allena: dziękuję ci za to, że we mnie uwierzyłeś.

Przypisy

[1] Antonin Artaud, *Teatr i jego sobowtór*, przeł. Jan Błoński, Warszawa 1966, s. 129–130 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] Jerzy Grotowski, *Ku teatrowi ubogiemu*, w: tenże, *Teksty z lat 1965–1969*, Wrocław 1990, s. 20–21.